

R G B WH GR BL



Grey Scale #13

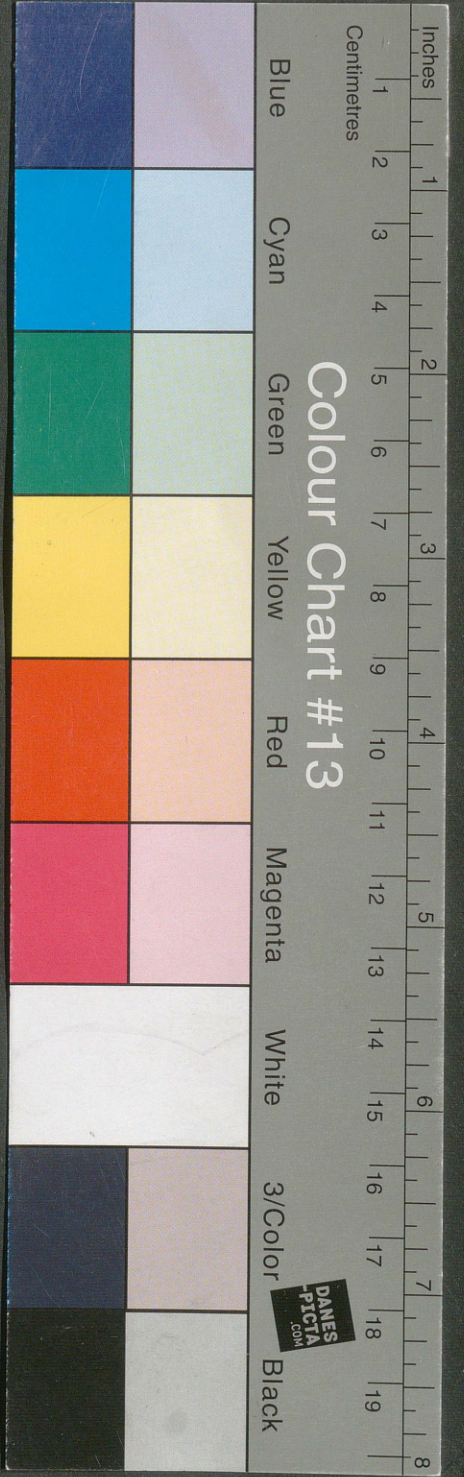
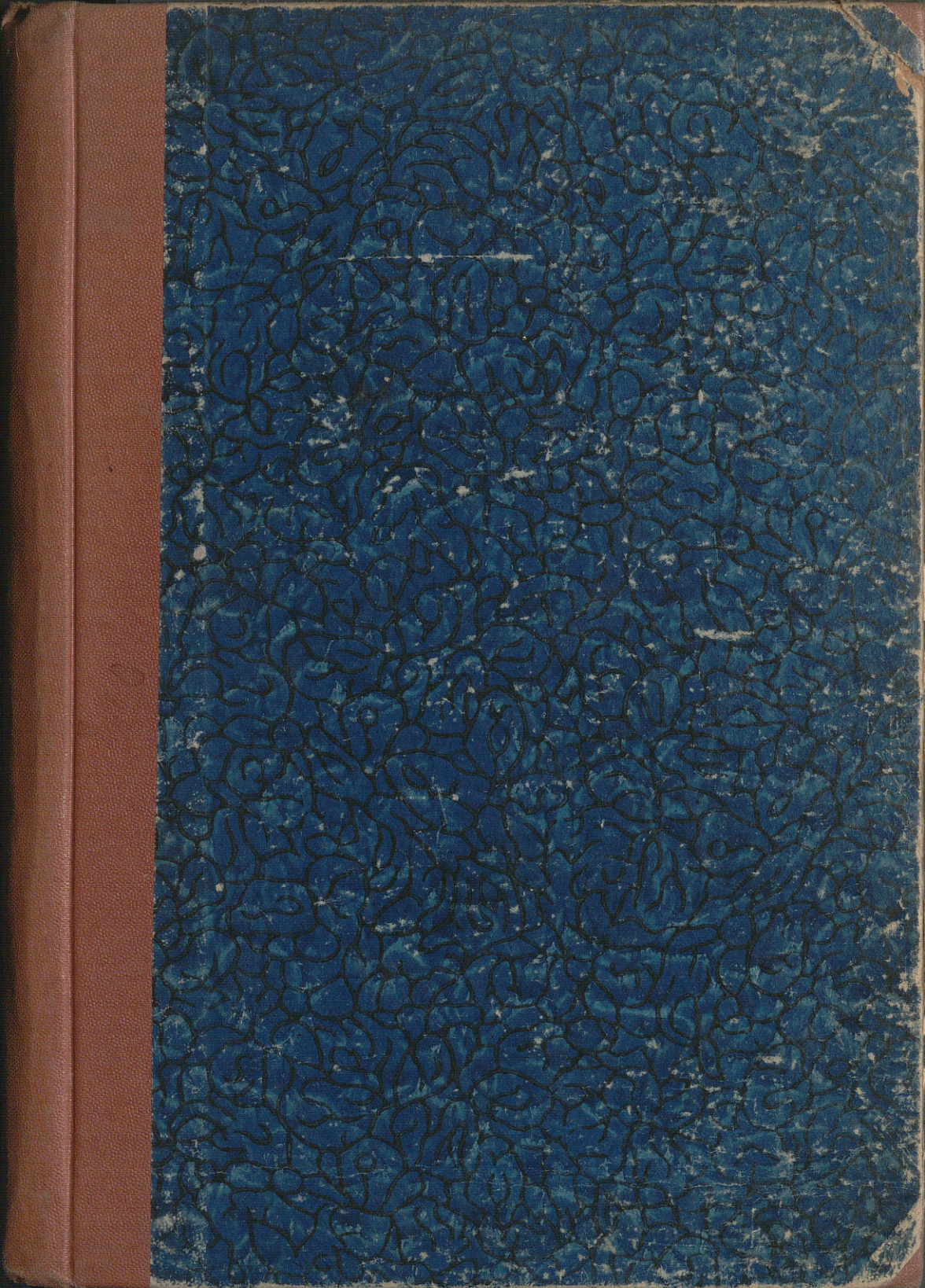
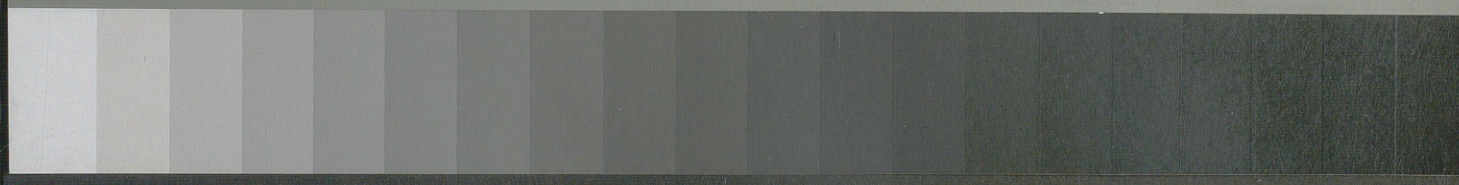
C M Y K



Part Code ST1316



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



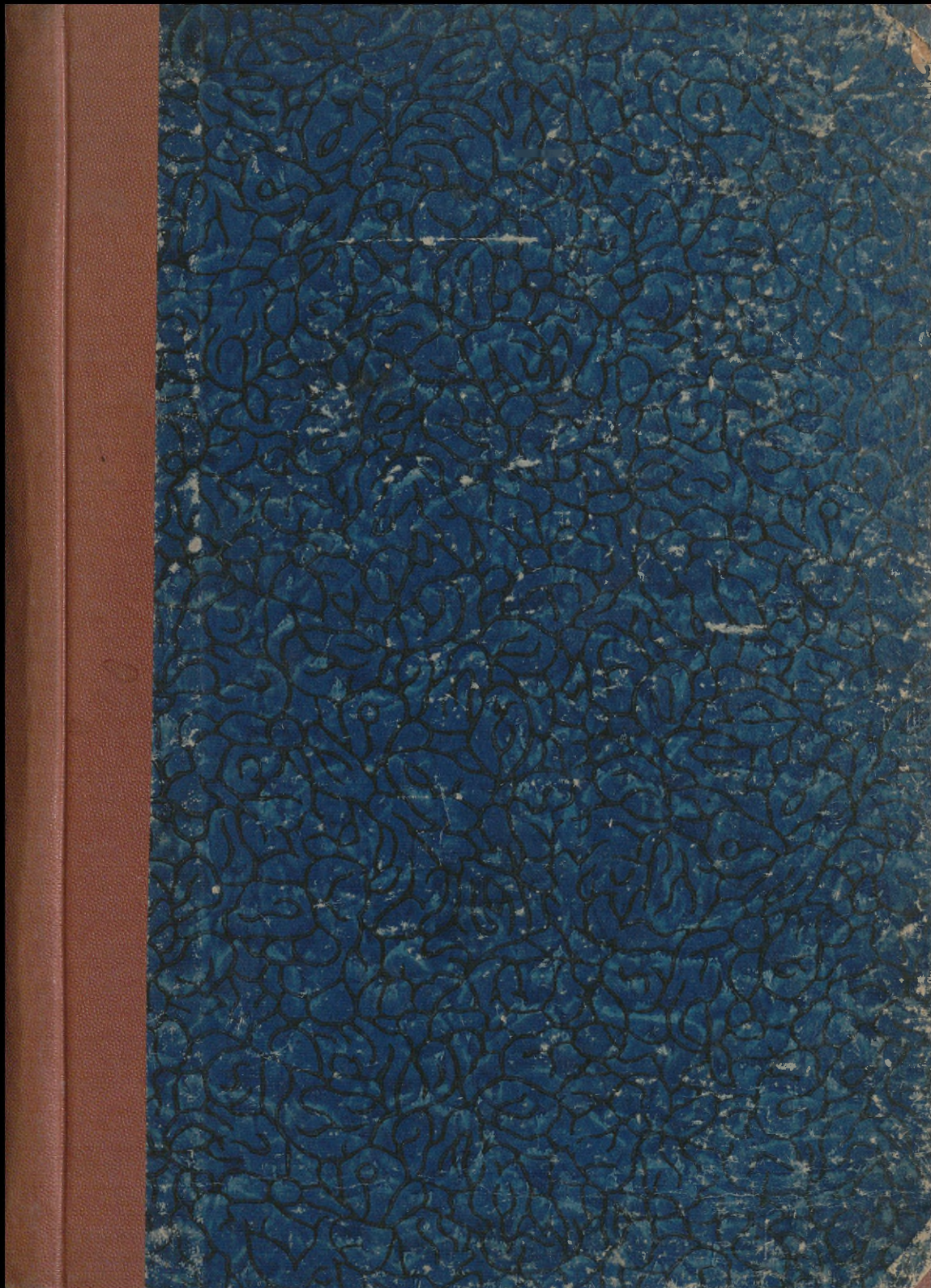
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

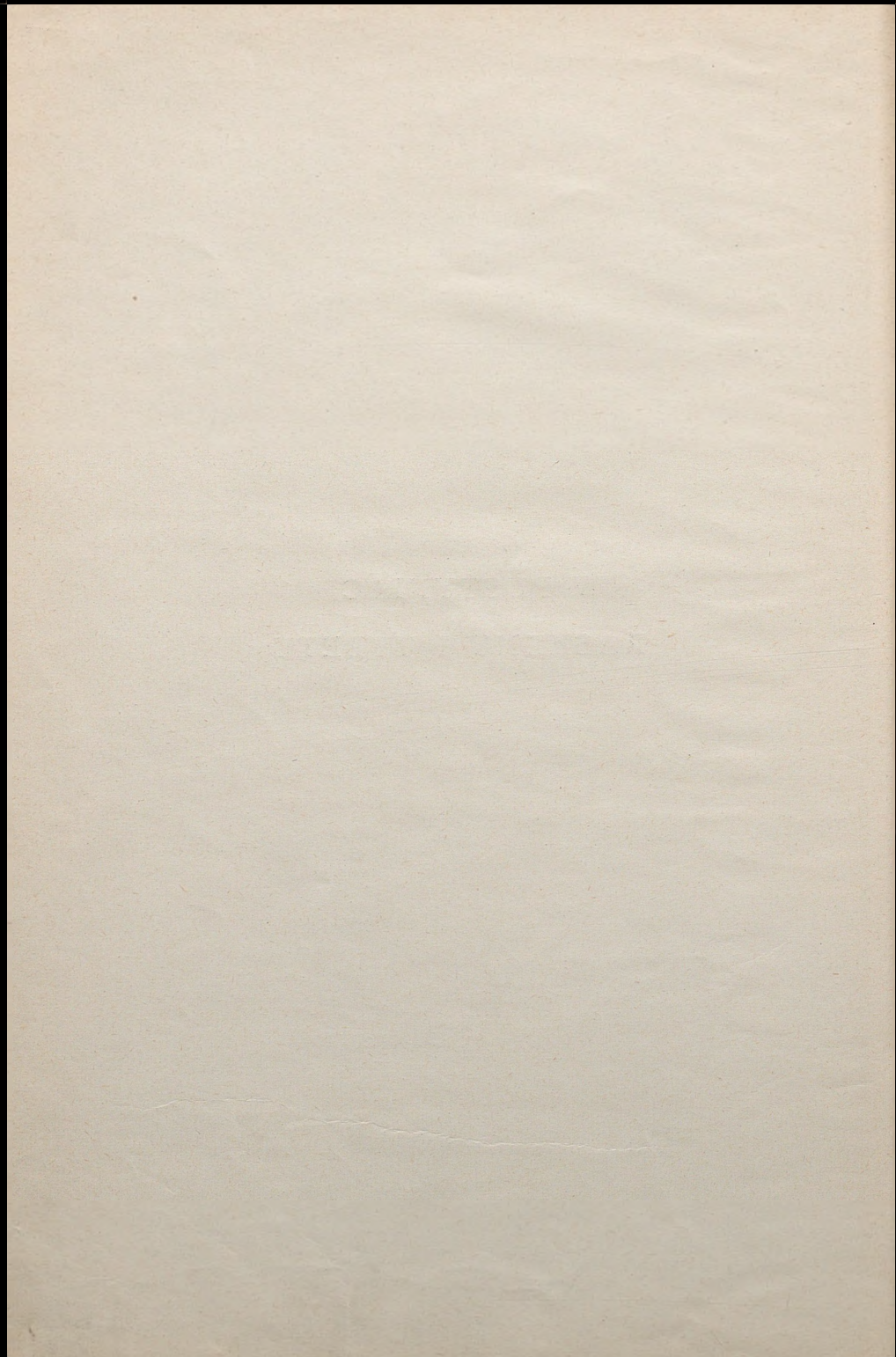
Centimetres

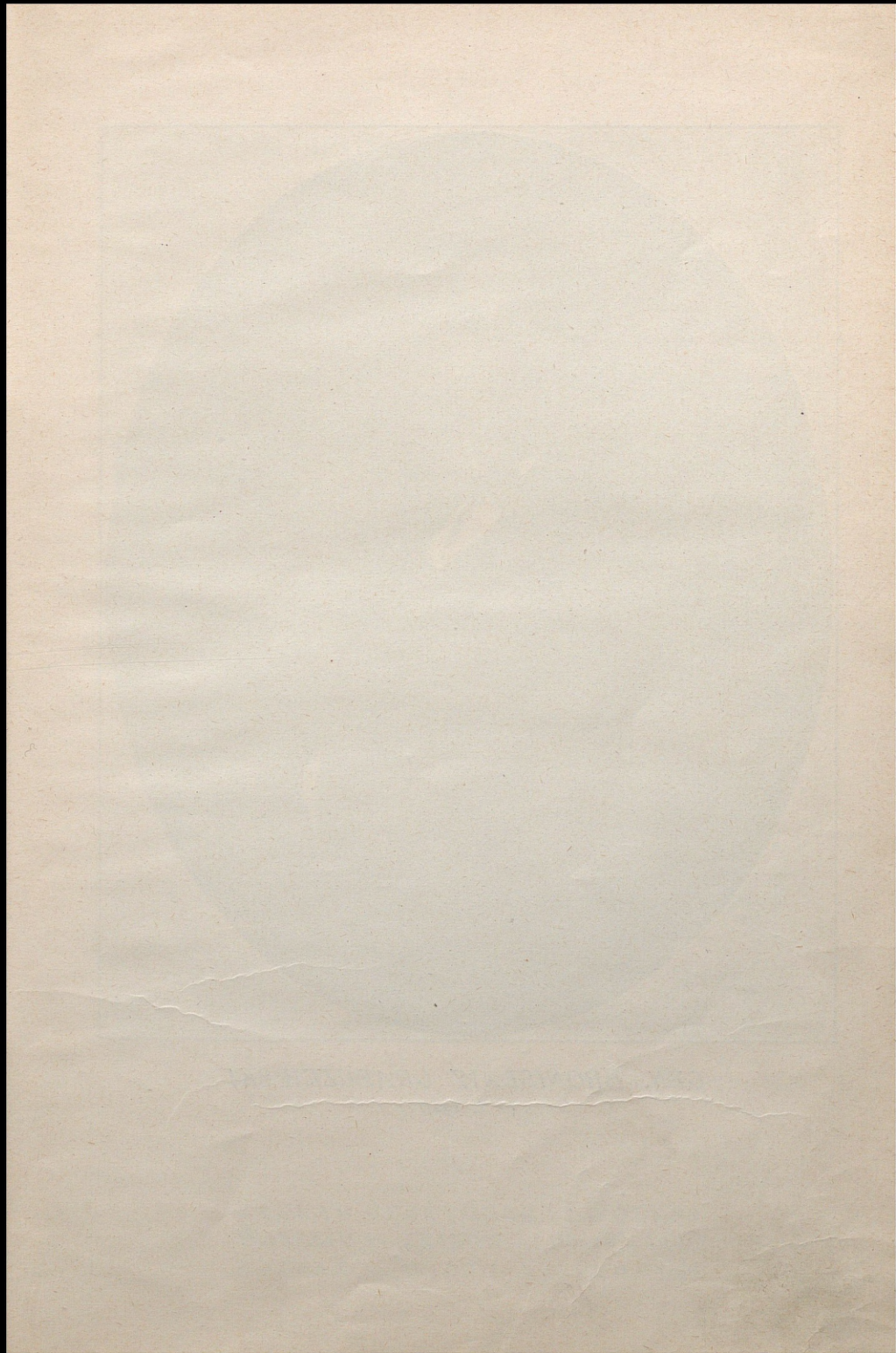
Inches

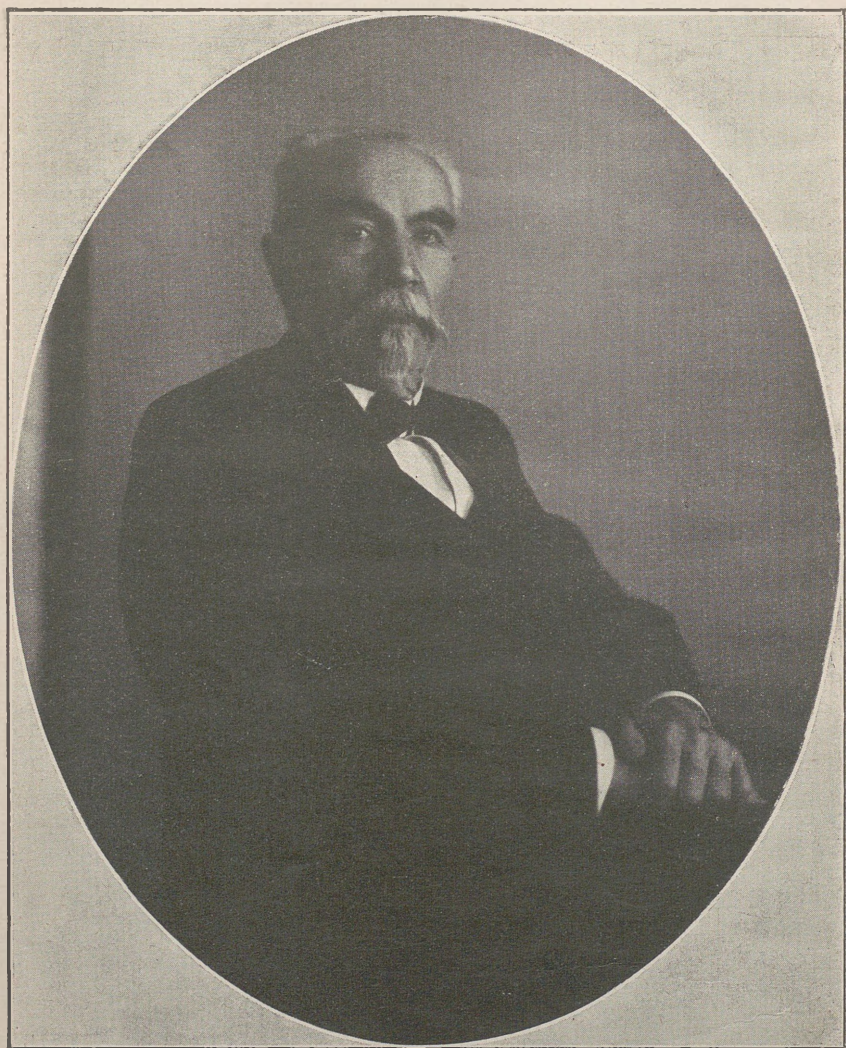




W PUSTYNIACH
RASKEMU I TYBETU







GEN. BRONISŁAW GRABCZEWSKI
(v r. 1925)

GEN. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI

W PUSTYNIACH
RASKEMU I TYBETU

Z PORTRETEM AUTORA, 74 ILUSTRACJAMI I MAPĄ

PODRÓŻE GEN. BR. GRĄBCZEWSKIEGO

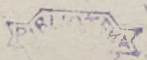
TOM TRZECI



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

902

30061/2



Składy główne:

„The Polish Book Importing Co., Inc.” — New-York.
„Księgarnia Polska na Śląsku” Sp. Akc. — Katowice.

Zakłady Drukarskie F. Wyszynski i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

I.

PIERWSZE WIADOMOŚCI O KAFIRISTANIE.
POSTANOWIENIE DOTARCIA DO TEGO KRAJU. STARANIA I ZABIEGI
W PETERSBURGU. PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY.
NIESPODZIEWANA PRZESZKODA W BAKU. Z MARGELANU DO UCZ-KURGANU.
WIZYTA U WŁADCY BADAČSZANU, DŻAHANGIR-SZA.

Podróż do źródeł rzeki Indusu i zbadanie nieznaney przedtem krainy Kandżutów dostarczyły mi wielu materiałów, dotyczących sąsiedniego kraju Siachpuszów (czarno-głowych), znanego także pod nazwą Kafiristanu (kraju niewiernych), który leżał również na południowych zboczach Hindukuszu, lecz w zachodniej jego części.

Kraj ten zamieszkiwało nieliczne, lecz bardzo wojownicze plemię górali, którzy wyznawali jakąś odrębną religję i dlatego przez otaczające ich zewsząd narody muzułmańskie nazwani zostali Kafirami (niewiernymi). Siachpusze przez wieki całe umieli się obronić od wojowniczych sąsiadów, którzy „gazawat“, t. j. wojnę świętą z niewiernymi, uważali za swój obowiązek religijny.

Stan wojny, w jakim Siachpusze stale trwali względem swoich sąsiadów, wyrobił w nich zupełnie odrębne cechy istnienia: granice ich były zamknięte dla obcych. Zmuszeni wystarczać sami sobie, Kafirowie nie wychodzili poza swe posiadłości i nie wpuszczali do siebie absolutnie nikogo z obcokrajowców, tak że w okresie czasu, o którym mówię, w Kafiristanie nietylko nie powstała noga Europejczyka, lecz nie mogli się tam dostać i pundyci, specjaliści wywiadowcy rządu angielskiego w Indjach, wybrani z pośród krajowców i odpowiednio przygotowani w szkole przy głównym urzędzie topograficznym Indyj.

To też wszystkie wiadomości, jakie zebrałem o Kafiristanie w czasie bytności swej w Kandźucie w rozmowach z przedstawicielami Jasinu, Mastudżu i Czatararu (Czitralu), niepodległych chanatów, położonych najbliżej Siachpuszów, były bardzo niepewne. Nikt z tych, z którymi rozmawiałem, nietylko sam osobiście nie był w Kafiristanie, ale nie znał nawet takiego, co się osobiście stykał z Kafirami; każdy powtarzał o nich to, co podanie przekazywało z ust do ust. Takie samo wrażenie odniosłem z rozmów z Wachańczykami, którzy zamieszkiwali północne zbocza Hindukuszu i których dzieliło zatem od Kafirów tylko to nieboyczne pasmo górskie.

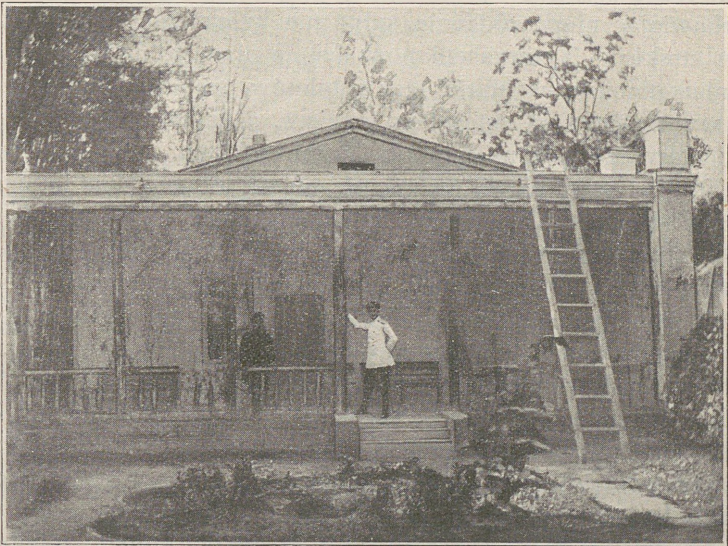
Dokładniejszych wiadomości o Kafirach dostarczył mi kupiec z miasta Zebak w Badachszenie, Mahomed Junus, który życie spędził na handlu, przewożąc towary włókiennicze z Jarkendu do rozmaitych chanatów za Hindukuszem i wymieniając je przeważnie na futra cennych zwierząt. Otóż Mahomed Junus zapewniał mię, że w ciągu 7 dni pełni księżycowej w maju i październiku Siachpusze wychodzą ze swemi wyrobami na granicę swych posiadłości, przy najbardziej wysuniętym w stronę Czatararu (Czitralu) posterunku, Kusa, i prowadzą tam handel zamienny; dodawał jednak, że był w owym miejscu tylko jeden raz, przed laty, gdyż Kafirowie perkali nie używają, ubierają się, jak i Kandźuci, w koszule wełniane własnego wyrobu, a droga do posterunku Kusa była piekielnie trudna.

Z urywków wspomnień o tej podróży Mahomeda Junusa dowiedziałem się tylko, że Kafirowie mówią między sobą odrębnym językiem, lecz znają także języki afgański i tadżycki; są bałwochwalcami, gdyż modlą się, patrząc na posążki, które często noszą na szyi; odznaczają się nabożnością, modlą się, klęcząc, zwróceniem twarzą na wschód (muzułmanie zawsze się modlą, zwróceniem twarzą na zachód); ludzi, schwytanych do niewoli, nie zabijają, lecz, po wyzyskaniu ich pracy, osiedlają wśród swoich koczowisk, bacząc pilnie, by nie mogli zbiec do sąsiadów. Wiadomości o modlitwie z twarzą na wschód i o noszeniu posążków na szyi pozwoliły mi przypuszczać, że Siachpusze są może chrześcijanami-nestorjanami, sekty, w swoim czasie dosyć rozpowszechnionej w Azji środkowej, którą wprowadził zmiótł wojowniczy mahometanizm, lecz której cmentarzyska i inne ślady istnienia zdarzało mi się spotykać w niektórych miejscowościach Turkiestanu.

Tajemniczość, otaczająca cały Kafiristan, nieprzepracowanie mnie pociągała i, jeszcze będąc w Kandźucie, postanowiłem za wszelką

cenę zwiedzić kraj Siachpuszów. Wprawdzie nie ludziłem się nadzieją dotarcia do wnętrza Kafiristanu, lecz dojście do pogranicznych ich posterunków, wejście z Siachpuszami w bezpośredni stosunek wydawało mi się możliwe do osiągnięcia; w razie zaś gdyby Kafirowie, jak przypuszczałem, okazali się chrześcijanami, nawiązane stosunki mogły się szeroko rozwinąć.

Trzeba było tylko szybko skorzystać ze szczęśliwej koniunktury politycznej, kiedy, dzięki oderwaniu się północnego Afga-



Mój domek w Margelanie (dolina Fergany) od strony ogrodu (str. 16).

nistanu i usiłowaniu ze strony nowego władcy tego kraju oparcia się o Rosję, zjawiała się możliwość dotarcia do Siachpuszów od północy, od strony Badachschanu. Na południe Kafirowie graniczyli z Dardystanem, zamieszkanym przez niepodległe i dzikie szczepy góralsi, tylko nominalnie uznające Afganistan, i dostać się do nich od strony południowej nie udawało się dotychczas ani Anglikom, ani pundytom.

Korzystając z bytności w Petersburgu, począłem energicznie zabiegać o wyrobienie pozwolenia na nową podróż i o zdobycie chociażby najskromniejszych środków materialnych, gdyż osobiste w podróży do Kandzutu wyczerpały mi się zupełnie.

Szczyście sprzyjało mi w tym wypadku, i załatwiłem wszystko prędzej i pomyślniej, niż mogłem się spodziewać. Pomogły mi wydatne wyniki naukowe podróży do Kandzutu, ocenione nader przychylnie nie tylko przez specjalistów - uczonych, lecz i przez prasę, która zainteresowała niemi szerokie warstwy publiczności.

Zarząd Towarzystwa Geograficznego umiejętnie wyzyskał ten nastrój i namówił mię do urządzenia odczytu popularnego w największej w Petersburgu sali Aleksandrowskiej na budowę pomnika zmarłego słynnego podróżnika, M. Przewalskiego. Wahałem się, obawiając niepowodzenia, gdyż nie byłem znany publiczności petersburskiej. Tymczasem powodzenie przeszło najśmielsze oczekiwania: pomimo wysokiej ceny biletów wejścia, ogromna sala była wyprzedana do ostatniego miejsca, a czysty dochód posłużył za podstawę zbiórki na pomnik Przewalskiego. Do odczytu zarząd Towarzystwa Geograficznego zamówił kilkadziesiąt przezroczy z przywiezionych przeze mnie fotografii, które udały się wymienić i ożywiły odczyt. Na prośbę zarządu Towarzystwa Miłośników Antropologii, Etnografji i Geografji, powtórzyłem odczyt w Moskwie, w sali Muzeum Rumiancewa, wróciwszy zaś do Petersburga, zastałem u siebie wezwanie od ministra dworu, hr. Woroncowa-Daszkowa, który zaproponował mi wyjechanie na kilka dni do Gatczyny, gdzie podówczas stale mieszkał cesarz Aleksander III z rodziną, i wygłoszenie paru odczytów w obecności rodziny cesarskiej i najbliższego jej otoczenia. Przy szczegółowem omówieniu tej sprawy wyjaśniło się, że odczyty mogę mieć w małej sali przyjęć w pałacu w Gatczynie, dokąd rodzina cesarska przychodziła natychmiast po spożyciu obiadu, kończącego się o godzinie 8 wieczorem, i że odczyt mógł trwać tylko 40—45 minut, gdyż o 9 wieczorem cesarz Aleksander III, który wogóle prowadził życie nader punktualne, opuszczał rodzinę i szedł do swego gabinetu, gdzie zasiadał do pracy wieczornej.

W takich warunkach mogłem w ciągu wieczora pokazać 20—25 przezroczy, objaśniając je stosownem opowiadaniem o przeżyciach w podróży i o jej wynikach. Wybrawszy 75 przezroczy, najlepiej charakteryzujących odbytą podróż, i przystosowawszy do nich zwięzłe, treściwe opowiadanie, udałem się do Gatczyny, gdzie zarząd pałacu przyjął mię, jako gościa cesarskiego. Bawiłem w Gatczynie 8 dni, w ciągu których miałem trzy odczyty, przyjęte przez rodzinę cesarską nader życzliwie.

Wspominam o tych szczegółach dlatego, że nazajutrz po drugim odczycie, przechadzając się w parku gaczyńskim, spotkałem następcę tronu, późniejszego cesarza Mikołaja II, który z wychowawcą swym, generałem Grzegorzem Daniłowiczem, powracał do pałacu.

Wyraziwszy mi gorące uznanie, cesarzewicz prosił mnie, bym nie przerywał badań, ofiarował się przytem wydatki następnej wyprawy pokryć ze swoich osobistych środków i polecił kosztorys jej przesłać sobie na ręce generała Daniłowicza.

W ten sposób najniespodziewaniej dla mnie rozstrzygnęła się sprawa nowej podróży. Niezbędne środki były zapewnione, znając zaś rygor, jaki panował w rodzinie cesarza Aleksandra III, byłem przekonany, że cesarzewicz propozycję swą zrobił w porozumieniu z ojcem, i że potrzebne pozwolenie na wyprawę otrzymam bez trudności. Osiem dni, spędzonych w gaczyńskim pałacu, dały mi możność poznania bliżej rodziny cesarskiej w prywatnem jej życiu.

Wróciwszy z Gacyny do Petersburga, zakomunikowałem zarządowi Towarzystwa Geograficznego o propozycji cesarzewicza i prosiłem Towarzystwo o przyjęcie podróży tej pod swoją opiekę, oraz o wszczęcie energicznej akcji w ministerjum wojny i spraw zagranicznych w celu otrzymania niezbędnego pozwolenia na podróż za Hindukusz. Zarząd Towarzystwa przyjął moją prośbę z największą przychylnością, kosztorys sporządziliśmy niezwłocznie, uwzględniając z jednej strony potrzeby wyprawy do kraju tak dzikiego, jak Kafiristan, i w skutek tego projektując zwiększenie konwoju do 7 ludzi, a z drugiej redukując wszelkie inne wydatki do wymagań iście spartańskich, żeby nie ściągnąć na siebie zarzutu, że, korzystając z hojności cesarzewicza, za bardzo dbałem o własne wygodę.

Przy ustalaniu liczby kozaków, mających wejść w skład wyprawy, zażądaliśmy siedmiu nie dlatego, żeby ludzie ci mogli rzeczywiście gwarantować bezpieczeństwo ekspedycji, znajdującej się za Hindukuszem, o tysiąc kilometrów od granic Rosji, lecz dlatego, żeby mieć możność w miejscowościach najniebezpieczniejszych wystawiać po nocach wartowników i przez to innym członkom ekspedycji zapewnić spokojny sen. Prócz tego do składu wyprawy dodaliśmy specjalistę-preparatora, gdyż podróż do Kandzutu wykazała, że przy największym wysiłku nie wystarczało mi czasu na prowadzenie zdjęć topograficznych, wszel-

kich obserwacji naukowych i dzienników, oraz jeszcze na preparowanie i przewietrzanie skórek zabitych zwierząt i ptaków. To też kolekcja zoologiczna, przywieziona z Kandżutu, była w stosunku do zabitych zwierząt nieliczna.

Czas trwania wyprawy poza granicami Rosji obliczony był na rok.

Zwiększenie składu ekspedycji pociągnęło za sobą konieczność zwiększenia zapasów, do transportu których trzeba było powiększyć ilość jucznych koni, do nich zaś—poganiaczy i t. d. Wytwarzało się błędne koło, z którego trudno było znaleźć wyjście. Po obrachowaniu skrupulatnem wszystkiego, czego w krajach, dokąd

dążyliśmy, niepodobna było dostać a co było niezbędne dla wyprawy, pokazało się, że będziemy potrzebowali 24 juczne konie; że zaś ludzi miało uczestniczyć 13, więc z zapasowemi mieliśmy do karmienia w ciągu roku 13 ludzi i 40 wierzchowych i jucznych koni. Dla możliwego zmniejszenia wydatków postanowiłem zakupić większą ilość towarów, które, przy wymianie na zapasy żywności, kalkulowały się korzystniej, niż gotówka.

Wreszcie przyszlśmy do wniosku, że minimum pieniędzy, niezbędnych dla istnienia ekspedycji, nie może wynosić mniej niż 1000

Mirza Fazył-Bek, Tadżyk (str. 16).

rubli miesięcznie. Moja gaża i osobiste środki, jakimi mogłem rozporządzać w ciągu roku, miały służyć za kapitał rezerwowy na pokrycie wydatków nieprzewidzianych, które tak często trafiają się w podróży. O kosztorysie zarząd Towarzystwa Geograficznego zawiadomił wychowawcę cesarzewicza, generała adjutanta Daniłowicza, który niezwłocznie przesłał zarządowi 12 000 rubli, jako subsydjum roczne.

Równocześnie zarząd Towarzystwa Geograficznego zawiadomił ministra [wojny o udziale, jaki wziął cesarzewicz w zaopatrzeniu nowej wyprawy za Hindukusz, i prosił o uzyskanie imiennego rozkazu cesarskiego o odkomenderowaniu mię na tę wyprawę. Mnie pozostało tylko bieganie po rozmaitych wydziałach mini-

sterstwa wojny i spraw zarganicznych w celu przyspieszenia załatwienia tej sprawy.

Z prywatnych rozmów z urzędnikami rozmaitych wydziałów ministerstwa spraw zagranicznych wyniosłem przekonanie, że ministerstwo nie zdaje sobie sprawy z położenia, jakie się wytworzyło na granicy Indyj po odpadnięciu północnego Afganistanu, i patrzy na tę sprawę, jak na zabawny epizod niepowodzenia polityki angielskiej w Azji Środkowej; mniemało, że jest to sprawa wewnętrzna Afganistanu, do której Rosja mieszać się nie powinna, i że Ischak-Chan rolę swą już odegrał, politykę Anglii ośmieszył i na dalsze poparcie nie zasługuje. Zapatrywanie to było tak ogólnie przyjęte, że wszelkie tłumaczenia, iż północna granica Indyj jest tym najboleśniejszym nagniotkiem Anglii, przy naciskaniu którego można uzyskać ogromne wpływy na całokształt polityki angielskiej, nie znajdowały żadnego posłuchu. Losy Ischak-Chana były już przesądzone. Nie mając dział i amunicji, musiał on paść, ulegając przemocy nowożytnego oręża, w jaki był zaopatrzony przez Anglję brat jego, emir Abdurachman. Chodziło już tylko o to, że emir Abdurachman o postawie Rosji nie wiedział i, bojąc się zasadzki, czekał, aż prze-



Sadyrdyn Chodża, Sart (str. 16).

łącze przez Hindukusz się otwiera, żeby odrazu przerzucić większe siły do północnego Afganistanu. W takich warunkach wyprawa moja mogłaby się przedrzeć do Kafiristanu tylko w tym razie, gdyby się jej udało przejść północny Afganistan i Bałachschan przed zjawieniem się tam wojsk emira Abdurachmana. Tymczasem biurokratyczny ustrój kancelaryj rosyjskich wymagał, żeby każdy papierek, a tem bardziej imienny rozkaz cesarski, chociażby w sprawie tak błażej, jak moja, przeszedł wszystkie instancje! I tygodnie biegły za tygodniami!

Nareszcie w kwietniu doręczono mi imienny rozkaz cesarski¹⁾.

¹⁾ Sprawozdanie kapitana B. Grąbczewskiego o podróży 1889—1890 r. Zapiski Ros. Tow. Geograficznego t. XXVII z roku 1891, str. 97.

Zarząd Towarzystwa Geograficznego wypożyczył mi wszelkie przyrządy, potrzebne w podróży do prowadzenia spostrzeżeń naukowych. Z nich chronometry, aneroidy, termometry i t. p. lżejsze przyrządy ułożyłem w swym ręcznym bagażu, z którym się nie rozstawałem, i pojechałem na dwa dni na Litwę, do majątku matki-staruszki, żeby ją pożegnać. Cięższe zaś przyrządy astronomiczne wręczyłem p. Aleksiejewowi, preparatorowi Akademji Nauk, który miał mi towarzyszyć w podróży, polecając mu jechać wprost do Baku i poczekać na mój przyjazd; dalej mieliśmy odbyć razem drogę do Margelanu, gdzie mieszkałem. Stamtąd po ostatecznem sformowaniu wyprawy mieliśmy wyruszyć w długą i daleką podróż.

Przybywszy do Baku umówionym pociągiem, Aleksiejewa na stacji nie spotkałem. Nie wiedząc, gdzieby się mógł zatrzymać, poszedłem na pocztę, w nadziei, że znajdę listowne zawiadomienie. Rzeczywiście, list był. Aleksiejew pisał, że w drodze dostał zapalenia płuc i leży ciężko chory w hotelu. Pojechałem go odwiedzić i znalazłem w stanie oplakany. O dalszej jego podróży mowy być nie mogło. Zostałem bez preparatora. Zarządziwszy przeniesienie Aleksiejewa do szpitala, wypłaciłem mu trzechmiesięczną gażę i na kosztą podróży do Petersburga, zabrałem przyrządy, odesłałem wszystko na statek i na drugi dzień rano byłem już w Uzun-Ada, w pociągu kolei środkowo-azjatyckiej, a w trzy dni potem w Samarkandzie, skąd dalej do Margelanu trzeba już było jechać końmi.

Przy przeładowywaniu na bryczki przywiezionych z kolei pak zauważyłem, że skrzynia, w której był upakowany uniwersalny przyrząd Kerna, służący do obserwacyj astronomicznych, ma z boku przebitą dziurę. Obejrawszy go bliżej, znalazłem także z drugiej strony paki otwór. Przyrząd mieścił się w dębowej skrzynce, mocno przyśrubowany na drogę, pokryty skórzanym pokrowcem i włożony jeszcze w jedną drewnianą pakę. Razem bagaż ten stanowił dosyć ciężką pakę i mógł wzbudzić podejrzenie, że wewnątrz mieści się srebro. Otoż w celach sprawdzenia tego ktoś, co chciał ukraść mniemane srebro, naprzód dłutem podziurawił dwie drewniane skrzynie i skórzaną pokrowiec, przekonawszy się jednak, że w środku leży jakiś przyrząd, nie wziął go. Przyrząd był uszkodzony, gdyż przy wstrząsaniu nim coś w środku brzęczało.

Byłem w rozpacz: jechać bez przyrządu, t. j. nie mieć możliwości oparcia zdjęć topograficznych na punktach, określanych

astronomicznie, równałoby się pozbawieniu całej pracy wartości naukowej. Wprawdzie mogłem telegraficznie prosić o przysłanie nowego przyrządu, lecz poczta tak wielkich i ciężkich posyłek nie przyjmowała, a na przesłanie paki przez przedsiębiorstwa transportowetrzebaby było czekać ze dwa miesiące. I bez tego już bojąc się, że nie zdążę przejść Badachszanu przed zjawieniem się tam wojsk emira afgańskiego, prosiłem zarząd Towarzystwa Geograficznego, aby w poleceniu, wystosowanym do mnie, było zaznaczone, że „gdyby konjunktura polityczna okazała się niepomysłna dla celów ekspedycji, i gdyby do Kafiristanu nie udało się przedrzeć, wyprawa powinna zbadać pustynię Raskemu, północne zbocza Himalajów, oraz pustynię północno-zachodniego Tybetu¹⁾“, żeby wejść w styczność z krajem, zbadanym już przez zmarłego podróżnika Przewalskiego. W razie oczekiwania bezczynnego w ciągu dwóch miesięcy na przybycie nowego przyrządu można było łatwo przewidzieć, że wszelkie próby nawet dostania się do Kafiristanu byłyby wyłączone.

Gdy tak jestem na rozdrożu, nie mogąc postanowić, co mam począć, raptem dowiaduję się, że w Samarkandzie, zdaje się, w warsztatach kolejowych, jest zdolny mechanik — Niemiec, Retlinger. Posyłam po niego. Przychodzi, ogląda przyrząd i znajduje główne jego części w porządku, lecz jedno koło jest złuzgotane. Pokazało się, że Retlinger pracował gdzieś w Niemczech w obserwatorium, znał się na przyrządach, umie się z nimi obchodzić i obiecuje w dwa dni zastąpić złuzgotane koło nowem. Oddałem mu więc przyrząd i czekałem dwa dni w Samarkandzie, zaglądając po parę razy dziennie do warsztatu Retlingera. W rozmowie z nim dowiedziałem się, że u niego czasowo bawi preparator-kolektor, Conrad, który niedawno przybył z Niemiec i chętnie zastąpiłby chorego Aleksiejewa. Zawezwiałem go i dałem mu próbną robotę. Pokazało się, że preparować umie, lecz jest niewprawny; zato kolekcjonuje chrząszcze z zamiłowaniem. Więc załatwiłem z nim umowę i wziąłem go na miejsce Aleksiejewa.

Kiedy złuzgotane koło przyrządu uniwersalnego już było zastąpione przez nowe, cały bagaż z Conradem odesłałem wprost do Margelanu, sam zaś wziąłem przyrząd astronomiczny i pojechałem do Taszkientu, gdzie w miejscowym obserwatorium

¹⁾ Ibid., t. XXV, I, str. 97.

sprawdziliśmy przyrząd w celu wyjaśnienia, czy jest on dobrze naprawiony i nie wskazuje błędnych obliczeń. Pokazało się, że los zesłał mi w osobie Retlingera pierwszorzędnego mechanika, który umiał wzorowo naprawić przyrząd. Upewniwszy się, że będę mógł pracować z nim bez obawy, pospieszyłem do Margelanu, dokąd przybyłem w połowie maja i gdzie zastałem Conrada, który z bagażem także przyjechał był szczęśliwie i zamieszkał w moim domku.

Poczęła się gorączkowa praca. Należało zakupić wszystko, co mogło być potrzebne wyprawie w ciągu całego roku, rozsegregować, zważyć, ułożyć w walizy, zrobić spis zawartości każdej walizy, wybrać kozaków, którzy mieli stanowić konwój i wykonać mnóstwo drobiazgowych robót, od których potem, w drodze, zależało powodzenie ekspedycji. Sposób, w jaki się to czyni, opisałem szczegółowo w innym miejscu¹⁾. Teraz tylko dodam, że nieocenionymi pomocnikami byli moi długoletni słudzy i towarzysze podróży do krainy Kandzutow: Mirza Fazył-Bek i Sadyrdyn Chodża, oraz awansowany na wachmistrza za tę podróż, kozak, Feodor Koziakajew, który brał udział w nowej wyprawie, jako „starszy“ konwoju kozackiego. Jeszcze będąc w Petersburgu, gdy tylko wyprawa była ostatecznie postanowiona, wysłałem telegram do Fazył-Beka, by razem z Sadyrdynem i Koziakajewem objechali, niemieszkając, koczowiska Kirgizów, wybierających się na letniska w dolinę Wielkiego Ałaju, i kupili 30 wierzchowych i jucznych koni. Polecenie to wypełniono wzorowo, i, przyjechawszy do Margelanu, zastałem u siebie w domku 30 wyborowych koni, co niezmiernie ułatwiło zorganizowanie wyprawy, gdyż pozostawało wybrać tylko 7 koni kozackich i dokupić 3 konie zapasowe, co się dało zrobić już w drodze.

Nadzwyczajnym wysiłkiem energii i pracy zakończyłem zaopatrzenie i uzbrojenie wyprawy 31 maja, a 1 czerwca 1889 roku, żegnani i odprowadzani przez znajomych i życzliwych, wyruszyliśmy w podróż. W skład wyprawy, oprócz mnie i preparatora Conrada, weszło 7 kozaków z 6 pułku orenburskiego wojska kozackiego, moich dwóch służących, Mirza Fazył Bek i Sadyrdyn Chodża, oraz dwóch Kirgizów, przewodnik i poganiacz, których najmowałem na całą przestrzeń drogi²⁾. Razem było 13

1) Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus, str. 40 i nast.

2) Zapiski Ros. Tow. Geograficznego t. XXVII, z r. 1891, str. 98.

ludzi i 37 koni wierzchowych i jucznych. Jednego zapasowego wierzchowca i 2 juczne kupiliśmy potem od Kirgizów w dolinie Wielkiego Ałaju. Spieszyłem wprost na południe przez góry Ałajskie i Zaałajskie do Szugnanu, skąd, przeciąwszy niewielką przestrzeń Badachszanu, przez miasta Iszkaszym i Zebak zamierzalem dojść do zachodniej części Hindukuszu, za którą leżał Kafiristan—cel moich marzeń i wysiłków, cel, który tak łatwo możnaby było osiągnąć w październiku poprzedniego roku, gdyby nie małostkowa niechęć konsula w Kaszgarze, Petrowskiego.

Tym razem drogę z Margelanu (550 m. n. p. m.) do doliny Wielkiego Ałaju wybrałem przez miasteczko Ucz-Kurgan (1062 m. n. p. m.) z tego powodu, że mieszkał tam, żyjąc ze skromnej pensji, otrzymywanej od rządu rosyjskiego, dawny władca Badachszanu, Dżahangir-Sza. Znałem go dobrze z czasów, kiedy byłem pomocnikiem naczelnika powiatu margelańskiego. Odwiedzał mię często, gdyż chętnie służyłem mu pomocą przy załatwianiu jego drobnych spraw. Wysoki, otyły, z cerą smagłą i z małym zarostem, wyróżniał się między Badachszanami spokojem i inteligencją. Teraz był chory na serce i zeszepeczony przez wodną puchlinę; widocznie dobiegał do kresu swego życia. Wiedziałem, że się urodził i całe życie spędził w Fejzabadzie, stolicy Badachszanu, w okręgu którego leżały interesujące

mię miasta: Iszkaszym i Zebak. Wydawało mi się rzeczą niemożliwą, aby nie wiedział on czegoś o najbliższych swoich sąsiadach z za Hindukuszu, o Kafirach i Kafiristanie. Tymczasem nie wiedział o nich nic, albo prawie nic. Na usprawiedliwienie swoje mówił: „Ależ, władco, któżby się nimi interesował! To naród biedny i spokojny. Napadać na nich nie warto, bo nic nie mają, a sami nie są straszni, bo podobno religja zabrania im wojować, chyba



Wachmistrz kozacki Fieodor Koziakajew, uczestnik podróży do Kandżutu i starszy komendy kozackiej w obecnej podróży (str. 16).

w obronie własnej. To też za granicę ziem swoich nie wychodzą. Poczekaj, aż wyzdrowieję i pojedę do Fajzabadu; otrzymałem już dwa listy od Ischak-Chana, wzywające mię do objęcia rządów w kraju. Ale nie mogę dotrzeć konia. Lekarze powiadają, że wyzdrowieję na jesieni, gdy winogrona dojrzeją. Wtedy pojedziemy razem do Fajzabadu, gdzie znajdę kupców, którzy byli w stosunkach z Kafirami”.

— Lecz czy Ischak-Chan utrzyma się do jesieni? — pytam z niepokojem.

— No, przecież to Rosja posadziła go na tron Czar Wilajetu i chyba nie poto, żeby oddać ten kraj na pastwę Afgańczykom. Z Rosją utrzyma się, bez Rosji musi upaść, bo ferengi (Anglicy) pomagają zbójom z Kabulu“.

Dalej już nie pytałem, gdyż znałem poglądy rosyjskiego ministerjum spraw zagranicznych.

Co do drogi, wybrana przeze mnie była najkrótsza, tylko z powodu późnej wiosny Dżahangir-Sza wątpił, czy mi się uda przejść przez pasmo gór Zaałajskich, i radził nie tracić czasu, lecz ruszać wprost przez Karategin, Wachję do Darwazu, skąd wzdłuż rzeki Kufau wiodła prosta droga do Zebaku. Przygotowawszy listy do bratanka, który w imieniu Dżahangir-Sza rządził Badachszanem, oraz do beka w Zebaku, Sza wręczył mi je wraz z otwartym pismem, opatrzonem małą pieczęcią swoją, którą zawsze nosił na małym palcu lewej ręki, mówiąc: „W Badachszanie nie znajdziesz człowieka, któryby nie oddał pół swego mienia na widok tej pieczętki! Weź ten papierek i noś zawsze na sercu. Bóg jeden wie, w jakiej możesz się znaleźć potrzebie. Pomagałeś mi, kiedy byłeś naibem (zastępcą) tutejszego chakima (naczelnika), i nigdy zasmucony od ciebie nie wyszedłem. Teraz jedziesz do mego kraju, mojej ojczyzny. Nie mogę ci odplacić osobiście, więc daję ci wzamian siebie, swoją wolę. Wiem, że wrócisz szczęśliwie, więc nie żegnam cię, tylko mówię: do widzenia.“

Zabrałem listy i pismo, serdecznie dziękując staremu Sza, którego nie sądzono mi było więcej zobaczyć. Umarł, zanim wróciłem z podróży.

II.

Z UCZ-KURGANU DO DOLINY WIELKIEGO AŁAJU.
STAN PRZEŁĘCZY W GÓRACH ZAALAJSKICH. KARATEGIN; LUDNOŚĆ I PRZYRODA.
PRZEZ GÓRY PERIJOCH-TAU DO WACHJI. PODRÓŻ PRZEZ WACHJĘ.
SĄDOWNICTWO. WIOSKI I ICH KULTURA. PODATKI.

Miasteczko Ucz-Kurgan (trzy forty) leży w miejscu, gdzie rzeczka Isfajram-saj wypływa z gór Ałajskich. Wody jej przynoszą życie szerokiemu kawałowi doliny Fergany, poczęści nawadniają miasto stary Margelan i giną w piaskach, nie dopływając do Syr-Darji.

Następne dwa noclegi wypadły nam w Auztang (1 356 m. n. p. m.) i Langar (2 004 m. n. p. m.), skąd już jest niedaleko do przełęczy Tengiz-baj, przez główną oś pasma gór Ałajskich. Droga nasza wgórę rzeczki Isfajram-saj była bardzo trudna z powodu, że wiosna tego roku nastąpiła o miesiąc później, niż zwykle, i wypadło nam odbywać ją w czasie wiosennej powodzi. Śnieżna i mroźna zima nagromadziła w górach masy śniegu, który z powodu chłodnej wiosny począł tajać dopiero w ostatnim tygodniu, wskutek upałów, jakie nastąpiły odrazu, wywołując powódź. Rzeczka pozrywała mosty; musieliśmy je naprawiać sami lub torować sobie nowe drogi, wspinając się na kręte zbocza, aby ominąć podmyte miejsca i górskie ścieżki, zerwane przez wysoki stan wód¹⁾.

Z niemniejszą trudnością przebyliśmy przełęcz Tengiz-baj (3 903 m. n. p. m.) i wyszliśmy wreszcie na dolinę Wielkiego Ałaju przy Daraut-Kurganie (2 502 m. n. p. m.) dopiero 7 czerwca,

¹⁾ Zapiski Ros. Tow. Geograf. t. XXV. z r. 1889, str. 423.

gdy tymczasem w zwykłych warunkach drogę tę przebywało się najdłużej w ciągu czterech dni.

Dalsza droga biegła wprost na południe przez Ałtyn-Mazar (złoty grobowiec) i przez jedną z przełęczy w górach Zaałajskich na letniska słynnego rozbójnika pamińskiego, Sachib Nazara, które leżały niedaleko od granic Szugnanu. Kirgizi ałajscy jednak twierdzili jednogłośnie, że przełęcz przez góry Zaałajskie z powodu nadzwyczajnych śniegów, jakie spadły tej zimy, są jeszcze nie do przebycia. Niedowierzając Kirgizom, którzy z obawy, bym ich nie zavezwał do okazania pomocy wyprawie w przebyciu gór, mogli rozmyślnie dawać niecisłe wskazówki, zostawiłem całą ekspedycję na pastwiskach pod Daraut-Kurganem, sam zaś z krajowcami ruszyłem na zbadanie przełęczy w pasmie gór Zaałajskich¹⁾. Rzeka Muk-su wylała, i przepawiliśmy się na lewy jej brzeg wpław z największą trudnością. Przed nami wznosiło się przepiękne pasmo gór, zawalonych całkowicie śniegiem. Nazwa ich nie była jeszcze ustalona przez geografów rosyjskich. Miejscowa nazwa Perijoch-Tau dotyczy gór na zachód od lodowca Fedczenki, które Rosjanie nazwali pasmem Piotra Wielkiego.

Ogromny węzeł górski, z którego na północ spływa lodowiec Fedczenki, nosi u krajowców miano Sel-Tau i obfituje w lodowce, spuszczone się w różne strony. Węzeł Sel-Tau daje rozgałęzienie niedługich, lecz wysokich pasm górskich w południowym kierunku, wzdłuż których bieżą dopływy Piandżu, z prawej strony Wańcz i Jazgulem, oraz bierze początek rzeka Ching-ob (mętna woda). Płyne ona na zachód i łączy się z rzeką Surch-ob (rzeka czerwona), stanowiąc jedno ze źródeł Amu-Darji. Dolina rzeki Ching-Ob, albo Obi-Chingau, stanowi bekostwo Wachję.

Już o pięć kilometrów od rzeki Muk-su spotkaliśmy zasypany miękkiemu dziurkowatemu śniegu, w który konie zapadały po brzuchach, a wyciągnąć je było tem trudniej, że nie mogli się na nim utrzymać i ludzie, również głęboko zapadając. Nigdzie ani śladu ścieżki. Znać było, że tędy dotychczas nie przechodził jeszcze ani człowiek, ani zwierzę.

Namęczywszy się kilka godzin poszukiwaniem twardszego śniegu, pokaleczywszy konie, byłem zmuszony stwierdzić, że ta droga o tej porze roku jest nie do przebycia, tem bardziej, że zewsząd z pod śniegu wypływały strumienie mętnej wody, łącząc

¹⁾ Ibid., str. 424.

się następnie w groźne potoki, bardzo trudne do przebycia. Zawróciłem więc w dolinę Wielkiego Ałaju, gdzie pozostała wyprawa, i postanowiłem wyruszyć do Szugnanu dookoła, przez Karategin, Wachję i Darwaz, bekostwa podległe Bucharze¹⁾.

13 czerwca wróciłem do wyprawy zupełnie zmęczony, na koniu, wymagającym dłuższego wypoczynku, a 14-go przeszliśmy granicę Karateginu i zanocowali w miejscowości Dzekandy (2 359 m. n. p. m.) blisko Wielkiego Karamuku.

Karategin stanowi przedłużenie doliny Wielkiego Ałaju, o której, jak również o jej mieszkańcach, ich zwyczajach, obyczajach opowiedziałem szczegółowo w książce p. t. „Kaszgarja“²⁾. Karategin zamieszkuje poczęści Kirgizi, z rodów pokrewnych Kirgizom Ałaju, przeważnie jednak Tadźycy, plemię aryjskie, które gęsto zaludniło nie tylko wschodnie bekostwa Buchary, lecz i przypamińskie chanaty: Wachan, Szugnan i Roszan, a także przerzuciło się na wschód Pamirów i zajęło kotlinę Sary-kołu i Targarmy.

Tadźyk jest zwykle wysokiego wzrostu, szczupły, wąski w plecach, z dosyć długimi nogami i rękoma. Twarz ma miłą, często bardzo piękną, z silnym czarnym zarostem i z pięknymi czarnymi oczyma. Wydatne łuki oczu pokrywają szerokie brwi; nos orli i duży; usta prawie zawsze zbyt szerokie, w stosunku do twarzy. Tadźycy ubierają się rozmaicie, w zależności od stopnia dobrobytu. Ci, co mieszkają bliżej doliny Wielkiego Ałaju i zajmują się przeważnie wypasaniem trzód i rozmaitego bydła, noszą ubranie



Preparator ekspedycji, Conrad
(Niemiec) (str. 16).

¹⁾ Ibid., str. 424.

²⁾ Warszawa 1924, str. 17—33.

wyrobu domowego, z wełny, lub też chałaty o barwach ciemnych, na wacie. Zamiast butów noszą czoryki, obuwie z grubej wyprawionej skóry, z taką podeszwą, bez obcasów, bardzo wygodne do chodzenia po górach. Zawojów (turbanów) Tadźycy ci prawie nie noszą, lecz nie noszą także i czapek futrzanych, tak przyjętych u Kirgizów. Mieszkają przeważnie w jurtach, lecz obowiązkowo mają i domy z płaskimi dachami, budowane z kawałów wysuszonej gliny. Oprócz hodowli bydła, zajmują się oni uprawą roli; w zależności od warunków klimatycznych, oraz od wysokości danej okolicy nad poziomem morza, sieją oni jęczmień, niżej pszenicę, proso i len, a koło Harmu, stolicy bekostwa, leżącej o 200 kilometrów od Ałaju, na wysokości 1370 m. n. p. m., plantują już ryż i bawełnę, a winogrona i najrozmaitsze drzewa owocowe przepełniają ogrody, w których toną wioski. Bekostwo Karategin ciągnie się wzdłuż brzegów rzeki Kyzyl-su (przecinającej dolinę Wielkiego Ałaju), która nosi tam nazwę Surch-ob (czerwona rzeka) i stanowi jedno z potężnych źródeł Amu-Darji.

Już na pierwszym noclegu, koło Wielkiego Karamuku, znaleźliśmy zarośla wierzby, tamaryszku i osoki, razem tworzących obszerne gąszcze, a w nich stadko dzików, których parę, ku wielkiemu zgorszeniu muzułman, posłałem na spożycie kozakom. Uspokoiłem sumienia bucharskich urzędników celnych zapewnieniem, że robimy to w celu zapewnienia spokoju mieszkańcom, których zasiewy dziki stale niszczą: dziki bowiem czują, jeżeli kilka z nich zostanie zjedzonych przez ludzi, boją się tego i uciekają daleko, żeby nie ulec losowi zabitych. Powiedziałem to, naturalnie, żartem. Lecz łatwo sobie wyobrazić moje zmieszanie, gdy nazajutrz w obozie naszym zjawiła się deputacja miejscowych Tadźyków, która przyprowadziła kozakom barana, dziękując im za ofiarność, z jaką zjedli oni taką obrzydliwość, jak dziki, żeby tylko ochronić ich zasiewy od stratowania przez te zwierzęta. Wstyd mi było oszukiwać poczciwych górali, i dlatego, zmobilizowawszy wszystkich kozaków i kucharza Sadyrdyna, który był zawziętym myśliwym, obóz zaś zostawiwszy na opiece Fazył-Beka, który, jako uczoney, sportowi temu nie hołdował, przeszukałem z nimi wszystkie zarośla; ale dopiero o 12 kilometrów, w miejscowości Kiczyk Karamuk (mały Karamuk) znaleźliśmy nieduże stadko dzików, które wystrzelałszy do szczętu, oswobadzając naprawdę na dłuższy czas zasiewy miejscowych Tadźyków od zniszczenia.

Należy nadmienić, że Tadźcy, naogół odważni i, w przeciwieństwie do Kirgizów, bardzo ruchliwi, polują z zamiłowaniem i często w górach o głodzie spędzają po dwie—trzy doby, żeby podejść stadko kóz lub irbisa¹⁾ (*Felis uncia*). Nie znam kraju w Azji Środkowej, gdzieby łatwiej było o każdej porze roku nabyć niewyprawione skóry irbisa, niż w Karateginie. Zdaje się, że kraj ten jest miejscem największego rozpowszechnienia irbisów w Azji, a polowanie na te olbrzymie koty, pomimo dużego niebezpieczeństwa, stanowi ulubiony sport Tadźyków. Polowania zaś na dziki, znacznie łatwiejszego i nie przedstawiającego takiego niebezpieczeństwa, Tadźcy nie uprawiają, a to z po-



Szeregowi 6-go pułku kozaków orenburskich, stanowiący eskortę ekspedycji. Wszyscy doborowi strzelcy (str. 16).

wodu, iż świnia jest zohydzona przez religję muzułmańską, Tadźcy zaś tych trzech bekostw (Karateginu, Wachji i Darwazu) są sunitami i przytem sfanatyzowanymi od czasu, kiedy dostali się pod władzę Buchary, najbardziej fanatycznego środowiska w Azji.

Dotknięcie się świni czyni człowieka nieczystym (haram) i wymaga specjalnej ablucji przez mułę, z towarzyszeniem odpowiednich modlitw. Być poranionym przez dziką — to nietylko hańba dla tego, kto uległ zranieniu, lecz również i kara boska, spadająca na cały ród; to dla żony powód słuszny do żądania rozwodu, i nie znajdzie się w granicach Buchary kadi'ego, któryby

¹⁾ Nazwa miejscowa — kaflan.

takiemu żądaniu odmówił. Unikanie polowania na dziki pośród Tadżyków ma zatem podkład religijny.

Zresztą fauna tej części Karateginu mało różni się jeszcze od fauny zachodniej części doliny Wielkiego Ałaju, a więc spotyka się dużo świstaków (*Arctomys Caudatus*) i często się słyszy gdukanie kuropatw skalnych (*Caccabis Chuckar*), których mięso białe, jak u indyka, jest jeszcze znacznie od mięsa indyka smaczniejsze. Poza tem udało mi się upolować dwa lisy (*Canis vulpes* i *Canis melanotis*), których skórki zaraz odesłałem do Muzeum.

Za Małym Karamukiem (2 301 m. n. p. m.) rzeka Surch-ob płynie skalistym wąwozem, jednym korytem. Brodów niema. Droga biegnie to brzegiem rzeki, przerzucając się po mostach z jednej strony na drugą, to odbiega od koryta i wznosi się na niewysokie przełęcze: Unżu (2 755 m. n. p. m.) i Raszka-Szyrak (2 705 m. n. p. m.). Nocujemy w miejscowości Aczyk-Alma (kwaśne jabłko) 2 091 m. n. p. m.

Ciekawy jest sposób budowania mostów w Karateginie. Polega on na tem, że, wybrawszy miejsce możliwie wąskie, gdzie brzegi są skaliste, na skałach układa się belki mostowe w ten sposób, iż $\frac{1}{3}$ część belki wystaje nad wodą, a $\frac{4}{5}$ leżą na skale, przywalone kamieniami. Zwierzchu układa się następnie nową warstwę belek w taki sam sposób i powtarza się takie układanie belek warstwami dopóty, dopóki oba brzegi nie zbliżą się tak, że już można belkami, jakie się ma pod ręką, połączyć obie zbliżające się ku sobie strony mostu. Taki most kołysze się przy przechodzeniu, lecz stoi przez całe lata i żadnego remontu nie wymaga. Nadto niema w nim ani jednego gwoździa, ani kawałka żelaza, które w krajach tamtejszych jest drogie, nic—oprócz belek z lasu, który rośnie tuż obok, na zboczach gór, oraz kamieni, jakich jest jeszcze więcej w korycie rzeki.

Następny nocleg wypadł w Dumboraczy (1 926 m. n. p. m.). Miejscowość ta leży przy połączeniu się rzeki Muk-su, (które j wody spływają z gór Sel-Tau, oraz z gór, okrążających jezioro Wielki Kara-Kul), z rzeczką Surch-Ob, albo Kyzył-su (czerwona woda). Obie razem tworzą rzekę Surch-Ob, płynącą na zachód po dolinie Karateginu. Stąd już zaczynają się miejscowości z ludnością stałą, na której wpływy Buchary są widoczniejsze. Nosi ona białe zawoje (turbany) na głowach i jaskrawe chałaty.

Za przełęczą Mujnak (nos) 1 998 m. n. p. m. przeszliśmy na lewy brzeg rzeki Surch-ob, oddaliliśmy się od niej na południe

i nocowaliśmy na letniskach Dżylandy (2639 m. n. p. m.), skąd powoli wspinaliśmy się na góry Perijoch-Tau (pasmo gór Piotra Wielkiego), żeby przejść do sąsiedniego bekostwa, Wachji.

Na mocy ogólnego wrażenia, jakie wyniosłem z Karateginu, mogę stwierdzić, że Tadżycy, zamieszkujący ten kraj, są ludem bardzo pracowitym i umiejętnie wyzyskują wspaniałe pastwiska, oraz ziemie, mogące służyć na zasiewy. Jeżeli spojrzeć na dolinę Karateginu, chociażby tylko na przestrzeni około 200



Dolina rzeki Isfajram-saj, wiodąca na przełęcz Tengiz-Baj (str. 19).

kilometrów, poczynając od stolicy kraju, miasta Harm, gdzie w okolicach sięgą ryż i bawełnę i gdzie ogrody obfitują we wszelkiego rodzaju owoce, aż do Wielkiego Karamuku, przy wejściu do doliny Wielkiego Ałaju, gdzie jęczmień dojrzewa rzadko, tylko w latach szczególnie gorących, to pomimo woli podziwia się Tadżyka, który, pojęcia nie mając o termometrze i o meteorologii, jedynie własnym doświadczeniem doszedł do wniosku, gdzie i co należy siać, gdzie co dojrzewa i daje plony, wynagradzające włożoną pracę.

Taką samą różnorodność przedstawiają i pastwiska na zboczach gór, gdzie obok łąk, porośłych prawie wyjątkowo trawą pierzastą

dostarczającą wspaniałego pokarmu dla trzody i bydła, leżą pola zarośnięte jakąś cebulą o zapachu tak wstrętnym, że obuwie przesiąka nim i cuchnie po dni kilka. Podobno jednak cebula ta chroni barany od chorób zakaźnych, i dlatego Tadźycy stada swe przepędzają przez takie pola. Barany trawy tej nie jedzą, lecz przesiąkają zapachem cebuli, oddychają nim, i to ma je chronić od jakiejś choroby płucnej.

Wogóle wszelkie rośliny rosną tu ogromnemi rodzinami, zajmującemi całe pola. Nasza skromna niezapominajka, u nas rosnąca kępkami nad brzegiem strumyka, tam samowładnie pokrywa całe pola, wypierając wszelkie inne rośliny. Tak rosną rozmaite Ranunculaceae i Scabiosae — całe morza kwitnących skabjz. Pamiętam, właśnie koło Wielkich Karamuków jechałem przez dobre 20 minut wśród olbrzymich łodyg cuchnącej *Scorodosma foetidum* (*Ferula Assa-foetida*, Zapaliczka). Dokoła nic — oprócz *Scorodosmy*, której łodygi dochodziły do 1½ metrowej wysokości i rosły tak gęsto, że było trudno się przedrzeć. Ciekawy kraj!

Niezmierzone pole badań dla botanika, którym, niestety, nie jestem. Dlatego bardzo się niecierpliwiłem na *Scorodosmy*, które mi zasłaniały widok i przeszkadzały w zdjęciach topograficznych.

Wogóle Karategin to kraj nader ciekawy i wart był szczegółowego zbadania chociażby na przestrzeni do stolicy, Harmu. Lecz spiesząc do Szugnanu, zawróciłem na południe pierwszą drogą, która, jak sądziłem, doprowadzi mię do Wachji, a stamtąd do Darwazu. Od zimowisk tedy Dżylandy poczęliśmy się piąć na wysokie pasmo górskie Perijoch-Tau, nazwane przez Rosjan górami Piotra Wielkiego¹⁾.

Po kilkogodzinnej drodze dotarliśmy do przełęczy Kygyr-Uczu (3333 m. n. p. m.), skąd już tylko pozostawało wspiąć się kilkadziesiąt metrów na wysokie płaskowzgórze, na którym znajduje się jezioro Jaszyl-Kul (zielone jezioro), zwane także przez

¹⁾ Osobiście jestem stanowczo przeciwny prawu, które sobie przyswajają niektórzy podróżnicy, dawania nazw europejskich pasmom górskim, jeziorom i t. d., jeżeli one znajdują się w okolicach zamieszkałych i mają ustalone nazwy miejscowe, gdyż wnosi to zamęt do kartografji. Naprzykład góry Perijoch-Tau są doskonale znane każdemu Karategińczykowi lub Wachijczykowi, o górach zaś Piotra Wielkiego nikt z nich pojęcia nie ma. Mówiłem o tem w innym miejscu z powodu, iż Anglicy jezioro Zur-Kul na Wielkim Pamirze nazwali jeziorem Wiktorji.

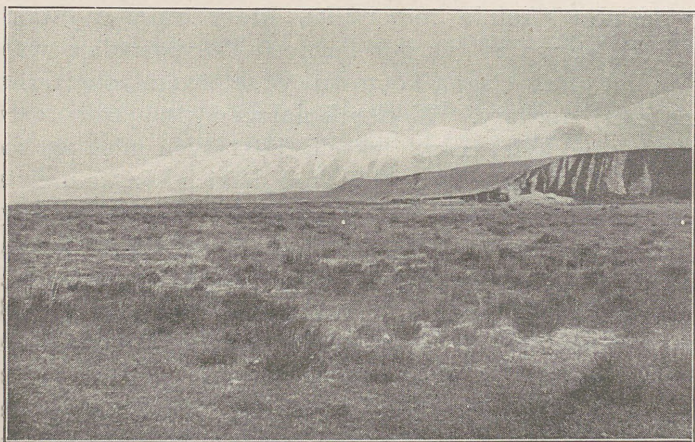
Kirgizów jeziorem Mamyr-Kul (3 392 m. n. p. m.), gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg. Załączona fotografia jeziora Jaszyl-Kul w słabym tylko stopniu może dać pojęcie o tej przepięknej miejscowości. Na fotografii z prawej strony u dołu widać rodzinę żółtych irysów, które zajęły całe pole, wyparłszy wszelką inną roślinność, o czym właśnie mówiłem wyżej.

Na jeziorze jest dużo kaczek, przeważnie pamiirskich (koloru tango), obok na zielonej łące stadko kruków czarnych z czerwonymi głowami (*Fregilus graculus*), których parę zdobyłem dla kolekcji. Strzały poruszyły wiele drapieżników, a między nimi ogromnego orła (*Aquila imperialis*), który trafia się tam dość często. Południowe zbocza gór Perijoch-Tau posiadają wspaniałe pastwiska, na które ciągną koczownicy ze swemi stadami nawet z wewnętrznej Buchary. W chwili naszego przyjazdu koczowników jeszcze nie było, a na łąkach, pokrytych miękką, soczystą trawą, pasło się takie mnóstwo stadek dzikich kóz, że niewiadomo było kędy patrzeć, i trzeba było specjalnych zarządzeń, żeby moi towarzysze nie strzelali więcej, niż tego wymagała konieczność zaopatrzenia wyprawy w mięso. Kozy, zwykle bardzo ostrożne, tam były nadzwyczaj łatwowierne i dawały się podejść na bliską metę, co dowodziło, iż w ciągu zimy nie było ludzi w tej okolicy.

Jeszcze więcej na łąkach widzieliśmy świstaków (*Arctomys Caudatus*). Istne ich królestwo! Trudno było znaleźć miękką, trawą porośniętą pagórek, któryby nie był podziurawiony, jak gąbka, norami świstaków. Idąc ścieżką między łąkami, co chwila słyszało się przeraźliwe ostrzegawcze świstki stróży—świstaków, a całe rzesze grzejących się na słońcu zwierzątek spiesznie zmykały do swych kryjówek. Za kozami ciągnął, oczywiście, irbis i wilk, lecz widzieliśmy tylko ślady tych zwierząt. Spłoszone gwarem licznej wyprawy trzymały się zdaleka od naszego szlaku.

Następny nocleg wypadł na zimowiskach Kulika (2 823 m. n. p. m.), gdzie zatrzymaliśmy się na jeden dzień dla obserwacji astronomicznych. Dalej droga przecina parę górskich rozgałęzień, to wznosząc się na niewysoką przełęcz Kiczuk-Tupczak (3 205 m. n. p. m.), to spuszczać się do koryta rzeczki Zerizamin (2 847 m. n. p. m.). Rzeczkę tę przeszliśmy po bardzo ciekawym moście śniegowym, który doskonale służy okolicznym mieszkańcom, konserwuje go zaś sama natura. Rzeczka Zerizamin płynie dosyć krętym i wąskim wąwozem, lecz jest głęboka, i brodów przez nią niema. Most zatem byłby konieczny. Na

szczęście, ukształtowanie gór w jednym miejscu jest takie, że rok rocznie śnieżne lawiny spadają prawie w jednym i tem samym miejscu, wypełniając wąwóz śniegiem. Z biegiem lat na tem miejscu utworzył się most lodowy takiej grubości, że ciężka lawina nie może go przełamać, lecz tylko pokrywa nową grubą warstwą śniegu. Pod tym mostem lodowym z hukiem płynie bystra rzeka, a po moście przechodzą tabuny bydła i ich właściciele. Szczelina, którą płynie rzeka, jest tak wąska, że słońce nie dosięga mostu, i stoi on już dziesiątki lat.



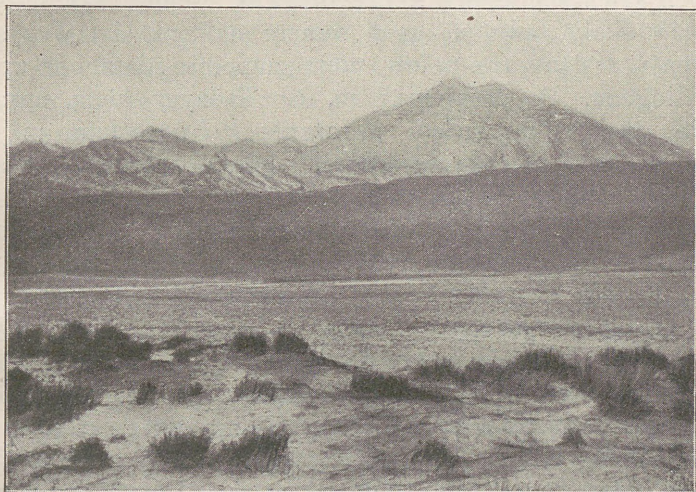
Dolina Wielkiego Ałaju pod przełęczą Tałdyk. Pasma wiecznie śnieżnych gór Załajskich ze szczytem Kaufmana — około 7000 mtr. n. p. m. (str. 21).

Że tak jest w istocie, świadczy o tem widoczna na fotografii szeroka ścieżka, wydeptana na zboczach góry, po której wchodzi się na most i wspina na przeciwległe zbocze.

Nocowaliśmy w Pul-i-Songin (2833 m. n. p. m.), niedaleko przełęczy Gardani Kaftar (gołębia szyja), która znajduje się w jednym z bocznych rozgałęzień gór Perijoch-Tau. Wysokość przełęczy wynosi tylko 3877 m. n. p. m., lecz mimo to na obydwóch zboczach spotkaliśmy lodowce, po których trzeba było wspinać się i spuszczać z przełęczy. Pochodzi to stąd, że góry Perijoch-Tau tworzą boczne rozgałęzienia w tak różnych kierunkach, iż zda się, jakgdyby przyroda rozmyślnie zakręciła je młynkiem, aby nie dać przyszłym geografom możliwości określenia

ich kierunku. Z powodu obfitości opadów w kraju tym jest mnóstwo rzeczek, płynących wąskimi szczelinami, dokąd nie dosięgają promienie słoneczne, co sprzyja formowaniu się firnów i lodowców, które znajdują się znacznie poniżej linii wiecznych śniegów. Warunki klimatyczne i geograficzne są mniej więcej takie same, jak w Kandzucie, gdzie lodowce spotykaliśmy już na wysokości 2450 metrów (lodowiec w wiosce Pas-su), chociaż linia wiecznych śniegów biegnie na wysokości około 4900 metrów.

Przełęcz Gardani Kaftar dzieli pas letnisk z trawami alpej-



Dolina Wielkiego Alaju w Daraut-Kurganie (str. 21).

skami od głębokich dolin Ching-ob z łogatą i różnorodną florą. Spuszczając się powoli nadół, mieliśmy możliwość obserwowania coraz to nowych rodzajów, zjawiających się w miarę obniżania się terenu, a więc wierzb, tamaryszku, całych gajów srebrzystych topoli, między którymi trafiało się parę drzew arczy (*Juniperus Pseudosabina*, *Sawina* fałszywa); czasami, choć rzadko, występowała brzoza (*Betula Sogdiana* Regel), gęste zarośla rokitnika (*Hippophaë rhamnoides*), śliwa tarnina (*Prunus spinosa*), berberys zwyczajny (*Berberis heteropoda*), dziki, karłowaty migdał i morele (*Prunus armeniaca*). Tam też widzieliśmy głóg i rododendrony (*Rhododendron chrisanthum*, *Różanecznik* złoty), spleciony w ten sposób powój (*Clematis*), że niepodobna było przedrzeć się przez gąszcz.

Poza tem podróznego stale przesładuje zapach mięty, której smak ma się ciągle w ustach. W rzeczywistości mięty tej rośnie tam nie tak wiele, lecz zapach jej jest do tego stopnia silny, że wszystkie inne przytłumia, ponad wszystkiemi się unosi.

W głębi doliny Ching-Ob rosną wspaniałe platany i orzechy włoskie, czasami takiej wielkości, że objąćby je mogło tylko 2—3 ludzi.

Nocujemy w wiosce Langar-Czil-Mikrobi (2 095 m. n. p. m.). Przypatruję się ciekawie mieszkańcom i znajduję, że obfitość darów przyrody uczyniła z Tadżyków Wachji leniuchów. Gdy w innych krajach górskich każdy skrawek ziemi, czasem przylepiony do skały, zda się, pod samem niebem, jest wyzyskany, uprawiony i zasiany, tu—połowa ziemi, zupełnie zdatnej do uprawy, leży odłogiem. A przytem i to, co Tadżycy sieją, uprawiają niedbale, aby tylko zasiać. Wrażenie to pozostało mi, choć przewędrowałem znaczną część Wachji, pilnie obserwując mieszkańców, drogi, mosty i zabudowania.

W rozmowie z Tadżykami wioski Langar dowiedziałem się, że od górnego biegu rzeki Ching-Ob prowadzi droga przez przełęcz Sytargi do rzeki Wańcz (prawy dopływ Piandżu), wpadającej naprzeciw Szugnanu, lecz że przełęcz ta obecnie nie jest dostępna nawet dla pieszych. Niedowierzając krajowcom, którzy nieraz z pobudek osobistych dają fałszywe informacje, postanowiłem sprawdzić wiadomości te osobiście i nazajutrz, zamiast wdół rzeki, w stronę Darwazu, ruszyłem wgórę rzeki, w stronę Wańczu. Przy obliczeniach wypadało, że w razie powodzenia mogłem zyskać jakieś 10 dni czasu, dążąc do Szugnanu przez Wańcz, a nie naokoło przez Darwaz.

Tymczasem, przed wieczorem najniespodziewaniej przyjechał do mnie wielkorządca Wachji, zarządzający tą prowincją w imieniu emira Buchary, Szady-Mirza-Bek ¹⁾). Pokazało się, że wszyscy bekowie wschodniej Buchary otrzymali imienny rozkaz emira okazania mi wszelkiej pomocy, i Szady-Mirza-Bek stawił się osobiście, aby zapytać, czem może mi być pomocny. Opowiedziawszy o swoich zamiarach szukania przejścia do rzeki Wańcz, przekonałem się, że Szady-Mirza-Bek rzeczywiście chciał zrobić wszystko dla umożliwienia mojej podróży. W nocy zostali rozesłani dzigici, a nazajutrz rano przed mieszkaniem mojem zebrało się kil-

¹⁾ Ibid., str. 423.

kunastu amlakdorów (wójtów) wiosek, położonych w bliskości przełęczy Sytargi i Uzcharf, prowadzących do doliny Wańczu, oraz myśliwych, polujących w górach lub dokładnie znających tamtejsze okolice. Z rozmów z tymi ludźmi wywnioskowałem, że z powodu ogromnych śniegów, jakie spadły w tym roku, oraz spóźnionej wiosny, istotnie przełęcze te są jeszcze zamknięte. Zarazem dowiedziałem się, że na przełęcz Sytargi trzeba się wspinać kilka kilometrów po lodowcu, który często pęka, tworząc szerokie rozpadliny; tych zaś obejść niepodobna, i dla przebycia ich trzeba mieć ze sobą możliwie długie deski i dostateczną ilość sznurów. Wiadomości te bardzo mi się przydały, kiedy, w miesiąc później, cofając się przed Afgańczykami, nie miałem innej drogi, tylko przełęcz Sytargi, aby wyjść z doliny rzeki Wańczu i dostać się znowu w granice Buchary.

Ostatecznie postanowiłem, że wyruszymy przez Darwaz. Rzeka Obi-Chingau wylała, i o brodach nie było mowy, że zaś najbliższy most, przez który mogliśmy się przepawić na lewy brzeg rzeki, leżał wyżej, koło wioski, Ledżurk ¹⁾ (Lazur), więc jeszcze jeden dzień trzeba było stracić, idąc w górę, kiedy droga do Darwazu leżała wdół rzeki.

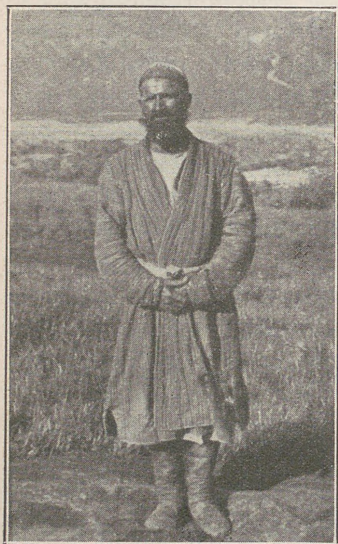
Rzeka Obi-Chingau, w górnej swej części, płynie szeroką doliną, dosyć krętymi zygzakami. Mieszkańcy, unikając większych robót irygacyjnych, pozakładali swe gospodarstwa na brzegu rzeki i uprawiają pola tylko na własne potrzeby, siejąc pszenicę, jęczmień, bób i len, którego używają specjalnie w celu otrzymania oleju. Łodyga lnu idzie na opał, gdyż wydobywanie z niej nitek nie jest znane nietylko w Wachji, lecz i w całej Azji Środkowej. Pewne wyobrażenie o zabudowaniach górnej Wachji może dać załączona fotografia, przedstawiająca typ zamożnego gospodarza na tle jego pól i doliny rzeki.

Przy wiosce Ledżurk spotkał nas główny kadi (kazi - kалан) Wachji, mułła Buzruk-Chadżi, w otoczeniu mufti'ch (doradców) i zespołu sędziów muzułmańskich. Mułła Buzruk—to ostatnia instancja miejscowej sprawiedliwości; wyroki jego są ostateczne i apelacji w zasadzie nie podlegają. Przydomek „chadżi“ ²⁾

¹⁾ Ibid., str. 424.

²⁾ Przydomek „chodża“ przysługuje ludziom, którzy dokumentami mogą udowodnić, że pochodzą z rodziny proroka Mahometa, a „chadżi“ takim, co odbyli pielgrzymkę do grobu Mahometa. Pierwszy tytuł jest dziedziczny, drugi—nie.

dowodzi, że odbył on pielgrzymkę do grobu proroka, aż do Mekki (w Arabji), co zwykle służy za dowód wielkiej świętobliwości. Spotkanie z nim dało mi możność zbadania ustroju miejscowego sądownictwa. Wachja dzieli się na trzy prowincje: Górną, Środkową i Dolną, z których każda ma swego kadi'ego (sędziego). Kadi'ego (albo kazi'ego) wybiera drogą głosowania cała prowincja, z pośród ludzi, którzy studjowali „koran“ w jednej z wyższych uczelni kraju (medrese); wybory odbywają się w każdej dzielnicy (mahale) oddzielnie; głosują mężczyźni pełnoletni i mający swoją posiadłość, oraz płacący ustanowioną składkę na utrzymanie swego meczetu, mułły i muedzina (probostwa). O wyniku wyborów każde probostwo sporządza protokół, opatrzony podpisami osób, które brały udział w wyborach. Dokumenty te miejscowy bek odsyła do zarządu kazi-kalana Buchary, gdzie kandydat, który otrzymał największą ilość głosów, zyskuje zatwierdzenie imiennym rozkazem emira Buchary.



Tadzyk ze wschodniego Karateginu, zajmujący się hodowlą bydła. Na nogach „czoryki”, t.j. buty bez twardej podeszwy, do chodzenia po górach (str.22).

Urząd kadi'ego jest zasadniczo dożywotni, lecz w razie udowodnionego przestępstwa, emir, jako samowładca, może kadi'ego pozbawić urzędu. Kompetencja władzy kadi'ego jest bardzo rozległa, gdyż reguluje wszystkie potrzeby życia. Przy kadi'm urzędują dwaj mufti'owie (doradcy); obowiązkiem ich jest w każdej sprawie wyszukanie w Koranie lub w Szarjacie (komentarze do Koranu) odpowiedniego postanowienia (riwojat), na zasadzie którego kadi wydaje wyrok. Ciekawe jest, że, ponieważ w każdej sprawie sądowej interesy obu stron są zupełnie odmienne, więc i „riwojaty“ muszą się wzajemnie zwalczać, i dopiero kadi je uzgodnia i wydaje wyrok. Stałego wynagrodzenia kadi nie pobiera, lecz obie strony opłacają wyrok, riwojaty, pisarzy, pachołków kadi'ego i t. d.

Od wyroków kadi'ego dzielnicowego można apelować do kazi-kalana, który co pewien czas zbiera kadi'ch dzielnicowych i pod

swem przewodnictwem rozpatruje powtórnie skargi apelacyjne. Postanowienia zjazdu kadi'ch są ostateczne i żadnym zmianom ulegać nie powinny. Lecz w sprawach bardzo ważnych strony zwracają się do emira, który albo przysyła z Buchary kogoś, kto bada sprawę na miejscu i, nie zmieniając wyroku, donosi o niej emirowi, albo wzywa strony do Buchary i sądzi sprawę osobiście. Właśnie w czasie zjazdu kadi'ch, poznałem kazi-kalana Wachji, mułłę Buzruk Chadzi. Był to Tadżyk miejscowy, podobno człowiek uczciwy, lecz, będąc pod wpływem swych wykrętnych mufti'ch, nie cieszył się on wśród ziomków powagą i szacunkiem, jakie mu nadawał jego wysoki urząd.

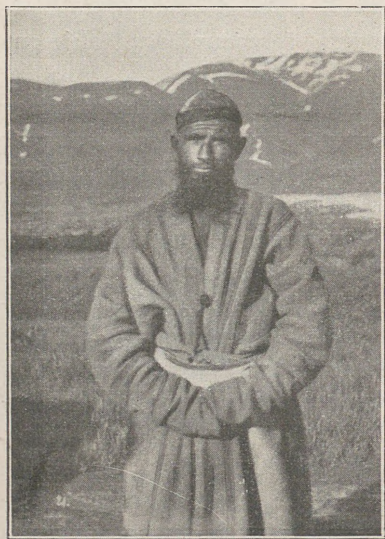
Trochę powyżej wioski Ledżurk przeszliśmy na lewy brzeg Obi-Chingau przez most, który niczem nie przypominał mocnych mostów Karateginu, choć był jedyny w tej części Wachji. Konie i juki przeprowadziliśmy pojedynczo, gdyż most trząsł się i kołysał, grożąc runięciem do wody. Wielkorządca Wachji, Szady-Mirza-Bek przebywał go piechotą, że zaś cierpiał na zawroty głowy, więc najbliższe otoczenie prowadziło go pod rękę. Na żartobliwe zapytanie, dlaczego nie każe wybudować mostów trwałych, jak w Karateginie, machnął ręką beznadziejnie, mówiąc, że w całym państwie bucharskim niemasz większych leniuchów nad Tadżyków Wachji.

Nocowaliśmy w wiosce Chaud-i-Pojan (1974 m. n. p. m.).

W następnej, Dara-i-Chajron (1917 m. n. p. m.), robiłem obserwacje astronomiczne, co zważyło grupę ciekawych, którą sfotografowałem. Wioska wachijska jest zazwyczaj rozrzucona i czasem ciągnie się parę kilometrów. W każdej widać mnóstwo drzew owocowych, szczególnie morwowych, które odznaczają się tem, że dostarczają owoców przez całe lato. Pierwsze morwy dojrzewają już w maju, co nie przeszkadza rozwijaniu się coraz nowych zarodki, bez żadnej przerwy aż do października. Owoce marnym wyglądem zewnętrznym przypominają cokolwiek naszą jeżynę, tylko są większe i soczystsze. Smak mają mdły, i trzeba się do nich przyzwyczaić. Owoce morwy suszy się, miele i mąkę z nich dodaje do jęczmiennej lub pszenicznej i wypieka się z niej chleb, który zawsze jest ciężki, z zakalcem, smaku kwaśno-słodkawego.

Drzewa morwowe są ogromne, rozłożyste. Pod nimi rozpościera się dery i trzęsie morwy tak, jak u nas jabłka. Niemniej rozpowszechnione są platany. Niektóre z nich odznaczają się olbrzymią wielkością, do 10 metrów objętości.

Od noclegu droga nasza zwróciła się na południe. Poczęliśmy się wspinać na zbocza pasma gór Darwaskich, przecinając niektóre boczne ich rozgałęzienia. Przez niewysoką przełęcz Akba-i-Chiling (2738 m. n. p. m.) spuściliśmy się na nocleg do wioski Gun-Dara (2541 m. n. p. m.). Była to ostatnia wioska w Wachji. Następnego dnia mieliśmy przejść pasmo gór Darwaskich i nocować w granicach Darwazu.



Tadzyk ze wschodniego Karateginu. Ubranie z wełnianej tkaniny, domowej roboty (str. 22).

Tutaj pożegnał nas celny urzędnik bucharski, który stale towarzyszył nam prawie od chwili wjazdu do bekostwa Wachji. Obowiązkiem jego było zbieranie do kasy emira podatku od bydła (ziaket) oraz od obrotu handlowego (badż). Podatki w Bucharze rozłożone są ściśle według postanowień Szarjatu, a mianowicie każdy mieszkaniec obowiązany jest oddać władcy $\frac{1}{10}$ część urodzaju (heradż), $\frac{1}{40}$ część bydła (ziaket) i $\frac{1}{10}$ wartości towaru, jakim handluje (badż). Zbieranie podatków w naturze jest wogóle trudne, lecz sama zasada opodatkowania słuszna: płaci się podatek od tego, co się posiada. Najmniej sporów wywoływało zebranie heradżu od urodzaju. Rolnicy od wieków przyzwyczajeni są do

tęgo, że po wymłóceniu zboża w polu i po złożeniu ziarna w kopce, obowiązani są zawiadomić serkiera (zbiorcę), który natychmiast przyjeżdża na pole i, zmierzwszy cały plon, zabiera z niego każdą dziesiątą miarkę na rzecz skarbu. Naturalnie, podobny sposób zbiórki heradżu możliwy jest tylko w kraju takim, jak Buchar, gdzie od marca do października niema kropli deszczu. Sporów przy wpłacie heradżu prawie niema: Bóg dał urodzaj — rolnik wpłaca więcej; przy nieurodzaju — nie ma rolnik, nie ma i władca. Otóż dochód z tego najprostszego podatku emir oddał bekom na utrzymanie ich samych, wojsk i administracji.

Zupełnie inaczej rzecz się ma ze zbiorem ziaketa i badżu, podatków, wpływających do szkatuły emira i ściąganych przez specjalnych urzędników, przysyłanych z Buchary. Bogaczy, którzyby posiadali, jak niektórzy Kirgizi ałajscy, setki koni i tysiące innych zwierząt domowych i którym łatwo jest odliczyć od każdych 40 sztuk bydła jedną sztukę, jako podatek—niema w Bucharze, a tem bardziej we wschodnich bekostwach. Ludność niezamożna trzyma przeważnie kozy, czasem kilka baranów, krowę, konia. Wziąć z tych zwierząt corocznie $\frac{1}{40}$ część, jako podatek (ziaket), oczywiście można tylko po ocenieniu całego dobytku na pieniądze i po odrachowaniu z otrzymanej w ten sposób sumy $\frac{1}{40}$ -tej części. Lecz tu wywiązują się spory między właścicielem bydła a urzędnikiem celnym: pierwszemu każda ocena wydaje się zbyt wysoka, drugiemu zbyt niska. Poza tem, w celu sprawdzenia ilości bydła urzędnik wdziera się do wnętrza domów, co się sprzeciwia ogólnomuzułmańskiej zasadzie nietykalności mieszkań, zajętych przez kobiety. Słowem powodów do sporów jest wiele i najczęściej o drobiazgi, które najbardziej drażnią płatników. Niemniej trudny jest do określenia podatek od obrotu handlowego (badż), gdyż kupcy miejscowi, często analfabeci, żadnych ksiąg handlowych nie prowadzą. To też trudno sobie nawet wyobrazić, jaką nienawiść Wachijczycy żywią do urzędników celnych, tem bardziej, że owe prowincje, w czasie mojej tam bytności, dopiero przed 13 laty utraciły były niepodległość, i ludność o swych dawnych władcach wspominała z rozrzewnieniem.

III.

PRZEZ PRZEŁĘCZ AKBA-I-GUSZAN DO DARWAZU.
W DARWAZIE. FLORA. FAUNA. LUDNOŚĆ. KLIMAT. RZEKI.
PRZYBYCIE DO KAŁA-I-CHUMB. WIEŻA STRAŻNICZA.
OBSERWACJE PRZEZ LUNETĘ ŻYCIA MIEJSCOWEGO. „SEN PROROCZY”.
PIENIĄDZE W DARWAZIE. EMIGRACJA. KOMUNIKACJE.

Wreszcie 6 lipca ostatecznie wyruszyliśmy na południe. Przez przełęcz Akba-i-Safid-Ku (3 524 m. n. p. m.) przecięliśmy jedno z bocznych rozgałęzień gór Darwaskich, a następnie przez przełęcz Akba-i-Guszon (3 640 m. n. p. m.) przebyliśmy główną oś tych gór i nocowaliśmy w wiosce Guszon (2 434 m. n. p. m.), już w granicach Darwazu.

Przełęcz Guszon jest stroma i bardzo kamienista. Trudność dostania się na nią zwiększały zasypy śniegu, który był miękki i dopiero tajał, zalewając wszystko potokami wody. Południowe zbocza gór Darwaskich prawie pozbawione były wszelkiej roślinności. Rzeki płyną tam wąskimi szczelinami, wśród skalistych, niemal prostopadłych zboczy, często sięgających wysokości kilkuset metrów. Ziemi nieuprawionej zupełnie nie ma. Wyżyskany jest każdy skrawek gruntu, dostrzeżony sokolim wzrokiem Tadżyka, kędyś na niebotycznym urwisku. Dotarłszy do tego szmatu ziemi, czepiając się skał, często z niebezpieczeństwem życia, góral oczyszcza go od skał i kamieni, znosi garściami zebraną ziemię urodzajną i otacza płacyk kamiennem ogrodzeniem, żeby deszcze nie splukały ziemi. Następnie przeprowadza wodę, podkładając płaskie kamienie, i zasiewa tam garść pszenicy lub jęczmienia. Nakład pracy ogromny, lecz Tadżyk jej nie żałuje,

gdyż zdobywa kawałek ziemi, której pragnienie jest w nim silniejsze nad życie. Różnica między Tadżykiem Wachji a Darwazu jest wielka: o ile pierwszy odznacza się lenistwem i nie dba o swój dobrobyt, o tyle drugi pracy swej nie ceni, wiedząc, że tylko nadzwyczajnym wysiłkiem wydrze coś z otaczających go kamieni. Roślinność na zboczach gór jest uboga. Lecz jak ma coś rosnać na tych nagich skałach? Dopiero na dnieszczelin, przy korycie rzeczek rozwija się ona nadzwyczaj bujnie. Rosną tam winogrona, migdały, figi, granaty, a wszystko to przeplatane ogromnemi orzechami włoskimi lub platanami, przylepionemi do skał, w które drzewa te wpiły się swemi korzeniami. Lecz ponad wszystkim panuje drzewo morwowe. Rośnie ono wszędzie, gdzie jest choć garść ziemi bez żwiru, za którą może uchwycić się korzeniami. Morwa to podstawa życia miejscowego, jedyny produkt, który Tadżyk i jego rodzina posiadają w ilości dostatecznej; jedzą go w stanie surowym, gotują polewkę z suszonych jagód lub wypiekają chleb z morwowej mąki. Mięsa mieszkańcy Darwazu prawie nie używają: jest ono dostępne tylko dla miejscowych bogaczy, gdyż krów i baranów niema czem karmić, a wśród skał nie widziałem nietylko zwierzyny, lecz i ptaków. Jedynie na samych szczytach gór, pod śniegiem są dzikie kozy. Na skalistych zaś ścianach zboczy rzecznych spotykałem rzadkie okazy kowalików murowych czyli pomurników (*Tichodroma muraria*), które, łącząc po prostopadłych skałach, wydłubowały coś z ich szczelin. W Darwazie ogromna większość mieszkańców, szczególnie kobiet i dzieci, nie zna nawet smaku mięsa; co innego mężczyźni, gdyż wielu z nich udaje się na zarobek do wewnętrznej Buchary i Turkiestanu, gdzie warunki życia są zupełnie inne.

Mówiłem już, że typ Tadżyka jest piękny. Co do kobiet, dopiero w Darwazie je widziałem, bo tam wśród swoich nie zasłaniają one twarzy. Wobec nas, przybyszów, jeżeli się nie zasłaniały, to ustępowały nam jednak z drogi lub odwracały się do nas tyłem. Są one śliczne. Widziałem twarze tak piękne, że mogłyby służyć za modele do obrazów Madonny: wysokie, smukłe, z drobnemi, wyczelowanemi rysami, o matowej barwy cerze, z pięknemi czarnemi oczyma i z poważnym, może nawet surowym wyrazem twarzy, wywierały wrażenie imponujące. Podobnie piękne twarze zdarzało mi się widzieć jedynie w Sewilli, czasami w Maladze, oraz w Mogadorze, w Maroku (port na zachodnim

brzegu Afryki), wśród Żydów, wysiedlonych tam jeszcze przez cesarza Wespazjana.

Niestety, urok zniknął, gdy się zwróciło uwagę na ich ubranie. Darwazki, zdaje się, nie mają pojęcia o tem, że bielizna się pierze: ubrane tylko w koszule do kostek, z białej, grubej materji bawełnianej i w takież spodnie, związane w kostce, noszą one ten ubiór dopóty, póki sam z pleców nie opadnie. Głowę nakrywają muślinowymi chustkami, które w ostateczności nasuwają na twarz i oczy, wobec zbyt natarczywych spojrzeń. Będąc zawsze w otoczeniu urzędników bucharskich, nie miałem sposobności rozmawiać z Darwazkami i pojęcia nie mam o ich rozwoju intelektualnym.

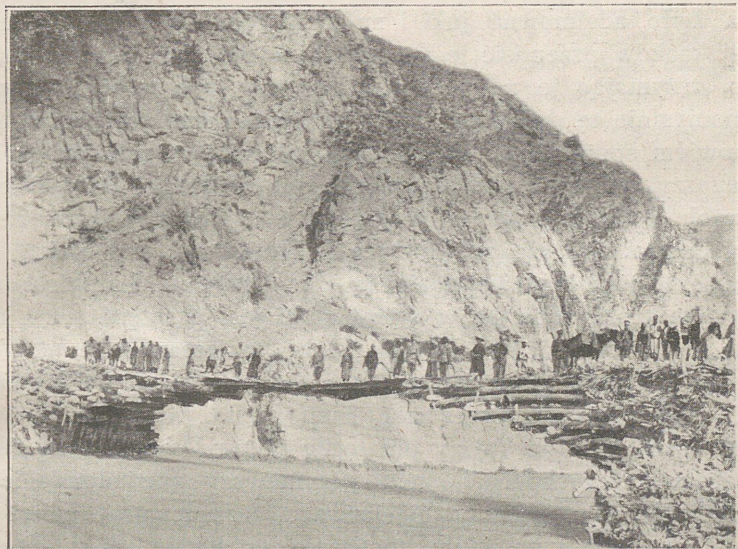
Mężczyźni są rozmowni, zręczni, obdarzeni wrodzonym sprytem. Pojmą wlot, czego się od nich żąda, i potem już wskazówek nie potrzebują. Ubierają się w grube sukmany z miejscowego samodziła wełnianego, oraz w koszule i spodnie z białej, grubej materji bawełnianej. Na głowie noszą krymkę śpiczastą (tiubietijkę). Nogi mają bosc. W zimie, która w Darwazie jest dosyć surowa, kostjum ten dopełniają długie wełniane pończochy za kolana i drewniane głębokie kalosze z drzewa morwowego.

Domy górali, budowane z wysuszonych bryłek gliny, zwykle składają się z jednej izby. Dach jest płaski, zalany rozpuszczoną gliną; w pośrodku dachu — otwór do dymu; wewnątrz domu jest odpowiednie palenisko.

Klimat w Darwazie jest nierównomierny. W Kała-i-Chumbie, oraz w wioskach, rozrzuconych w dolinie rzeki Piandżu (piandz—pięć), lato bywa zwykle bardzo upalne. Temperatura w czasie naszego pobytu wynosiła $+ 35^{\circ}\text{C}$. do $+ 38^{\circ}\text{C}$. w cieniu i nawet o 9 wieczór nie spadała niżej $+ 30^{\circ}\text{C}$. do $+ 31^{\circ}\text{C}$. Zimy podobno są mroźne, i śniegu spada bardzo dużo, jednak winogron, fig i granatów nie osłania się tam na zimę, gdy w Bucharze, a nawet w cieplej Ferganie krzewy te zwykle nagina się do ziemi, przykrywa słomą i zasypuje się ziemią. W Darwazie takie ostrożności są nieznane, i krzewy podobno nie marzną. Zato w górach noce nawet w lecie są chłodne. Pamiętam, pewnego razu zatrzymaliśmy się na noc w dolinie Piandżu, w miejscu, gdzie wpadał jakiś dopływ boczny, tworząc przy zbiegu rzek niewielką przestrzeń, na której jako-tako rozłożyła się wyprawa. W dolinie Piandżu był upał szalony. Rozpalone we dnie skały promieniowały, wytwarzając niemożliwie duszne powietrze. Pot nas oblewał. Tymczasem tuż obok, przez szczelinę, którą płynęła rzeczka, od czasu do

czasu wpadał podmuch lodowatego wiatru z wiecznych śniegów. Nazajutrz wszyscy byliśmy mniej lub więcej przeziębieni, choć spaliśmy w namiotach, a Tadźycy-tragarze wstali zdrowi, choć spali na nagich kamieniach, zawinięci w grube sukmany.

Spokojnych rzek w Darwazie niema. Każda tworzy wodospady, pokryta jest białą pianą i pędzi z hukiem, przewracając kamienie i ciągnąc je z sobą. O charakterze tych rzek można sądzić po pewnych danych, dotyczących głównej rzeki Darwazu,



Most w Karateginie przez rzekę Surch-Ob (czerwona rzeka),
jedno ze źródeł Amu-Darji (str. 24).

Piandzu. Płyńie ona wąwozem, czasami nie szerszym nad 250 metrów, między prostopadłymi skałami, wysokości kilkuset metrów. O spadku jej przytoczę następujące dane: Stolica kraju, Kała-i-Chumb, leży na wysokości 1 348 metrów n. p. m., a wioska Psycharf, położona o 50 kilometrów wyżej wgórze rzeki, znajduje się już na wysokości 2 162 m. n. p. m.: wynika stąd, że poziom rzeki w wiosce Psycharf jest o 814 metrów wyższy od poziomu w Kała-i-Chumb, czyli spadek rzeki wynosi mniej więcej 16 metrów na kilometr. O wysokości spadku dopływów nie mówię: są to przeważnie systemy wodospadów, przedzielonych nieznacznymi terenami wód spokojniejszych.

Będąc już w Kała-i-Chumb, parokrotnie sprawdzałem szybkość prądu rzeki przy brzegu i otrzymywałem wyniki: około 18 kilometrów na godzinę. Na środku rzeki prąd był, oczywiście, szybszy.

Lecz wracam do podróży.

Z noclegu w wiosce Guszan wyruszyliśmy 7 lipca i, posuwając się wdół rzeczki Chumb-ob, przed wieczorem tegoż dnia byliśmy już w stolicy kraju, w mieście Kała-i-Chumb. Droga, lub ścieżka, którą szliśmy, była fatalna. Co parę kilometrów trzeba było zdejmować juki i na przestrzeni kilkudziesięciu lub więcej kroków przenosić je na rękach, konie zaś przeprowadzać luzem, trzymając je za ogony i grzywy. Nie wiem, czybyśmy byli pomyślnie tę drogę przebyli, gdyby nie wydatna pomoc beka; ten bowiem spotkał nas przeszło w połowie drogi i miał z sobą 40 tragarzy, którzy z nadzwyczajną wprawą przenosili w trudnych miejscach pakunki i przeprowadzali konie. Przybycie nasze od strony Guszonu, drogą wzdłuż rzeki Chumb-ob, nad którą leży stolica, było zupełną niespodzianką dla władz bucharskich: wiedziały one wprawdzie, że w górze rzeki jest przełęcz, przez którą można się przedrzeć do Wachji, lecz mniemano, że jest ona dostępna tylko dla pieszych górali, i że koni, a tem bardziej jucznych, przeprowadzić przez nią niepodobna. Oczekiwano więc naszego przybycia od strony przełęczy Sagyr-Daszt, leżącej znacznie bardziej na zachód. To też otrzymawszy zawiadomienie od beka Wachji, że podążamy do Darwazu, zarządca prowincji z tragarzami wyruszył na moje spotkanie w stronę Sagyr-Dasztu. Dopiero 6-go wieczorem przybiegł goniec z wioski Guszon z wieścią, że już tam nocujemy i nazajutrz będziemy w stolicy. Wtedy zastępca beka zawiadomił o tem zarządcę prowincji, sam zaś pospieszył na nasze spotkanie i okazał nam wydatną pomoc.

Miasto Kała-i-Chumb leży na prawym brzegu rzeki Piandżu i na lewym brzegu jej dopływu, rzeczki Chumb-Ob. Góry w tem miejscu się rozstępują, tworząc stosunkowo obszerny i pięknie zarzewiony teren, na którym się rozłożyło miasteczko. Pomieszczenie dla nas było przygotowane w urdze (pałacu) beka. Wiedząc jednak, że tam mieszka zarządca kraju z rodziną, i że zjawienie się nasze sprawiłoby ogromny zamęt w ich życiu, a przytem chcąc być bliżej swoich ludzi i koni, nie zgodziłem się na postój w urdze, prosząc o wskazanie mi jakiego ogrodu, choćby poza murami miasta. Wyznaczono nam tedy obszerny gaj z ogromnemi plata-

nami (*Platanus orientalis*) na samym brzegu Piandżu, gdzie stała wieża strażnicza; z niej roztaczał się rozległy widok w obie strony na miasteczko i na rzekę. Urządziwszy się w ogrodzie, objąłem w posiadanie wieżę, z zamiarem urządzenia na jej szczycie punktu do obserwacji astronomicznych.

W Kała-i-Chumb musieliśmy pozostać kilka dni. Trzeba było dać odpocząć zdrożonym koniom, kupić zapasy żywności, głównie zaś przejrzyć juki, wszystko przesuszyc, zważyć i na nowo ułożyć w walizy, gdyż droga wgórę rzeki Piandżu miała przedstawiać wyjątkowe trudności.

Przed wieczorem powrócił Szyraz-Ali-Bek i zaraz stawił się u mnie, tłumacząc przyczyny swego opóźnienia, oraz prosząc, abym przeniósł się do urdy, która jest do mego rozporządzenia. Naturalnie pozostałem w ogrodzie, a beka zaprosiłem na herbatę, odłożywszy wszelkie urzędowe ceremonje na dzień następny. Stosunek odrazu wytworzył się przyjacielski i pozostał taki w ciągu całej bytności mojej w Darwazie. Szyraz-Ali-Bek okazał się człowiekiem rozumnym, znającym doskonale kraj, którym rządził, i jego przeszłość. Wśród Tadżyków miał dobrą opinię.

W rozmowie, gdym się zastanawiał nad tem, skąd powstała obecna nazwa kraju i stolicy, bek zgodził się z moim poglądem: ponieważ wrota w języku perskim nazywają się „darwaza“, a rzeka Piandż przepływa przez góry, jakby przez „wrota“, więc stąd pochodzi nazwa kraju; dodał przytem, że fantazja górala-Tadżyka nie zadowoliliby się tak prostem objaśnieniem, i dlatego podanie, w które święcie wierzą krajowcy, nazwę tę wyprowadza od słów „Dar-baz“ (skoczek na linie) i wiąże z niemi następujące zdarzenie: W czasach, kiedy żył jeszcze prorok Mahomet, posłał on swego zięcia, Hazreti Alego na zawojowanie teraźniejszego Darwazu. Arabowie oblegli twierdzę, lecz z powodu nadzwyczajnego męstwa mieszkańców, nie mogli zająć kraju. Wtedy zięć proroka, Ali, przebrał się za skoczka na linie (dar-baz) i przyszedł do stolicy popisywać się ze swą sztuką. Sztuki akrobatyczne na linie dotychczas są nader popularne wśród mieszkańców Azji Środkowej; w owych zaś odległych czasach ściągnęły one tłumy ludu z całego kraju do stolicy. O środkach ostrożności zapomniano, i zebrani z zachwytem przyglądali się skoczkowi. Tymczasem wojska arabskie, podzielone na mniejsze grupy, ukradkiem podsunęły się do stolicy. Święty Ali, tańcząc na wysoko zawieszonej linie, widział to wszystko i, kiedy wojska jego osaczyły bramy,

dał umówiony znak, spuścił się z liny i podszedł do miejscowego władcy, aby otrzymać uświęcony przez zwyczaj podarunek. Sza, nie podejrzewając podstępny, podał mu go osobiście, a święty Ali, przyjmując dar z rąk Sza, uderzył go nożem w piersi i zabił.



Tadżyk ze wschodniego Karakeginu, wieśniak, zajmujący się uprawą roli i drobnym handlem (str. 24).

Wszczął się popłoch. Wojska arabskie tymczasem wdarły się do miasta i wymordowały mieszkańców, a kraj zajęli Arabowie i na pamiątkę podstępny Alego nazwali go Darwazem¹⁾.

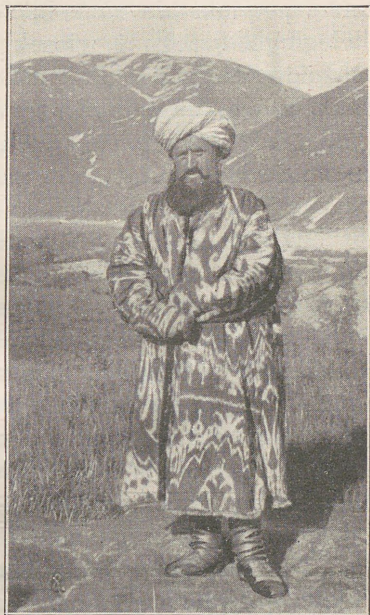
Nazwa stolicy (Kała—twierdza, Chum, albo Chumb — czara, czasza) ma pochodzić od ogromnej czary ofiarnej, która od wieków tam się znajduje; obecnie jest wmurowana w ścianę przy bramie wjazdowej, a przed erą muzułmańską służyła pono do składania ofiar ludzkich. Czara tę zauważyłem przy wjeździe do miasta, lecz nie mogłem pojąć jej przeznaczenia. Później Szyr-Ali-Bek kazał ją ostrożnie wyjąć z muru, abym ją mógł sfotografować. Czara zrobiona jest z jednego ogromnego kamienia; posiada około metra wysokości i półtora metra w średnicy. We środku ma wydrążone wgłębienie około 35 cm. i dwa otwory, przeznaczone do spływania krwi ofiarnej. Kawalek z jednego jej brzegu jest odbity, lecz kiedy się to stało, oraz gdzie się podział ów odbity kawał, nikt nie umie objaśnić. Tak zawsze było! Czara ta, oczywiście, służyła za ołtarz ofiarny dawniejszym, przedmuzułmańskim mieszkańcom tego kraju.

Nazajutrz z rana oddałem wizytę bekowi i poznałem się z przedstawicielami zarządu Darwazu. Po drodze ustawiono szpaler stojącego w Kała-i-Chumbie bataljonu piechoty bucharskiej, a dowódca wojsk bucharskich ze swiątą towarzyszył mi pieszo, prosząc, bym odbył manewry z jego wojskiem i przekonał się.

¹⁾ Zap. Ros. Tow. Geogr. t. XXVII, 1891 r., str. 100.

o ich wyszkoleniu. Odmówiłem stanowczo, tłumacząc swą odmowę zmęczeniem. Poszedłem do beka pieszo, tylko z Fazył-Bekiem i po spożyciu tradycyjnego „dastarchanu“ również pieszo wróciłem do obozu, na tem zakończywszy urzędowe stosunki z najwyższymi władzami. Fotografje dowódcy wojsk, jego adjutanta i dowódcy bataljonu, oraz oficera piechoty bucharskiej czytelnik znajdzie tu załączone. Obecnie, kiedy Buchara-i-Szeryf (święta Buchara — urzędowa nazwa miasta) już nie istnieje, kiedy niema Dżanób-Oli (świętego pełnowładcy) i jego wojsk, są to ciekawe zabytki niedawnej przeszłości.

Pięć dni, które spędziliśmy w Kała-i-Chumbie, ubiegły nam w gorączkowej pracy. Trzeba było, jak mówiłem, wszystkie walizy i tłumoki otworzyć, wszystko, a szczególnie kolekcje przesunąć, dokupić mąki, kaszy, ryżu, soli, jęczmienia dla koni; wszystko zważyć i ułożyć w ten sposób, żeby obie walizy, stanowiące juk jednego konia, były nietylko absolutnie jednakowej wagi, lecz i mniej więcej jednakowych rozmiarów, gdyż w przeciwnym razie juk nie utrzyma się na koniu. Wydawszy ogólne zarządzenia, pozostawiłem tę robotę swoim towarzyszom, sam zaś zająłem się przyprowadzeniem do porządku zdjęć topograficznych, dzienników, oraz różnorodnych innych obserwacyj. Upał był szalony. Leżąc w białym na podłodze swojej altanki na strażnicy, oblewałem się potem, pomimo wietrzyka, który wiał od rzeki, pędzącej z nieopisaną szybkością i hukiem. Kąpać się było niepodobna nietylko z powodu bystrego prądu, lecz i dlatego, że w rzece płynęła nie woda, ale gęsta kaszka, i przytem o temperaturze $+9^{\circ}\text{C}$, gdy na powietrzu upał dochodził do $+35^{\circ}\text{C}$ w cieniu. Zresztą woda dosyć szybko się ustawała i w smaku



Tadżyk ze wschodniego Karakum, wieśniak, zajmujący się uprawą roli i drobnym handlem (str. 24).

była wyborna, tak że dwa razy dziennie oblewaliśmy się wodą, czerpaną do tykw i wiader.

Między przyrządami, które mi wypożyczyło Towarzystwo Geogr., miałem lunetę do obserwacji pokrycia gwiazd przez księżyc, co mi pozwalało określać długość geograficzną (λ). Ponieważ luneta powiększała znakomicie, używałem jej do badania przeciwnielego brzegu i wiosek tam rozrzuconych, widząc ze swej strażnicy wszystko, co się dzieje we wnętrzu ogrodów i podwórz. Słowem, ciekawie podpatrywałem tę stronę życia domowego górali, która zwykle jest niedostępna dla oczu postronnych. Z początku szło mi trudno, gdyż luneta pokazywała wszystko odwrotnie, t. j. do góry nogami. Potem przyzwyczałem się i orjentowałem doskonale.

Otóż naprzód stwierdziłem, że domki w wioskach kulturalniejszych są ślicznie wybielone nazewnątrz i błyszczą, jakby pokryte alabastrem; mają one okna, zaklejone czemś żółtem (może papierem?): niektóre z okien opatrzone są okiennicami, nawet pomalowanymi na czerwono lub zielono; ogrodzenia były obsadzone młodemi morwami, a w ogródku rosły kwiatki, przeważnie maki, lub jakies inne miejscowe. Słowem, ze zdziwieniem przekonałem się, że ci górale, od świata odcięci, mają wrodzone poczucie piękna, którego nie zabiła okropna nędza ich życia.

Zauważyłem to już przedtem w Kała-i-Chumb, lecz nie nadawałem temu znaczenia; sądziłem, że są to domki urzędników bucharskich lub oficerów, którzy kulturę tę przynieśli z sobą z Buchary. Korzystając jednak w dalszym ciągu ze swej lunety, począłem zapoznawać się bliżej z właścicielami domów, które obserwowałem. Pokazało się, że w jednym z najbliższych gospodarz, człowiek starszy, jest ciężko chory i ma dwie żony. Jak tylko słońce wyjrzało z za góry na podwórko, kobiety wnosily wojłoki, układały na nich chorego, poczem nakrywały go wszystkim, czem się dało (przy $+ 35^{\circ}\text{C}$). Starsza siadała przy nim, wsuwała rękę pod kołdrę i usilnie masowała jego nogi. Młodsza zaś kręciła się chwilę po podwórku, potem znikala za domami. Wnet jednak dostrzegałem ją na wysokim murze ogrodu od strony rzeki: machała chustką. Na mur wdrapuje się młody Tadżyk. Znikają oboje w ogrodzie. Po małej chwileczce młoda kobieta wraca na podwórko, siada skromnie z drugiej strony chorego, wsuwa rękę pod kołdrę i z zapalem masuje drugą nogę chorego. Przychodzę do przekonania, że niema różnicy między Paryżem

a Darwazem. Wszędzie to samo! C'est la vie! Lecz chce mi się zażartować z beka, który przychodzi do mnie co rano, pytając, czegobyśmy jeszcze potrzebowali? Potem rozmawiamy, póki kucharz nie poda obfitego śniadania. Bek je z apetytem, gdyż lubi spróbować czegoś nieznanego. Zresztą jest spokojny: kucharz jest muzułmaninem i przytem „chodża“, więc nie da nic nieczystego (haram), a i żywność jest swojska: po mąkę, masło, jajka, mięso kucharz chodzi codzień do śpiżarni beka, jedyne miejsce, gdzie można coś dostać. Ale wszystko jest smacznie zrobione.

Otóż po swoich obserwacjach odzywam się do Szyraz-Ali-Beka:

„Miałem dzisiaj sen proroczy. Zdawało mi się, że jestem w jakimś domku po tamtej stronie Piandżu, gdzie gospodarz, wyglądający tak a tak, chory jest na febrę. Mam mu posłać lekarstwo, od którego niechybnie wyzdrowieje, i dać zlecenie, by poprawił mur dokoła swego ogrodu i zwierzchu obłożył gęsto cierzniami, gdyż źli ludzie go okradają, włączając od strony rzeki.“

Przytem pokazuję bekowi proszki, które uprzednio przygotowałem. Były to małe dawki chininy, widząc bowiem, jak kobiety okrywają chorego, sądziłem, że ma on febrę. Górale chininy nie znają, więc byłem pewien, że nawet zupełnie małe dozy podziałają magicznie.

Bek widząc, że nie żartuję, wezwał przewoźników z „gupsarami“¹⁾.

Zjawia się ich trzech. Idziemy wszyscy na brzeg rzeki. Bek osobiście daje lekarstwo najroztropniejszemu, który je zawija w chustkę i zawiązuje na głowie. Następnie przewoźnicy związują trzy gupsary razem; na środkowy siada ten, co wiezie lekarstwo i piśmienne zlecenie beka, jak go używać. Dwaj pozostali trzymają się bocznych gupsarów. Wszyscy rzucają się w nurt,

¹⁾ Gupsar—to skóra, zdarta z rocznego lub starszego cielaka, wyprawiona na miękko. Trzy nogi cielęce są zaszyte; w czwartą wstawione jest drzewko, przez które w skórę wdmuchuje się powietrze i szczelnie ją zamyka. Przeprowadzający się ma lewą rękę mocno przywiązaną do gupsaru, żeby ten mu się nie wymknął; wchodząc do wody silnie obejmuje gupsar kolanami i rzuca się w nurt, poruszając prawą ręką, jak wiosłami. Prąd znosi pływaka o kilometr lub więcej, lecz ostatecznie wyrzuca go na drugi brzeg; przeprawa trwa 10—15 minut. W ten sposób przeprowia się i ciężkie rzeczy na promach z gupsarów. Związuje się je razem po 10 — 12, otacza belkami i pokrywa deskami. Taki prom może unieść około 800 kilogramów i do przeprawy wymaga 4—6 pływaków.

który ich porywa i niesie z szaloną szybkością; że zaś woda pędzi ogromnymi falami przez olbrzymie kamienie, więc ludzie co chwila nikną z oczu, i wydaje się, że woda ich pochłoneła. Wrażenie bardzo silne! Wreszcie po 11 minutach przewoźnicy byli już na drugiej stronie rzeki, choć prąd zniósł ich o 2½ — 3 kilometry, bo ledwie ich było widać. W parę godzin potem wrócili. Mój sen proroczy, naturalnie, sprawdził się co do joty, co wywołało piorunujące wrażenie na beku i na całym jego otoczeniu. Czulem na sobie podejrzliwe spojrzenia, a słowo „falbin“ (czarno-księżnik), zdało się, wisiało nade mną.

Wieczorem, jak codzień, poszedłem do beka na płow (piław), który lubiłem, bo był dobrze przygotowany po bucharsku, z rozmaitymi owocami. Bek, człowiek rozumny i odnoszący się do objawów życiowych krytycznie, czuł się wykołejony. Spoglądał na mnie ze zdumieniem, czasami chwycił się rękoma za piersi, wołając: „Hudoim! — tauba kyłdym“ (Boże mój, korzę się przed Tobą). Lecz widząc, że jestem wesół, jak zwykle, powoli się uspokajał. Po spożyciu płowu piliśmy herbatę zieloną (kuk-czaj) z małych filiżaneczek, a nadworny śpiewak (hafis) nucił w sąsiednim pokoju, zcicha akompanijując sobie na „dumbra“, trzechstrunnej gitarze z bardzo długą rączką.

Mówiliśmy coś o gwiazdach, które w ostatniej kwadrze księżyca na pogodnym niebie błyszcząły przepięknie. Przez drzwi, otwarte na balkon urdy, pokazywałem bekowi planety i, wspomniawszy o Jowiszu, napomknąłem, że ruch jego satelitów łatwo jest obserwować nawet przez tak niedokładny przyrząd, jaki mam z sobą. Zainteresowało to beka, który nie mógł sobie wyobrazić, że uśmiechnięta twarz księżyca zmienia się na góry i kratery, a satelici Jowisza krążą dokoła niego z nigdy niezmienną punktualnością. Udaliliśmy się tedy razem na moją wieżycę. Ustawwszy przyrząd i nauczywszy beka, jak należy chwycić okiem obserwowane zjawiska, doznawałem prawdziwego zadowolenia, patrząc na jego bezmierny zachwyty. Nagle bek wybucha home-rycznym śmiechem. Chwyta mię za ręce, potrząsa nimi i tak się śmieje, że z urywanych jego słów nie mogę dociec, o co mu chodzi. Wreszcie domyślałem się, że bek poznał źródło mego snu proroczego i zrozumiał rolę, jaką w nim odegrała luneta. Gdy się uspokoił, musiałem mu opowiedzieć, dlaczego dałem zlecenie podwyższenia muru od strony rzeki i pokrycia go grubą warstwą cierni.

Nazajutrz miałem w nim gościa na strażnicy od samego rana. Niestety, oczekiwania go zawiodły. Biedny Szyraz-Ali-Bek nie mógł się zorientować w przedmiotach, które widział do góry nogami. A że to był ostatni dzień przebywania naszego w stolicy Darwazu, więc wszelką dalszą naukę z konieczności trzeba było przerwać. Byłem gotów do drogi, czekałem tylko na powrót wywiadowców, posłanych do Badachszanu.

Miasto Kała-i-Chumb właściwie jest siedzibą urzędników i garnizonu bucharskiego, który utrzymuje porządek i spokój w całej prowincji. Mieszkańców cywilnych jest bardzo mało, a kupców zaledwie kilku i to przeważnie handlujących miejscowymi wyrobami żelaznymi. Żelazo pochodzi z doliny rzeki Wańcz, prawego dopływu Piandżu; używają go na wyrób noży, które są rzeczywiście wysokiej wartości i mają duży zbył w sąsiedniej Wachji.

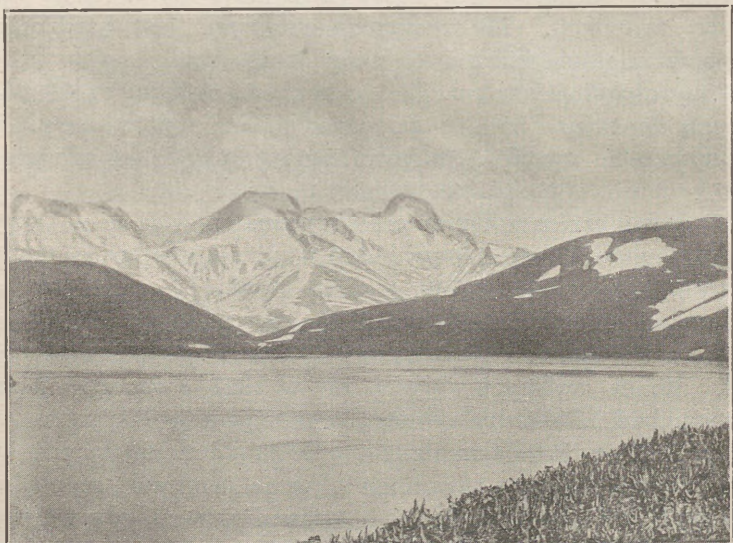
Z największym zdumieniem przekonałem się, że w Darwazie były w powszechnym obiegu jedno i dwu-kopiejkowe pieniądze rosyjskie, przeważnie wybite w 1759 roku. Pieniądze te kursowały pod ogólnem mianem „pajsja“¹⁾, w zależności zaś od roku, w którym były bite, nosiły nazwę „Nazar-Baj“, „Chodża-Kabiri“ i t. d. Monet, wybitych później, niż w 1827 roku, nie zdarzyło mi się widzieć. Pajsja była w ogólnem użyciu w Darwazie i w sąsiednim Kulabie. Poza tem nigdzie w Bucharze nie miała ona kursu. Nadzwyczaj ciekawego zagadnienia, w jaki sposób pieniądz ten mógł się dostać do odciętego od świata Darwazu, gdy we wszystkich krajach Azji środkowej był zupełnie nieznan, nie zdołałem rozwiązać. Miejscowi uczeni: kazi-kałan i jego mufti'owie upewniali mię, że pieniądze owe wprowadził u nich Dżyngiz-Chan. Nie przekonały ich daty, wybite na monetach, oraz napisy w języku rosyjskim, których, naturalnie, przeczytać nie umieli: nieugięcie obstawali przy swoim, a bek dyskretnie milczał, nie chcąc wchodzić w kolizję ze swoim duchowieństwem.

Pieniądzy w Darwazie wogóle niema, oprócz przypadkowo przynoszonej przez sezonowych robotników do Fergany lub do Buchary zachodniej „tenga“ (srebrna bucharska lub kokandska moneta, wartości 20 kop. ros.), której w obiegu prawie nie widać. Nie mają kursu również bucharskie „czoichi“ miedziane, a tem mniej rosyjski pieniądz miedziany. Jedyną wartość realną posiada

¹⁾ Zapiski Ros. Tow. Geograf. t. XXV, z 1889 r., str. 425.

worek suszonych jagód morwowych lub worek mąki z tych jagód, jako podstawowy produkt spożywczy, i przytem jedyny, z jakiego korzysta większość mieszkańców.

Według obliczeń Szyraz-Ali-Beka w granicach właściwego Darwazu, a więc w amlakdarstwach (gminach), rozrzuconych na obydwóch brzegach Piandżu, mieszka około 30 000 ludzi, którzy, ciągle pracując, nie mogą się jednak wyżywić i przymierają głodem. Na zapytanie, dlaczego ludność Darwazu nie emigruje choćby

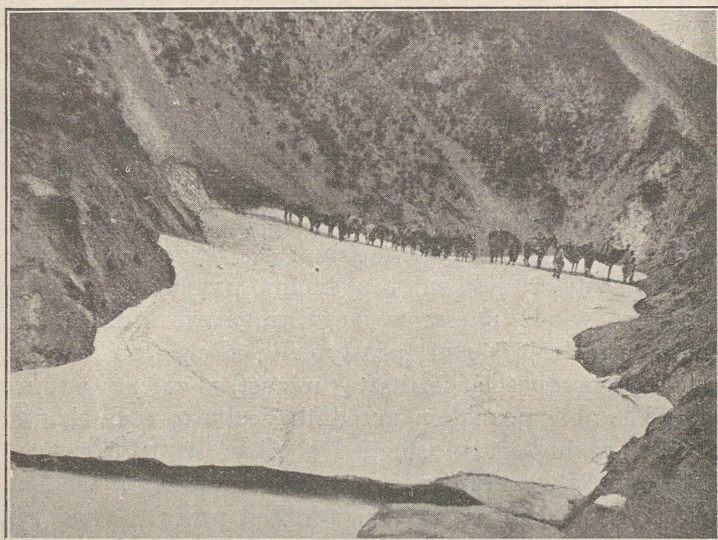


Jezioro Jaszyl-Kul (zielone) w górach Perijoch-Tau, dzielących Karategin od Wachji (str. 27).

do sąsiedniej Wachji, gdzie przy pracy emigranci mogliby zdobyć nie tylko dobrobyt, lecz i bogactwo, bek niechęć ich do wychodztwa objaśniał przywiązaniem do swych gór i nostalgją, która ciągnie każdego Darwaza z powrotem do gniazda rodzinnego. Wychodźcy z Darwazu słyną w sąsiednich krajach z uczciwości i chętnie są najmowani do usług przy handlowych karawanserajach, gdzie praca opłaca się bardzo dobrze. Otóż bek nie znał wypadku, aby Darwaz-wychodźca przebył chociaż jeden rok na miejscu. Zwykle już po kilku miesiącach emigranta dręczy nostalgja; daje on na swoje miejsce jakiegoś ziomka i podąża w swoje góry; że zaś droga jest daleka, i podróż drogo kosztuje, więc

odłożone pieniądze, które na obczyźnie stanowiły dużą sumę, w drodze topnieją, i góral wraca z drobnymi upominkami, lecz tak samo goły, jak i przedtem.

Klimat w Darwazie jest bardzo zdrowy. Z chorób, które spotykałem, najczęstsze były: febra i choroby oczu. Ostatnie pochodzą zapewne od nieustannego kurzu, jaki wzniesają stałe wiatry w dolinie Piandżu z pokładów piaszczystych, które rzeka zostawia w korycie i na jego zboczach.



Naturalny most śniegowy przez rzekę Zeri-Zamin, w górach Perijoch-Tau w Wachji (str. 27).

Wylew Piandżu rozpoczyna się wczesnie, bo w marcu, i dochodzi do najwyższego poziomu w lipcu, kiedy rzeki Pamirów obficie zasilają Piandż, a rozległe lodowce w górach Darwaskich i Badachszańskich dostarczają największej ilości wody. Woda Piandżu podnosi się wtedy na 4—5 sążni ponad poziom zimowy, zalewa ścieżkę, biegnącą wzdłuż prawego brzegu rzeki, znosi balkony, i połączenie między poszczególnymi wioskami Darwazu przerywa się na parę miesięcy.

W czasie zimy, między listopadem a lutym poziom wody jest najniższy, i prąd traci na sile tak, że w pewnych miejscach przeprawa jest możliwa nawet na ciężkich i niezgrabnych kajakach (łodziach) bucharskich.

O drogach w Darwazie można powiedzieć jedno: niema ich zupełnie. Są ścieżki poczęści wykute w skałach, poczęści prowadzące przez balkony nad rzeką, która biegnie gdzieś w przepaściach. Ścieżki często są tak wąskie, że nietylko juki, lecz i siodła trzeba przenosić na rękach, a konie przeprowadzać pojedynczo, trzymając je za ogony i uzdy; przytem konie przytulają się z taką siłą do skały, że ścierają sobie skórę na bokach i z wrażenia trzęsą się i pocą. Przyzwyczajeni zaś do takich dróg Darwazowie idą po tych ścieżkach z ciężarami z szybkością 4—5 kilometrów na godzinę.

Zdarzało się, że część wyprawy przebywała balkony szczęśliwie, gdy nagle jakaś podpórka się usuwała, kawałek balkonu z trzaskiem padał w przepaść: połączenie przerywało się na kilka godzin, póki tragarze skądś nie zdobyli potrzebnych kawałków drzewa i, wisząc na sznurach nad przepaścią, nie naprawili balkonów. Wogóle trzeba zaznaczyć, że tylko alpinista albo taternik z plecakiem przesunie się tamtejszemi ścieżkami swobodnie; lecz zwykły podróżny z jukami i z końmi przejdzie tamtędy tylko przy pomocy władz miejscowych i tragarzy, którzy z małą zręcznością wdzierają się na prostopadłe skały lub zawisają na sznurach nad przepaścią. Zresztą wszystko zależy od nerwów. W Kała-i-Chumbie poznałem urzędnika celnego z Buchary, który położył duże zasługi przy zajęciu Darwazu (w 1876 roku) przez wojska bucharskie, osobiście aresztował ostatniego władcę Darwazu i Wachji, Sarosz Chana, i odtąd przez 13 lat mieszkał w Darwazie; że zaś z urzędu musiał często objeżdżać wszystkie wioski i nie mógł znieść widoku balkonów, więc stale trzymał przy sobie 4 silnych Tadżyków, którzy go nosili w ciężkim i niezgrabnym koszu. Urzędnik ten był powszechnie lubiony za sumiennosc w pełnieniu obowiązku i za wyrafinowaną uprzejmosc, choć nałogowo palił opjum, i nałóg ten zesześcił mu twarz, nadawszy jej barwę ziemistą i charakterystyczne dla palaczy opjum worki pod oczami.

Obowiązek służbowy wymagał, aby ów urzędnik towarzyszył mi w podróży wgórę rzeki; pomimo nalegań moich, nie chciał on zostać. Widząc, jak się fatalnie męczy, starałem się zwrócić jego uwagę, że niebezpieczniej jest siedzieć w koszu, niż iść, gdyż balkon łatwiej utrzyma ciężar jednego człowieka, niż czterech, niosących ciężki kosz, który przytem zawadza ciągle o skały. Uśmiechał się dyskretnie i odpowiadał: „Rozumiem to dobrze

i dlatego zamykam oczy z chwilą, gdy siadam do kosza, i otwieram dopiero wtedy, gdy kosz się zatrzymuje“.

Żeby nie wracać więcej do dróg w Darwazie, dodam tylko, że 9 lipca bek otrzymał wiadomość o lawinie kamiennej, która wskutek deszczu w górach runęła w dolinę i na przestrzeni kilometra zniosła drogę z balkonami nad Piandżem, wskutek czego połączenie z Wańczem zostało przerwane¹⁾. Bek natychmiast posłał ludzi, by zawiesili nowe balkony, ponieważ jednak niepodobna było szybko takiej pracy wykonać, więc ludzie utorowali nową ścieżkę na przełęcz Akba-i-Uzbai (3 607 m. n. p. m.), po której wnieśli nasze rzeczy i wciągnęli konie. Przeszliśmy bez strat, lecz tylko dzięki wydatnej pomocy władz miejscowych.

¹⁾ Zapiski Ros. Tow. Geogr., t. XXV, 1889 r., str. 426.

IV.

WYNIKI WYWIADÓW W BADACHSZANIE.
POŻEGNANIE DARWAZU. WOJNA SZUGNANU Z AFGANISTANEM.
SEID-AKBAR-SZA I JEGO STOSUNEK DO WYPRAWY.
PRZEZ DOLINĘ RZEKI WAŃCZ W GÓRY DARWAZU.
PRZEŁĘCZ AKBA-I-SYTARGI. LIST SZA-SEID DŻERNEJLA.
POWRÓT NA DOLINĘ WIELKIEGO AŁAJU.

Wreszcie 12 lipca wrócili wywiadowcy, których bek wysłał był do sąsiedniego Badachszanu w celu zasięgnięcia wiadomości politycznych. Były one dla celów wyprawy bardzo niepomyślne. Według doniesień wywiadowców Ischak Chan, zwyciężony przez emira Abdurachman-Chana, uciekł do Rosji. W Badachszanie trwała jeszcze wojna partyzancka, lecz główne miasta, Fejzabad i Rustak, były już w rękach Afgańczyków, którzy rozmaitemi drogami ciągnęli na wschód, do Szugnanu i Wachanu, t. j. do krajów, przez które jedynie mogłem się przedostać do Kafiristanu.

Nazajutrz, 13 lipca, żegnani serdecznie przez władze bucharskie, ruszyliśmy wgórę rzeki Piandżu, spiesząc na wschód, w stronę Szugnanu. Szczerze żałowałem, że okoliczności nie pozwalały mi bliżej poznać Darwazów, którzy uczciwością, wysoce rozwiniętym poczuciem piękna, zmysłnością i przywiązaniem do rodzinnego, choć bezpłodnego kraju, wyróżniali się wśród innych narodów Azji, żyjąc w nędzy, lecz nie zazdroszcząc niczego swym bogatszym sąsiadom. Dopiero na miejscu, widząc, z jakim wysiłkiem Tadżycy zdobywali na niedostępnych wyżynach worek alabastru, niezbędnego do otynkowania ścian swego domku, lub zielonej i czerwonej farby do pomalowania drzwi i okiennic, można zrozumieć, do jakiego stopnia jest w nich rozwinięte po-

czucie piękna. Okien, wychodzących na ulicę, na słońce, ani też okiennic niema w żadnym z ościennych krajów, dokąd tylko docierają wychodźcy z Darwazu; jest to zatem ich własny dorobek, dowodzący zamiłowania do światła, wygody, do pewnego komfortu.

W dzień swego przyjazdu do Kała-i-Chumb, przechodząc ulicą, zaszedłem do jedynej herbaciarni (odwiedzanej przez bucharskich żołnierzy, gdyż Darwazów nie stać na herbatę), gdzie właściciel-Tadżyk urządził prymitywny, lecz wybornie działający wachlarz automatyczny, co podczas piekielnego upału w Darwazie stanowiło wielką przyjemność.

Siłą prądu wody w aryku (kanał, rów) kręci się koło, skłeczone z paru odłamków drzewa i obracające szybko drugie koło, w którym umocowany był drążek z przybitą do niego płachtą ze starego worka. Płachta szybko się obracała, wytwarzając wiejący na gości herbaciarni świeży wietrzyk. Pomysł to niezłożony, lecz samodzielny, dowodzący wrodzonego sprytu, gdyż takiego prostego wyzyskania siły prądu do celów praktycznych nie zdarzyło mi się widzieć w Azji. Rozstając się z tym sympatycznym narodem, starałem się, o ile moje skromne środki na to pozwalały, obdarzyć drobnym upominkiem każdego, kto nam uczynił jaką przysługę. Nadto tragarzy sam żywiłem; w tym celu pędziliśmy z sobą żywe barany, które, jedząc tylko liście morwowe (trawy na tych skałach niema), szybko chudły. Szyraz-Ali-Bek otrzymał na pamiątkę wyborną lornetkę polową Zeissa, która mu zapewne nieraz uprzyjemniała odpoczynek na strażnicy.

Spiesząc na wschód, byliśmy w ruchu po 12 — 14 godzin od świtu do zmroku, przechodząc mniej więcej tyleż kilometrów dziennie. Nocowaliśmy w wioskach: Dżorf (1482 m. n. p. m.), Togmaj (1485 m. n. p. m.), Kyrgowat (1547 m. n. p. m.), Psycharf (2162 m. n. p. m.), i Uzbaï (2086 m. n. p. m.), poczem dopiero dotarliśmy do ujścia rzeki Wańcz. Naprzeciwno, na lewym brzegu Piandżu, leży wioska Dżumarcz, stanowiąca amlakdarstwo (gminę) Darwazu, graniczące bezpośrednio z Szugnanem. Już z drogi posłałem listy do władcy Szugnanu, Seid-Akbar-Sza, z zawiadomieniem, że chcę przejść przez jego kraj do Kafiristanu. Do listu tego dołączyłem drugi, na imię wodza naczelnego wojsk afgańskich, Sza-Seid-Dżerneja, z prośbą o przepuszczenie wyprawy do Kafiristanu; Seid-Akbar-Sza prosiłem o odesłanie tego pisma podług adresu. Drugi list jednobrzmiący wysłany był z Kała-i-Chumb przez Isz do Badachschanu, gdyż nie wiedziałem wówczas,

gdzie był wódz naczelny wojsk afgańskich. Niezmiernie ciekawy jest fakt, że pomimo walki na życie i śmierć między Szugnańczykami a Afgańczykami korespondencja odbywała się bez przeszkód, i posłańcy, wiozący listy, nie podlegali żadnym represjom. Afgańczycy również po rycersku omijali terytorja, podległe Bucharze, jak np. amlakdarstwo Dżumarcz, które wchodziło między posiadłości Roszanu i Szugnanu. Dopiero gdyśmy się znaleźli przy ujściu rz. Wańcz, o 2 dni drogi od miejscowości, gdzie wrzała zacięta wojna, przybył do obozu naszego amlakdar (wójt) Dżumarcza, i od niego dowiedzieliśmy się szczegółów o stanie rzeczy w krajach, dokąd dążyliśmy.

Pokazało się, że w miarę tego, jak przełęcz przez Hindukusz stawały się dostępne, emir Abdurachman przesyłał oddziały wojsk afgańskich, które, pod ogólnem dowództwem Szaid-Idżarnejla, stopniowo zajmowały Badachschan, wypędzając partyzantów, zebranych przez bratanka Dżahangir-Sza, którego odwiedzałem był w Ucz-Kurganie.

W maju do Kała-i-Bar-Piandżu, stolicy Szugnanu, przybył Szugnańczyk Chodża - Nazar ¹⁾, zajmujący wysokie stanowisko w armji afgańskiej, i doręczył Seid-Akbar-Sza list emira Abdurachman-Chana, w którym emir proponował mu oddanie dobrowolne zarządu krajem posłańcowi i opuszczenie Szugnanu. Seid-Akbar-Sza schwytał Chodża-Nazara, oraz towarzyszących mu: brata jego, Mastona, i kilku Afgańczyków i odesłał ich na Kudaraę, do legendarnego rozbójnika pamińskiego, Sachib-Nazara, rozkazawszy sprzedać ich Kirgizom zaałajskim „chociażby za kawałek sznura, na którym ich prowadzono“.

Sachib Nazar sprzedał Afgańczyków Kirgizom zaałajskim. Mastona, oficera afgańskiego, darował bratu swemu, Gaib-Nazarowi ²⁾, lecz Chodżę Nazara, z powodu jego wysokiego stanowiska, odesłał dookoła, przez Pamiry, do Badachschanu, za co dostał 10 par byków i worek „teneg“ (drobna moneta srebrna). Chodża Nazar, znalazłszy się w Iszkaszymie (miasto badachszańskie na brzegu Wachan-Darji), napisał do Seid-Akbar-Sza list tak obraźliwy, iż ten natychmiast zebrał 250 wojowników i rzucił się

¹⁾ Sowremiennoje położenie pamińskich chanstw i pogranicznej linii s Kaszmirom. B. Grąbczewskiego. Margelan. 1891, str. 12.

²⁾ W miesiąc potem w górach Zaałajskich spotkałem wypadkowo Gaib-Nazara i odebrałem Mastona, który był przy ekspedycji parę miesięcy, zżył się z nami i służył jako łącznik z Afgańczykami.

na Iszkaszym, obsadzony przez bardzo słaby oddział Afgańczyków, miasto zdobył, Chodża Nazara i Afgańczyków pochwyił i, kawszy im związać ręce i nogi, rzucił ich do Piandżu, gdzie utnęli. Sam zaś zajął sąsiednie miasto Zebak, gdzie mieszkała rodzina Chodża Nazara, ograbił ją doszczętnie i wrócił do Kała-i-Bar-Piandża. Wszystko to zdarzyło się między 15—25 czerwca¹⁾.

Zaspokoiwszy uczucie zemsty, Seid-Akbar-Sza przyspieszył rozstrzygnięcie własnego losu. Emir Abdurachman, dowiedziaw-



Przełęcz Gardani-Kaftar (szyja gołębia) w górach Perijoch-Tau,
3 877 m. n. p. m. (str. 28).

szy się o wymordowaniu Afgańczyków, kazał skończyć z Szugnanem, a Seid-Akbar-Sza schwytać i dostawić go żywcem do Kabulu. Sza-Seid-Dzarnejl posłał wojska przeciw Szugnanowi z dwóch stron: od Fajzabadu, przez płaskowzgórze Sziwa, wprost na stolicę kraju, Kała-i-Bar-Piandż, oraz od strony Goranu, wdół rzeki Piandż. Szugnan został zasypyany proklamacjami, w których Sza-Seid-Dzarnejl obiecywał zupełną amnestję wszystkim Szugnańczykom, pod warunkiem, że Seid-Akbar-Sza wydadzą żywcem.

¹⁾ Ibid., str. 12.

Szugnańczycy nie dali wiary proklamacjom. Poczęła się tedy masowa emigracja kobiet, dzieci, starców i dobytku na prawy brzeg Piandżu; w kraju pozostali tylko wojownicy, którzy ściągnęli do stolicy. Około dwóch tysięcy rodzin przepравиło się na Aliczur Pamir, mając zamiar poczęści osiedlić się wśród swoich ziomków na Sarykole, poczęści dostać się do Rosji.

Około 10 lipca¹⁾ (wyprawa moja była wtedy w Kała-i-Chumbie) wojska afgańskie wyłoniły się z wąwozu, prowadzącego do jeziora Sziwa, i poczęły się okopywać. Akbar-Sza, widząc, że Afgańczycy posiadają 8 dział, gdy jego wojownicy nie wszyscy mieli nawet lontówki, skorzystał z położenia Kała-i-Bar-Piandżu, który leży na samym brzegu rzeki, i w nocy opuścił stolicę, przeprawiając się na „gupsarach“ na prawy brzeg Piandżu. Afgańczycy zaczęli bombardować miasto od rana, zajęli je zaś dopiero wieczorem, przekonawszy się, że jest puste. Poprawiwszy zburzone mury, poczęli oni posyłać małe oddziały po żywność. Trzeba odlać sprawiedliwość Seid-Akbar-Sza, że w tym okresie walk wykazał on wiele inicjatywy i zdolności partyzanckich. Wypatrzywszy małe oddziały afgańskie, w nocy przeprawiał się na gupsarach, mając z sobą wojowników zbrojnych tylko w noże i w chandzyry; zniemacka napadał na śpiących lub zajętych młóceniem ziarna i wycinał ich w pień. Zniesienie nawet większych oddziałów, po 50—70 ludzi, pod wioskami Jung i Szydwcuz, wzbudziło taki popłoch wśród Afgańczyków, że bali się oni wychylać poza wały twierdzy i wskutek tego musieli znosić głód z braku żywności.

Wreszcie dostarczono im z Badachszanu potrzebnej ilości gupsarów; powiązali oni płoty i przeprawili się na prawy brzeg Piandżu pod wioską Szydwcuz. Wtedy Seid-Akbar-Sza uciekł do twierdzy Kala-i-Wamar w Roszanie i począł fortyfikować brzegi rzeki Bartang (Murg-Ob), która na znacznej przestrzeni biegnie wąską szczeliną, wśród skał prostopadłych.

Właśnie wówczas podeszliśmy do ujścia rz. Wańcz, i tam otrzymałem od Seid-Akbar-Sza pierwszy list, który pisał on do mnie wtedy, kiedy go doszła wiadomość, że jestem w Darwazie²⁾. List brzmiał tak: „Zdobywcy świata, podobnemu do orła, Wielkiemu Panu! Władco świata, co dajesz mi pomoc, niech będzie ci wiadome, że dotychczas kraj mój uważałem za należący do

1) Ibid., str. 14.

2) Ibid., str. 17.

wielkiego Białego Cesarza. Teraz zjawili się tu zbóje-łupieżcy, którzy zawładnęli połową moich posiadłości. O tem doniosłem już przedtem sługom Wielkiego Cesarza, lecz odpowiedzi nie otrzymałem. Donosząc ci o tem, mam nadzieję, że kraj mój będzie przyjęty pod opiekuńcze skrzydła wielkiego Białego Cesarza, łupieżcy zaś umkną i przestaną rujnować moją ojczyznę. O wszelkich zmianach będę ci o każdej porze donosił. Póki Roszan jest w mych rąku, proszę kraj ten uważać za swoją własność. Cóż mogę jeszcze dodać do tego?" Do listu tego przyłożona była pieczęć: Seid-Mahomed-Akbar-Chan, syn Seida-Emir-Chana.

W kilka godzin potem otrzymałem od Seid-Akbar-Sza drugi list¹⁾, w którym pisał on: „Dowiedziawszy się o zamiarze Twoim przejścia do Kafiristanu, donoszę, że drogi przez Szugnan są otoczone przez Afgańczyków żelazną obręczą i wszystkie pozostają w ich rąku. Nawet droga w górę rzeki Bartang, na Pamiry, z powodu powodzi i zerwania balkonów przedstawia poważne niebezpieczeństwa, i nie sądzę, aby była obecnie do przebycia nawet dla pieszych. Nie posądzaj mię, bym Ci chciał wzbronić dostępu do Bartangu. Droga ta jest do Twego rozporządzenia; ja zaś ostrzegam tylko o oczekujących Cię niebezpieczeństwach“.

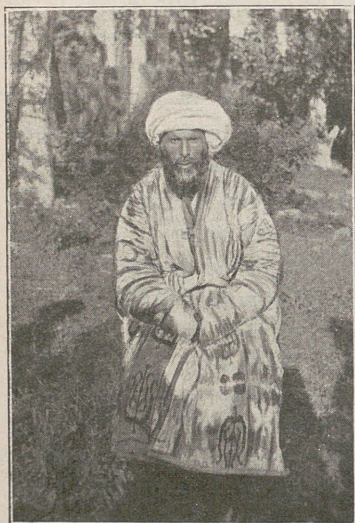
List ten ostatecznie wyjaśnił mi położenie. Było rzeczą oczywistą, że bez pozwolenia Afgańczyków nie tylko nie mogłem już przejść przez Szugnan, ale i na Pamiry miałem drogę zamkniętą. Najskrupulatniejsze wywiady wykazały, że z dolin rzek: Wańczu i Jazgulomu niema przełęczy w stronę Pamirów. Wyjść stąd na Pamiry mogłem tylko przez Szugnan, który był zajęty przez Afgańczyków, albo wzdłuż brzegów rzeki Bartang, gdzie, jak donosił Seid-Akbar-Sza, powódź zniosła balkony i gdzie droga wskutek tego nawet dla pieszych stała się niedostępna. Bez koni zaś i bez rzeczy ruszyć się nie mogłem.

Pozostawało mi jedyne wyjście: czekać odpowiedzi od Sza-Seid-Dźarnejla. Byłem przekonany, że Seid-Akbar-Sza we własnym interesie wyzyskuje moje zjawienie się prawie na samym terenie zaciekłych walk i głosi urbi et orbi, iż przybyłem mu na pomoc przeciwko Afgańczykom. Nie zgadzało się to z zamierzeniami wyprawy, która potrzebowała pozwolenia właśnie od Afgańczyków, dlatego, pomimo gorącej chęci skorzystania z chwilowego stanu rzeczy, póki Roszan jest w rąku Seid-Akbar-Sza, i zbada-

¹⁾ Ibid., str. 18.

nia chociażby stolicy kraju, Kała-i-Wamaru, wstrzymałem się od tego kroku, żeby nie potwierdzać pogłosek, które mógł rozposzechniać Seid-Akbar-Sza.

Tak staliśmy dwa dni przy ujściu Wańczu, w oczekiwaniu odpowiedzi od dowództwa afgańskiego. Nagle amlakdar dżumarczański dał znać, że konny oddział afgański, w sile 50 koni, prze-



Szady - Mirza - Bek, władca Górnej i Dolnej Wachji, z pochodzenia Uzbek (Kirgiz) (str. 30).

dziera się przez góry i, oczywiście, ma zamiar zająć lewy brzeg rzeki. I rzeczywiście, przed wieczorem, z bocznej szczeliny, prawie naprzeciwko ujścia Wańczu, wyłonił się oddział Afgańczyków, prowadzących konie; za nimi zaś szli tragarze, niosący najrozmaitsze juki i pakunki. Dolina Piandżu ma w tem miejscu niewięcej niż $\frac{1}{2}$ kilometra szerokości, mogliśmy więc obserwować się wzajemnie jak najdokładniej, w nocy zaś, pomimo szumu rzeki, doskonale było słycać okrzyki wartowników afgańskich „habardor“ (uważaj), którymi się często nawołują.

Tak bliskie sąsiedztwo zbrojnego oddziału afgańskiego, który w jednej chwili mógł nas wszystkich wystrzelać i który wysłany był w celach dla nas nieprzyjaznych, oczywiście, było mi nie na rękę. Dlatego chcąc uniknąć zbrojnego starcia, nazajutrz posunąłem wyprawę w głąb doliny Wańczu i zająłem twierdzę bucharską Kała-i-Rocharf¹⁾ (1805 m. n. p. m.), gdzie jeszcze przeczekałem trzy dni, pilnie dowiadując się o tem, co się dzieje dokoła.

Wreszcie minął termin, a odpowiedź nie nadeszła. Nie wiedząc, czy Sza-Seid-Dżarnejl nie otrzymał moich listów, czy też nie chce na nie odpowiedzieć, postanowiłem nie czekać dłużej, lecz ruszyć wgórę rzeki Wańcz, przez przełęcz Sytargi przedrzeć się do Wachji i jak najspieszniej wracać w dolinę Wielkiego Ałaju. Tam zamierzałem zmienić podbite i zdrożone konie i na-

¹⁾ Ibid., str. 18.

stępnie przez cały szereg przełęczy wydostać się na Aliczur Pamir, przylegający bezpośrednio do Szugnanu, żeby jeszcze raz wejść w styczność z Sza-Seid-Dżarnejlem i otrzymać piśmienną odpowiedź, o którą mi bardzo chodziło. Pragnąłem bowiem dowodnie stwierdzić, iż zrobiłem wszystko, co tylko leży w mocy pojedynczego człowieka, aby spełnić swe przedsięwzięcie, a mianowicie zbadać Kafiristan.

Dolina Wańczu rozszerzała się w miarę tego, jak posuwaliśmy się w górę rzeki. Skały znikwały, zbocza stawały się miękkie i pokryte były wspaniałą trawą alpejską. Mieszkańcy — Tadżycy, oprócz uprawy pól, zajmowali się hodowlą bydła, głównie zaś wydobywaniem rudy żelaznej, która często zalegała prawie na samej powierzchni ziemi, nie wymagając budowania szacht. Obfitość zarośli drzewnych umożliwiały wytapianie żelaza, to też niemal w każdym domu był piec, w tym celu w sposób pierwotny urządzone. Wielkie pokłady rudy żelaznej mogłyby stać się podstawą zamożności mieszkańców, gdyby nie fatalne warunki komunikacyjne. Źródła rzeki Wańcz spływają z olbrzymiego wężła górskiego, Sel-Tau, z wielkimi lodowcami, które spuszcza się daleko w głąb doliny. Przełęczy niema: ani na północy, otwierających drogę do Rosji, ani na wschodzie — w stronę Pamirów. Jedyna przełęcz w pasmie gór Darwaskich, prowadząca w stronę Wachji, Akba-i-Sytargi, bywała dostępna nie corocznie i, jak przekonaliśmy się osobiście, była jedną z najtrudniejszych do przebycia, jakie zdarzyło mi się spotkać w górach Azji. Wynika stąd, że zbyt dla wydobytego żelaza można było znaleźć tylko w Darwazie, Szugnanie i Roszanie, t. j. w krajach biednych i również pozbawionych wszelkich dróg.

Poza tem, mieszkańcy doliny Wańczu z niezwykłym wśród Azjatów zamiłowaniem oddają się polowaniu, szczególnież na



Mulla Buzruk-Chadżi, główny sędzia (kadi) Wachji
(str. 33).

kozy, których w skalistych górach, otaczających dolinę rzeki, jest bardzo dużo. W celach sportowych mieszkańcy Wańczu hodują nawet odrębny gatunek chartów, bardzo rączych i przystosowanych do biegu na ogromnych wysokościach, wśród rozrzedzonego powietrza. Charty te, czarnej maści, z krótką sierścią, z ogonem prawie gołym, nie są duże, lecz bardzo wytrzymałe i naogół mają dość wysoką tresurę. Brak czasu nie pozwolił mi zapolować z nimi, lecz słyszałem wiele opowiadań „myśliwskich“ o ich zmysłności, o umiejętności uniemożliwiania kozom ucieczki w skały, oraz o niezwykłej rączności. Bądź co bądź mieszkańcy tej doliny są jedynym narodem muzułmańskim, który psa, zwierzę nieczyste, hoduje w celach specjalnie sportowych.

Przenocowaliśmy w wioskach: Techarf (2176 m. n. p. m.) i Sytarg (2230 m. n. p. m.), zwróciliśmy się na zachód i poczęliśmy wspinać się na zbocza pasma gór Darwaskich. Nocowaliśmy w miejscowości Kamczyn, u podnóża przełęczy (na wysokości 4060 metrów n. p. m.). Tu otrzymałem ostatnie wiadomości od Seid-Akbar-Sza. Były one niepomysłne. Rodzinę swą, krewnych, oraz większość Roszańczyków przesiedlił on wraz z dobytkiem przez przełęcz Akba-i-Jeddu w dolinę rzeki Jazgulam, płynącej przez terytorjum bekostwa darwaskiego. Sam zaś zamknął się ze swymi wojownikami w Kała-i-Wamarze, gdzie natychmiast oblegli go Afgańczycy. Seid-Akbar-Sza prosił mię o wstawienie się do beka Darwazu i do emira Buchary, żeby rodzinie jego rząd bucharski udzielił pomocy i opieki.

Prawa „azylu“ władcy azjatyccy przestrzegają święcie. W danym wypadku jednak Seid-Akbar-Sza prosił o wstawiennictwo ze względu na pewne tarcia, jakie zaszły między nim a emirem Buchary z następujących powodów:

Gdy Afgańczycy opanowali Szugnan, Seid-Akbar-Sza schronił się do Darwazu i mieszkał w jednej z wiosek (Kyrgowat), dokąd oddani mu Szugnańczycy dostarczali zapasów żywności.

Kiedy Ischak-Chan się odłączył, i Afgańczycy uciekli za Hindukusz, Seid-Akbar-Sza zajął Szugnan bez walki. Osiedliwszy się w Kała-i-Bar-Piandżu¹⁾, za pośrednictwem beka Darwazu wszedł on z emirem w umowę: Seid-Akbar-Sza miał wpłacać emirowi corocznie pewną daninę, za co ten znowu zobowiązał się dostarczyć mu swego wojska w razie wojny z Afgańczykami. Kiedy począł się najazd afgański, i emir, pomimo próśb, nie po-

¹⁾ Ibid., str. 15.

słał mu ani jednego żołnierza, Seid-Akbar-Sza zrozumiał, że bez pozwolenia Rosji Buchara nie okaże mu pomocy. Wskutek tego zwlekał z zapłatą daniny. Ze swej strony władze bucharskie, widząc, że gwiazda Seid-Akbar-Sza lada chwila zagaśnie, domagały się jak najprędzej zapłaty. Stąd wynikło wzajemne oziębienie. Naturalnie, napisałem do emira, odwołując się do jego rycerskości, i po kilku dniach otrzymałem odpowiedź, że wyznaczył on rodzinie Seid-Akbar-Sza na utrzymanie pewną sumę, którą kazano jej wypłacać przez beka darwaskiego.

Żeby już nie powracać do losów Seid-Akbar-Sza, nadmienię, że, znalazłszy się w sierpniu znowu na Pamirach, dowiedziałem się od mieszkańców rozańskiej wioski Sarez, że Akbar-Sza bronił się uporczywie i poddał Kala-i-Wamar, ustępując jedynie przewadze broni nowożytnej. Kiedy Afgańczycy wzięli fortecę, na wałach znaleźli przeszło 200 trupów wojowników szugnańskich, lecz Seid-Akbar-Sza z pozostałymi przy życiu w nocy umknął w pław i wylądował w Jazgulemie, w granicach Buchary.

26 lipca poczęliśmy się wdzierać na przełęcz Akba-i-Sytargi (4 627 metrów n. p. m.). Droga była rzeczywiście bardzo trudna dlatego, że przecinała naukos lodowiec, który stromo spuszczał się z przełęczy. Pomimo, że podówczas miałem mocne nerwy, pewną nogę i wielkie przyzwyczajenie do gór, nie wiem, czybym był mógł przejść tę przełęcz, gdyby nie wydatna pomoc ze strony Tadżyków. Kilkudziesięciu ich szło przodem gęsiego, z toporkami na długich kijach w rękę i z torbami piasku; że zaś lodowiec opuszczał się wdół, w najlepszych miejscach pod kątem 45°, a często i bardziej stromo, i zdawało się, że na szklistej powierzchni lodu niepodobna było nogi postawić, więc idący przodem uderzał toporkiem w lód, odłamując jego kawałek, i sypał garstkę piasku, stawiając nogę w zrobionym w ten sposób wgłębieniu; posuwał się powoli, krokiem miarowym, ciągle wyrabując wkłęśnięcia w lodzie. Za nim szedł drugi, trzeci, dziesiąty i t. d., przytem każdy, w tem samym miejscu uderzając toporkiem, pogłębiał i wyrównywał wkłęśnięcie tak, że wreszcie noga we wkłęśnięciu stawała zupełnie swobodnie, i przytem nie na lodzie, lecz na piasku, którym każdy z rąbiących posypywał wgłębienie. Za rąbiącymi lód podążali tragarze, niosący nasze juki, zapasowe deski, wojloki i t. d., potem my, wreszcie Tadżycy prowadzili nasze konie bez żadnych ciężarów, prócz siodła, podtrzymując je za uzdy i ogony. Szliśmy w milczeniu, nie zatrzymując się ani na sekun-

dę i starając się nie patrzeć w stronę przepaści, bo na widok jej tchu brakło, i w oczach się ćmiło. I nic! Przeszliśmy, nie straciwszy ani jednego juka, ani jednego konia.

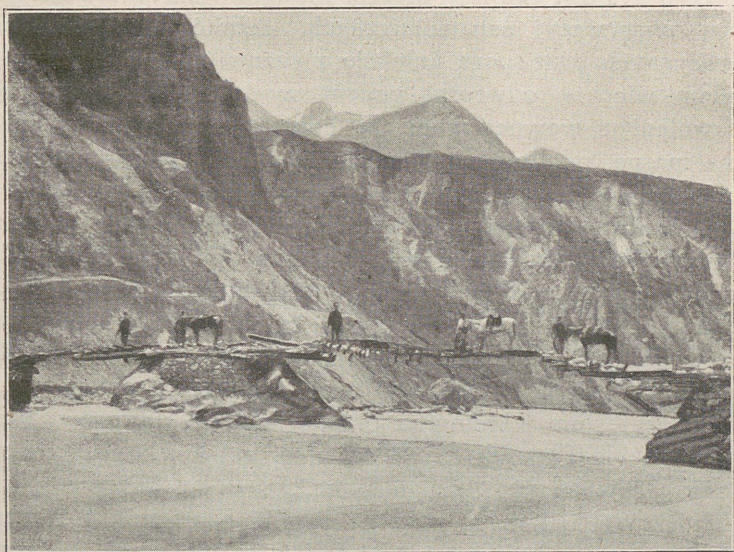
Przełęcz zastaliśmy zawałoną śniegiem (patrz fotografię), co spuszczenie się czyniło jeszcze niebezpieczniejszem. Lodowiec z zachodniej strony przełęczy nie spadał wprawdzie tak stromo, lecz zato było w nim wiele szczelin, czasem zupełnie śniegiem przykrytych, i tylko intuicja przewodników odkrywała te niebezpieczne miejsca. Przebywaliśmy szczeliny w sposób rozmaity, zależnie od ich wielkości i kierunku, to starając się, gdzie było można, obejść je, to znowu w innych miejscach przejść po deskach. Ponieważ jednak desek mocnych nie mieliśmy z sobą, trzeba było obwiązać je wołokami. Szczególniej trudno było urządzić przeprawę przez rozpadliny szersze od długości naszych desek. Wówczas górale, jak psy gończe rozbiegali się wzdłuż szczeliny, przyczem dziesiątki razy przeskakiwali ją ze zdumiewającą, iście akrobatyczną lekkością, opierając się przy skoku tylko na długich, mocnych kijach, które mieli z sobą; wreszcie znalazłszy najwęższe miejsce, przerzucali przez nie deski, że zaś czasami tylko końcami swemi dotykały one lodu, więc Tadźycy do tych końców przymocowywali sznury, i dziesiątki ludzi, usiadłszy na śniegu i wparłszy się weń nogami, z nacięciem ciągnęły za sznury, podtrzymując w ten sposób chybotące i trzęsące się kładki. Zdarzało się, że godziny mijały na urządzenie przeprawy w jednym miejscu, żeby o kilometr dalej lub mniej jeszcze spotkać nową przeszkodę, zdradziecko przykrytą gładką, błyszczącą powłoką śniegu. W ten sposób przebyliśmy tę przełęcz, idąc dwą kilometry po stromym lodowcu na wschodniej stronie przełęczy i 9 kilometrów po mniej stromym, lecz niebezpieczniejszym na stronie zachodniej. Ze snu na noclegu wstaliśmy przed świtem i wśród zupełnej ciemności zeszlśmy wreszcie z lodowca na ziemię, zużywwszy przeszło 17 godzin na przebycie 11 kilometrów!

Pożegnawszy się z Tadźykami z doliny Wańczu, 27 lipca przeszliśmy na letniska Daszty-Minady (2'851 m. n. p. m.), w górze rzeki Obi-Chingau w Wachji, gdzie zatrzymaliśmy się na jeden dzień dla obserwacyj astronomicznych i koniecznego wypoczynku po przebytych wzruszeniach.

Tu znalazł nas posłaniec Sza-Seid-Dżarnejla¹⁾, z listem,

¹⁾ Ibid., str. 19.

w którym naczelny wódz afgański ostrzegał mię przed próbą przejścia granicy afgańskiej, uprzedzając, że przepuścić mię nie ma prawa i nie przepuści, lecz list mój przez specjalnego posłańca odesłał do emira Abdurachmana i postąpił stosownie do otrzymanych rozkazów. List ten Sza-Seid-Dżarnejl zakończył następującymi słowami: „Podrózujcie, gdzie chcecie, z wyjątkiem krajów, należących do Afganistanu, gdyż Afgańczycy to naród dziki i mogą wam oni wyrządzić krzywdę, ochronić zaś Was od tego nie-



Trzesący się most przez rzekę Obi-Chingau
(mętna woda) w Wachji (str. 33).

szczęścia niepodobna. Długo nie odpowiadałem na Wasz list, bo byłem zajęty stłumieniem powstania szugnańskiego. Obecnie buntownicy ponieśli zasłużoną karę, więc przysyłam odpowiedź“. Do listu przyłożona była pieczęć urzędowa: Mahomed-Sza-Seid-Dżarnejl, wódz naczelny.

Pomimo odmownej odpowiedzi, byłem bardzo zadowolony z otrzymanego listu, miałem bowiem w ręku niezbity dowód, usprawiedliwiający moją okrężną drogę przez wschodnie bekostwa Buchary i powrót w dolinę Wielkiego Ałaju, skąd wyruszyłem był w pierwszych dniach czerwca. Obietnica zakomunikowania

odpowiedzi emira dawała mi prawo, po wydostaniu się na Pamiry, trzymania się w bliskości Szugnanu, pozostawiania w okolicach najbliższych nadzwyczaj ciekawej wojny azjatyckiej i wejścia w bezpośrednią styczność z główną komendą zdobywców.

Naukowe wyniki z podróży po tych prawie nieznanach trzech bekostwach wschodniej Buchary przeszły najśmielsze oczekiwania. Dzięki osobistym zarządzeniom emira Buchary, korzystałem z wydatnej pomocy władz miejscowych i ludności, co, pomimo niesłychanie trudnych warunków podróży, pozwoliło mi określić orografję tych krajów, porobić zdjęcia topograficzne i ustalić je za pomocą obserwacji astronomicznych, zebrać dużo wiadomości etnograficznych, oraz sporą kolekcję z rozmaitych dziedzin wiedzy. Ruszyłem więc w odwrotną podróż w dolinę Wielkiego Ałaju z zadowoleniem wewnętrznym, że energia, środki i czas nie poszły na marne, pomimo niepowodzenia co do zasadniczych celów powziętej podróży.

W drodze powrotnej starałem się iść nowemi ścieżkami, żeby objąć jak największy obszar do zbadania. W granicach Wachji nocowaliśmy jeszcze w wioskach: Daszty-Bun (2456 m. n. p. m.) i Ledżurk (2185 m. n. p. m.), gdzie przez most przeszliśmy na prawy brzeg rzeki Obi-Chingau, i następnego dnia pożegnaliśmy tę bogatą w dary przyrody, lecz mało wyzyskaną dolinę.

Na terytorjum Karateginu przedostaliśmy się przez płaskowzgórze Daszty-Tupczak (3183 m. n. p. m.) i nocowaliśmy w zimowisku Duwana (2193 m. n. p. m.), oraz w miejscowościach: Kara-Kulczak (2564 m. n. p. m.) i Wielki Kara-muk (2240 m. n. p. m.); 2 sierpnia—byliśmy już w dolinie Wielkiego Ałaju, w miejscowości Kyzyl-Kungej-Szywer (2936 m. n. p. m.), gdzie szczęśliwie zastaliśmy jednego z najbogatszych Kirgizów Ałaju, Ir-Daulet-Bija (Majestat ziemi), który miał 10 000 własnych koni i z największą gotowością przyjął nasze zdrożone konie, wzamian za swoje, jakie sam wybrał.

W ten sposób tę ważną sprawę załatwiliśmy w przeciągu kilku godzin.

Odesławszy do Margelanu pocztę i zbędną część kolekcji, już 3-go sierpnia byliśmy zupełnie gotowi do nowej podróży, na południe, w stronę Pamirów i Hindukuszu.

V.

IR - DAULET - BIJ.

PRZEZ PRZEŁĘCZ AŁTYN - MAZAR W DOLINĘ RZEKI MUK - SU.

SPOTKANIE Z GAIB - NAZAREM. W DOLINĘ RZEKI KU - DARA.

SACHIB - NAZAR. DALSZĄ DROGĄ. UCHODŹCY.

Z ROSZANU NA ALICZUR - PAMIR. PRZEPRAWA PRZEZ MURG - OB.

O Ir-Daulet-Biju (Majestat ziemi) wspominałem już w „Kaszgarji“¹⁾. Był to typowy oryginał wśród Kirgizów nie tylko Ałaju, lecz i Fergany. Bogacz, posiadający przeszło 10 000 koni i odpowiednią ilość bydła, żył jak każdy przeciętny Kirgiz, tylko jurte miał nieco większą. I nie dlatego, żeby sobie chciał odmawiać, lecz poprostu nie czuł potrzeby polepszenia swego codziennego bytu. Analfabeta, umiał liczyć tylko do „kuruma“ (800—900 sztuk bydła) i na kurumy tylko obliczał swe tabuny koni i baranów; lecz pamięć miał nadzwyczajną i wszelkie operacje handlowe prowadził osobiście, nigdzie ich nie zapisując. Papierowych pieniędzy nie uznawał i zwykle mawiał: „Co może być za wartość takiego papierka, kiedy go zje nawet marna mysz polna! mam cały worek tych ogryzków, a dał mi je taki poważny generał, mówiąc, że to pieniądz!“ Nawet złota rosyjskiego nie lubił, przekładając nad nie „tille“ (monety złote) bucharskie lub kokandzkie. Dziwactwo to znali i umieli wyzyskiwać handlarze bydła, wpłacając mu należność złotem bucharskim i otrzymując znacznie taniej bydło i owce. W stosunkach pieniężnych ze współziomkami był to człowiek twardy i nieustępliwy, lecz z powodu swej nadzwyczajnej uczciwości cieszył się ogólnym szacunkiem. Jedyłą przyjemnością,

¹⁾ Str. 19.

na jaką sobie pozwalała, było dlań pojechać na letnisko, gdzie się pasły konie, usiąść na dywanie gdzieś na pagórku i kazać powoli przepędzać przed sobą tabuny—kurum po kurumie.

Do mnie czuł on szczególną sympatję, może dlatego, że mógł się ze mną osobiście rozmówić i wywnętrzyć. Póki jednak byłem urzędnikiem tamecznego zarządu, unikałem Ir-Daulet-Bija i nigdy się u niego nie zatrzymywałem właśnie dlatego, że był bardzo bogaty, bliższy bowiem stosunek z takimi potentatami mógł być mię pozbawić zaufania ogółu Kirgizów.

Na Kungiej-Szywerze spotkałem Ir-Daulet-Bija przypadkowo. Przyjechał był przeprowadzić remont zagród zimowych dla bydła i w ciągu kilku godzin dokonał zmiany koni mojej ekspedycji, oraz sprzedał nam potrzebną ilość baranów, ryżu, kaszy i soli, tak, że nazajutrz, 3 sierpnia, ruszyliśmy znowu na południe drogą, której z powodu roztopów wiosennych nie mogliśmy przebyć przed dwoma miesiącami.

Oczywiście, teraz nie było śladu śniegu, i przeszedłszy przełęcz Ałtyn-Mazar (złoty grobowiec) 3789 m. n. p. m., nocowaliśmy w dolinie rzeki Muk-su, na zimowiskach Ałtyn-Mazar (2871 m. n. p. m.), znanych wśród Tadżyków Karateginu, jako miejsca, gdzie zawsze można wypłókać pewną ilość złota. Znaleźliśmy też tam kilkunastu poszukiwaczy, którzy całymi dniami sumiennie przepłókiwali piasek na płaskich półmiskach drewnianych, zmywając okruchy złota do wgłębień w środku półmisków. Lecz zdobycz, zdaje się, była nikła, choć roztopy wiosenne powinny były przynieść z gór więcej złota, niż zwykle¹⁾.

Ponieważ poziom wody w Muk-su był jeszcze bardzo wysoki, więc udaliśmy się wzdłuż środkowego jej dopływu w górę

¹⁾ Bawiący obecnie w Warszawie p. Kozieł-Poklewski mówił mi, że posiada koncesję dawnego rządu rosyjskiego na te właśnie terytorja, że pracował on tam przez kilka lat i odkrył żyły złota w kwarcu. Miał też dowody, że pokłady owe były znane krajowcom w bardzo odległych czasach, gdyż w kilku miejscach znalazł żarna, w których ongi kruszono kwarc złotodajny. Ciekawy był starodawny sposób otrzymywania złota: ponieważ w owych czasach nie znano materiałów wybuchowych, przeto poszukiwacze złota rozkładali ogniska wprost na żyłe kwarcowej; kiedy ta się rozpalila, polewali ją wodą, od czego kwarc pękał, odłamy jego odnoszono na żarna. Wojna światowa, oraz obecne położenie polityczne w Rosji, zmusiły pana Kozieł-Poklewskiego do porzucenia robót na Muk-su, jak również na drodze automobilowej, którą przeprowadził od Margelanu prawie do przełęczu Tengiz-baj; tą drogą właśnie przeszliśmy w czerwcu na dolinę Ałaju.

rzeki Kaindy i, przenocowawszy w miejscowości Sujak-Mazar (grobowiec kości, 3 675 m. n. p. m.), przez przełęcz Kaindy (brzozy) 4 938 m. n. p. m., przesunęliśmy się na górny bieg rzeki Beleny-Kiik (drugi dopływ rzeki Muk-su), gdzie w miejscowości Kara-su (źródłowa woda), 3 687 m. n. p. m., znaleźliśmy łąki, zarosnięte dość dobrą trawą. Tutaj koczował Gaib-Nazar, brat legendarnego rozbójnika pamińskiego, Sachib-Nazara, do którego obecnie dążyliśmy.

Jeszcze w dolinie rz. Wańcz mówiono mi, że Gaib-Nazar trzy-



Grupa Tadżyków Wachji, w wiosce Dara-i-Chajron
(1 977 m. n. p. m.) (str. 33).

ma u siebie w niewoli afgańskiego oficera, Mastona (brata Chodza-Nazara, zamordowanego przez Seid-Akbar-Sza), posłałem doń przeto, aby go przyprowadził; że zaś nie miałem zwyczaju w podróżach kogokolwiek bądź wrogo względem siebie usposabiać, więc, gdy się zjawił Gaib-Nazar, zapytałem go, wieleby chciał za Mastona, gdyż będzie mi on potrzebny dla nawiązania łączności z Afgańczykami, dlatego muszę go wykupić. Gaib-Nazar, wiedząc, że Rosjanie zabraniają zatrzymywania jeńców, może obawiał się kary, dlatego był bardzo zadowolony z mojej propozycji i natychmiast oświadczył, że Mastona dostał od brata swego

darmo, więc mi go też darmo odstępuje, tem chętniej, że Maston korzyści mu nie przynosi, natomiast sprawia dużo kłopotu. Darowałem Gaib-Nazarowi chałat, żeby „na sucho“ nie wyszedł ode mnie; Maston zaś przeniósł się do nas, przebył z nami dwa miesiące, spał z kozakami, jadł z nimi i tak się z nami zżył, iż żegnał nas z wielkim żalem, gdy zmuszony byłem opuścić Pamiry. Dwa razy chodził on z listami do Sza-Seid-Dżarnejl; mógł był tam zostać, lecz wracał najpункtualniej, aż wreszcie sam go uwolniłem. Wszystko to są drobiazgi, ale charakteryzują one psychikę tamtejszych ludzi i obyczaje tamtejszych krajów. Nawet Sza-Seid-Dżarnejl nie zatrzymał swego oficera, choć radził mu ucieczkę, ale dopiero po wypełnieniu danego mu przeze mnie polecenia. Nadmienię jeszcze, że, ponieważ Maston miał bardzo zniszczone ubranie, kupić zaś nowego nie było możliwości, więc dałem mu zapasowy mundur kozacki, w którym chodził i do Sza-Seid-Dżarnejl. Z opowiadań Mastona wyniosłem wrażenie, że mój przychylny stosunek do będącego w niewoli Afgańczyka wywierał za kordonem dobre wrażenie, a o to mi właśnie chodziło.

Poczęliśmy zbliżać się do pasma gór, stanowiących rozgałęzienie olbrzymiego węzła Sel-Tau, a dzielących dopływy Kyzył-su od dopływów Piandżu i od Pamirów. Góry te są zupełnie pozbawione roślinności i wywierają wrażenie szczerzej pustyni, choć w ich fałdach musi być trawa, gdyż spotykaliśmy często stadka nietylko kóz, lecz i dzikich baranów „guldza“ (Ovis Poli). Droga na przełęcz Tachta-Kurum (deskowe osypisko, 4672 m. n. p. m.) jest bardzo trudna i miejscami prowadzi po śliskich płytach kamiennych, na podobieństwo olbrzymich desek, jak wiadać z samej nazwy. Na południowych zboczach tych gór zjawiała się już roślinność; spuszczailiśmy się do basenu rzeki Ku-dara (prawy dopływ rzeki Murg-Ob), stanowiącego królestwo słynnego rozbójnika pamińskiego, Sachib-Nazara. Legendarna sława tego człowieka głośnem echem rozbrzmiewała nietylko po całym obszarze Pamirów na przestrzeni 70 000 kilometrów kwadratowych, lecz i w dolinie Wielkiego Ałaju (a więc w granicach Rosji), gdzie ludzie bogaci nigdy nie byli spokojni o swe mienie. Na Pamirach prawie wszystkie ważniejsze miejscowości związane są z jego imieniem. Naprzykład, na Małym Pamirze jest miejscowość Saudegier-Tepe ¹⁾

¹⁾ Zapiski Ros. Tow. Geogr. t. XXVII z r. 1891, str. 103.

(wzgórze kupców), gdzie zwykle zaczynał się Sachib-Nazar ze swą bandą. Raz, dowiedziawszy się, że z Badachschanu do Chin dąży bogata karawana handlowa, z konwojem 47 zbrojnych ludzi, Sachib-Nazar ukrył swą bandę, sam zaś, ubogo odziany, piechotą wyruszył daleko naprzód na spotkanie karawany i przystał do niej, jako wędrowny Kirgiz-robotnik. W ciągu paru dni Sachib-Nazar, wskazując trawiaste miejsca na noclegi, dostarczając opału, oraz innemi drobnemi przysługami zdobył takie zaufanie karawan-basza (naczelnika karawany), że ten powierzał mu nawet pasanie koni w nocy. Kiedy karawana podeszła do miejscowości, gdzie była ukryta banda zbójcka, Sachib-Nazar w nocy uprowadził konie, wywołał swych ludzi, wymordował kupców oraz ich konwój, i zdobył takie mnóstwo towarów, że go to wzbogaciło na czas długi.

Bezczelna odwaga Sachib-Nazara doszła do tego, że śmiało napadał on na Kirgizów rosyjskich, koczujących w dolinie Wielkiego Ałaju, łupił ich dobytek i uprowadzał młode kobiety. Jeden z ostatnich jego napadów zdarzył się w czasie mojego urzędowania w Margelanie. Sachib Nazar napadł na Kirgizów, poddanych rosyjskich, zagrabił 1 000 koni, mnóstwo wszelkiego dobytku i pochwycił 15 młodych dziewcząt Kirgizek, przyczem poległo kilka osób, stających w obronie swego mienia.

Przypadkowo właśnie wtenczas z Margelanu został wysłany oddział kozaków, który przez Osz i Gulczę powinien był dokonać okrzężnej lustracji w dolinę Ałaju i wrócić do Margelanu przez przełęcz Tengiz-bajską i Ucz-Kurgan. Oficer, dowodzący kozakami, dowiedziawszy się o napadzie, ruszył śladami rozbójników i dotarł do Ku-dary, gdzie Sachib-Nazar czuł się bezpieczny. Zjawienie się kozaków przed aulem Sachib-Nazara przyjęte było strzałami. Wtedy oficer dał salwę do aulu. Skutki jej były fa-



Główny celnik bucharski w Wakhji. Typowy przedstawiciel biurokracji bucharskiej na wschodnich kresach Buchary (str. 34).

talne dla Sachib-Nazara: w jurtach padło 7 zabitych (w tej liczbie brat, córka oraz ukochana wnuczka Sachib-Nazara) i kilkunastu rannych. Sachib-Nazar oprzytomniał i nie tylko zwrócił zagrabiony dobytek i zapłacił odszkodowanie, stosownie do żądań Kirgizów, którzy przybyli z kozakami, lecz zapłacił „kunu“ (cenę krwi) za zabitych, według „adatu“, (prawa obyczajowego), którem się rządzą Kirgizi rosyjscy. Zapłata „kunu“ i odszkodowania była dokonana złotem, którego podobno Sachib-Nazar miał spory zapas. Nagłe zjawienie się kozaków wywarło wrażenie piorunujące, i od tam Sachib-Nazar granic Rosji nie przekraczał.

Do letniska Sachib-Nazara, w miejscowości Dżar-Utek (schronisko nad jarem, 3800 m. n. p. m.) dobrnęliśmy dopiero po dwóch dniach marszu od przełęczy Tachta-Kurum, gdyż z powodu wojny między Szugnanem a Afgańczykami Sachib-Nazar trzymał się bliżej terenu walk, obdzierając uchodźców.

Przybycie nasze było zupełnie niespodziewane. Prowadził nas Maston wprost do jurty Sachib-Nazara, który szybko wyszedł, zatrzymał się przez sekundę, jakby coś ważył, poczem podbiegł, przyłożył czoło do mego strzemienia i, wzięwszy za uzdę konia, poprowadził go do drzwi swej jurty. Potem mówiono mi, że był to decydujący moment: w jurcie był syn Sachib-Nazara z karabinem gotowym do strzału. Jużbym nie żył, gdyby ojciec był nie zrobił tego gestu szacunku. Ja zaś, zobaczywszy przed sobą tego małego, kulawego starca, w ciele którego dusza ledwo się kołatała, nie mogłem przyjść do siebie ze zdumienia. Słyszac w ciągu szeregu lat tyle niezwykłych opowiadań o męstwie i odwadze tego człowieka, spodziewałem się ujrzeć i postać, odpowiadającą legendzie, i dlatego podjeżdżałem do jurt przygotowany na wszelkie możliwości, mając za sobą zdecydowanych towarzyszy. Tymczasem ten kulejący starzec, biegnący obok mego konia, wzbudzał tylko litość.

Potem, w przyjacielskiej rozmowie, Sachib-Nazar wykazał bardzo wiele taktu, oraz iście filozoficznego traktowania spraw, trzeźwo orjentując się w położeniu politycznym, co w koczowniku, który nigdy nie wychylał się poza granice dzikiego Pamiru, było dowodem wrodzonego rozumu i sprytu. W chwili, gdy go odwiedziłem, Sachib-Nazar miał 120 dżygitów, którymi dowodzili jego synowie. Sam on liczył już przeszło 65 lat, lecz konia dosiadał z młodzieńczą rzeźkością. Najmłodszy jego syn i ulubieniec, Chudaj-Nazar, pojechał w jakimś interesie na dolinę Wiel-

kiego Ałaju i omal tam nie zginął. Ktoś z Kirgizów, widząc nieznaną „tawro“ na koniu (znak, wypalany na skórze konia rozpalonem żelazem), posądził go, że należy on do bandy Sachib-Nazara, którego zapewne jest wywiadowcą. Chudaj-Nazara aresztowano i prowadzono do naczelnika rodu kirgiskiego. Wiedząc, że tam go będą męczyli i wkońcu dowiedzą się prawdy, Chudaj-Nazar skorzystał z nieostrożności dżygita, który jechał na odebranym od niego wyborowym koniu, wyciągnął mu szablę z pochwy, ściał dżygita i, skoczywszy w biegu na swego konia, umknął szczęśliwie.

Spotkaliśmy się z Sachib-Nazarem przyjaźnie, lecz z obustronną podejrzliwością, i dlatego do jego jurty nie wszedłem, lecz, przyjąwszy w progu chleb i sól, usadowiłem się na otwartym polu, na wzgórzu, pod pozorem, że nie chcę robić kłopotu jego rodzinie.

Rozbójnik ten opowiadał mi wiele epizodów ze swego bogatego we wrażenia życia, zakończył zaś opowiadanie nadzwyczaj charakterystycznym wyznaniem: ¹⁾ „Starzeję się, panie, i chciałem dni moje zakończyć spokojnie, pogodzić się z Bogiem i nie czynić krzywdy ludziom. Rozpuściłem swoich dżygitów, a synom odmówiłem błogosławieństwa na nowe napady. Tak przeszło ze trzy lata. Ale ludzie nie mówili o mnie dobrze. Nietylko każdy napad złodziejski mnie przypisywano, choć nie brałem w nim udziału ani duszą, ani ciałem, ale śmiałość mych wrogów doszła do tego, że omal nie zamordowali mi najmłodszego syna. Ocaliła go dobra krew i wrodzony spryt. Więc przypomniałem sobie stare przysłowie kirgiskie: „czy wilk kradnie barany, czy nie, zawsze go posądzają, że ma krew na pysku“. Zebrałem znowu swych dżygitów i błogosławiłem synów na nowe wyprawy. Lecz czasy już są inne. Teraz mam silnych sąsiadów: Rosję, Chiny, Afganistan, których granic przestąpić nie śmiem, bo mnie zgniotą, jak skorupę orzecha. Bawię się teraz, a nie wojuję, chcąc jako tako podtrzymać swe dobre imię. Ach! ciężko, panie, a nade wszystko ciasno jest już teraz na świecie“!

Poza tem Sachib-Nazar dokładnie zapoznał mię z organizacją szpiegowską w Ferganie, opłacaną przez wielkorządcę afgańskiego w Szugnanie, Gulzor-Chana, z polecenia emira Abdurachmana.

¹⁾ Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk. Poznańskiego, tom. XVIII, z r. 1891. Zeszyt I, str. 211.

Pośredniczył w tej sprawie bratanek Sachib-Nazara, Dzijan-baj, przezwany Kalta-tun (krótki chałat), który otrzymywał stałą pensję od Gulzor-Chana i obowiązany był w określonych terminach objechać wszystkich agentów, przeważnie kupców, mieszkających w większych miastach i prowadzących operacje handlowe z północnym Afganistanem i z Indjami, i sprawozdania ich doręczyć Gulzor-Chanowi¹⁾.

Po dwóch dniach odpoczynku na letniskach Sachib-Nazara, 14 sierpnia ruszyliśmy dalej na południe, rozstawszy się z gospodarzem bardzo przyjaźnie.

Sachib-Nazar sprzedał mi chętnie pewną ilość mąki i kaszy, niezbędną w celu uzupełnienia wyczerpanych w drodze zapasów, oraz dał przewodnika, znającego dokładnie tereny, które miałem zwiedzić.

Przenocowawszy w miejscowości Timur-Utek (żelazne schronisko, 4 133 m. n. p. m.), nazajutrz przeszliśmy przez dwie nieduże przełęcze, Kara-buлак (czarne źródło, 4 132 i 4 374 m. n. p. m.), i zeszliliśmy na brzeg rzeki Murg-ob (ptasia woda, 3 220 m. n. p. m.), o 4 kilometry poniżej miejscowości Mazar (grobowiec).

Zwróciłem się na zachód, wdół rzeki Murg-ob, w stronę miasta roszańskiego Tasz-Kurgan, gdyż chciałem być bliżej teatru wojny. Doliną Murg-ob dążyliśmy do wioski Sarez, w ciągu sześciu dni spotykając zbite gromady Szugnańczyków i mieszkańców Roszanu, emigrujących do Rosji²⁾. Emigranci, unikając pogoni, szli szybko, zostawiając po drodze nie tylko zwierzęta i dobytek, ale również chorych i rannych. Obozy ich ciągnęły dniem i nocą

¹⁾ Wiadomości, zakomunikowane mi przez Sachib-Nazara, były tak dokładne, że władze Fergany, zarządzwszy wedle tych wskazówek równoczesne rewizje, wykryły całą organizację szpiegowską, przedewszystkiem zaś schwytały agentów, opłacających stale zjawiające się bandy buntownicze w Ferganie. Bandom tym czasami (w 1885 roku), pod hasłem „hazawata“, t. j. świętej wojny z niewiernymi, udawało się wzniecić rozruchy, których tłumienie wymagało poważnych wysiłków. Broni dostarczał powstańcom mieszkający w Kaszgarze Afgańczyk, Abdrasul-Chan, przesyłając ją zawiniętą w wołjoki i dywany, któremi handlował, wysyłając je masami do Fergany.

Ponieważ Emir Abdurachman nie był zainteresowany w losach Fergany, oddzielonej od Afganistanu dziesiątkiem trudnych do przebycia pasm górskich, a tem bardziej nie traciłby na wywiady i dywersje znacznych sum pieniędzy i oręża, których stale sam potrzebował, więc nie ulegało wątpliwości, że zarządzeń owych dokonywano z polecenia i na koszt rządu angielskiego w Indjach.

²⁾ Ibid.; str. 211.

sznurem nieprzerwanym; wszyscy uchodźcy — głodni, obdarci, szli piechotą, dźwigając znaczne ciężary; kobiety z dziećmi na rękach, czasami niosły po dwoje z nich na plecach.

Obraz nędzy i rozpaczki był przerażający, ogrom nieszczęścia nie do opisania. Droga literalnie zasłana była trupami ludzi i zwierząt, które, gnijąc, zarażały powietrze tak, że na noclegi musieliśmy odchodzić o parę kilometrów w bok od drogi. Od uchodźców dowiedzieliśmy się, że wojna właściwie była już skończona, lecz krwawa rozprawa nie ustaje. Codziennie mnóstwo mężczyzn skazuje na śmierć; wszystkie dziewczęta i młode kobiety wydaje się na pastwę żołnierstwu, a 800 najładniejszych wysłano, jako dar, emirowi Abdurachman-Chanowi. Podpalone wioski płoną do szczętu, pola ulegają tratowaniu końmi, a rozbestwione żołdactwo dopuszcza się najohydniejszych zbrodni. Za uchodźcami wysłano pogoń, która przeszło połowę ich w pień wycięła. Resztkę zdołała ująć w góry, uprowadzając z sobą około 20 rodzin, bliskich krewnych Jusuf-Ali-Sza, jednego z głównych pomocników Seid-Akbar-Sza.

Na głowy tych ludzi Afgańczycy wyznaczyli nagrody, ogłoszwszy, że są oni wyjęci z pod prawa, i każdy może ich zabić. Lecz uchodźcy opiekowali się nimi z tem większą gorliwością.

Wyprawa nasza ze swych skromnych zasobów dzieliła się z emigrantami czem mogła, obdarzając biedaków chlebem, mięsem, gorącą strawą, opatrując rannych i chorych; lecz ogrom ich nędzy był taki, iż pomoc nasza była kroplą w morzu. Poznawszy we mnie oficera, uchodźcy padali na kolana, całowali mą odzież i błagali, bym obronił ich od Afgańczyków. Byliśmy w położeniu, jakiego wyobraźnia Europejczyka wytworzyć sobie nie może. Takie wypadki mogą się zdarzać w Azji, gdzie jeden władca, zajmawszy kraj drugiego, wycina w pień ludność, obracając wszystko w pustynię.

Widząc, że uchodźcy pędzą wprost w ręce Sachib-Nazarowi¹⁾ gdzie ich czeka ograbienie, zabranie kobiet i sprzedaż młodzieży do niewoli, starałem się ich nakłonić, aby wrócili do Szugnanu. Na moje namowy, odpowiedzieli: „Nie znacie Afgańczyków: to zwierzęta krwiożercze! Spalili nasze domy, ograbili nas i wyznaczyli cenę za nasze głowy! Żony nasze zniewalają w naszych oczach, z urąganiem zmuszają nas, byśmy patrzyli na tę hańbę.

¹⁾ Sowremiennoje političeskoje położenie pamińskich chanstw i pogranicznej linii s Kaszmirom. Margelan, str. 23.

Nie! Zatrzymamy się tylko wtedy, kiedy Rosjanie zabronią nam przejścia z bronią w ręku! Wtedy wszystko nam jedno, gdzie umrzemy, albo kto nas zabije“.

Współczując uchodźcom, dałem im list do Sachib-Nazara, prosząc go, w imię naszej przyjaźni, aby miał wzgląd na nieszczęścia uchodźców i przepuścił ich do Fergany. Potem dowiedziałem się, że jednak około 250 rodzin doszło szczęśliwie do Fergany. Ilu wszakże zginęło w drodze, nie wiem.

W tak okropnych warunkach dotarliśmy do wioski Sarez,

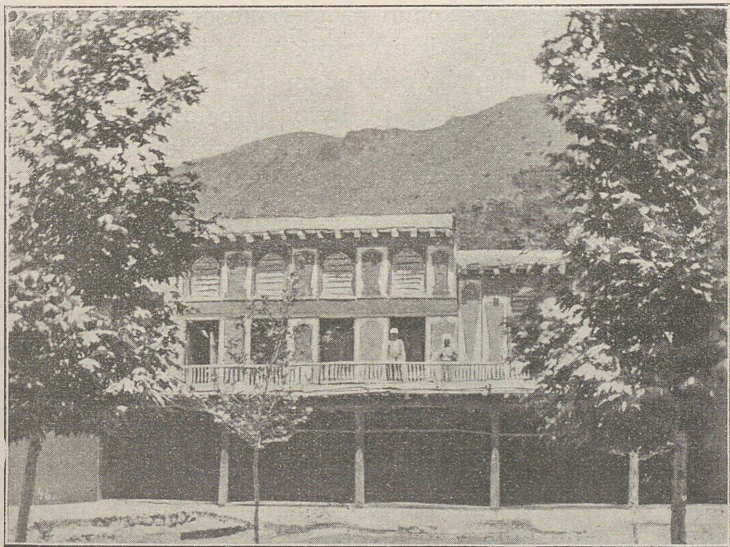


Miasto Kała-i-Chumb, stolica Darwazu, przy zbiegu rzeki Piandż i Chumb-Obu (str. 40).

w Roszanie, dokąd pożoga wojenna nie doszła, i tam mieszkańców znaleźliśmy na miejscu. Tam też dowiedzieliśmy się, że po zdobyciu Kała-i-Wamaru Afgańczycy wojska swe cofnęli do Szugnanu, zarząd zaś Roszanem poruczyli krajowcowi, imieniem Racusz, nadawszy mu tytuł „naiba“ (zastępcy). Ponieważ Kała-i-Wamar leżał w gruzach, przeto Racusz mieszkał w Tasz-Kurganie, i w całym Roszanie nie było już ani jednego Afgańczyka. Krajowcy byli przekonani, że między Rosją a Anglią istnieje umowa, według której Rosja oddała Anglii obszary, leżące na lewym brzegu Piandżu; że zaś Roszan leży na prawym, należą tedy do Rosji.

Wiara w ten traktat wśród Roszańczyków była niezachwiana i zjawienie się Afgańczyków na swej ziemi objaśniali oni tylko tem, że Rosjanie są daleko i nie mogli na czas przybyć, żeby najeźdźców przepędzić. Afgańczycy jednak natychmiast po rozbięciu swego wroga, Seid-Akbar-Sza, sami odeszli.

W związku z tą wiarą, na drugi dzień przyszła do mnie miejscowa starszyzna i przyprowadziła związanego wójta, prosząc, bym go ukarał zato, że zmusza ich do posłuszeństwa tym „duzom“¹⁾ (złoczyńcom) afgańskim.



Urda (pałac) wielkorządcy Darwazu w Kała-i Chumbie
(str. 40).

Naturalnie, wójta uwolniłem, a starszyźnie wyjaśniłem znaczenie przysłowia „Do Boga wysoko — do władz daleko“...

Zastanawiając się nad przyczynami, jakie mogły wywołać tak żywiołową nienawiść do Afgańczyków, przypuszczałem, że źródłem jej mogą być duże podatki, które Afgańczycy nałożyli na podwładne im narody. Tymczasem pokazało się, że, o ile w Szugnanie i w Badachszenie ludność jest przeciążona podatkami, o tyle w Roszanie Afgańczycy nie ścigali absolutnie żadnych

¹⁾ Ibid, str. 24.

podatków, z wyjątkiem wioski Basit, która za prawo przemywania złota w rzece Bartang (nazwa rzeki Ak-su—Murg-Ob—w zachodniej części) płaciła 260 „tili“ (złota moneta — wartości 4 rubli). Nienawiść zatem do Afgańczyków wynikała z innych, głębszych, bo moralnych powodów.

Wioska Sarez obecnie nie istnieje. W 1911 roku, wskutek trzęsienia ziemi, osunęła się góra, zasypując koryto rzeki Murg-Ob, poniżej wioski Sarez. Tama, która tam powstała, spowodowała podniesienie się poziomu wody w rzece, i w dolinie utworzyło się jezioro na 27 kilometrów długie i na paręset metrów głębokie. Wioska leży podobno na głębokości 700 stóp pod wodą. Typy Roszańczyków znajdzie czytelnik na załączonych fotografiach.

Z powodu wycofania wojsk afgańskich z Roszanu, dłuższe przebywanie moje w tym kraju było bezcelowe; dlatego, przeprawiwszy się przez rzekę Murg-Ob na lewy jej brzeg, ruszyłem w górę rzeczki Mardżanaj (lewego dopływu Murg-Oba) i przez przełęcz Mardżanaj (koralowa, 4849 m. n. p. m.) spuściliśmy się na Aliczur-Pamir, w dolinę jeziora Jaszyl-Kul (jezioro zielone); postój nasz wypadł w miejscowości Czyrzak (4055 m. n. p. m.), gdzie po 6 dniach po raz pierwszy znaleźliśmy trawę.

Droga była bardzo trudna, przedewszystkiem zaś mozolne przeprawy wplaw przez rzekę Murg-Ob¹⁾. Pomimo drugiej połowy sierpnia, t. j. pomimo, że wiosenne i letnie wylewy się skończyły, jednak poziom wody w rzece był bardzo wysoki i prąd nadzwyczaj silny. Juki swe przeprawialiśmy na tratwach, powiązanych z gupsarów: choć znacznie podmoczone, przepłynęły one jednak szczęśliwie. Gorzej było z nami; przeprawiać się na tratwach było niepodobna: prąd kręcił nimi jak wiórami; nadto ogromne fale rzeki, unosząc się nad niewidzialnymi pod wodą przczskodami, tak przechylały tratwy, że juki, mocno przywiązane, jeszcze jako tako się trzymały, lecz, gdyby na nich siedział człowiek, musiałby być obdarzony małpią zręcznością, aby się nie zsunął ze skaczącej powierzchni tratwy. Przeprawialiśmy się więc konno; że zaś konie mieliśmy zdrożone i wycieńczone głodem, gdyż w ciągu ostatnich kilku dni ździebełka trawy nie było po drodze, tak ją stratowali emigranci, przeto dla ulżenia koniom podwiązywaliśmy im pod brzuchami tursuki, aby je podtrzymywały w wodzie. Cała sztuka polegała na tem, żeby tursuki podwiązać w ten sposób, by

¹⁾ Zapiski Ces. Ros. Tow. Geograf., t. XXV z roku 1889, str. 426.

z wody wystawał przód konia. Jeżeli w wodzie sznury się rozluźniły, i siła prądu zsunęła tursuki z pod piersi pod brzuch, wtedy katastrofa była nieunikniona: tursuki unosiły zad konia nad powierzchnię wody, pomagając w ten sposób zatopieniu jego łba. Tak właśnie straciliśmy jednego konia kozackiego, jeździec zaś nie utonął jedynie dzięki własnemu sprytowi: w ostatniej chwili, kiedy prąd przewrócił konia na bok, udało mu się ześlizgnąć z siodła na wystający z wody zad konia, wyrwać rozluźniony tursuk i z jego pomocą dotrzeć do brzegu w pełnym rynsztunku.

Ja zaś na swym siwku ¹⁾, który, jak i jego pan, widział wszystko na świecie i na wszystko patrzył spokojnie, przeprowiłem się szczęśliwie, nie musztrując go, nie ściągając lejc i ani na chwilę nie zmieniając położenia ciała, do jakiego koń odrazu się przystosował, płynąc. Nie forsowałem go również kierowaniem gwałtownem do brzegu, lecz dałem folgę jego własnej przemyślności, wierząc, że on, jak i ja, nie chce się utopić w Murg-Obie.

Niepodobna jest opisać uczucia, jakie ogarnia człowieka

wśród wody, która się pieni, wiruje, huczy i pędzi z taką szybkością, że w oczach się mąci²⁾. Pamiętam tylko, że za każdym razem traciłem oddech (jak się go traci na huśtawce, która opada nadół) w chwili, kiedy znajdowaliśmy się na wierzchu fali, przelatującej nad jakimś niewidzialnym głazem. Na sekundę mój siwek wyłaniał się z wody do połowy ciała; widziałem wyraźnie z obydwóch stron sterczące tursuki, poczem spadaliśmy w otchłań;



Wielkorządca Darwazu, z ramienia emira Buchary, Szyraz - Ali - Bek (str. 41).

1) Siwek niósł mię w podróży do Kandzutu; wrócił szczęśliwie i z tej podróży i był u mnie na łaskawym chlebie.

2) W Kała-i-Chumbie siła prądu wynosiła 15—16 kilometrów u brzegu. Tutaj w górach musiała być znacznie większa z powodu większego spadku.

czułem za kołnierzem i na twarzy zimną wodę i obfitość brudnej piany i wnet znowu dostrzegąłem nad wodą tylko niewielki łeb siwka, z nastroszonymi uszami i z rozwartymi chrapami, powoli, lecz stale zbliżający się do brzegu. Nadmienię jeszcze, że przeprowiałem się, jak wszyscy, w pełnym rynsztunku, mając za plecami ciężką (14-funtową) trzechrurkę, na biodrach pas z ładunkami, a w trokach za siodłem trzy chronometry w drewnianych pudełkach, ze sprężynowem podłożem, ułożone w gutaperkowym worku i zawinięte jeszcze w kaukaską burkę, z którą się nigdy nie rozstawałem. Woda była zimna, poniżej $+11^{\circ}\text{C}$, i ciało kostniało w czasie przeprawy.

VI.

NA ALICZUR-PAMIRZE. MISJA MASTONA.
W DOLINIE RZEKI GUNT. JEZIORO JASZYL-KUL.
PSTRĄGI. FLORA. ZWIERZOSTAN PAMIRÓW.

Na Aliczur-Pamirze znaleźliśmy się w strefie neutralnej między afgańskimi forpocztami na zachodzie (wzdłuż rzeki Piandżu) a chińskimi na wschodzie (wzdłuż zboczy gór sarykolskich). Pamiry były wtedy bezpańskie, gdyż Rosja, która, jako spadkobierczyni chana Kokandy jedynie miała prawo do Pamirów, milczała, dwa zaś sąsiednie mocarstwa nie mogły się porozumieć w sprawie ich zajęcia, trzymały forpoczty na właściwych granicach, lecz od czasu do czasu posyłały oddziały wojskowe, w celu zlustrowania całego tego obszaru.

Kirgizi pamirscy, właściwi gospodarze kraju, bojąc się wpaść w sferę zawieruchy wojennej, przekoczyli za chińskie lub afgańskie kordony, zależnie od tego, dokąd ich ciągnęły związki rodowe czy sprawy gospodarcze, na olbrzymim zaś obszarze, obejmującym trzy płaskowzgórza pamirskie: Aliczur, Wielki i Mały Pamiry, na przestrzeni około 27 000 kilometrów kwadr., nie było nikogo.

Do brzegów Jaszyl-Kulu dotarliśmy 24 sierpnia. Odszukawszy ukrytą trawiastą dolinę, rozłożyłem obóz i zaraz o przybyciu swem zawiadomiłem wodza naczelnego armji afgańskiej, zapytując, czy nie otrzymał odpowiedzi od emira Abdurachman-Chana w sprawie przepuszczenia mię do Kafiristanu, oraz uprzedzając go, że będę czekał na odpowiedź choćby cały rok. Chciałem bowiem zalegalizować swój pobyt w bliskości granic Afganistanu,

gdyż właśnie przylegająca do nich zachodnia część Pamirów była zupełnie nieznaną i przedstawiała obszerne pole do badań.

List odesłałem przez Mastona; chociaż nakazałem mu przynieść odpowiedź, byłem jednak przekonany, że nie wróci, odpowiedź zaś przyśle przez jakiego Szugnańczyka. Na jego miejscu sambym tak postąpił. Najbliższą drogą do Kała-i-Bar-Piandżu była rzeka Gunt, wypływająca z zachodniego końca jeziora Jaszyl-Kul i wpadająca do rzeki Piandż, naprzeciw Kała-i-Bar-Piandżu; odprowadziłem tam Mastona, chcąc określić położenie jeziora i charakter rzeki Gunt. Lecz niepodobna było iść doliną wdół rzeki, wszędzie bowiem leżało mnóstwo trupów, ogryzionych przez dzikie zwierzęta i drapieżne ptactwo.

Potem dowiedziałem się, że ogromna partja uchodźców z Szugnanu przeszła doliną Guntu na Aliczur, uciekając na Sary-Kol, gdzie zamierzali oni osiedlić się wśród ziomeków swych, Tadżyków. Miejscowe jednak władze chińskie pod rozmaitemi pozorami zatrzymały uchodźców w dolinie Aliczuru do chwili przybycia tam naczelnika całej pogranicznej linii, generała Dżana, z konną lanżą; Chińczyk ten popędził uchodźców zpowrotem w dolinę Guntu i uprzedził o tem Afgańczyków, którzy wymordowali nieszczęsnych uchodźców co do jednego, zostawiając wszędzie stopy trupów na pożarcie dzikim zwierzętom, co jest największym pohańbieniem dla muzułman.

Charakter rzeki Gunt, która biegnie wodospadami wśród ogromnych zwałów i odłamów skalnych, dowodzi, że jezioro Jaszyl-Kul powstało przed laty mniej więcej w takich samych warunkach, w jakich obecnie powstało jezioro na miejscu wioski Sarez, której fotografię załączam dalej. Jestem przekonany, że, gdyby oczyścić koryto rzeki Gunt, jezioro spłynęłoby do Piandżu, wylaniając dolinę rzeki Aliczur.

Mniemanie moje znajduje potwierdzenie w miejscowem podaniu ¹⁾, które głosi, że przed laty, na miejscu, gdzie teraz jest jezioro, stało bogate, handlowe miasto, którego mieszkańcy pograżyli się w rozpuszcie i grzechach. W wigilję święta „Chait“ do miasta przybył pielgrzym, obszedł wszystkie domy, prosząc o przytułek, lecz wszędzie mu odmówiono. Pielgrzym już chciał opuścić miasto, gdy ujrzał domek, stojący na uboczu i należący do biednej

¹⁾ Zapiski Ces. Rasyjsk. Tcw. Geograficznego t. XXVII z r. 1891, str. 107

staruszki-wdowy. Zastukał więc, prosząc o gościnę. Staruszka nie tylko przyjęła go na nocleg, lecz zabiła jedyną kozę, jaką miała, i ugościła pielgrzyma. Nazajutrz, w święty dzień „chait'a“, pielgrzym kazał staruszce zobaczyć, co się dzieje w mieście. Kiedy wyrzała za wrota, z przerażeniem stwierdziła, że miasto zniknęło; na miejscu bogatego rynku i domów—wszędzie woda, tylko dom jej stoi na skrawku łądu, wąskim przesmykiem połączony z brzegiem. Kiedy staruszka śpiesznie wróciła do domu, żeby zawiadomić o wypadku pielgrzyma, już go nie zastała: znikł bez śladu. Przesmyk, o którym mowa, istnieje dotychczas, znajduje się we wschodniej części jeziora i dotąd nosi nazwę Czuku-Kampyr (czuku — przyładek, kampyr — staruszka).

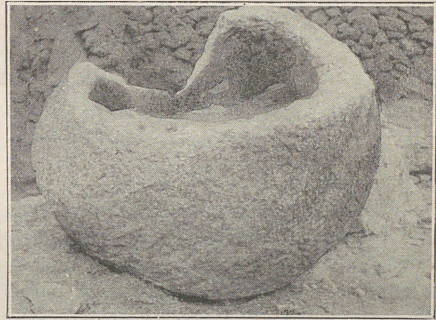
Naiwne to podanie, wytwór fantazji dzikich koczowników z odległych Pamirów, z ciekawia dlatego, że jest nieco podobne do legendy biblijnej o Sodomie i Gomorze.

Mówiąc o Aliczurze, nazywam go ciągle Pamirem, lecz nie jest to miano ścisłe. Właściwie Pamirem krajowcy zowią tylko dolinę jeziora Zur-Kul (Wielkiego jeziora, czyli Wiktorji, które jest mniejsze od Jaszyl-Kulu, lecz nazwę mogło otrzymać wówczas, kiedy Jaszyl-Kulu jeszcze nie było).

Resztę zaś dolin nazywają podług nazw rzek, a więc Aliczur, Ak-Su, Wachan, albo Kiczyc-Pamir.

Słowo Pamir w języku tiurkским oznacza wysokie, trawiaste płaskowzgórze¹⁾, przeto geograficznie w ten sposób określają trzy, o jednakowym charakterze, równoległe doliny, leżące na wspomnianych obszarach.

Średnia wysokość tych dolin wynosi 3 700 — 4 000 metrów nad poziomem morza, wysokość zaś łańcuchów górskich: Aliczurskiego, Pamirskiego, Wachańskiego, które tworzą te doliny, przewyższa je zaledwie o 1 600 — 2 000 metrów.



Starożytna czara kamienna do ofiar ludzkich, wyjęta z muru bramy wjazdowej do Kała-i-Chumbu (str. 42).

¹⁾ Kirgiz z Tian-Szania, mówiąc o Susamyrze, t. j. źródłach Syrdarji, zawsze nazywa tę miejscowość „Pamir“, chcąc przez to zaznaczyć, że jest to wysokie, trawiaste płaskowzgórze bezleśne.

Jezioro Jaszyl-Kul ma około 37 kilometrów długości, przy 6—7 klm. szerokości. Ponieważ wszystkie trzy doliny Pamirów mają spadek ze wschodu na zachód, przeto jezioro jest głębsze w stronie zachodniej, płytkie zaś we wschodniej. Nie mając łódki, nie mogłem zmierzyć jego głębokości, lecz Kirgizi mówili mi, że pewnego razu, na wiosnę, pod oswojonym jakim (Bos grunniens), który z ładunkiem mąki przechodził przez jezioro, łódź się załamała, i jak wpadł do wody. Ponieważ zdarzyło się to na przednówku, i mąki można było dostać chyba o setki kilometrów, w Kaszgarji, przeto Kirgizi postanowili bezwarunkowo wydobyć z wody tę mąkę. Przywieziono wiele powrozów i, przymocowawszy do sznurów haki, poczęto wiązać jeden powrót do drugiego, chcąc hakiem dosięgnąć dna jeziora i wyłowić stratę. Ale powrozów nie wystarczyło, i dna nie dosięgnięto.

W części wschodniej do jeziora wpada rzeczka Aliczur, która płynie ze wschodu na zachód, bardzo krętymi zygzakami, po łące błotnistej i pokrytej wspaniałą trawą. Zbocza górskie doliny Aliczur również są porośnięte dobrą trawą, tworząc ogromne pastwiska ¹⁾.

¹⁾ W miejscowości Summa-Tasz, o 15—20 kilometrów powyżej jeziora, nad brzegiem rzeki, w trzy lata później (w 1902 r.), mieliśmy ciężkie przejście. Rosja ocknęła się wtedy i, postanowiwszy wyzyskać swe prawa do Pamirów, posłała oddział wojska w celu dosadnego zaakcentowania, że kraj ten do niej należy. Naczelnik oddziału miał rozkaz unikania bezwarunkowo starcia zbrojnego. Mnie polecono objąć Pamiry w posiadanie Rosji, zaprowadzić administrację i wcielić ten kraj do powiatu oszańskiego, którego byłem naczelnikiem.

W dolinie Ak-Su dowiedzieliśmy się, że Afgańczycy skorzystali z faktu, iż na Pamirach nie było niczyjej władzy, i na Summa-Taszu umieścili swój posterunek, złożony z kilkunastu ludzi i z jednego oficera. Naczelnik wyprawy, pułkownik Jonow, człowiek zacny i spokojny, listownie zażądał od Afgańczyków, aby natychmiast opuścili nieprawnie zajęty przez siebie Aliczur, gdyż w przeciwnym razie będzie zmuszony usunąć ich siłą. Oficer afgański odpowiedział, że posterunek zajął z polecenia swej władzy i opuści go tylko po otrzymaniu odpowiedniego od niej rozkazu. Znając waleczność Afgańczyków, łatwo było przewidzieć, że krwawe starcie nastąpi nieodwołalnie. Chcąc go uniknąć, Jonow ponownie wysłał pismo, uprzedzając w niem, że oddział rosyjski rusza z miejsca i wskutek swej liczebnej przewagi niechybnie zniesie posterunek, żeby więc uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, jeszcze raz radzi Afgańczykom ustąpić.

Przybywszy na Summa-Tasz, zastaliśmy posterunek afgański, stojący w pełnym rynsztunku na wysokim brzegu rzeki Aliczur. Podszedłszy bliżej, Jonow naprzód posłał tłumacza z poleceniem namówienia oficera afgańskiego do ustąpienia, gdyż Aliczur stanowi własność Rosji. Rozpoczęły się układy,

Pstrągów w rzeczkach Pamirów jest nieobliczalne mnóstwo. Siatki nie miałem; lecz kozacy, zawiązawszy nogawice letnich spodni, ciągnęli je pod wodę, jak sieć, i w parę minut wydobywali napełnione rybami. Niedźwiedzie łowią pstrągi, siadając przy brzegu rzeki, na zakręcie: zmaciwszy wodę, łapami ją wyrzucają poza siebie wraz z rybami, które padają opodal na trawę. Wyrzuciwszy z wody kilka pstrągów, niedźwiedź je zjada i powraca do pracy. Scenę taką zdarzyło mi się obserwować właśnie na Aliczurze, co opowiedziałem w innym miejscu.

Kirgizi nie jedzą i nie łowią ryb. Pstrągi nazywają oni bałyk (ryba), chociaż Sartowie Fergany odróżniają już ich rodzaje (z większemi lub mniejszemi czerwonymi centkami na skórze), zwąc je: sułtan i maryn. Pstrągi pamińskie są wyborne. Gotowaliśmy je, obcinając głowy i odrzucając ikrę, ponieważ Kirgizi zapewniali nas, że to trucizna. Osobiście nie mogłem tego sprawdzić, gdyż nie chciałem robić prób z psami, które przybłąkały się w drodze, porzuciwszy spotykane przez nas auly, i strzegły nas w nocy przed wszelkimi szkodnikami. Mnóstwo ryb musi być i w jeziorach,

w trakcie których Rosjanie podeszli na 10 kroków do Afgańczyków. Naczelnik posterunku, kapitan Gulzor-Chan, z zapalem dowodził, że ani opuścić posterunku, ani poddać się nie może, ponieważ by się zhańbił.

Wtedy Jonow dał rozkaz, by kozacy rzucili się bez strzału na Afgańczyków i wyrwali im broń. Lecz skoro tylko kozacy ruszyli z miejsca, kapitan Gulzor-Chan strzelił do Jonowa z pistoletu tak zbliiska, że ten tylko cudem uszedł śmierci. Wtedy kozak, stojący z boku, strzelił do Gulzor-Chana, który, zatrzepotawszy rękoma, upadł nawznak ze strzaskaną głową. Afgańczycy szybko zbiegli nadół, do jurt, stojących na brzegu rzeki, i z nich rozpoczęli ogień, raniąc jednego kozaka w nogę. Wówczas i kozacy dali parę salw w stronę jurt, i posterunek afgański został zniesiony. Ile pamiętam, zginęło 17 Afgańczyków.

Według regulaminu, obowiązującego w armji rosyjskiej, o utarczce, tem bardziej zaś o poranieniu kozaka, należało natychmiast telegraficznie donieść cesarzowi. Otóż na depeszy tej Aleksander III, którego Rosjanie zwali „miłośnikiem pokoju“ (Mirolubiec), napisał następującą rezolucję: „nie za wadzi czasami dać łotrom nauczkę“ (izriedka mierzawcew prouczyt' nie mieszajet).

Przykre to zajście, w którym zginęło kilkunastu ludzi, przytoczyłem dla charakterystyki Afgańczyków i ich waleczności. Teraz, gdy piszę tę książkę, wpadła mi w ręce broszura o Pamirach, wydana przez jednego z komisarzy rządu bolszewickiego, który nadaje duże znaczenie „bezludnym“ Pamirów z powodu ich położenia strategicznego. Broszurę zdobią fotografie widoków z Pamirów, między niemi wspaniały (jak na miejscowe warunki) grobowiec nad mogiłą poległych Afgańczyków, wystawiony staraniem rządu afgańskiego w Szugnanie.

jeżeli sądzić o tem z ilości drapieżnego ptactwa, które ciągle się nad niemi unosi; o obfitości ryb nawet w małych jeziorkach, które przy tamtejszych mrozach mogą wymarzać, można wnioskować z tego, że w rzece, wpadającej do jeziora Bulun-Kul (na południe od Jaszyl-Kulu), kozacy, brodząc ze starym podziurawionym workiem zamiast siatki, w ciągu godziny złowili około 40 kg. doskonałych pstrągów¹⁾.

Zbocza gór i doliny pokryte są miękką, zieloną trawą, wśród której na miejscach błotnistych lub bliżej wody występuje turzyca (*Carex physodes*) i gęsto rosnąca jakaś cebula. Niemniej często trafiają się rozmaite gatunki kostrzewy (*Festuca*) i wilczego ziela (*Reubarbarum*), niezapominajki, podróżniki (*Leontodon taraxacum*), niewysokie *Scabiosae* i rzadkie motylkowe (*Papilionaceae*). Flora ta jest powszechna na całym płaskowzgórzu pamirskiem. Drzew i krzaków na Pamirach niema zupełnie, i za opał służy mierzwa dzikich zwierząt, którą zbiera się z wielkim trudem, lecz która daje dużo ciepła. Pierwsze zarośla wierzby i tamaryszku występują na brzegach rzeki Murg-Ob dopiero na wysokości 3 200—3 300 metrów n. p. m. W dolinach rzek Pamiru Południowego: Wachan Darji, Wachdżyru i Dangnyn-Baszu, szczególnie w miejscach, osłoniętych górami od wiatrów północnych, zarośla wierzby pełzającej zjawiają się już na wysokości 3 700 m. n. p. m.

Pomimo trudnych warunków klimatycznych i ogromnej wysokości terenu n. p. m., zwierzostan Pamirów jest bogaty, a czasami jedyny na świecie. Mam tu na myśli dzikie barany (*Ovis Poli*), które krajowcy, w odróżnieniu od innych dzikich baranów (*Ovis Carelini*, nachurów i t. d.) nazywają „guldza“. Są to wysokie, wspaniałe zwierzęta, z ogromnemi rogami, zakreconemi często 1½ raza, ważącemi do 100 funtów. Mięso ich jest wyborne, a lekkiego, lecz bardzo ciepłego futra z nich Kirgizi używają na tak zwane „małachaje“, śpiczaste czapki zimowe, z długimi kłapami z tyłu i z boków, które zakrywają szyję, uszy i spadają nisko na plecy.

Ogromne cmentarzyska, zasiane kośćmi i rogami, świadczą, że w odległej przeszłości barany *Ovis Poli* żyły na Pamirach ogromnemi stadami. Teraz jest ich znacznie mniej, i trudno jest spotkać stado ze 100 — 150 sztuk. Osobiście spotkałem duże ich stado na przełęczy między dwoma masywami górskimi: Muz-

¹⁾ Zapiski Ces. Ros. Tow. Geograf. t. XXVII z r. 1891, str. 106.

Tag-Ata i Czarkum. Zwierzęta te są nader czujne, trzymają się niedostępnych wyżyn i wbiegają na nie z nieporównaną lekkością. Objeżdżając z kolei prawie wszystkie doliny Pamirów, czasami na łąkach widziałem mierzwę Ovis Poli, lecz nie zdarzyło mi się spotkać samych baranów, skąd wnoszę, że zwierzęta te schodzą nadół w wyjątkowych razach i wolą przebywać stale na wysokości 16 000 stóp i wyżej, gdzie dostać się do nich jest bardzo trudno. Nadzwyczaj ciekawy jest fakt, że Ovis Poli żyje wyłącznie w granicach Pamirów i nigdzie więcej na całym świecie nie występuje. Opisał je pierwszy znakomity podróżnik wenecki, Marco Polo, i na jego cześć potem barany te otrzymały nazwę Ovis Poli. Królewską tę zwierzynę tępią zawzięcie nie tylko myśliwi Kirgizi, którzy polują na nią w ciągu całego roku i przytem chętniej biją samki, niż samców, gdyż mięso samek jest delikatniejsze, lecz całe stada ich niszczą również wilki, które, według opowiadań Kirgizów, zbierają się na takie obławy w ogromnej ilości i prowadzą je planowo, w ciągu kilku dni, goniąc stada baranów często na ogromne przestrzenie. W takich warunkach ilość Ovis Poli bardzo się zmniejsza. Z obserwacji osobistych nadmienię, że, kiedy pierwszy raz w r. 1876 byłem na jeziorze Wielki Kara-Kul, spotykałem tam stada po 700 — 800 sztuk. W 15 — 18 lat później, będąc naczelnikiem powiatu oszańskiego, w granicach którego leżały wspomniane obszary, korzystałem z każdego swego objazdu, aby w ciągu paru dni zapolować na Ovis Poli: musiałem wtedy dobrze szukać baranów wśród lodowców niebotycznych



Wódz naczelny wojsk bucharskich w Darwazie (Tadżyk). Z lewej strony osobisty adjutant jego; z prawej dowódca pułku piechoty bucharskiej, stojącego załogą w Kała-i-Chumbie. Obaj Uzbekcy (Kirgizi) (str. 43).

szczytów Gurumdy lub Kaufmana, i stadek, liczących nad 50 — 60 sztuk, nie widziałem. Rozpowszechnienie wśród Kirgizów nowoczesnej broni przyspieszy jeszcze bardziej proces zanikania *Ovis Poli*, i zapewne już niedługo śliczne to zwierzę zginie zupełnie.

W górach Zaałajskich zdarzało mi się parę razy spotkać gatunek *Ovis Carelini*, pokrewny baranom *Ovis Poli*, lecz dalej na Pamirach baranów tych niema. Oczywiście, *Ovis Carelini* przeszły z gór Tian-Szan, gdzie żyją stale.

Niedźwiedzi na Pamirach spotykałem aż trzy gatunki, lecz miękkie zbocza gór, brak lasów i zarośli nie sprzyjają ich lęgowi, i dlatego zjawiają się one tam sporadycznie, zwabione nawet zdaleka obfitym żerem ryb i świstaków; ale legowisk, gdzieby się niedźwiedzie układały na zimową śpiaczkę, ani niedźwiedzic z mami na właściwych Pamirach nie spotykałem.

Najczęściej trafia się *Ursus isabellinus* Horsfield. Jest to ogromny niedźwiedź z gór Himalajskich, pokryty szerścią jasnożółtą, zwierzę silne i złośliwe, z zamiłowaniem i z wielkim nakładem pracy polujące na świstaki. Raz miałem sposobność obserwować przebieg takiej pracy od początku do końca. Było to w dolinie jeziora Zur-Kul (Wiktorji). Jechałem z jednym tylko kozakiem, robiąc zdjęcia topograficzne doliny, gdy nagle zauważyłem silne zaniepokojenie wśród licznych grup świstaków, które, wydając przeraźliwe, ostrzegawcze świsty, zmykały na łeb, na szyję, chroniąc się do nor, gdzie który mógł. Widząc, że nie ja jestem przyczyną trwogi, bo niektóre grupy uciekały w moją stronę, domyśliłem się, że zbliża się jakiś wróg silny i straszliwy; cofnęliśmy więc konie za zbocza najbliższej skały, pilnie obserwując dolinę. Po chwili zauważyłem niedźwiedzia, który wysunął się z bocznej doliny i, kiwając się i mrużąc, podążał drobnym kłusem w naszą stronę, obwąchując wszystkie nory świstaków, tych zaś było mróstwo po słonecznej stronie każdego pagórka. Przygotowałem się do strzału. Naraz Miś się zatrzymał; począł wsuwać pysk do kilku norek, silnie wciągając powietrze i za każdym razem hukając, jakby w zamiarze straszenia ich mieszkańców. Potem obejrzał pagórek, jakby zastanawiając się, czy grunt jest odpowiedni, i wybrawszy miękkie zbocze, gdzie widać było kilka norek blisko jedną od drugiej, począł rozkopywać dzielącą je ziemię, robiąc jedną ogromną norę. Miś wkopywał się w ziemię w odległości jakich 100—120 kroków ode mnie, że zaś silny wiatr wiał ku mnie od niego, przeto nie czuł on mię, i mogłem go

obserwować, widząc gołym okiem każdy jego ruch, każdą zmianę jego nastroju. Niedźwiedź pracował rzetelnie całą siłą swych potężnych mięśni, to też nora rosła w oczach. Nagle praca stanęła. Miś kręcił się w norze, coś grzebał, ale ziemi nie wyrzucał. Przyjrawszy się lepiej, dostrzegłem, że w norze leży dosyć duży szary kamień, pod który wbiegały norki i któremu Miś nie mógł podołać. Wylazł z nory zawstydzony, zły i położył się przy wejściu do niej, nasłuchując, czy nie wysunie się który z mieszkańców. Obmyśliwszy jednak nowy plan pracy, wlaźł znowu do nory i począł gorliwie odgrzebywać ziemię zboku kamienia. Potem oparł się o kamień plecami, a łapami o zbocza nory i począł kamień wypychać z ziemi. Wkrótce kamień ustąpił, Miś z wielkim trudem wytoczył go z nory i dostał się do najgłębszych galeryj, gdzie świstaki urządzają sobie leże do zimowej spiączki. Krzyki świstaków dowodziły, że niedźwiedź trafił już do nich. Chciałem stanąć w obronie słabszych, lecz, wzięwszy pod uwagę spryt Misia i jego ogromną pracę, głównie zaś fakt, że skóra niedźwiedzia była w pełni letniego lenienia i dla mnie nie przedstawiała żadnej wartości, pozostawiłem wszystko swemu losowi i poszedłem dalej, zrozumiałwszy pochodzenie głębokich jam, które spotykałem nieraz, lecz których znaczenia nie mogłem odgadnąć.

Drugi rodzaj niedźwiedzia to *Ursus Leuconyx*, żyjący stale w górach Tian-Szan, skąd przedostał się na Pamiry, oraz w góry Kaszgarskie. Jest on mniejszy od himalajskiego, o szerści ciemnoburej i z białawą szyją; łapy ma długie, z białymi, niezginającymi się pazurami. Wreszcie rodzaj trzeci — jeszcze mniejszy — to niedźwiedź tybetański. Jest on zupełnie czarny, z piersią mlecznej białości i z taką obrożą na szyi, w kształcie półksiężyca. Przy spotkaniu z człowiekiem niedźwiedzie te odruchowo zdradzają skłonność do odwrotu, lecz, gdy są głodne, podrażnione albo ranione, atakują z nadzwyczajną wściekłością. Dlatego też krajowcy ze swemi lontówkami unikają z nimi spotkania. Zamieszkuje on Himalaje może w ciągu kilku pokoleń, przenosząc się wzdłuż tego pasma górskiego, nim wreszcie wydobędzie się na Pamiry, gdzie w lecie ma niezwykłą obfitość wszelkiego pożywienia. Ludzi się nie boi. Chodzi chętnie nocą, nietylko myszkując w bliskości obozu, lecz czasami dokonywając rewizyj wśród odpadków kuchennych w samym obozie.

Lisów na Pamirach jest dużo, lecz tylko w lecie. Dokąd wędrują się na zimę, nie wiem; gdy spadł śnieg, i świstaki udały

się na zimową śpiączkę, nigdzie już nie widziałem śladów lisich na śniegu. Mnie udało się zdobyć lisy dwóch rodzajów: czerwono-burego (*Canis vulpes*) i stepowego siwawego, karagana (*Canis melanotus*). Skórki obydwóch rodzajów stanowią ożywiony przedmiot handlu, gdyż Chińczycy w Kaszgarji chętnie je wykupują. Kirgizi polują na nie tylko z łowczemi birkutami, które przy dobrej tresurze i znacznej ilości zwierza dają właścicielom znaczne dochody. Widziałem jurty, gdzie na świeżem powietrzu wisiało do 30 skórek lisich, odwróconych szerszcją nawewnątrz. Poza tem raz udało mi się zdobyć czarno-burego lisa, który trzymał się tak blisko stadka *Ovis Poli*, że przez chwilę nie mogłem się zdecydować, do czego mam strzelać. Wybrałem lisa, gdyż mi się zdawało, że zdobędę nowy jego rodzaj. I rzeczywiście, skórka była bardzo cenna, lecz zepsuła się wskutek niedbalstwa preparatora, który ją źle obrobił i na czas nie przewietrzył.

Wilków (*Canis lupus sp.*) jest wiele, lecz żyją małemi stadkami, złożonemi z 5 — 6 sztuk i, mając dużo pożywienia, stronią od ludzi. Lecz w zimie zmienia się postać rzeczy, gdy głód zmusza je do skupiania się w ogromne stada po kilkaset sztuk; wtedy wyprawiają krwawe polowania na *Ovis Poli* i stają się niebezpieczne i dla trzód aulów.

Bardzo pospolity na Pamirze jest zając (*Lepus Lachmani Sw.*) Jest to zajączek bardzo drobny, ale zato w niektórych miejscowościach spotyka go się literalnie na każdym kroku: wyskakuje on z pod każdej kępki, z pod każdego kamienia. Do takich miejscowości należy naprzykład przełęcz Chargusz (zajęcza) 4 469 mtr. nad p. m. między jeziorem Jaszyl-Kul a rzeką Pamir, wypływającą z jeziora Zur-Kul (Wiktorja) w dolinie Wielkiego Pamiru. Tam jest ich tak wiele, że dosyć było krzyknąć, a wnet kilka ich wyskakiwało z rozmaitych miejsc, co sprawiało ogromną uciechę członkom mej wyprawy, którzy, wznosząc okrzyki, płoszyli dziesiątki zajączków, uciekających w rozmaite strony.

Lecz najwięcej jest na Pamirach świstaków (*Arctomys caudatus*). To ich królestwo. I zaiste trudnoby było znaleźć trawiaste zbocze albo pagórek, niepodziurawione nawskroś norami świstaków, które grupami po 15 — 20 sztuk, dorosłe i małe żerują na łące, wygrzebują korzonki lub grzeją się na słońcu pod czujną opieką prowodyra, co, stojąc słupkiem, bacznie rozgląda się po okolicy i przeraźliwym świstem przestrzega rodzinę o zbliżającym się niebezpieczeństwie. A wrogów, czyhających na tłuste mięso

świstaków, jest bardzo wiele. Pomijając już brutalne łowy niedźwiedzi, podczas których ginie cała rodzina, należy stwierdzić, że na świstaki, jako na stosunkowo łatwą i pożywną zdobycz, poluje wszystko, co żywi się mięsem. Zjadają ich dużo psy kirgiskie, którym płodzić się nikt nie przeszkadza, lecz których potem nikt i niczem nie karmi: troskę o zaspokojenie głodu pozostawia się ich własnej przemyślności. Lecz bodaj największą krzywdę tym zwierzętom wyrządzają drapieżniki, szybujące w powietrzu i, jak kula, spadające stamtąd na świstaka, który się zagapił. Świstaki uzbrojone są w długie, ostre pazury i w duże zęby, ustawione tak, jak zęby zajęcze. Bronią się one z wściekłą zaciętością pazurami i zębami, przewróciwszy się nawznak. O zaciekłości obrony można sądzić po śladach ciężkich ran, jakie noszą niemal wszystkie psy kirgiskie, zmuszone polować na świstaki, aby utrzymać się przy życiu. Niejednokrotnie widziałem, jak ogromne pamińskie orły-brodacze, ptaki potężne, które swobodnie unoszą w powietrzu nietylko barana, lecz podobno i rocznego cielaka, i w locie rzucają się na uciekającego świstaka, zataczały koło i siadały na uboczu, jeżeli świstak zdążył był przewrócić się nawznak i przygotować do obrony. Zdarzało się, że świstak, uciekając, chronił się do fałszywej nory, t. j. nie mającej połączenia wewnętrznego. Wtedy łatwo go było dosięgnąć kijem, a podrażnione zwierzętko z taką zaciętością chwyciło zębami za kij, że już oderwać się od niego nie mogło, i na kiju udawało się wyciągnąć świstaka z nory. Muzułmanie świstaków nie jedzą, jak wogóle żadnych zwierząt, mających pazury, albo i ptaków z zakrzywionymi dziobami; skórek zaś używają niechętnie, gdyż są bardzo przetłuszczone, a Kirgizi nie umieją ich odtłuszczać. Duży świstak latem, gdy się odkarmi po zimowej głodówce, waży 15 — 20 kilo.



Oficer piechoty bucharskiej w Darwazie. Za nim jego służący (str. 43).

Z większych ssaków, o jakich jeszcze nie mówiłem, żyją tamkozy, które Kirgizi nazywają kiik. Lecz te trzymają się przeważnie skalistych wyżyn gór i w doliny, na łąki zupełnie nie schodzą. Z drapieżnych kotów wyróżnia się wspaniały irbis (*Felis uncia*), który przebywa w bliskości pastwisk baranich i żywi się tem, co upoluje wśród kóz i baranów, nie gardząc też świstakami. Gadów na Pamirach nie spotykałem, a z płazów zauważyłem ropuchę poplamicę (*Bufo variabilis*) i szarawą żabę (*Rana temporaria*).

W dolinie Gunta, prawie przy ujściu rzeczki Tokuz-Bułak, zabiłem jeżozwierza¹⁾, egzemplarz ciekawy z tego powodu, że zdobyłem go w miejscowości, leżącej na wysokości 3 567 m. n. p. m., na jakiej, o ile wiem, dotąd nie znajdowano tego rodzaju.

O ptakach już mówiłem. Są to przeważnie drapieżniki, począwszy od największych przedstawicieli tego rodzaju, orłów-brodaczy, czarujących swym potężnym, majestatycznym lotem (ptaki te mają nozdrza, zasłonięte kępkami jedwabistych piór, pęczek takich piór mieści się pod dziobem, co wygląda jak broda), oraz birkutów, kończąc na najrozmaitszych rybołowach, krążących nad licznymi jeziorami. Spotykają się tu: różne gatunki sępów (*Neophron*), sycze, inaczej sowy karliczki (*Strix passerina*), pustułki (*Falco tinnunculus*) i wiele innych okazów drapieżników; zlatują się tu one na lato, zwabione niezwykłą obfitością żeru, przed surową zimą odlatują jednak do krajów cieplejszych.

Na jeziorach jest dużo kaczek, między które dominują czerwone pamińskie (właściwie koloru tango, z czarnymi piórami w skrzydłach i w ogonie). Są też gęsi i łabędzie, lecz całe to ptastwo jest przelotne: zaleciało tu kiedyś może przypadkowo, a teraz powraca co rok, odżywia się i śpieszy dalej do cieplejszych krajów.

Z ptaków, stale zamieszkujących skaliste wyżyny gór Pamirskich lub najbliższe im góry Sarykolskie, wspomnę o kuropatwach górskich (*Caccabis Chuckaŕ*), po kirgisku — kaklik, które ciąglem ćwirkaniem łożywiają wszystkie góry Azji Środkowej. Właściwie z wyglądu, z białości i smaku mięsa są to jarzabki, a nie kuropatwy. Poza tem spotyka się często wspaniałe olbrzymie kuropatwy himalajskie (*Megaloperdix Himalayensis*),

¹⁾ Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego z 1891 roku tom XVIII, zes. I, str. 212.

których jeden rodzaj, z przywiezionej przeze mnie kolekcji, W. Bianchi, starszy zoolog Muzeum Zoologicznego Akademji Nauk w Petersburgu, nazwał mojem imieniem (*Tetraogallus Himalayensis Grombczewscii*¹⁾). Jako miejsce stałego zamieszkania tych przepięknych kuropatw, W. Bianchi wskazał góry Wschodniego Pamiru, gdyż stamtąd Akademia Nauk otrzymała okazy do kolekcji. Właściwie królestwo ich leży znacznie bardziej na południe. W pasmie gór Raskemu, dzielących dorzecza rzek Tiznafu od Raskemu, spotykałem stada tych kuropatw po 600 — 700 sztuk, grzejących się na słońcu w tak zwartej masie, że zobaczywszy mnie, skrzydeł rozwinąć nie mogły i parę set kroków uciekały, biegnąc. Są to ogromne ptaki, ważące około 5 kilogramów, z przedziwnym smakiem zupełnie białego mięsa (trochę zatracającego smakiem jagód, któremi kuropatwy te się karmią) i przy tem w jesieni tak tłuste, że każdy ptak dawał co najmniej 1½ szklanki czystego, wytopionego tłuszczu, który, zlany do pęcherzy, w zupełności zastępował nam masło.

¹⁾ Sinopticzeskija tablicy ochotniczych ptic S. Buturlina. Izd. Włodzimirskoj tipografji. Petersburg 1901 r., str. 69, punkt B.

VII.

KLIMAT PAMIRÓW. ŻYCIE KIRGIZÓW PAMIRSKICH.
NIEWOLNICTWO. PRZEMYSŁ I HANDEŁ. HODOWLA BARANÓW I JAKÓW.
ZAGADKA PRZESZŁOŚCI PAMIRÓW. ZEMSTA ABDURACHMANA.
LIST DO GENERAŁA DŻANA. POWRÓT MASTONA.
JEZIORA: ZUR-KUL I CZAKMAKTYN-KUL.

Klimat na Pamirach jest surowy i inny być nie może z powodu ogromnej wysokości tych płaskowzgórzy i dolin nad poziomem morza. Lecz słońce operuje silnie i stara się wynagrodzić krzywdy, uczynione przez mrozy. Lato trwa krótko, zaledwo 2—2½ miesiąca. Przytem często po upalnym dniu nazajutrz z rana wszystko dokoła pokryte jest białym szronem. Wiosny ani jesieni niema. Pory roku następują po sobie z nieopisaną szybkością, i tylko zima, ciężka, surowa ciągnie się długich 9 miesięcy. Za bytności mojej 7 września już spadł głęboki śnieg, i poczęły się zawieje, a temperatura nocami spadała do—20° C¹⁾. Śnieg ten już nie stajał. Bawiłem wtedy na Pamirach do 1 października. Śniegi zmiatała wichura, znowu spadały świeże i znikwały na zboczach, obróconych na południe, lecz Pamiry oblekły już szatę zimową i w niej pozostały do następnego roku. Charakterystyczny dla Pamirów jest fakt, że wichury nie pozwalają zaspom śnieżnym pokryć całkowicie doliny, jak to bywa u nas, lecz zasypują śniegiem wszystkie szczeliny i góry, doliny zaś pstrzą połaciami, pozbawionemi śniegu, gdzie zwierzyna zawsze potrafi coś wyszukać.

¹⁾ Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego tom XVIII z 1891 roku, zeszyt I, str. 213.

Z powodu działania słońca i szybkiego prądu rzeki na Pamirach puszczają wcześniej, gdyż w kwietniu, a wylewy wiosenne, począwszy od kwietnia, trwają całe lato. Z początku taje śnieg na zboczach górskich, zwróconych na południe, zasilając obficie rzeki miejscowe, potem śniegi północnych zboczy, a wreszcie śniegi, nagromadzone na ich linii wiecznej, oraz lodowce, których tam jest mnóstwo. Woda w rzekach zaczyna opadać dopiero w listopadzie, i niski jej poziom trwa w ciągu 4 miesięcy, a rzeki, jak Murg-Ob, którą trzechkrotnie¹⁾ z niebezpieczeństwem dla życia musieliśmy przepływać, swobodnie przebywa się w bród.

Różnica temperatury dnia i nocy bywa ogromna i dochodzi do 30° C. Niestety nie mam pod ręką notatek z obserwacji meteorologicznych, które prowadziłem systematycznie trzy razy dziennie w ciągu wszystkich podróży. Dzienniki te dostarczyłyby dużo ciekawych danych w sprawie klimatologii tych mało znanych krajów²⁾.

Pomimo bardzo trudnych warunków życia, koczują na Pamirach Kirgizi rozmaitych rodów. Środkowo-azjatycki nomada jest niewybredny i, jeżeli ma pastwiska dla swojej trzody, oraz zabezpieczony spokój i pewność, że życiu jego i mieniu nie grozi niebezpieczeństwo, rozmnaża się szybko. Otóż tego właśnie spokoju i pewności Kirgizi Pamirów są zupełnie pozbawieni. Ciągłe napady Kandzutów, Czitralów, no, i mego przyjaciela, Sachib-Nazara, zniewalały ich do stałego pogotowia wojennego, które sprawia, że trzody trzyma się nie tam, gdzie jest trawa i dobre pastwisko, lecz tam, gdzie je łatwo ukryć, przepędzić za inne niedostępne pasma gór. W takich warunkach trzody, całymi miesiącami szukając pożywienia w tych samych miejscach, ogołacają pastwiska tak, że nietylko zjadają trawę, lecz wygryzają i korzonki z ziemią. Wygłodzone bydło z trudem przetrzymuje zimę, nie rozmnaża się, lub rodzi płód martwy, a mleka daje bardzo mało. Mówiłem już, że Kirgizi nie zajmują się rolnictwem, lecz żyją mlekiem i produktami mlecznymi (kumys, ajran, ser, krut,

1) Zapiski Ces. Ros. Tow. Geogr. z 1891 r., tom XXVII, str. 105.

2) Wróciwszy do Rosji, oddałem je Zarządowi Towarzystwa Geograficznego, które opracowanie zebranych materiałów poleciło znanemu meteorologowi, profesorowi uniwersytetu petersburskiego, A. Wojejkowowi. Sprawozdanie z tej pracy było ogłoszone w specjalnym miesięczniku: A. Wojejkow: Ekspedycja B. Grabczewskiego w Centralnuju Azju. Meteorologiczskij Wiestnik, 1891 r. № 3.

masło i t. d.). Mięso jedzą tylko parę razy do roku, w wyjątkowych wypadkach, np. w czasie świąt rodowych lub kiedy trzeba dorżnąć chore lub skaleczone bydłę. Gdy niema mleka, podstawowego środka żywności, Kirgiz cierpi głód i stale niedojada, co wpływa ujemnie na rozwój rasy. To też Kirgizi Pamiru, wzrostu przeważnie małego lub średniego, są słabi, wycieńczeni. Nawet bogacze wśród nich noszą piętno przedwczesnej starości.

Wraz z zajęciem Pamirów przez Rosję warunki bytu Kirgizów zupełnie się zmieniły; można było przewidywać, że kraj się szybko zasiedli, a handel niewolnikami, kwitnący przedtem, pozostanie w pamięci, jako nieprawdopodobne podanie.

Gdzie indziej opowiedziałem, jak na Dangnyn-Basz Pamirze wykupiłem z niewoli kirgiskiej żołnierza kolonjalnej armji angielskiej¹⁾; wykupiłem jednego, lecz 18 innych ciągnęło dalej ciężki żywot w rozmaitych zakątkach Pamirów. Mówiłem również i o tem, że w Sary-Kole, w obozie moim zjawił się handlarz niewolników z propozycją kupienia dwóch kobiet; gdy zaś odmówiłem, powiózł je do fortu Tasz-Kurgan i sprzedał na użytek miejscowego garnizonu²⁾. Handlarz ów sprzedawał kobiety w imieniu Amony-ul-Mulka, władcy Czatraru (Czitralu), będącego pod protektorem Anglii! Nie dziwiłem się, że władze chińskie nie reagują na jawny handel ludźmi. Przyzwyczajeni do tego, że rodzice, często nie mogąc z powodu nędzy wyżywić swych dzieci, sprzedają je misjonarzom lub wogóle każdemu, kto chce ten towar kupić, Chińczycy patrzą obojętnie na handel ludźmi, nie zakazują go, lecz i nie rozstrzygają sporów w razie zatargu między właścicielem a jego niewolnikiem, uważając, że jest to umowa dobrowolna, którą zerwać ma prawo każda ze stron. Znam parę wypadków w Kaszgarji, które zdarzyły się pod bokiem wyższej administracji chińskiej, kiedy niewolnik opuszczał swego pana, ten zaś nie śmiał go oskarżać, gdyż wiedział, że nic u władz nie wskóra.

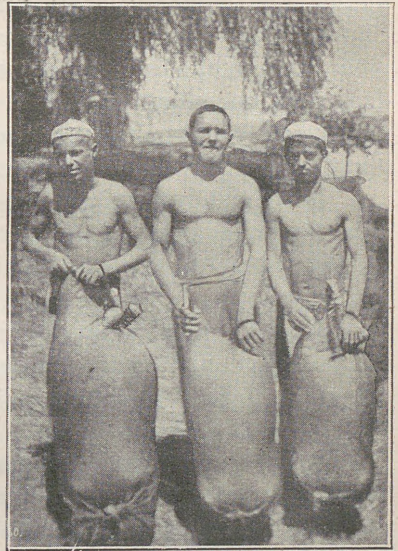
Lecz oburzałem się, gdym stwierdzał, że Anglicy, naród o wysokiej kulturze, który tyle uczynił dla zwalczania ohydneho handlu ludźmi w Afryce i na wszystkich morzach, nie zwracali uwagi na ten proceder w krajach, gdzie są ich rezydenci lub garnizony, jak np. w Czatrarze (Czitralu). Przyczyną takiego postę-

1) Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus, str. 174—175.

2) Tamże, str. 179.

powania są interesy polityczne, które wymagają, by nie zniechęcać do siebie władców azjatyckich; kraje zaś owe są tak odległe, że hańbiąca pobłażliwość Anglii nie rzuca się w oczy opinii publicznej świata. Dosyć, że na Pamirach, tuż pod bokiem kolonij angielskich w Indjach, handel ludźmi odbywał się swobodnie, niż w Sudanie i w Afryce Środkowej.

Przemysł i handel wśród ludności Pamiru jest dopiero w zarodku i ma na celu zaspokojenie własnych potrzeb, które są bardzo skromne. W zamierzchłej przeszłości przez Pamiry przechodziła jedyna znana droga między Europą a Chinami i Karakorum, stolicą Wielkiego Mogoła, który władał połową ówczesnego świata. Tamtędy jechały poselstwa od papieży i handlowe karawany z towarami. Pamiry były o wiele bardziej zaludnione, niż obecnie, i posiadały stałe schroniska, gdzie się zatrzymywały karawany na wypoczynek i w czasie burzy. Zwaliska tych rabatów (domów zajezdnych) istnieją dotychczas. Są to budynki o mocnej konstrukcji, z dachem kopulastym, składające się z dwóch pokoi, z których w jednym mieszkali ludzie, przeznaczeni do obsługi podróźnych. Rumowiska obok rabatów świadczą, że te domy zajezdne zaopatrzone były w składy zapasów, niezbędnych podróźnym, i że podróź przez bezludne obecnie Pamiry starano się ile możności ułatwić. Budowę tych monumentalnych rabatów podanie przypisuje mitycznemu Abdułła-Chanowi, z imieniem którego wiąże też ono i przeprowadzenie kanałów irygacyjnych w Kaszgarji¹⁾. Takie same rumowiska spotyka się i w Badachszanie, na zachód od Pamirów; są one również etapami wielkiej



Pływacy z „gupsarami” (wory z wyprawionej skóry cielęcej, nadęte powietrzem), podtrzymujący komunikację między wioskami na obydwóch brzegach rzeki Piandź (Amu-Darji), w Darwazie (str. 45).

¹⁾ Kaszgarja, Warszawa 1924 r., str. 130.

drogi handlowej, która istniała niegdyś. Gdzie i kiedy panował Abdułła-Chan, uczeni mułłowie Kaszgarji powiedzieć mi nie umieli. Lecz imię tego władcy jest znane powszechnie; bujna fantazja mieszkańców Wschodu, snując nadzwyczajne opowiadania o sprawiedliwości i o zbawiennych reformach administracyjnych, łączy je zawsze ze słynną postacią kalifa Harun-er-Raszida, wszelkie zaś podania o środkach, zmierzających do rozwoju handlu, rolnictwa, do budowy dróg przez pustynie, wymieniają Abdułła-Chana, jako twórcę postępu w tym zakresie. Nie ulega wątpliwości, że architektura w owych czasach na Wschodzie stała bardzo wysoko. Monumentalne budowle¹⁾ z kopulastemi dachami przetrwały wieki, a cegły, wydobyte z rumowisk, są świeższe i bezporównania lepsze od cegieł, wypalanych obecnie.

Przemysł rozwinięty jest słabo, gdyż zależy od surowca, którym rozporządzają Kirgizi. Surowcem tym jest tylko wełna z baranów, wielbłądów, oraz gruby włosień, rosnący na brzuchach jaków (po kirgisku — kutàs). I trzeba przyznać, że w wyrobach tych Kirgizki pamiirskie (mężczyźni żadnego udziału w tej pracy nie biorą) doszły do artyzmu, tem bardziej gdy się weźmie pod uwagę zupełnie prymitywne i przytem przenośne przyrządy, jakimi one rozporządzają.

Na pierwszym miejscu należy wymienić grube, bardzo mocne wołłoki, przeważnie koloru szarego lub czarnego, na jednej stronie których są wytłaczane fantazyjne arabeski, z czerwonej, niebieskiej lub białej wełny, nadające im wygląd dywanów. Wołłoki te z powodu trwałości i taniaści są bardzo poszukiwane w Kaszgarji i stanowią główny przedmiot wymiany na mąkę, kaszę i ryż, bez których rodzina kirgiska nie może się obejść, a na Pamiarach produktów tych niema, gdyż zboża tam nie sieją. Jednakowe prawie znaczenie mają w handlu mocne powrozy, kręcone z włosia, rosnącego na dolnej części brzucha jaków i sięgające często do samej ziemi.

Poza tem na przenośnym warsztacie tkackim, oprócz przeróżnych materyj wełnianych, cienkich na koszule i grubych na wierzchnie sukmany, Kirgizki umieją wyrabiać śliczne taśmy wzorzyste z grubej, kolorowej wełny (przeważnie czerwonej i białej), szerokie—do pół metra i wąskie—do 10 centymetrów, które służą do umocowywania wołłoków na jurtach, oraz do upiększania jurt

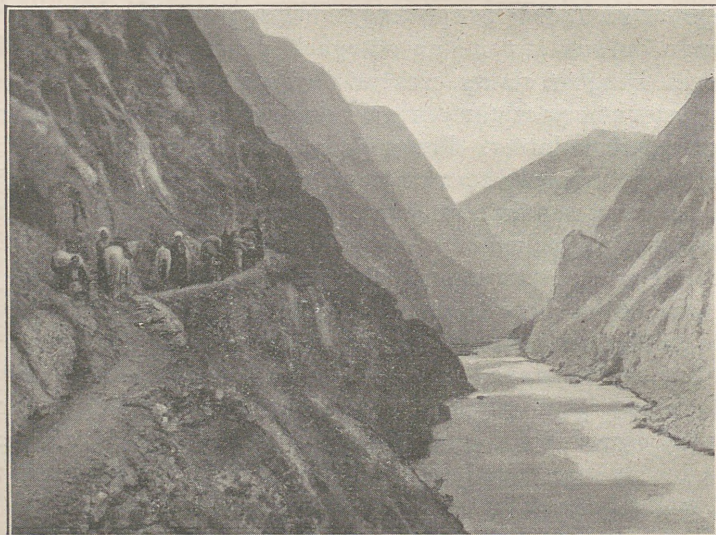
¹⁾ Np. most przez Zafarszan, pod Samarkandą, gdzie trzy arki stoją dotąd.

wewnątrz, wraz z rozmaitej wielkości frendzlami. Niektóre taśmy są wytkane z tak cienkiej wełny, z tak misternym rysunkiem, że kobiety używają ich na upiększenie zawojów na głowie. Wogóle, z prawdziwym zaciekawieniem nieraz przyglądałem się zręczności, z jaką odbywają się roboty tkackie, tem bardziej, że wszystkie rysunki robi się tam z pamięci, bez żadnych wzorów. Na niemniejsze uznanie zasługuje jeszcze jedna praca kobieca, a mianowicie wyrób mat, których Kirgizi używają na pokrycie wewnętrznych ścian jurty. Maty takie wyrabia się z twardej i mocnej słomy dzikiego owsa (kosacza, po kirgisku „czyj“ — *Avena orientalis*), rosnącego dużemi kępami na odłogach piaszczystych lub w korytach rzek. Długość słomy czasami dochodzi do metra. Otóż każdą słomkę „czyju“ z początku okręca się w rozmaitych miejscach nitkami rozmaitych kolorów. Potem jedną słomkę przywiązuje się do drugiej w ten sposób, że nitki tego samego koloru przylegają do siebie, tworząc wspólnie wzorzystą z fantazyjnym rysunkiem matę, która się zwija, jak nasze rolety, i łatwo przewozi z miejsca na miejsce. Prace te przynoszą pokaźny dochód i dostarczają jedy-nych przedmiotów wymiany na chleb, gdyż kirgiskie wyroby tkackie są bardzo poszukiwane na rynkach miast Kaszgarji, skąd rozchodzą się do innych krajów. Oprócz wspomnianych prac, na kobietach spoczywa cały ciężar gospodarstwa domowego, prowadzenia udojów trzody, pielęgnowania (dzieci i t. p. Mężczyźni pilnują trzody w górach lub całemi dniami, siedząc po kilku w kucki, pod zewnątrzniemi ścianami jurty, plotkują bez końca.

Z trzody domowej najwięcej się hoduje baranów, które wybornie się czują na wyżynach Pamirów i mnożą się zupełnie tak samo, jak w dolinach. Konie, wielbłądy a czasami i krowy wymagają dozoru i lepszych pastwisk, gdyż często rodzą plód nieżywy. Zato jaki przyswoiły się znakomicie i mnożą się dobrze, nie dorównywiają jednak co do wielkości i siły dzikim jakom, które obecnie spotyka się większemi stadami tylko w pustyniach Tybetu i bardzo rzadko oddzielnemi rodzinami w Raskemie.

Oto jest garść wiadomości o Pamirach i o ich mieszkańcach, zebranych w ciągu dwuletnich badań wschodnich i zachodnich części tego rozległego kraju. Jest wiele danych po temu, aby przypuszczać, że w odległej przeszłości te obecnie bezpańskie pustynie, jeżeli nie były gęsto zaludnione, to bądź co bądź miały dostateczną ilość ludności, którą rządziła jakaś stała władza. Na brzegu Jaszyl-kulu dotychczas widać ruiny jakiegoś fortu, noszą-

cego nazwę „Kafir-kału“ (forteca niewiernych), gdzie mieszkali ówcześni władcy Pamirów. Kim byli ci ludzie? Skąd przyszli i dokąd odeszli? W pamięci i w podaniach obecnych mieszkańców śladu po nich nie zostało. Tylko nazwa „Kafir-Kała“ świadczy, że byli to ludzie innej wiary, niż tubylcy, którzy już wówczas wyznawali mahometanizm. Nie jest wyłączone, że był to czasowy etap tych właśnie „Kafirów“, których krainę tak pragnąłem zwiedzić, a którzy, z niewiadomych powodów ustępując z Azji

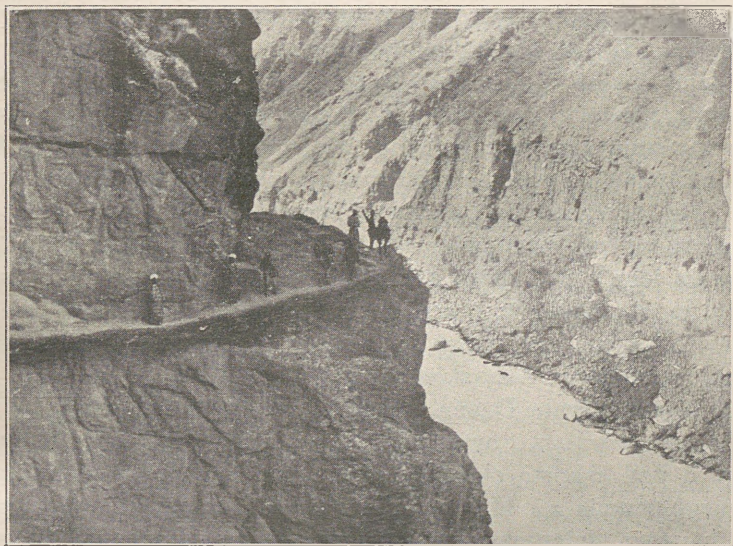


Ścieżka wykuta w skale nad rzeką Piandź
(str 50).

środkowej, mogli się zatrzymać na pewien okres czasu na Pamirach, nim się ostatecznie osiedlili za Hindukuszem.

Lecz wracam do swej podróży. W oczekiwaniu odpowiedzi na mój list do wodza naczelnego armji afgańskiej, przesłany przez Mastona, staliśmy w dolinie Aliczuru, przesuwając się z miejsca na miejsce w miarę, jak tego wymagały prace topograficzne. Przez dolinę tę przechodzi główna droga z Szugnanu na Sarykoł, którą, pomimo wojny, od czasu do czasu przedzierali się Kirgizi, z gospodarczych lub rodowych powodów zmuszeni do zaopatrzenia się w Szugnanie w mąkę na zimę. Od nich dowiedziałem się, co się dzieje w Szugnanie i o niesłychanej surowości,

z jaką emir Abdurachman-Chan znęcał się w dalszym ciągu nad Szugnańczykami, wymierzając im karę za powstanie¹⁾. Egzekucje wyroków śmierci odbywały się codziennie. Wioski, których mieszkańcy brali udział w powstaniu, palono doszczętnie, a pola trawiano końmi. Nietylko wszystkie kobiety i młode dziewczyny oddano na żony i nałożnice żołnierzom, ale 600 chłopców w wieku od 7 do 14 lat, dzieci najwybitniejszych rodów, okastrowano i wysłano do Kabulu w celu użycia ich jako eunuchów w miejsco-



Balkony nad rzeką Piandź, na ścieżce, stanowiącej jedyne połączenie między wioskami Darwazu (str. 50).

wych haremach. Wogóle zemsta nie знаła granic i spadała nietylko na Szugnańczyków, lecz i na Afgańczyków, którzy w ten lub inny sposób okazali pomoc bratu emira Abdurachman Chana, Ischak Chanowi. A więc np. krewnych byłego dowódcy wojsk na wschodnim froncie Afganistanu, Dzarnejla Seid-Ali-Chana, który przeszedł na stronę Ischak Chana, emir ukarał w ten sposób, że kazał mężczyznom powykluwać obydwie oczy, kobietom zaś po jednym oku, „żeby mogły karmić swych ojców i mężów“, i zesłał

¹⁾ Sowremiennoje położenie pamińskich chantsw i pogranicznej linii s Kaszmirom. Margelan, 1891 r., str. 27.

wszystkich do zniszczonego Szugnanu, gdzie wyginęli z głodu. Jednego zaś z podwładnych Seid-Ali-Chana, dowódcę pułku, który wpadł w ręce emira, posadzono do klatki, przywiązawszy go w ten sposób, że nie mógł ani sięść, ani się położyć; karmiono go słoną strawą, a za napój dawano wodę z tabaką, co wywoływało silne wymioty¹⁾. W klatce obwożono tego pułkownika po miasteczkach Badachszanu i dostawiono do Kała-i-Bar-Piandżu, gdzie Kirgizi widzieli go wystawionego na pokaz publiczny na rynku.

Kirgizi, którzy dostarczali nam wiadomości o stanie rzeczy w Szugnanie, wróciwszy za kordon chiński, opowiadali, oczywiście, o nas. Wieść o naszym pobycie na Aliczurze doszła do naczelnika chińskiej linii pogranicznej, generała Dżana, który uprzejmym listem zawiadomił mię, iż, mając sobie powierzony dozór nad neutralnym pasem Pamirów, nie może pozwolić nato, bym z tak nikłym konwojem był wystawiony na niebezpieczeństwo ograbienia przez głodne rzesze Szugnańczyków lub przez dzikich maruderów; prosi mię tedy, abym się nie zatrzymywał na Pamirach, lecz, jeżeli mam zamiar zwiedzić Afganistan, przeszedł za kordon afgański, w przeciwnym bowiem razie złoży mi on wizytę osobiście i eskortować będzie do Kaszgaru, gdzie mię odda pod opiekę konsula rosyjskiego²⁾.

Znając generała Dżana, jako człowieka stanowczego, który spełnia swe zamiary, oraz nie mając chęci przejechać się do Kaszgaru pod eskortą chińską, tem mniej zaś doprowadzenia do krwawego starcia z oddziałem chińskim, śpiesznie przebyłem przełęczę Chargusz (zajęczą) 4469 mtr. n. p. m. i udałem się do miejscowości Mazar-Tepe (Grobowiec na wzgórzu) 3994 m. n. p. m., nad rzeką Pamirem, w dolinie Wielkiego Pamiru, nad którą dozór, według prywatnej umowy między generałem Dżanem a komendą afgańską, wzięli na siebie Afgańczycy.

Jak przewidywałem, generał Dżan nie tylko sprawdził osobiście, czy spełniłem jego „uprzejmą“ prośbę, lecz o tem, że poszedłem w dolinę rzeki Pamir, wypływającej z jeziora Zur-Kul (Wiktorji), zawiadomił komendę afgańską. To też zaledwie przebyłem tam 3 — 4 dni, przesuając się powoli wgórę rzeki, w stronę jeziora Zur-Kulu (Wiktorji), gdy odnalazł nas Maston, z listem od Sza-Seid-Dżarneja, który pisał, że odpowiedzi od

¹⁾ Ibid., str. 28.

²⁾ Ibid., str. 26.

emira Abdurachmana jeszcze nie otrzymał, lecz zakomunikuje ją natychmiast, skoro tylko nadejdzie. Równocześnie prosił mię, bym się nie zbliżał do granic Afganistanu, gdyż bliska obecność Rosjan denerwuje jego żołnierzy, którzy z wysuniętych posterunków mogą samorzutnie napaść na wyprawę i spowodować szkody nieobliczalne, za co on zrzuca z siebie wszelką odpowiedzialność.

Byłem zdziwiony słownością Mastona, który mógł być zostać wśród swoich, a jednak wrócił, zarówno jak rycerskością komendy afgańskiej: nie zatrzymała ona swego oficera tylko dla tego, że był posłem, przysłanym z listem, zatrzymywanie zaś posłów nie zgadzało się z tradycjami Afgańczyków. Oczywiście, powiedziałem Mastonowi, że jest wolny i może odejść, kiedy zechce, lecz on sam pozostał z nami do czasu otrzymania odpowiedzi od emira.

Z przychylnych dla mnie nastrojów w afgańskiej kwaterze głównej Maston wnioskował, że prośba moja o przepuszczenie mnie do Kafiristanu została przedstawiona emirowi życzliwie, i że emir udzieli żądanego pozwolenia; przytem oświadczył, że w czasie podróży przez Badachschan mógłby on być bardzo pomocny naszej wyprawie. I ja się na to zgodziłem, gdyż Maston był dla mnie łącznikiem z Afgańczykami.

Dolina rzeki Pamiru jest węższa od doliny rzeki Aliczur, i spadek jej między jeziorem Zur-Kul (Wiktorji) a miejscowością Mazar-Tepe, (dokąd wyszliśmy z przełęczy Chargusz) na przestrzeni około 60 kilometrów równa się 361 metrom, t. j. stanowi około 6 metrów na kilometr. Dolina ta ma przeważnie miękkie, trawą pokryte zbocza i obfituje w pastwiska. Na łąkach przy korycie rzeki widzieliśmy ślady świeżych koczowisk Kirgizów, którzy kędyś się podzieli, chociaż byli tam też przed nami, tak, że w niektórych ogniskach węgiel nie zdążył wygasnąć.

Dopiero Maston wyjaśnił nam, że Afgańczycy zabronili swym Kirgizom wchodzenia z nami w jakąkolwiek styczność, a tem bardziej sprzedawania zapasów żywności; ci więc, zobaczywszy nas zdaleka, przekoczowali szybko wdół rzeki. Tymczasem już miesiąc upłynął od czasu naszego wyjścia z doliny Wielkiego Ałaju, gdzie zaopatrzyliśmy się we wszelką żywność, jakiej można było tam nabyć. Wprawdzie dopełniliśmy zużyte zapasy w koczowisku rozbójnika Sachib-Nazara, lecz część ich zamokła i zatonęła przy trzykrotnej przeprawie wpraw przez rzekę Murg-Ob, tak że w rezultacie mąki, kaszy i soli zostało nam bardzo niewiele, i trzeba było ograniczyć spożycie do minimum; żywych

zaś baranów dawno już nie było, i mięso jedliśmy wtedy tylko, gdy się je udało zdobyć na polowaniu.

Zwierzyny w górach, bliżej linii wiecznego śniegu, było dużo, lecz położenie wyprawy stało się tak niebezpieczne, że nie mogłem ani sam wyruszyć na cały dzień w góry i pozostawić ludzi samych, ani wysłać strzelców na polowanie, żeby nie rozdzielać naszych sił zbrojnych, które w każdej chwili powinny były być gotowe do zaciętej obrony. W okresie tym jedliśmy wszystko, co się udało zabić, a więc nawet niedzwiedzinę, zające i rozmaite ptactwo wodne. Kozacy skądś zdobyli pewną ilość przędzy wełnianej i, zmajstrowawszy malutką sieć, miewali stale świeże ryby. Mnie jednak pstrągi tak się przejadły, że niedobrze mi się robiło na ich widok, i nie mogłem ich jeść.

Jezioro Zur-Kul (Wiktorji) leży na wysokości 4 353 metrów n. p. m. i ciągnie się na przestrzeni prawie 30 kilometrów. Ponieważ jednak w części środkowej szerokość jeziora zwęża się do $2\frac{1}{2}$ —3 kilometrów, więc nie wywiera ono wrażenia takiego dużego obszaru wody, jak jezioro Jaszyl-Kul. Dolina jeziora znacznie się rozszerza w części północno-wschodniej; południowe zaś zbocza górskie wznoszą się niedaleko od brzegów. Koczowisk kirgiskich nad jeziorem dawno już nie było, i bujne pastwiska pozostały zupełnie niezniszczone.

Charakter miejscowości, fauna i flora, nie różniły się prawie od opisanej powyżej doliny rzek Aliczur; ponieważ jednak jezioro Zur-Kul leży o 450 metrów wyżej od doliny Aliczuru, przeto i szybko zbliżającą się zimę odczuwaliśmy coraz dotkliwiej. Termometr we dnie wskazywał — 6° do — 10° C., rzadko podnosząc się powyżej 0. W nocy zaś opadał do — 20° C. Pogoda się zepsuła: począł padać śnieg, przy bardzo silnych wiatrach, od których nasze przejrzyste namioty słabo nas zabezpieczały. Szczególnie trudności zachodziły z opałem, który niełatwo było odszukać pod śniegiem, a nawet znalazłszy go, trzeba było się mozolić, by rozniecić ognisko, gdyż mokry nawóz nie chciał się palić.

W takich warunkach, dokonywając zdjęć topograficznych, doszliśmy do wschodniej części doliny Kata Pamir (wielki Pamir) i przez przełęcz Pamir (4 496 metrów n. p. m.) 9 września zeszedliśmy nad jezioro Czakmaktyn-Kul, leżące tylko o 5 metrów niżej od przełęczy¹⁾. Z jeziora tego wypływa na wschód rzeka

¹⁾ Ibid., str. 28.

Ak-su (Murg-Ob), wzdłuż której poprzedniego roku przyszedłem z północy. W zachodniej stronie jeziora Czakmaktyn-Kul niewysoka przełęcz Andemanyń, wznosząca się tylko na 223 metry nad jeziorem, dzieli je od źródeł rzeki Wachan-Darji. Jest to zatem najwyższy punkt, dzielący dwa główne źródła Amu-Darji, które w tym miejscu rozchodzą się, płynąc w przeciwnych kierunkach (na wschód i zachód), okrążają całe płaskowzgórze Pamirskie i łączą się z sobą w północno-zachodnim jego kącie, tworząc potężną rzekę Piandź, która niżej nosi nazwę Amu-Darji.

Nad jeziorem Czakmaktyn-Kul przechodzi jedyna droga, łącząca Wachan z Sarykołem chińskim, zaludnionym przez uchodźców z Wachanu, którzy utrzymują z macierzą ożywione stosunki.

VIII.

STAN RZECZY W WACHANIE, W CZITRALU I KANDZUCIE.

POLITYKA AZJATYCKA ANGLJI I ROSJI.

OSTATNIA PRÓBA PRZEDOSTANIA SIĘ DO KAFIRISTANU.

POSELSTWO OD SAFDER-ALI-CHANA. TRZĘSIENIE ZIEMI W AU-TASZ.

ODPOWIEŹ EMIRA ABDURACHMANA.

Rozpytując wszystkich przechodzących drogą Tadżyków, oraz Kirgizów z Ak-su, którzy po zakupy mąki i kaszy na zimę odbywali częste pielgrzymki do Wachanu, w ciągu paru dni zdołałem wyjaśnić sobie położenie sąsiedniego Wachanu i najbliższych napół niepodległych chanatów za Hindukuszem¹⁾.

Wachan był zajęty przez wojska afgańskie, których czołowe posterunki kwaterowały w wiosce Sarchad, leżącej w dolinie rzeki Wachan-Darji, w bliskości najdostępniejszej w Hindukuszu przełęczy Borogil, prowadzącej do Mastudżu i Czatraru (Czitalu), oraz w miejscowości Langar, zaledwie o 20 kilometrów od Bozaj-i-Gumbeza (mogiła Bozaja), skąd w roku poprzednim zawróciłem na południe, w górę rzeki Wachdżyr, w poszukiwaniu drogi do Kandżutu. Prawowity władca Wachanu, który w ubiegłym roku tak serdecznie zapraszał mię do siebie, schronił się do swego teścia Amony-ul-Mulka, władcy Czatraru (Czitalu), Wachanem zaś czasowo zarządzał Mułła Aszur, rodem z Wachanu, z tytułem naiba (zastępcy).

W Mastudżu, północnej prowincji Czatraru, którą zarządzał Sarwar-ul-Mulk, syn Amony-ul-Mulka, Anglicy urządzili obóz warowny i obsadzili go garnizonem o sile 400 ludzi. Amony-ul-Mulk

1) Ibid., str. 28 i 29.

nie chciał wpuścić do kraju obcego wojska, lecz emir Abdurachman-Chan zagroził mu wojną z Czatrarem i przysunął wojska swoje ku przełęczy Borogilskiej.

Pozorem do wojny był fakt okazania gościnności byłemu władcy Wachanu, Ali-Mordan-Sza. Nie mogąc wojować z Afgańczykami, Amony-ul-Mulk zwrócił się o pomoc do Anglików i ostatecznie zgodził się na wprowadzenie wojsk angielskich do Mastudżu, Anglicy zaś wpłynęli na cofnięcie wojsk afgańskich od granic Czatraru.

Równocześnie Anglicy zażądali przyjęcia misji angielskiej w Kandzucie. Safder-Ali-Chan kategorycznie odmówił. Wtedy korpus wojsk kaszmirskich posunął się do Czaprutu, fortu kandzuckiego, stojącego na granicy z Nagarem. Safder-Ali-Chan, nie mając amunicji ani broni, zmuszony był przyjąć poselstwo angielskie w Balticie, ale dalej w głąb kraju misji nie puścił.

Jak się skończyły pertraktacje Kandżutów z Anglikami, Kirgizi nie wiedzieli. Wyniki ich musiały być pomyślne dla Anglików, gdyż, według opowiadań Kirgizów, na Pamirze Dangnyn-Basz od paru miesięcy mieszkało dwóch oficerów angielskich, którzy zajęci byli pracami topograficznymi na granicach Kandżutu, zbadanych przeze mnie w roku poprzednim. Otóż od służby tych oficerów Kirgizi słyszeli, że Anglicy ci oczekiwali na Dangnyn-Basz przybycia wielkiej ekspedycji angielskiej, która z Kaszmiru szła przez przełęcz Karakorum i wzdłuż rzeki Raskem na Dangnyn-Basz Pamir, skąd przez Kandżut miała wrócić do Indyj¹⁾.

Wszystkie te wiadomości były dla mojej wyprawy fatalne. Zestawiając je, nietrudno było dojść do wniosku, że jest to odpowiedź rządu angielskiego na rokosz i odpadnięcie północnego Afganistanu, w czym ujawniła się nietrwałość tak długo stosowanej przez Anglię zasady państw buforowych. Gdyby Rosja była przysłała z pomocą Ischak-Chanowi, dostarczając mu broni, wyzyskała zacieklą nienawiść północnych i południowych pokrewnych szczepów Afganistanu, stanęłaby twardo na Hindukuszu, weszła w bezpośrednią styczność z ludami Indyj, które naogół nie czują sympatji do Anglików, i uzyskałaby przemożny wpływ na całokształt polityki angielskiej. Czemyby się było skończyło takie zmaganie dwóch potęg w Azji, oczywiście, przepowiedzieć trudno; lecz że nie Rosja wyszłaby z tego starcia pokonana, to

¹⁾ Ibid., str. 30.

nie może ulegać wątpliwości, jeżeli się na chwilę uprzytomni, jakie obszary bezwodnych stepów dzieli właściwą Rosję od Turkiestanu, którego Rosja nie ceniła i z którego nie umiała korzystać. Przytoczę tylko jeden przykład z czasów mojego urzędowania w Ferganie: kraj ten samej Rosji sprzedawał bawełny za 120 milionów rubli (oprócz jedwabi, owoców, wina, nafty, bogactw mineralnych i t. d.), płacił zaś podatków tylko 700 000 rubli, co stanowiło mniej, niż $\frac{1}{10}$ część wydatków na administrację, wojska, oświatę, budownictwo i t. d. A więc nie dominum dawało dochody metropolji, lecz odwrotnie: przymierający głodem chłop gubernji Orłowskiej lub Tułskiej oddawał swój ostatni grosz na utrzymanie bogatego kraju w Azji Środkowej.

Taka polityka miała źródło w tem, że ministerjum spraw zagranicznych nie rozumiało spraw Rosji w Azji i nie interesowało się niemi. Byłem w Petersburgu w czasie oderwania się północnego Afganistanu. Byłem świadkiem tego, jak urzędnicy, zajmujący stanowiska kierownicze w ministerjum, kpinkowali i cieszyli się, że polityka angielska „zblamowała“ się w Azji; na wszelkie zaś przedstawienia, że trzeba wyzyskać ten moment, odpowiadano mi, iż, przeciwnie, zdarzenia te należy traktować, jako przestrożę, i strzec się podobnej polityki, aby i Rosji nie postawić w śmiesznem położeniu.

Dla mnie było rzeczą zupełnie jasną, że rząd indyjski, pomógłszy Abdurachman-Chanowi do odebrania północnego Afganistanu, równocześnie postanowił zająć wszystkie drobne państewka na południowych zboczach Hindukuszu, żeby ustalić trwałą granicę wzdłuż pasma tych gór.

Póki plan ten nie był jeszcze urzeczywistniony, postanowiłem spróbować jeszcze jednego sposobu przedostania się do Kafiristanu, a mianowicie rzec się myśli przejścia przez Badachschan, natomiast uczynić próbę przejechania przez Czatar. W tym celu napisałem list do Amony-ul-Mulka, w którym prosiłem o przepuszczenie mię do Kafiristanu, chociażby w towarzystwie jednego tylko lub dwóch służących, za co wzamian proponowałem mu oddanie wszelkich ruchomości, należących do naszej wyprawy, jakich tylko zażąda. Odwiezienie listu poruczyłem Kirgizowi, który, dany nam za przewodnika przez Sachib-Nazara, ciągle jeszcze pozostawał z nami, służył wybornie i znał kraj, jak może nikt inny.

Z doliny rzeki Wachan-Darji do Czatararu prowadzi przełęcz Borogilska, jedna z najdostępniejszych w całym Hindukuszu; lecz przełęcz ta leży poniżej wioski Sarchad, zajętej przez oddziały wojsk afgańskich, i w razie przychylniej odpowiedzi od Amony-ul-Mulka, nie można było z niej skorzystać. To też dowiedziawszy się od tubylców, że bliżej nas leży jeszcze jedna przełęcz w Hindukuszu, Hudargurt (kirgiska nazwa Suchsurawat), wprawdzie znacznie trudniejsza od Borogilskiej, lecz możliwa do przebycia z jukami, postanowiłem skorzystać z bezczynnego oczekiwania na odpowiedź od Amony-ul-Mulka i zwiedzić ją przedtem, żeby nie błąkać się w chwili krytycznej, lecz z ciężarami wyruszyć, na pewno znając już drogę.

Przesunawszy wyprawę nieco dalej na wschód, w głąb doliny Ak-su, zostawiłem ją pod opieką wachmistrza Koziakajewa, sam zaś z 3 kozakami ruszyłem na wywiad. Przedsięwzięcie było ryzykowne, gdyż wypadało przejść obok afgańskiego posterunku, który stał w Langarze zaledwie o 20 kilometrów od Bozaj-i-Gumbezu, leżącego już w pasie neutralnym, poza linią, zajęta przez Afgańczyków. Na szczęście, dolina rzeki Wachan-Darji w tem miejscu trochę się rozszerza, i trzymając się gór lewego brzegu rzeki (posterunek stał na drodze, na prawym brzegu rzeki), przeszliśmy nocą szczęśliwie o $\frac{1}{2}$ kilometra od Afgańczyków. Zbadawszy przełęcz Hudargurt (Suchsurawat), wiodącą do Czatararu, oraz określiwszy położenie przełęczki Kielendź (Irszod), wiodącej do Kandżutu, po noclegu w miejscowości Kara-Gudżek (3 750 m. n. p. m.) musieliśmy spiesźnie wracać do obozu, gdyż powstała taka zawieja śnieżna, że światła bożego nie było widać¹⁾. Bojąc się w nocy zbłądzić lub wpaść w jaką wyrwę, musieliśmy się zatrzymać na noc tak blisko od posterunku afgańskiego, że pomimo



Mir-Siach-Badżgir-Basza, główny celnik bucharski w Darwazie, należący do pałacu opjum (str. 50).

¹⁾ Ibid., str. 31.

świstu burzy słyszeliśmy wyraźnie nietylko okrzyki wartowników „habardor!“ (uważaj), lecz i rżenie koni. Ostatnia okoliczność przyczyniła nam wiele kłopotu. Bojąc się, by nasze konie nie zarżały i nie zdradziły nas, musieliśmy uciec się do jedyne go, lecz bardzo barbarzyńskiego środka, a mianowicie wyciągnąć im języki z pysków i przywiązać je do uzdeczek. Noc ciągnęła się bez końca. Bez namiotów, bez możności rozpalenia ognia i rozgrzania się herbatą, siedzieliśmy w milczeniu, smagani wichrem, z oczyma zwróconemi na wschód, w oczekiwaniu, kiedy wreszcie zacznie świtać. Skoro tylko można było dokoła rozróżnić przedmioty, ruszyliśmy w drogę i o brzasku przeszliśmy niepostrzeżenie obok posterunku afgańskiego, połączywszy się z towarzyszami po czterech dniach nieobecności.

W obozie zastałem posłów z listem od Safder-Ali-Chana ¹⁾, w którym władca Kandżutu usilnie nalegał, żebym natychmiast go odwiedził w sprawach pierwszorzędnej wagi. Posłowie potwierdzili wiadomości, dostarczone mi przez Kirgizów, o przyjęciu w Balticie poselstwa angielskiego, dodając od siebie, że Safder-Ali, pomimo wszelkich braków w amunicji i w nowoczesnem uzbrojeniu, nie chciał wpuścić Anglików i gotował się do obrony, lecz wójtowie klanów, przekupieni przez Anglików, na durbarze odmówili mu swojej pomocy, musiał więc Anglików przyjąć.

Przybycie poselstwa kandżuckiego było mi bardzo niemiłe. Udać się do Kandżutu z pustemi rękoma nie mogłem, a nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć na prośbę chana do rządu rosyjskiego. Co do protektoratu, byłem przekonany, że minister spraw zagranicznych nawet nie odpowie chanowi, jeżeli zaś zechce odpowiedzieć, to przez konsula w Kaszgarze.

Inaczej rzecz się miała z prośbą o przysłanie broni. Przed wyjazdem z Petersburga byłem u ministra wojny, generała Wannowskiego, i gorąco popierałem prośbę Safder-Ali-Chana, utrzymując, że dwa działa górskie i setka karabinów z odpowiednią ilością ładunków, posłana jako podarunek za gościnność, okazaną mnie, oficerowi rosyjskiemu, nie zubożyłyby Rosji, natomiast podniosłyby jej autorytet do niebywałych rozmiarów. Minister wkońcu się zgodził, lecz pod warunkiem, „jeżeli inne ministerstwa nie będą się bardzo temu opierały“. Jaki los dalszy spotkał tę prośbę Safder-Ali-Chana, nie miałem pojęcia. To też w odpo-

¹⁾ Ibid., str. 31.

wiedzi swej napisałem, że w obecnej chwili przyjechać nie mogę, gdyż gdzie indziej mam parę ważnych spraw do załatwienia; nadto oczekuję listów z Petersburga, po otrzymaniu których — napiszę. Czulem, że wbijam gwóźdź do trumny Safer-Ali-Chana, który, dowiedziawszy się o moim przyjeździe do tamtejszych krajów, oczywiście, pośpieszył przedstawić ten fakt, jako pomyslny skutek swojej polityki; lecz innego wyjścia nie miałem i, obdarzywszy posłów, list wysłałem.



Wachlarz, obracany wodą w herbaciarni w Kała-i-Chumbie
Na prawo preparator Conrad — układa kolekcję entomologiczną;
w głębi Tadżyk zatrzymuje kręcącą się płachtę, umocowaną na kiju
do koła, szybko obracanego przez prąd wody w strumieniu (str. 53).

W parę dni potem wrócił mój posłaniec z Czatraru i przywiózł list od Sarwar-ul-Mulka, który zarządzał północnym Czatrarem i mieszkał w Mastudżu, gdy ojciec jego, Amony-ul-Mulk, przebywał w południowej części kraju. Sarwar-ul-Mulk pisał: ¹⁾ „W imieniu ojca swego donoszę Wam, że kraj mój jest przepełniony Anglikami, którzy śledzą każdy mój krok. Dlatego przepuścić Was do kraju Siachpuszów nie mam możliwości. Piszecie:

1) Ibid., str. 32.

Przepuście mię z jednym, albo z dwoma służącymi: jaką szkodę mogę przyczynić Waszej ojczyźnie, przybywszy do Was sam jeden? Nie zdajecie sobie sprawy, o co prosicie! Jak stado baranów ucieka bezładnie na widok jednego wilka, tak Ferengi (Anglicy) boją się jednego Rosjanina. Jak mógłbym obronić Was przed Waszymi zaciekłymi wrogami, którzy, powtarzam, przepelniają moją ojczyznę? A w razie, gdyby Was spotkało nieszczęście, cóż mógłbym odpowiedzieć wielkiemu Białemu Cesarzowi?" Pod pismem była pieczęć Sarwara-ul-Mulka, syna Amony-ul-Mulka, władcy Czatararu, Mastudżu i innych krajów. Posłaniec mój opowiedział, że był przyjęty bardzo gościnnie przez Sarwar-Ul-Mulka, który wypytywał go szczegółowo o mnie i o skład wyprawy; słyszał on już o mnie z powodu zeszłorocznej wizyty mojej w Kandzucie i żałował, że się nie zgłosił przed paru miesiącami, gdy Anglików w Mastudżu jeszcze nie było i gdy on sam mógłby był odprowadzić mię do granic Kafiristanu.

Jadąc do Mastudżu, posłaniec mój spotkał pod Borogilem naczelnika angielskiego w Mastudżu, który udawał się do Sarchadu (wioska w Wachanie), aby spotkać się z wyższemi władzami afgańskimi w Badachszenie, które przybyły już do Sarchadu i zgotowały Anglikowi uroczyste przyjęcie. Do Sarchadu przyjechał również jeden z Anglików, mieszkających na Dangnyn-Basz-Pamirze. Po dwóch dniach pobytu w Sarchadzie Anglicy wrócili do Mastudżu¹⁾, odprowadzani przez władze afgańskie do Borogilu.

Wszystkie te wiadomości świadczyły o natężonej działalności Anglików wzdłuż całej linii granicznej na północy Indyj. Dla mnie najgorsza była wiadomość, krążąca wśród Czitralczyków, jakoby Afgańczycy zaatakowali Kafiristan od północy, od strony Badachszanu, i nawet zajęli część kraju, lecz potem Siachpusze się zorganizowali i bronili zaciekle. Jeżeli wiadomość ta jest prawdziwa — myślałem — to w czasie wojny emir, oczywiście, nie da pozwolenia na przybycie do Kafiristanu.

Wśród tych kłopotów ruszyłem nieco dalej na wschód, wzdłuż rzeki Ak-Su, do miejscowości Au-Tasz (skała polowań) 4 338 metrów n. p. m., gdzie, przysunawszy obóz do samej skały, która nas chroniła od zimnych wiatrów północnych, czekałem niecierpliwie odpowiedzi emira Abdurachmana, która ostatecznie miała rozstrzygnąć o dalszym kierunku wyprawy.

¹⁾ Ibid, str. 32.

W miejscowości tej przeżyliśmy trzęsienie ziemi, które nie miało dla nas następstw katastrofalnych tylko dlatego, że zdarzyło się we dnie, kiedy konie były na pastwisku, a większość ludzi na robotach poza obozem (stali na warcie przy koniach, zbierali nawóz na opał, łowili ryby i t. p.). Było to w ostatnich dniach września. Aby zasłonić się od wichury, postawiliśmy namioty pod skałą pionową, nad którą w pewnem oddaleniu wznosiła się



Przełęcz Akba-i-Sytargi (4627 m. n. p. m.). Najtrudniejsza przełęcz ze wszystkich, dotąd spotkanych. Jedenaście kilometrów po lodowcu. Pomimo że przechodziliśmy Akba-i-Sytargi 26 lipca, przełęcz była zavalona śniegiem (str. 61).

wysoka góra skalista. W zboczach jej gnieździły się kuropatwy górskie (*Caccabis Chucar*), a na mało dostępnym szczycie żyły stale kuropatwy olbrzymie (*Tetraogallus Himalayensis Grombczewscii*); stąd góra otrzymała nazwę „skały polowań”. Było koło 3 po południu. Wróciłem z wycieczki i, siedząc w namiocie, porządkowałem dzienniki. W obozie pozostali tylko: Mirza Fazył-Bek, Sadyrdyn-Chodża i dwóch kozaków. Nagle usłyszałem szybko zbliżający się huk podziemny, jakby turkot setki ładownych wozów, jadących po brukowanej kamieniami ulicy. Znając ten huk z Turkiestanu, gdzie trzęsienia ziemi są nader częste, błyskawicznie wyskoczy-

łem z namiotu i, w sekundę zorjentowawszy się, że uciekać w stronę otwartego pola już za późno, rzuciłem się ku prostopadłej skale, nawołując ludzi do siebie. W tej chwili poczuliśmy kołysanie się gruntu pod nogami, i wnet potem otoczyły nas chmury kurzu. Plac, zajęty pod obóz, zasypywały kamienie, odrywając się od stojącej w głębi skały, do której staliśmy przytuleni i, przelatując nad naszymi głowami, padały na obozowisko. Cały kataklizm trwał 6—8 minut, poczem wszystko się uspokoiło; tylko musieliśmy zaraz zmienić miejsce obozowiska, gdyż cała łąka była zawałona kamieniami. Pęd ich był tak silny, że niektóre dobiegały do jeziora, znajdującego się o 350—400 metrów od naszego obozu. Najwięcej ucierpiał mój stożkowy namiot. Odłam skały, który uderzył w jego wierzch, zdruzgotał drewniane podpory, i namiot się zawalił. Na szczęście jednak przyrządy, które zawsze trzymałem przy sobie, nie ucierpiały. Gdyby katastrofa zdarzyła się w nocy, kiedy konie pasły się na łące przed namiotami, ponieśliśmyby wielkie straty nie tylko w koniach, lecz może i w ludziach, którzy ich pilnowali. A jednak trzęsienie ziemi nie było silne.

Kozacy, będący poza obozem, słyszeli huk podziemny, lecz, nie znając jego przyczyny, nie zwrócili uwagi na kołysanie się ziemi i byli zdumieni, zobaczywszy zniszczenia, jakie wywołał kataklizm w obozowisku.

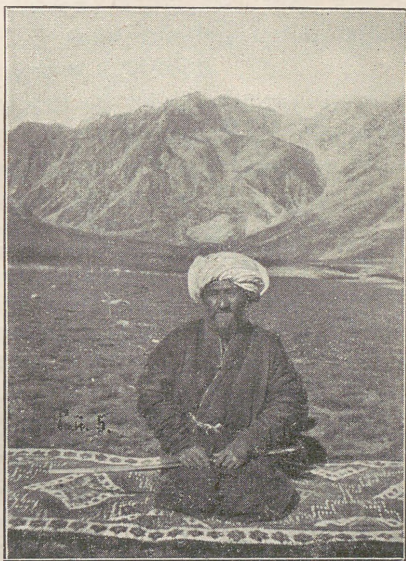
Wreszcie 1 października ¹⁾ do obozu naszego zbliżył się oficer afgański, w otoczeniu kilku kawalerzystów, z trębaczem i pod białą chorągwią. Ludzie moi momentalnie ustawili się w szyku bojowym. Od Afgańczyków oddzielił się Kirgiz Sachib-Nazar, którego posłałem był na zwiady do Wachanu, i oznajmił, że oficer jedzie z Badachschanu z odpowiedzią emira i z listem od wodza naczelnego, Sza-Seid-Dżarnejl.

List emira był lakoniczny i zawierał kategoryczną odmowę przepuszczenia mię do Kafiristanu. Sza-Seid-Dżarnejl w liście swoim, przedstawiając odmowną odpowiedź emira, radzi mi, bym przestał „włóczyć się“ wzdłuż granic Afganistanu, i ironicznie proponuje, żebym wrócił do domu, zwiedziwszy Kulab i inne bekokstwa Buchary. O wojnie z Kafiristanem Sza-Seid-Dżarnejl nic w liście nie wspominał, lecz kraj ten nazywał poprostu prowincją Afganistanu. Zaprosiwszy oficera do siebie na herbatę i kazawszy kozakom ugościć żołnierzy afgańskich, w rozmowie z nim dowie-

¹⁾ Ibid., str. 33.

działem się kilku drobnych szczegółów o stanie rzeczy w Szugnanie i w Badachszenie, choć muszę zaznaczyć, że oficer starał się być małomównym, i pomimo pewnego uzdolnienia, jakie posiadam do rozwiązywania języków ludziom Wschodu, moja przyjacielska rubasznosc niewiele pomogła. Oficer dawał odpowiedzi ostrożne, szybko wypił herbatę, zakąsił i, otrzymawszy pokwitowanie, że mi doręczył listy, śpiesznie odjechał. Razem z nim odesłałem pocztowego Mastona, podarowawszy mu konia i broń. Maston tak się zżył z nami, przyzwyczał do kozaków, z którymi spał w jednym namiocie, nauczył się jakiejś rosyjsko - perskiej gwary, co mu służyła do porozumiewania się z ludźmi, że rozstawiliśmy się z nim z wielkim żalem, ceniąc rycerskość jego charakteru, cechującą, zdaje się, większość Afgańczyków, których słowu można zaufać.

Mój kirgiski wywiadowca opowiedział mi, że Sza-Seid-Dżarnejl z 3 000 żołnierzy i z całą artylerją wkroczył do Badachschanu. W Szugnanie pozostały tylko pułk piechoty i pułk jazdy pod dowództwem Kernejla Mahomeda Raima, który również sprawował zarząd Szugnanem i Roszanem, przy pomocy miejscowych zastępców (naibów). Wywiadowca mówił, że Afgańczycy, z którymi zdarzyło mu się zetknąć, bardzo się interesowali składem i uzbrojeniem mej wyprawy; Kernejl Mahomed Raim, do którego zwrócił się on z zapytaniem, czy nie nadeszła odpowiedź od emira, wyprawiając go zpowrotem, rzekł; „Powiedz Rosjaninowi, że jeżeli przyszedł wojować ze mną, niech przyjdzie. Jestem gotów! Z dobrej woli zaś nie przepuszczę“¹⁾.



Kirgiz Ir-Daulet (Majestat ziemi), właściciel 10000 koni tabunowych, oprócz odpowiedniej ilości innej trzody (str. 61).

¹⁾ Ibid., str. 33.

IX.

ZMIANA CELÓW PODRÓŻY.
PRZYGOTOWANIA DO DROGI NA DANGNYN-BASZ-PAMIRZE.
WIZYTA OFICERÓW ANGIELSKICH.
LISTY OD KONSULA Z KASZGARU I OD SAFDER-ALI-CHANA
PRZEZ PRZEŁĘCZ ILY-SU NA PUSTYNIĘ RASKEMU.
PRZYGODA Z NIEDŹWIEDZIEM

Listy Sza-Seid-Dżarnejlą i Sarwar-ul-Mulka dowodziły niezbitcie, że przejście do Kafiristanu w istniejących warunkach politycznych było niemożliwe. W rękę miałem niezaprzeczalne dokumenty, że zrobiłem wszystko, co leżało w zakresie możliwości ludzkiej, by osiągnąć cel zamierzony, i mogłem już z czystym sumieniem zająć się spełnieniem drugiej części przyjętego na siebie zadania, a mianowicie zbadaniem pustynnej doliny rzeki Raskemu, wzdłuż północnych zboczy pasma gór Himalajskich, oraz części północno-zachodniego Tybetu, chociażby do oazy Połu, t. j. do miejsca, przez które wyszedł z Tybetu w ostatniej swej podróży niedawno przedtem zmarły podróżnik, Przewalski.

Powziąwszy takie postanowienie, nie zwlekając, ruszyłem na południe i przez przełęcz Beik (stroma) 4873 metrów n. p. m. przebyłem pasmo gór Sarykolskich, dzielące doliny rzek Amu-Darji i Tarymu i spuściłem się w dolinę Dangnyn-Basz-Pamiru, zanocowawszy w miejscowości Kara-Dżylgany-Auzy (ujście czarnej doliny) 4226 metrów n. p. m.

Na Dangnyn-Basz-Pamirze musiałem się zatrzymać parę dni, żeby przed wejściem na pustynną dolinę rzeki Raskemu-Darji dopełnić zapasy żywności, kupując od miejscowych Kirgizów wszyst-

ko, co było do kupienia, oraz wynając przewodników. Przewodnik bowiem, dany nam przez Sachib-Nazara, który tyle usług okazał wyprawie na Pamirach, nie znał doliny Raskem-Darji i przed zimą chciał wrócić na Kudarę, do Sachib Nazara. Wkrótce zjawił się bek Kirgizów miejscowych, znany mi z poprzedniej podróży, kiedy, po opuszczeniu Kandżutu, przez pewien czas zatrzymałem się na Dangnyn-Basz-Pamirze, aby podkarmić konie. Przenieśliśmy się do miejscowości Beikny-auzy (ujście Beika) 3 928 m. n. p. m. ¹⁾ gdzie, jak i rok temu, była zgromadzona największa ilość zimujących na Dangnyn-Baszu Kirgizów i, przy pomocy beka, zająłem się zakupem potrzebnych nam zapasów żywności.

Tutaj odwiedzili mię mieszkający od paru miesięcy na Dangnyn Baszu oficerowie angielscy: major Cumberland i porucznik Bauer ²⁾. Przyjąłem ich, ile mogłem, najgościnniej, unikając wszelkich niedyskretnych zapytań: skąd się zjawili na Pamirach, co robili tak długo w tym dzikim zakątku Azji i dokąd mieli się udać dalej. Jednak z napomknięć ich podczas przyjacielskiej rozmowy naszej stwierdziłem, że byli oni w stałym kontakcie z komendą angielską w Mastudżu i że oczekiwali na kapitana Younghusbanda, ten bowiem został wysłany z Kaszmiru w celu zajęcia i wybudowania fortu w Szachidułta-Chodża, na północnej stronie Himalajów, (t. j. na terytorjum chińskim) i, idąc wdół Raskem-Darji, miał w najbliższych dniach przybyć na Dangnyn-Basz-Pamir. O niepowodzeniach moich w sprawie Kafiristanu już wiedzieli i wyrażali nadzieję, że zapewne wkrótce i ta gmina dzikich górali przestanie być zagadką w Azji. Utyskiwali na trudne warunki życia na Pamirach i dotkliwe zimno, choć nie wiedzieli jeszcze, czy wrócą do Indyj razem z kapitanem Younghusbandem, czy też będą zimowali w Jarkendzie. Oczywiście ostateczną decyzję miał przywieźć Younghusband ³⁾. Przypominam sobie zabawną różnicę między ubraniem Anglików a mojem. Na Pamirach było już

¹⁾ Ibid., str. 34.

²⁾ Ibid., str. 34.

³⁾ Potem dowiedziałem się, iż rząd angielski wystarał się o pozwolenie rządu rosyjskiego na powrót tych oficerów—„myśliwych“ do Anglii przez Turkiestan i Rosję; przytem pozwolenie na zwiedzenie całej politycznej granicy Rosji otrzymali oni właśnie wtedy, kiedy rząd indyjski wzbronił mi przezimowania w pierwszej wiosce Małego Tybetu, Panamik, wskutek czego musiałem podczas surowej zimy ruszyć w głąb pustyni Tybetu, skąd, jak opowiem dalej, cudem tylko uszliśmy z życiem.

zimno; termometr we dnie wskazywał stale -10° do -12°C , a nocami spadał do -20°C . Drzewa tam niema, byliśmy więc pozbawieni możności rozłożenia ogniska i rozgrzania skostniałych członków. Ubieraliśmy się przeto ciepło i spaliśmy przeważnie w ubraniach. Nosiłem już wysokie za kolana buty na wołoku i oposową bekieszę, którą wdziewałem na myśliwską bluzę, w nocy zaś nakładałem na siebie jeszcze szubę z baranów tybetańskich, zakrywając się nią wraz z głową. Było mi w takim kostjumie nieco przyciężko w czasie polowania w tak rozrzedzonym powietrzu, ale zato ciepło! Anglicy zaś w kamaszach i szkockich pończochach, w bluzach myśliwskich i pledach, zarzuconych na plecy, trzęśli się, jak w febrze, wzbudzając litość. Mrozy było im trudno znosić jeszcze i dlatego, że przyjechali z Indyj, gdzie spędzili kilka lat. Prawda, że podobny sposób ubierania się tylko w wełnę, bez futer, czynił kostjum ich lżejszym, co w pogoni za zwierzem miało duże znaczenie. Lecz ja uganiałem się za zwierzem konno, porzucając konia tylko w ostateczności, kiedy trzeba było wspinać się na lodowce i dzikie skały, Anglicy zaś koni do polowania nie używali, i ogromne przestrzenie, które dzieliły miejsca, gdzie się zaczynało podchodzić zwierza, od noclegów, przebywali codziennie pieszo.

Na Dangnyn Baszu otrzymałem listy od konsula rosyjskiego w Kaszgarze i od Safder-Ali-Chana¹⁾.

Konsul zawiadomił mię, że w Kaszgarji zmieniły się wyższe władze chińskie, i nowy dao-taj, pod wpływem stałych raportów naczelnika linii pogranicznej, generała Dżana, iż tak długie przebywanie mej wyprawy w bliskości zachodnich granic chińskich zakłóca spokój tamtejszych okolic, parokrotnie zwracał się do konsulatu z prośbą o usunięcie mię stamtąd. Poza tem konsul uprzedzał mię, że z powodu rozdrażnienia władz chińskich nie mogę liczyć na ich pomoc, i gdyby okoliczności zmusiły mię do przejścia właściwych granic chińskich, mogłyby mię spotkać niespodziewane komplikacje.

W odpowiedzi swej przypomniałem konsulowi, co następuje: imiennym rozkazem cesarskim jestem posłany w celu zbadania nieznanych dolin Hindukuszu i Himalajów, i rozkaz ten bezwarunkowo musi być spełniony; Pamiry nigdy nie były chińskie, lecz należały do Kokandy, która obecnie należy do Rosji na takiej sa-

¹⁾ Ibid., str. 34.

mej zasadzie, na jakiej Kaszgar należy do Chin; że grasowanie zbrojnych band chińskich na Pamirach jest niedopuszczalne, i wódcich, generał Dżan, winien być odwołany i ukarany; dotychczas nigdzie granic chińskich nie przekroczyłem, jednak w razie, gdyby okoliczności zmusiły mię do tego, nie zapomnę, że na podstawie traktatów z Chinami, mam prawo bez paszportu i jakich bądź specjalnych pozwoleń przebywać w pasie pogranicznym 50-kilometrowej szerokości, zarówno jak każdy chiński poddany może korzystać z takiej samej przestrzeni pasa przygranicznego ze strony Rosji; z praw tych dotychczas nie korzystałem, lecz skorzystam, jeżeli będę tego potrzebował.

O tem wszystkim konsul wiedział doskonale. Chodziło mi wszakże o to, by mu uprzytomnić, że minęły czasy, kiedy z powodu złego humoru pana konsula, zamiast do Szugnanu, a może i do Kafiristanu, pojechałem do Margelanu; mam obecnie zlecenia urzędowe, do spełnienia których konsul obowiązany jest pomagać wszelkimi sposobami¹⁾.

Co do Safder-Ali-Chana, zdumiony byłem jego organizacją wywiadowczą. Wiedział on już o moich niepowodzeniach w sprawie Kafiristanu i znowu nalegał, bym bezzwłocznie przyjechał, gdyż, jak mówił, „nie wie, co ma robić, lecz czuje, że wszystko chwieje się dokoła niego“. Nie mogłem mu w niczem dopomóc tak samo, jak rok przedtem nie mogłem przeszkodzić wielkiej blade, jaką w celach osobistych otoczył moje imię. Odpowiedziałem, że żadnych nowych wiadomości z Rosji, jakie wartoby



Maston, oficer afgański, sprzedany do niewoli Kirgizom zaalajskim, odebrany przeze mnie i przyłączony do ekspedycji. Służył za oficera łącznikowego między mną a główną komendą wojsk afgańskich (str. 67).

¹⁾ Petrowskij, człowiek rozumny, wlot pojął moje rozgoryczenie, i kiedy w rok potem wróciłem do Kaszgaru, spotkał mię z oświadczeniem, że generał Dżan, na którego się skarżyłem, został natychmiast odwołany i dotychczas siedzi w Kaszgarze bez stanowiska.

było zakomunikować, jeszcze nie otrzymałem, w obecnych zaś warunkach nie mogę jechać do Kandżutu, gdyż w niczem nie byłbym mu pomocny. Trzeba jeszcze poczekać, dopóki jakie rozporządzenie nie nadejdzie do mnie lub do konsula w Kaszgarze, i z tem wyprawilem posłańców.

Zakrzętnęliśmy się, aby dopełnić aprowizację wyprawy. Według opowiadań Kirgiza z Sary-Kii (żółta ścieżka), którego Youngusband przysłał z Szachiduła Chodży z listami do Anglików na Dangnyn Baszu, był on w drodze 32 dni, choć się nie śpieszył i mógł przestrzeń tę przebyć w 30, a nawet 28 dni. Ponieważ przewidywałem boczne wycieczki w celu zbadania przełęczy na Himalajach, więc wszelkich zapasów, jakich mogliśmy kupić na Dangnyn Basz Pamirze, a więc baranów, kaszy, soli, mąki, ryżu, nabyliśmy na 45 dni. Tylko baranów kupiłem 100, licząc na straty w drodze, przy przeprawach przez rzekę, nadto zaś biorąc pod uwagę, że w Szachiduła Chodża barany były drogie, a przytem niezawsze udawało się ich dostać. Roztropniej więc było zaopatrzyć się w większy zapas takiej „żywności“, która drogę sama odbywała i samą się karmiła.

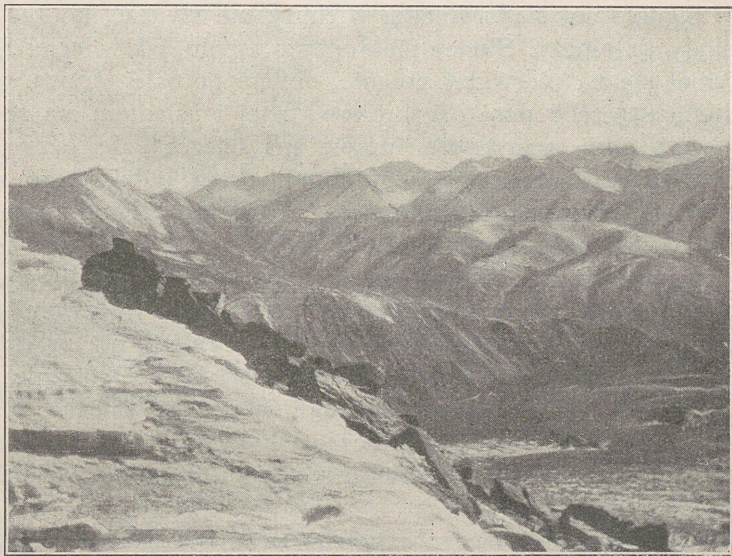
Czwartego października przygotowania zakończyliśmy i przenieśliśmy się pod przełęcz Ily-su (gorące wody), dzielącą Pamiry od doliny Raskem-Darji, 5-go zaś poczęliśmy się wdzierać na samą przełęcz.

Przełęcz Ily-su (4948 metrów n. p. m.), która w roku poprzednim o tej samej porze była zupełnie wolna od śniegu, okazała się obecnie zawałona takimi zaspami¹⁾, że nie mogliśmy przedostać się przez nią o własnych siłach. Posłałem do najbliższych aulów kirgiskich, żeby wynająć ze 20 jaków. Dopiero przeładowawszy na nie juki i puściwszy te zwierzęta naprzód, wyprawa powlokła się ścieżką, przebitą w śniegach przez obładowane jaki.

Tylko mój siwek, który miał talent do wyszukiwania w śniegach twardych zboczy, poniósł mię daleko na czoło wyprawy, póki wreszcie blisko samego wejścia na przełęcz sam nie ugrzązł w zaspach. Zeskoczywszy z konia, zostawiłem go własnemu losowi, wiedziałem bowiem, że, wypocząwszy, wygrzebie się i przyjdzie do mnie, sam zaś powoli zacząłem wdzierać się na przełęcz, czepiając się skał i korzystając z miejsc, skąd wicher najwięcej zmiótł śniegu. Wspinanie się wgórę było nader męczące. Naprzód

¹⁾ Ibid., str. 34.

bowiem oddziaływało znaczne rozrzedzenie atmosfery wskutek wielkiej absolutnej wysokości terenu (około 5 000 m. n. p. m.); następnie zaś ciążyło mi ubranie, gdyż, jadąc konno, z powodu zimna, włożyłem, oprócz oposowego futra, jeszcze i kożuch barani nadto dźwigałem na sobie cały rynsztunek: strzelbę 3-rurkę, ładownicę na 24 ładunki rozmaite, rewolwer Smitha-Wessona z ładunkami i toporek angielski u pasa; wreszcie niosłem również torbę z przyrządami do określania wysokości. Nic dziwnego, że



Pozbawione roślinności góry Sel-Tau i droga na przełęcz Tachta-Kurum (deskowe osypisko) 4 672 m. n. p. m. (str. 86).

po wdrapaniu się na przełęcz, byłem bardzo wyczerpany i cały spocony. Na przełęczy szalała wichura. Ukrywszy się za skałą, zapaliłem lampę spirytusową i zacząłem gotować wodę dystylowaną, którą przyniosłem ze sobą w torbie, żeby z pomocą hipso-termometru określić wysokość tego miejsca. Zajęło mi to dobre pół godziny, gdyż pomimo że przyrząd osłoniłem kożuchem, wiatr ciągle mi psocił, to gasząc lampę, to znowu rozdmuchując za duży ogień. Wreszcie uporałem się z tą pracą. Wysokość przełęczy Ily-su wynosi 4 948 m. n. p. m. (16 234 stóp¹⁾). Ułożywszy przyrządy,

1) Szczyt Mont-Blanc wznosi się do 4 810 m., 15 785 stóp n. p. m.

począłem nasłuchiwać, czy daleko są moi ludzie, gdyż wicher tylko od czasu do czasu przynosił głuche okrzyki poganiaczy jaków. Tymczasem nadszedł mój siwek i, zadowolony, że mię znalazł, trącał pyskiem w plecy, prosząc o coś słodkiego. Nie gardził on niczem. Cukru, który bardzo lubił, oczywiście, nie miałem, lecz parę suszonych rodzynek albo moreli zawsze nosiłem w kieszeni opończy.

Zabrawszy przyrządy, począłem powoli spuszczać się na południową stronę przełęczy. Zdawało mi się, że wchodziłem do innego kraju; nigdzie ani śladu śniegu, wichury nie słysząc, bo zasłoniły nas skały przełęczy. Słońce piekło; było ciepło, jak w lecie. Siwek zatrzymał się na pierwszej polanie, obficie porosłej trawą, ja zaś zszedłem jeszcze o parę set kroków niżej i usiadłem na ścieżce, spuściwszy nogi w przepaść. Mówię „na ścieżce“, ale, oczywiście, nie było tam żadnej ścieżki, wytkniętej przez ludzi, tylko szlak, wydeptany przez dzikie zwierzęta. Ponieważ zbocze przełęczy było miękkie, więc ścieżyn takich było kilka, jedna nad drugą.

Zdjąwszy z pleców trzechrurkę i położywszy ją przy sobie, przechyliłem się nawznak na zbocze góry i pod wpływem słońca zapewne się zdrzemnąłem. Nagle raczej poczułem, niż usłyszałem szmer żwiru, toczącego się z górnej ścieżyny. Ostrożnie więc unoszę głowę i skaczę na równe nogi: widzę, że ścieżką, o jakie 30 — 40 kroków nade mną, mrucząc i kiwając łbem, człapie się powoli duży himalajski niedźwiedź ciemno-brunatny z białawym brzuchem i piersią.

Wziął on mię śpiącego zapewne za odłam skały, lecz, zobaczywszy, że stoję, zatrzymał się na sekundę i ryknął przeraźliwie. Ale czy dlatego, że był głodny, czy zły, dość, iż, zamiast uciekać, jak to się najczęściej zdarza przy niespodziewanych spotkaniach z tamtejszemi niedźwiedziami, raptem stanął na tylnych łapach i, rozstawiwszy przednie, ruszył na mnie, zdradzając ogromne podrażnienie.

Położenie moje było fatalne. Niedźwiedź znajdował się wprost nade mną i, raniony lub zabity, musiał, padając, strącić mię w przepaść. Lecz uniknąć strzału nie mogłem, gdyż, pomimo stromego zbocza, niedźwiedź na tylnych łapach szybko zbliżał się do mnie. Złożywszy się, posłałem mu kulę stożkową z ekspresu i natychmiast po drugim strzale pędem pobiegłem ścieżką parę kroków wdół. Niedźwiedź, otrzymawszy kulę stożkową, zachwiał się i jakoś przyległ grzbietem do zbocza skalnego, lecz po strzale

z ekspresu natychmiast upadł łbem nadół, stracił równowagę i runął w przepaść, przetoczywszy się zaledwie o 2 — 3 kroki od miejsca, gdzie stałem. W takich opałach dawno nie byłem i mokry cały ze wzruszenia, począłem wspinać się na przełęcz, aby się połączyć ze swymi ludźmi.

Dopiero spuściwszy się nadół, znaleźliśmy Misia; skórę miał trochę poszarpaną o kamienie, jednak zrobiłem z niej worek futrem wewnątrz i spałem w nim przez całą zimę.

Na przełęczu zebrali się właściciele jaków, bek i świta, złożona z Kirgizów Dangnyn Baszu, z nimi zaś i nasz przewodnik, który wracał do Sachib Nazara.

Wręczywszy przygotowane listy do konsula i Sachib Nazara, pożegnałem zebranych; obdarzywszy przewodnika, poczęliśmy się spuszczać w stronę pustyni Raskemu, gdy jednocześnie Kirgizi oddalali się w stronę Pamirów, na które wróciłem w trzy lata potem, lecz już w charakterze wielkorządcy tego kraju.

Wiadomości, podane wyżej o zachodnich Pamirach, łącznie z temi, jakie zamieszczam w innem miejscu¹⁾ o wschodnich Pamirach, dają szczegółowe pojęcie o tym ciekawym kraju.

Na tem kończę opis mojego tam pobytu i przechodzę do opisu pustyni Raskemu.

¹⁾ Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus, str. 61 i nast.

X.

WYPOCZYNEK W KAINDYNY-AUZY.

POLOWANIE NA PANTERĘ, W DOLINIE RZEKI RASKEM.

SPOTKANIE Z WYPRAWĄ ANGIELSKĄ, TUNG-CZUKAJ, WYCIECZKA

WGÓRĘ RZEKI UPRANG. ODKRYCIE SZCZYTU GÓRSKIEGO.

WYNIKI BADAŃ W DOLINIE RZEKI UPRANG, FLORA I FAUNA.

ŚLADY DAWNEJ KULTURY.

Po pożegnaniu z Kirgizami ruszyliśmy na południe. Przebywszy paręset kroków, minęliśmy miejsce, gdzie mnie spotkała przygoda z niedźwiedziem, i spuściwszy się z przełęczy, zatrzymaliśmy się na noc w miejscowości Tałdykulny-czaty (3 792 m. n. p. m.), nazajutrz zaś doszliśmy do Kaindyny-Auzy (3 253 m. n. p. m.), gdzie wśród gęstych zarośli topoli i ogromnych tamaryszków rozłożyliśmy się na odpoczynek. W zaroślach były źródła gorące o temperaturze $+43^{\circ}$ do 45° C.

Miejscowość tę pamiętałem dobrze, bośmy się tam zatrzymywali ubiegłego roku. Trudno jest odtworzyć miłe wrażenie, jakie gęste zarośla wywierają na podróżniku, który w ciągu kilku miesięcy pozbawiony był zupełnie widoku choćby jednego drzewka, nie miał możliwości rozpalenia ogniska, gotował zaś jedzenie, suszył się i grzał przy żarze tlejącego nawozu dzikich zwierząt, tego jedyne źródła opałowego, co, skrętnie przez cały dzień wydobywany z pod śniegu i zbierany, w dodatku dymił tylko i nie chciał się palić.

Rozłożywszy obóz, zajęliśmy się urządzeniem kąpieliska, którego tak bardzo byliśmy spragnieni. Pogłębiliśmy i oczyścili zeszlóroczny dół i połączyliśmy wszystkie gorące źródła w jeden prąd, który wartkim strumieniem przepływał przez dół, wypłó-

kując z niego brudną wodę; nad dołem urządziliśmy szałas z gałęzi, żeby się osłonić od podmuchów zimnego, jak lód, wiatru, który od czasu do czasu niewiadomo skąd dał zgóry i powszędy przenikał, i poczęły się kąpiele bez końca. Woda z zapachem siarczanym była tak miękka, że nietylko przy kąpeli nie potrzebowaliśmy mydła, którego trzeba było oszczędzać, lecz nawet bieliznę, wymoczoną tylko, praliśmy prawie bez mydła, obtłukując ją tylko o płaski kamień i znowu płócąc. Wieczorem w pośrodku obozu rozpalano ogromne ognisko, które dyżurni wartownicy podsycali do rana. Przysunawszy namioty do skały, która osłaniała od północy, otoczeni lasem, ogrzewani z drugiej strony ogniskiem, czuliśmy się, pomimo października, tak dobrze, że siedzieliśmy wieczorami w namiotach tylko w bielinie, i dopiero nad ranem trzeba było się okrywać czemś cieplejszem.

W Eldorado tem przebyliśmy 5 dni. Dałem ludziom zupełny wypoczynek. Sam zająłem się przyprowadzeniem do porządku dzienników i zdjęć topograficznych. Ludzie w ciepłe, na słońcu zajęci byli naprawianiem ubrań, bielizny, obuwia oraz reparacją siodła jucznych i uprzęży końskiej. Nawet na polowanie nie chodziłem i ludzi nie posyłałem. Na Dangnyn-Basz-Pamirze kupiłem był setkę dużych baranów. Była jesień, a więc pora, kiedy barany są najtłustsze: jeden wystarczał dziennie na całą naszą kampanję. To też obóz rozbrzmiewał śmiechem i pieśniami.

Tu właśnie zdarzył się dosyć rzadki wypadek: pantera porwała mi w nocy jednego barana ze stada, które umieszczone było w środku obozowiska, z pośród ludzi, koni i w pobliżu ogromnego ogniska, przy którym siedział wartownik; porwała zaś tak cicho, że dopiero nazajutrz Kirgiz, pędzący barany na pastwisko, zauważył, że jednego brakuje, i zameldował o tem wachmiistrzowi, który, po starannem przeszukaniu zarośli, nie znalazłszy śladów zguby, przyszedł do mnie z raportem.

Przypomniałem sobie, że w nocy obudził mię tupot stadka baranów, pędem przebiegającego z jednego końca obozu na drugi, oraz chrapanie koni. Spuściwszy nogi na ziemię, chwyciłem za broń, lecz równocześnie rozległy się uspokajające okrzyki wartownika, poczem wszystko ucichło. Przeczekawszy kilka sekund i słysząc, że wartownik czuwa, i zamieszanie w obozie ustaje, postawiłem broń przy poduszce, wyciągnąłem się znowu na łóżku i zasnąłem.

Przetrząsnawszy zarośla, nie znalazłem nigdzie śladów barana. O tem, żeby w nocy jeden baran odłączył się od stada, nie mogło być mowy. Pozostawało jedyne przypuszczenie: że w pobliżu nas przebywa silny i odważny drapieżnik, który, nie bojąc się ludzi i ognia, porwał barana ze stadka obozowego i zaniósł kędyś daleko, uprzednio zdusiwszy go tak szybko, że baran nie zdążył jęknąć. Sąsiada takiego trzeba było się pozbyć bezwarunkowo i dlatego zarządziłem obławę, zmobilizowawszy wszystkich ludzi.

Rzeczka Kaindy, wzdłuż której przeważnie rosły drzewa i krzaki, płynęła wąską, skalistą doliną, a łożysko jej, zbliżając się to ku jednemu to ku drugiemu zboczowi, dzieliło zarośla na stosunkowo niewielkie grupki gąszczy, które nietrudno było przetrząsnąć. Ustawiliśmy się wraz z jednym ze strzelców tak, że mogłem widzieć każdego zwierza, wypędzonego z gąszczy, począłem obławę. Dwa pierwsze mioty nie dały wyników. Lecz za trzecim preparator krzyknął, że coś śmignęło koło niego w stronę góry. Przebiegłszy naprzelaj, zobaczyłem



Sachib-Nazar, legendarny rozbójnik pamiński z synem (str. 70).

na skalistym zboczach, o jakie 60 kroków od siebie ogromną panterę, która pomimo krzyków i hałasu, jaki czyniła obława, powolutku wspinając się na skaliste wzgórze, wlokąc po ziemi długi ogon i nic sobie z ludzi nie robiąc. Posłałem jej kulę z ekspresu: przypadła w tej chwili do odłamu skały, około którego się przesuwiała, i pozostała nieruchoma. Nie przypuszczając, aby taki ogromny zwierz mógł zginać tak momentalnie, nawet nie drgnawszy, sądziłem, że pantera albo jest ranna i czai się do skoku, albo tylko ogłuszona, gdyż, mierząc do niej w chwili, kiedy przechodziła między odłami skały, nie byłem pewny strzału. Począłem więc wspinąć się na zbocze, rozmyślnie obierając kierunek boczny, aby, wdrapawszy się powyżej miejsca, gdzie pantera zniknęła za skałą, podejść do niej z góry. Ostrożności jednak okazały się zbyt: zwierzę leżało martwe. Kula trafiła je w lewą stronę piersi w chwili, gdy pantera, idąc, podniosła lewą nogę, przebiła klatkę piersiową i eksplodowała wewnątrz, niszcząc serce i powodując

śmierć natychmiastową. Była to ogromna pantera centkowata (*Felis irbis*) i skórę miała przedziwnej piękności. Pomimo późnej jesieni, skóra była bardzo puszysta, a przytem lśniąca, jak wśród najbardziej upalnego lata. Nie pamiętam teraz dokładnie wysokości i długości, lecz wiem, że ogon o całą dłoń był dłuższy od tułowia, licząc w to i łeb. To też zachwytom nie było końca. Przenieśliśmy zwierza ostrożnie do obozu, gdzie preparator, przy pomocy kozaków, zdjął skórę i spreparował, ja zaś odpowiednio upakowawszy, natychmiast, przez beka Dangnyn Baszu wysłałem ją do konsula w Kaszgarze, z prośbą odesłania tego okazu do Petersburga na ręce generała Daniłowicza dla doręczenia cesarzewiczowi Mikołajowi¹⁾).

Pięć dni, spędzonych w wyjątkowych warunkach na wielkich wysokościach (3 253 m. n. p. m.), minęły błyskawicznie. Śmiechy i pieśni kozackie rozlegały się nieustannie w obozie. Lecz na odpoczynek dłuższy nie pozwalała głęboka jesień. Mieliśmy przed sobą do zbadania ogromne przestrzenie bezludne, z nieznanemi rzekami, oraz zawrotne wysokości Himalajów, gdzie należało określić wszystkie przełęcze, wiodące do Kandzutu, Kaszmiru i Małego Tybetu.

10 października ruszyliśmy w dalszą drogę i nocowaliśmy przy ujściu rzeki Iły-su do Raskem-Darji na wysokości 3 054 m. n. p. m. Było to najniższe miejsce, na jakim nocowaliśmy w ciągu całego roku. Stąd powoli, lecz stale wspinaliśmy się codzień wyżej, docierając do źródeł rzeki Raskem-Darji oraz do wyżyn Tybetu.

Dolina rzeki Raskem-Darji jest szeroka, kamienista i naogół pozbawiona roślinności. Widać, że w lecie płyną tędy masy wód, i brodów niema; lecz wtedy, w październiku, woda sięgała do sodeł, że zaś koryto jest bardzo kamieniste, a prąd silny, więc większość brodów była dość jeszcze niebezpieczna.

Ciekawy jest sposób, w jaki Kirgizi przepędzają stado baranów z miejsca na miejsce. Mieliśmy ich setkę i jednego tylko poganiacza, więc gdyby się barany nie trzymały razem lub rozbiegały przy przeprawach przez rzeki, gdzie je prąd znosił często

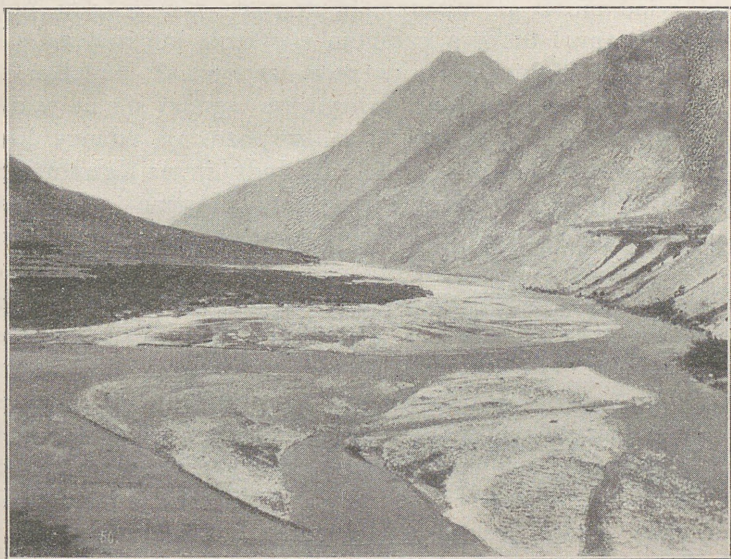
¹⁾ Skóra odbyła drogę w zimie, zamarzła i doszła na miejsce doskonale. Po powrocie z podróży widziałem moją panterę wypchaną w gabinecie cesarzewicza w Pałacu Aniczkowski. Stała obok biurka, trzymając w zębach kosz do papierów. Była wzrostu dużego doga (uńskiego) i, mając kółka pod łapami, łatwo przesuwała się z miejsca na miejsce.

dosyć daleko, mielibyśmy wiele kłopotu i straty w zaginionych. Tymczasem, z wyjątkiem porwanego przez panterę, nie straciliśmy ani jednego barana. Otóż razem ze stadkiem kupiłem jednego rogacza-prowodyra, który przez pierwsze dni bółł bez litości baranią drużynę, aż ustalił swój autorytet. Prowodyra tego na noc przywiązywano do silnego, lecz spokojnego konia jucznego. W kilka dni zwierzęta tak się poprzyjaźniły, że prowodyr na krok nie odchodził od konia. Kiedy karawana była w drodze, to w zależności od terenu koń ten szedł pierwszy, albo ostatni. Za nim, na krok nie odstając od jego ogona, szedł prowodyr, a za prowodyrem, wzajemnie się depcąc i pchając, cała rzesza barania. Pochód zamykał poganiacz, pilnując, żeby się któryś z baranów nie odłączył i nie pozostał. Na noclegi wybieraliśmy piaszczyste łąchy, gęsto zarośnięte tamaryszkami, wierzbami i topolami, które służyły nam za opał. Wśród krzaków konie i barany znajdowały sobie jakie takie pożywienie. W miejscowościach, gdzie nie było absolutnie nic, dawaliśmy koniom po 2 funty jęczmienia, rozmoczonego w wodzie, co wraz z gałązkami krzaków, podtrzymywało ich energję do czasu, póki nie dobrnęliśmy do miejsc obfitszych w trawę, gdzie zatrzymywaliśmy się na 1—2 dni w celu odkarmienia zwierząt. Baranom ziarna nie dawaliśmy wcale: żyły tem, co znalazły po drodze, i nawet niebardzo chudły; zato często podbijały sobie nogi o kamienie i chromały. Takie zarzynałiśmy na żywność; jeżeli zdarzało się kilka chromych, to dzień dwa wieźliśmy je na koniach jucnych. Wogóle żywy baran to niczem nie zastąpiony środek żywności w czasie podróży w pustyniach Azji: sam odbywa drogę i sam się karmi w drodze; gdy tymczasem każdy inny produkt trzeba przewozić na koniach, dla których zkolei należy często brać pożywienie.

Pierwszy nocleg w dolinie Raskemu wypadł nam w miejscowości Sary-Kamysz (żółta trzcina) 3 140 m. n. p. m. Zaledwo zdążyliśmy się rozłożyć, gdy najniespodziewaniej nadciągnęła ogromna karawana i poczęła się rozmieszczać w naszym sąsiedztwie. Pokazało się, że jest to angielska wyprawa kapitana Younghusbanda, o której mówił mi major Cumberland na Dangnyn Basz Pamirze. Natychmiast zapoznaliśmy się, i ponieważ moja ekspedycja stała już na miejscu, kiedy angielska nadeszła, przeto prosiłem Younghusbanda, aby zechciał być naszym gościem.

Kapitan Younghusband, blondyn, średniego wzrostu, miał wtedy około 30 lat, służył w gwardji (w dragonach) i znany mi

był z gazet, jako śmiały sportsmen, który parę lat przedtem konno przejechał z Pekinu przez całe Chiny i Himalaje do Kaszmiru. Wyprawa jego, jak wszystkie angielskie, była bogato zaopatrzona i, oprócz konwoju z 7 bengalskich żołnierzy, z najwaleczniejszego plemienia górali Gurków, miała w składzie swym dwóch topografów-pundyków, oraz Afgańczyków, Tybetańczyków, Kaszmirczyków i Kirgizów. Pod pakunkami ekspedycji siedł długi szereg wielbłądów, jaków i koni. Obie wyprawy przedstawiały



Rzeka Murg-Ob (ptasia woda) na Pamirach; górny bieg rzeki Amu-Darji, 3 220 m. n. p. m. (str. 72).

zabawną mieszanicę 22 narodów, które się przypadkowo zeszyły w pustyni Raskemu. Kapitan Younghusband¹⁾, człowiek inteligentny i dobrze wychowany, wywarł na mnie bardzo dodatnie wrażenie. Spędziliśmy razem 2 dni na ciągłej rozmowie, nie zapominając jednak i o pracach naukowych. Więc np. dokonaliśmy astronomicznego określenia miejsca spotkania dwóch wypraw, przez co związane zostały prace astronomiczne moje z angielskimi w Indjach i Younghusbanda z rosyjskimi na Pamirach i w Turkiestanie.

¹⁾ Ibid., str. 35.

W rozmowie przyjacielskiej ze mną Younghusband oznajmił, iż rząd angielsko-indyjski zajął ogromną połąć ziemi między pasmem gór Himalajskich a Kuen-luniem i w miejscowości Szachiduła-Chodża, na wielkiej drodze karawanowej z Indyj do Chin, wybudował właśnie fort, który obsadził garnizonem kaszmirskim. W dwa miesiące później byłem w Szachiduła-Chodża i na innym miejscu¹⁾ opowiedziałem już o przyczynach zajęcia tej miejscowości przez Anglików. Następnie Younghusband szczegółowo opowiedział mi o piorunującym wrażeniu, jakie wywarła na rząd indyjski wiadomości o odpadnięciu w roku poprzednim północnego Afganistanu, i o równoczesnem zjawieniu się mojem w Kandźucie, u źródeł rzeki Indus, przytem zapewniał, że chan Kandźutu wzamian za określone subsydyjum zgodzi się na taki sam stosunek do rządu indyjskiego, w jakim pozostają władcy Nagaru lub Czitralu, i miał nadzieję wrócić do Indyj przez Kandźut, gdzie spodziewał się być przychylnie przyjęty. O przebiegu bytności mojej w Balticie wiedział z relacyj rezydenta w Nagarze, które czytał.

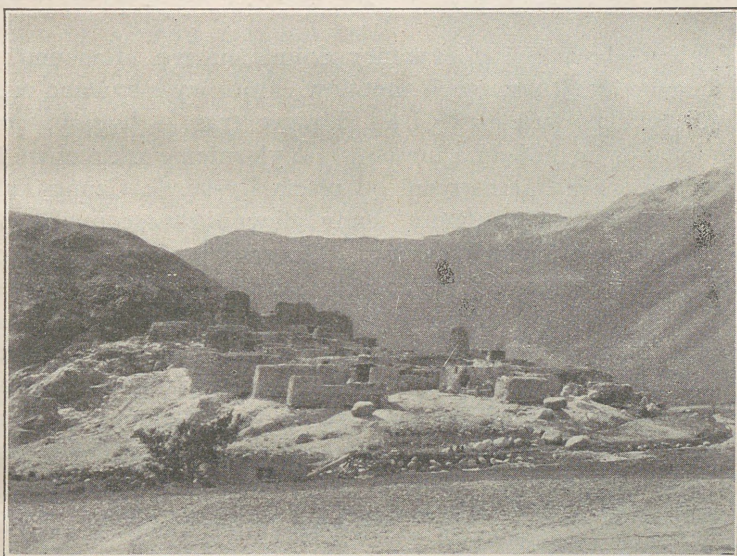
Ze swej strony opowiedziałem Younghusbandowi, że mam polecenie zbadania szczegółowo Himalajów, przecięcia drogi karawanowej z Indyj do Chin właśnie w Szachiduła-Chodży i przez płaskowzgórze północno-zachodniego Tybetu przedostania się do Połu, aby połączyć swe prace z pracami geograficznymi Przewalskiego, który przed dwoma laty tam przybył był z Tybetu, i ostatecznie zbadać tę nieznaną część Azji. Ponieważ jednak podczas surowej zimy trudno jest prowadzić zdjęcia topograficzne na wyżynach Tybetu, które leżą średnio ponad 5 000 m. n. p. m., zapewne tedy przejdę gdzieś na południową stronę Himalajów i zatrzymam się na parę miesięcy w najbliższej wiosce kaszmirskiej, Panamik, lub w Tanksi w Małym Tybecie, dopiero zaś na wiosnę roku przyszłego przetnę północno-zachodni Tybet, spuszczę się do Połu i stamtąd wrócę do kraju.

Younghusband po przyjacielsku nie radził mi przekraczać granicy indyjskiej bez uzyskania odpowiedniego pozwolenia i proponował, bym się zwrócił do rezydenta w Kaszmirze, pułkownika Nisbëta, o pozwolenie przezimowania w Ladaku, ofiarowując się przesać list przez specjalnego gońca, a ze swej strony zaświadczyć o wyłącznie naukowych celach mojej wyprawy. Propo-

¹⁾ Kaszgarja... str. 193.

zycję przyjąłem i list wręczyłem Younghusbandowi, który natychmiast go odesłał do pułkownika Nisbeta.

Przyjazne stosunki między szefami obu wypraw odbiły się i na podwładnych. Moi kozacy zapraszali do siebie bengalskich żołnierzy i sami chodzili do nich, porozumiewając się wybornie na migi i jakimś szczególnym językiem, któregooby nikt inny nie rozumiał. Rozstaliśmy się z Younghusbandem bardzo przyjaźnie:



Wioska Sarez w Roszanie. Wioska ta obecnie nie istnieje. W 1911 roku, wskutek trzęsienia ziemi, obsunęła się góra, zasypując koryto rzeki Murg-Ob, poniżej tej wioski. Nad nią uformowało się jezioro długości 27 kilometrów i paręset metrów głębokie (str. 74).

on udał się na Dangnyń-Basz Pamir, skąd, zależnie od otrzymanych instrukcyj, miał wrócić do Indyj przez Kandżut, albo też przez Mastudż i Czitral, ja zaś ruszyłem w górę rzeki Raskem, zagłębiając się na kilka miesięcy w pustynię Raskemu i Tybetu.

17 października zatrzymaliśmy się w miejscowości Czung-Tukaj (Wielkie zarośla drzewne) 3 177 m. n. p. m. Miejscowość ta leży na prawym brzegu rzeki Raskem-Darji, trochę poniżej ujścia rzeki Uprang, lewego dopływu Raskemu, zbierającego z Himalajów niemal połowę wód, jakie toczy Raskem-Darja.

Co do rzek, stanowiących źródła Raskem-Darji, większość z nich nosi podwójne nazwy, nadane im przez Toglików (górali), którzy niegdyś zamieszkiwali tę miejscowość, i przez Kandzutów, najbliższych sąsiadów tego kraju; że zaś narody te mówią różnymi językami (Toglicy i Kirgizi—po tatarsku, Kandzuci—językiem, zbliżonym do staro-sanskryckiego), więc nazwy są zupełnie odmienne, co wnosi pewien zamęt do nomenklatury tego obszaru. O ile możności, będę przytaczał podwójne nazwy tamtejszych miejscowości.

Toglicy, dawniejsi mieszkańcy doliny, nazwę „Raskem“ tłumaczą bogactwem rozmaitych metalów, które wydobywano w zboczach gór, okalających rzekę i jej dopływ (ras — bogaty, prawdziwy; kan—żyła, kopalnia metalu). Wyjaśnienie takie może i ma rację bytu, gdyż na przestrzeni od ujścia Ily-su do Czung-Tukaju w kilku miejscach widzieliśmy ślady dawno zarzuconych robót, pozostałe po wytopianiu kruszców. Oczywiście, kruszce wydobywano gdzieś w bocznych wąwozach, zdala od głównego koryta rzeki, i dostawiano je na brzeg rzeki, gdzie obfitość zarośli ułatwiała wytopianie. Zaznaczywszy na planach zdjęć szczegółowych miejsca odnalezionych robót, z braku czasu odłożyłem poszukiwania samych kopalń, pozostawiwszy to specjalistom geologom.

Dla oszczędzenia koni, w miejscowości Czung-Tukaj zostawiłem całą wyprawę pod opieką Fazył-Beka i wachmistrza Koziakajewa, sam zaś z 3 kozakami i 2 jucznymi końmi ruszyłem w górę rzeki Uprang¹⁾.

Rzeka ta spływa z północnych zboczy Himalajów. Źródło jej nosi nazwę Sipar (w języku kirgiskim), albo Saltor (w języku kandzuckim). Otóż u źródeł Saltoru odkryłem wspaniały szczyt, który wznosił się wysoko ponad ogólne pasmo Himalajów, błyszcząc w słońcu przepięknymi lodowcami.

Zachwycony tym wspaniałym widokiem, odmierzyłem podstawę (bazę), i przy pomocy uniwersalnego przyrządu Kerna określiwszy wysokość szczytu na 28 000 stóp n. p. m., nazwałem go szczytem cesarzewicza Mikołaja.

Po powrocie moim z podróży, gdy w sztabie generalnym nałożono moje zdjęcia topograficzne na plany angielskie, wyjaśniło się, że szczyt ten zauważono przy pracach triangulacyjnych z roku

¹⁾ Izw. Russk. Tow. Geograf. Obszczestwa tom XXVI, zeszyt I, z 1891 r., str. 86.

1861 w Indjach i w braku nazwy miejscowej oznaczono go na mapach angielskich literą K₂, a wysokość jego określono z pomocą przyrządów na 28 278 st. n. p. m.¹⁾ W ten sposób mając prowizoryczną podstawę (bazę) i mały przyrząd astronomiczny do rozporządzenia, przy określaniu wysokości szczytu omyliłem się tylko o 278 stóp. Fakt ten stwierdza ścisłość, z jaką prowadziłem zdjęcia topograficzne w polu²⁾. Na całym świecie jeden Ewerest jest wyższy od szczytu cesarzewicza Mikołaja o 724 stopy, gdyż wznosi się na 29 002 st. n. p. m.

O 40 kilometrów niżej rzeka Saltor łączy się z rzeką Opar (po kirgiskiu), albo Goz (po kandzucku). Źródła Oparu stanowią dwie rzeczki: bardziej wschodnia Maj-Zur, prowadząca na przełęcz Balti-Dawan, i zachodnia Muz-Tag (lodowe góry) — na przełęcz Muz-Tag. Obie przełęcze prowadzą do prowincji kaszmirskiej, Baltistanu, i zostały zbadane przeze mnie szczegółowo.

Dalej rzeka Saltor, płynąc w kierunku północno-zachodnim wzdłuż pasma Himalajów, o 70 kilometrów od rzeki Oparu, otrzymuje dopływ, rzekę Szymszał, u źródeł której leży przełęcz Szymszał, prowadząca do Kandżutu. Chcąc zbadać tę przełęcz, posunąłem się wgórę rzeki Szymszał i o 22 kilometry od jej ujścia niespodziewanie znalazłem się przed fortem kandzuckim, Darband (wrota) na wysokości 3 988 metrów n. p. m.³⁾, zajęтым



Typy kobiet z Roszanu (str. 76).

¹⁾ Ibid., str. 87.

²⁾ Sztab generalny uznał, że, ponieważ na angielskich mapach szczyt ten znany jest pod literą K₂, więc nie wypada nadawać mu nazwy cesarzewicza Mikołaja i dlatego na mapy sztabowe, i co za tem idzie, na mapach całego świata nazwy tej nie wniesiono.

Anglicy takich skrupulów nie mają i na tych samych Pamirach jezioro Zur-Kul nazwali jez. Wiktorji, co przedostało się na mapy wszystkich krajów-

³⁾ Ibid., str. 88.

przez wartę, złożoną z 40 zbrojnych ludzi. Fort ten, jak widać na fotografii, zbudowany na wysokim, prostopadłym brzegu rzeki, pomimo prowizorycznej budowy, skutecznie broni dostępu na przełęcz i dalej do zaludnionej części Kandżutu. Zobaczywszy mię, naczelnik warty natychmiast przyszedł i kategorycznie odmówił przepuszczenia mię na przełęcz, bez uprzedniego uzyskania pozwolenia chana kandżuckiego, na co, według jego obračunku, trzeba było 8 do 10 dni. Wiedział on, że w roku ubiegłym byłem gościem chana, że 10 dni bawiłem w stolicy chanatu, Balticie, oraz że chan uważał mię za przyjaciela; mimo to jednak obstawał przy swoim i nie pozwolił przejść. Dopiero zupełny brak trawy i widok koni zmordowanych skłoniły go do przepuszczenia nas wgórę rzeki, do pierwszego miejsca, gdzie obficie rosła trawa pod przełęczą. Z miejsca noclegu przełęcz Szymszał było dobrze widać tak, że mogłem ją określić przy pomocy busoli, nie wspinając się na nią. Nazajutrz, zostawiwszy list do chana kandżuckiego, ruszyłem szybko wdół rzeki, śpiesząc połączyć się z resztą wyprawy.

Wreszcie o 30 kilometrów poniżej ujścia rzeki Szymszał, rzeka Saltor otrzymuje z lewej strony dopływ, rzekę Uprang, i pod tą nazwą o 22 kilometry niżej łączy się z rzeką Raskem-Darją. U źródeł rzeki Uprang leży przełęcz Uprang, przez którą można przejść na Dangnyn-Basz-Pamir, lecz jej nie zbadałem.

Ogólne wrażenia z badań rzeki Uprang (Saltor), na przestrzeni około 200 kilometrów od ujścia jej do źródeł, oraz przełęcz przez Himalaje dadzą się w następujący sposób scharakteryzować. Największy ten dopływ Raskem-Darji toczy swe wody doliną dość krętą, wskutek czego biją one bez przerwy o skały to prawego, to lewego brzegu. Ponieważ w miejscach, gdzie nurt uderza o skałę, są wryte przez wodę głębie, więc aby je obejść, trzeba albo pisać się na skałę, co niezawsze jest możliwe, albo przechodzić rzekę w bród. Były dni, kiedy do 24 razy przeprawialiśmy się z jednego brzegu na drugi. W październiku woda przy przebywaniu brodów dochodziła do siodła, że zaś prąd rwał, i koryto rzeki zawałały duże głazy, więc przeprawa była zawsze nieprzyjemna, a czasami niebezpieczna. Sądząc po śladach, pozostawionych przez wodę na nadbrzeżnych skałach, w lecie, w czasie powodzi, woda przybierała do 3 a nawet do 5 metrów wyżej poziomu normalnego, i wtedy, naturalnie, nie było możliwości posuwać się wgórę rzeki.

Niezwykłe mała ilość opadów atmosferycznych w ciągu roku nie pozwalała rozwinąć się florze, wskutek czego dolina przedstawiała widok beznadziejnej pustyni, z żółtymi zboczami, pozbawionymi wszelkiej roślinności. Zato koryto rzeki było pokryte gęstymi zaroślami wszędzie, gdzie woda nie dosięgała i nie wyrwała krzewów z korzeniami. Olbrzymi rokitnik (*Hippophaë rhamnoides*), tamaryszek, najrozmaitsze rodzaje wierzby i topoli, olbrzymia jeżyna, dzika róża i t. d., poplątane rozmaitemi pnączami, tworzyły takie gąszcze, że bez użycia topora niepodobna było przedrzeć się przez nie. Że zaś ludzie całymi latami tamtędy nie chodzili, więc zwierzęta w tym gąszczu spotykaliśmy często. Nie zajmowałem się specjalnie polowaniem, lecz, że baranów z sobą nie wziąłem, gdyż zatrzymywałyby nas w drodze (często robiliśmy do 60 — 70 kilometrów dziennie), apetyt zaś dopisywał nam doskonale, więc strzelałem do wszystkiego, co się trafiło, i w ciągu 10 dni objazdu zdobyłem: 3 dzikie osły¹⁾, jednego dzikiego barana, papaja (nahura himalajskiego), kilka zajęcy i górskich kuropatw, kunę, oraz śliczny okaz irbisa, który tak był zajęty polowaniem na dzikie osły, że sam wpadł na mnie.

Dzikie osły spotykaliśmy często, lecz niewielkimi stadkami, po 6—8 sztuk. Wyżej, w górze rzeki, t. j. bliżej osi gór Himałajskich, stadka dochodziły do 20—25 sztuk. Tam również spotykaliśmy dość duże stada papajów (nahurów). Kozacy jedli osły z wielkiem obrzydzeniem i tylko z konieczności, choć zapewniałem ich, że „salami“, kiełbasa z osłego mięsa — to przysmak we Włoszech. Mnie befsztyki i szaszłyk z połędwicy osłej bardzo smakowały.

Irbisa zabiłem przypadkowo w gąszczach, przy ujściu rzeki Szymszał do rzeki Uprang.

Obserwując zarośla z oddali, zauważyłem pewne ruchy, które dowodziły, że w krzakach są osły. Ponieważ nie mieliśmy już wcale ani mięsa, ani tłuszczu na wieczrę, zeskoczyłem z konia, obszedłem zarośla pod wiatr i, przyczaiwszy się za olbrzymim tamaryszkiem, spokojnie wyczekiwałem, aż kozacy zaczną naganekę z przeciwległej strony zarośli i automatycznie popędzą osły na mnie. Po chwili na polance przede mną pokazało się stadko osłów, złożone z 4 starych i 2 źrebiąt, które powoli, żerując, wychodziły z zarośli, mając widocznie zamiar przepawić się przez

¹⁾ Ibid., str. 88.

rzekę i skryć w sąsiednich gąszczach. Już wziąłem był na cel żrebaka, gdy nagle, o kilka metrów dalej, na samym brzegu gęstwiny dostrzegłem ogromne szare cielsko zwierzęce, które, pełzając na brzuchu, gotowało się do skoku na tego samego żrebaka. Serce mi zamarło, gdy zdałem sobie sprawę, że to jest rzadki okaz irbisa.

W mgnieniu oka posłałem mu kulę z ekspresa. Irbis wysoko podskoczył i upadł, szarpiąc ziemię zębami i pazurami. Oszalałe ze strachu stadko osłów, widząc wijącego się irbisa, rozbiegło się w różne strony, a drugi ze żrebaków przebiegał tak blisko mnie, że zdążyłem go położyć na miejscu kulą stożkową.

Nadbiegli kozacy. Pomimo zmęczenia, zdjęliśmy skórę z irbisa. Ponieważ jednak nie miałem z sobą maści potrzebnej do preparowania, przeto na sposób kirgiski przewróciłem skórę włosiem do wewnątrz, a na noclegach rozwieszałem ją na powietrzu, póki zupełnie nie wyschła ¹⁾.

Dolina rzeki Uprang, na przestrzeni między rzeką Raskem a ujściem rzeki Saltor, niegdyś była gęsto zaludniona. Dzięki niezwykle suchemu klimatowi zachowały się w całości zwaliska domów i ślady uprawy pól. Doznaje się wrażenia, że ludzie dnia poprzedniego opuścili tę miejscowość, choć przesiedlenie Toglików z Raskemu i Uprangu na dolinę rzeki Tiznaf zdarzyło się nawet nie za pamięci ojców teraźniejszego pokolenia, a więc co najmniej 100 lat temu. Że cały ten obszar jest odpowiedni do uprawy roli, dowodzi choćby ten fakt, że zasiewy jęczmienia widziałem w okolicach fortu Darband, na wysokości 3 988 m. n. p. m., to jest 800 stóp powyżej doliny rzeki Uprang.

¹⁾ Przy sposobności, już w styczniu odesłałem ją z Szachidulla-Chodży do konsula w Kaszgarze, prosząc o przesłanie jej do Gabinetu Zoologicznego Akademji Nauk w Petersburgu, dokąd, jak mi mówił starszy zoolog Akademji, prof. Bianchi, doszła w porządku i gdzie do dziś się znajduje.

XI.

POWRÓT DO CZUNG-TUKAJU. WGÓRĘ RASKEM-DARJI.
WYCIECZKA WGÓRĘ RZEKI SURKOWAT. SZAJKA KANDŻUTÓW.
BAZAR-DARA. ŚLADY WYPRAWY TYBETAŃSKIEJ PIEWCOWA.
WYCIECZKA W DOLINĘ PACHPU. POWRÓT W DORZECZE RASKEMU.

25 października połączyłem się z resztą wyprawy, pozostawionej w miejscowości Czung-Tukaj. Odpocząwszy tylko jeden dzień, niezbędny do obserwacji astronomicznych i uporządkowania zdjęć topograficznych, oraz dzienników, ruszyliśmy dalej w górę rzeki Raskem-Darji i w przeciągu 4 dni doszliśmy do ujścia rzeki Surkowat, gdzie zatrzymaliśmy się w miejscowości Karaj-Karauł (3 600 m. n. p. m.).

W ciągu pierwszego dnia drogi od Czung-Tukaj do miejscowości Azgar (3 335 metrów n. p. m.) stwierdziłem, że szeroka dolina Raskem-Darji nosiła ślady gęstego zaludnienia. Pola wszędzie były oczyszczone od kamieni i jakby przygotowane pod zasiewy; wszędzie ślady kanałów irygacyjnych, wyprowadzonych z rzeki. Na niektórych polach widać było zagony jakgdyby świeżo zżęte. Na wielu zaś polach pozostały drzewka morwowe, których gałązki służyły do karmienia jedwabników. Drzewka te uschły, lecz doznawało się wrażenia, że to tylko liście opadły z nich w jesieni, ale życie nie zamarło. Na polach sterczały zwaliska wieżyczek obronnych, gdzie rolnik mógł schronić się w razie nagłego niebezpieczeństwa. Każdy występ skały, każda ścieżka nosiła ślady pierwotnych fortyfikacyj. Znać było, że człowiek bronił się tutaj do ostatniego tchnienia i ustępował, ulegając jedynie przemocy.

Sądząc z charakteru zwalisk, wyniosłem wrażenie, że dawniejsi mieszkańcy owych obszarów nie skupiali się w większe osiedla, lecz żyli oddzielnymi gospodarstwami. Przypuszczenie to potwierdza jeszcze i brak trawy, niezbędnej, jako pasza, dla bydła. Z powodu nadzwyczaj małej ilości opadów, życie roślinne możliwe tam jest tylko w miejscowościach sztucznie nawodnionych. Trawę zaś można znaleźć tylko na szczytach zboczy górskich, gdzie deszcze padają częściej. Sądząc z kanałów, na których wybudowane były młyny i może jakie inne fabryki, posiłkujące się siłą wodną, wnioskowałem, że sztuka przeprowadzania kanałów była dobrze znana tamtejszym mieszkańcom.

Zwaliska większej wioski istnieją w miejscowości Azgar, gdzie szczególnie przykre wrażenie wywiera ogromne cmentarzysko ¹⁾, z grobowcami, tak świetnie zachowanymi, jakby dopiero co były wzniesione, chociaż, jak już nadmieniałem, od czasu opuszczenia tej miejscowości przez Toglików minęło zgorą lat sto.

Za Azgarem dolina rzeki Raskemu zwęża się, tylko miejscami tworząc szerokie, równe pola, zdatne do uprawy.

Nader wąskim, skalistym wąwozem rzeka biegnie na przestrzeni około 10 kilometrów między miejscowościami Basz-Bałgyn (początek tamaryszku 3 566 metrów n. p. m.), a Jalpak-Czyczirkanak (pełzający rokitnik 3 645 metrów n. p. m.). Ścieżka wije się tam nad przepaścią, po osypisku; jest nieszersza nad 20 — 25 centymetrów. Gdy się wjedzie na nią, niepodobna ani zejść z konia, ani zawrócić, ani juka poprawić, gdyby się rozluźnił. Grozę położenia zwiększają sypiące się z pod nóg konia żwir i kamienie, które z hukiem spadają w przepaść, z wysokości jakichś 300 metrów, w spienione fale rzeki. Sam widok takiej przepaści może przyprawić o mdłości człowieka o słabych nerwach ²⁾. Przebyliśmy tę drogę szczęśliwie, prowadząc konie w pojedynkę i przytem w znacznej odległości jeden od drugiego, żeby nie wywołać większej lawiny kamieni. Wrażenie jednak po 10 kilometrach takiej drogi pozostało na długo.

Przy ujściu rzeki Surkowat znowu zostawiłem swą wyprawę, i tym razem w towarzystwie jednego tylko kozaka i z jednym koniem jucznym udałem się wgórę rzeki Surkowat, która składa się z dwóch rzek: Agył-Dawan (schronisko na przełęczy) i Dżawai-

¹⁾ Ibid., str. 89.

²⁾ Ibid., str. 89.

Dżylga (dzika cieśnina). Ruszyliśmy w górę rzeki Agyl-Dawan, gdyż wzdłuż niej biegła ścieżka na przełęcz tejże nazwy, prowadząca do źródeł rzeki Saltor (Sipar).

Przełęcz okazała się miękka i nietrudna do przebycia, choć wznosiła się na 4944 metrów n. p. m. Pod przełęczą spotkaliśmy ogromne stado papajów (nahurów), liczące do 400 sztuk, a przy nich stadko kulanów (dzikich osłów) do 20 sztuk. Lecz wiatr mieliśmy z tyłu (zdołu), i czujne zwierzęta zdaleka nas zwietrzyły, nie dopuszczając nawet na daleki strzał. Stwierdziliśmy więc tylko fakt, że nahury, jak i Ovis Poli, w jesieni skupiają się w ogromne stada, w celu obrony przed wilkami, oraz że nahurów w tej części pustyni Raskemu jest dużo, lecz trzymają się one bliżej osi Himalajów, gdzie jest więcej trawy. Poza tem w bliskości przełęczy widzieliśmy nawóz i ślady (dosyć dawne) jaków, lecz samych zwierząt nie widzieliśmy.

Przenocowawszy nad rzeką Saltor, udałem się znowu na przełęcz Muz-tag, gdyż będąc tam parę tygodni temu, zapomniałem określić absolutną wysokość dolnego końca lodowca, który pokrywa całą przełęcz. Pod przełęczą zobaczyłem stadko czerwonych kozłów „jurga“, że zaś mięsa nie mieliśmy, więc zacząłem podchodzić stadko, dopóki jednego nie upolowałem.

Zanim zdążyliśmy oprawić zabitego kozła, skończył się krótki dzień listopadowy. Postanowiłem zanoć w zaroślach u podnóża przełęczy i powoli schodziłem nadół, gdy nagle, z poza jednego zakrętu dostrzegłem jakieś ogniska właśnie w tych zaroślach, gdzie miałem zamiar nocować. Zdumiony, gdyż w przeciągu 35 dni, jakie spędziłem w pustynnej dolinie Raskemu, oprócz ekspedycji Younghusbanda, śladów ludzi nie spotkałem, zostawiłem konie pod opieką kozaka, sam zaś, wyszukując miejsca zacienione, podszedłem o tyle do ogniska, że rozpoznałem, iż jest to oddział Kandzutów. Policzyłem. Składał się z 80 zbrojnych i, oczywiście, został wysłany przez Safder-Ali-Chana na jakąś wyprawę bandycką.

Pomimo przyjaznych stosunków, jakie łączyły mię z chanem, za bardzo dobrze znałem dziki temperament Kandzutów, żeby zjawić się w ich obozie w towarzystwie jednego kozaka. Że zaś okoliczności tak się złożyły, iż szajka ta odcinała mi drogę do mej wyprawy, postanowiłem przeto siedzieć w ukryciu póki Kandzuci nie zasną, potem ostrożnie przeprowadzić konie obok obozowiska i śpieszyć do wyprawy, od której, licząc na bezludzie Raskemu,

oddaliliśmy się samopas przeszło o 100 kilometrów drogi¹⁾. Na szczęście, dolina rzeki Muz-Tag jest dosyć szeroka, a noc była bezksiężycowa, dość ciemna, choć gwiazdzista. Wyczekiwanie było przykre, gdyż jeść nam się chciało nie na żarty. Mieliśmy wprawdzie duży zapas mięsa, ale niepodobna było rozpalic ognia. Wreszcie około północy ogniska Kandzutów poczęły gasnąć. Oczywiście, wartownicy posnęli i przestali je podsycać. Postanowiłem ruszyć.



Typ kobiety z Roszanu (str. 76).

Wyciągnęliśmy z pod siodła potniki wołokowe i obwiązali niemi kopyta koniom, żeby nie było słyhać uderzeń podków o kamienie i, trzymając się przeciwległych zboczy, poprowadziliśmy konie za uzdy. Po upływie pół godziny ognie kandzuckie były już za nami. Nocą przeszliśmy przełęcz Agył-Dawan i nazajutrz przed wieczorem połączyliśmy się z wyprawą. Było to 5 listopada.

Obóz ekspedycji znalazłem przesunięty o parę kilometrów. Wachmistrz Koziakajew odkrył źródła wody, wypływającej nad skalistymi zboczami brzegu rzeki, dokoła zaś łąkę z pewną ilością trawy i, dręczony jakimś wewnętrznym niepokojem, zamiast wypędzać konie na paszę na łąkę, kazał przenieść juki nasze na trudno dostępną skałę, żeby nie rozdzielać ludzi do pilnowania koni i obozu i mieć wszystko pod ręką. W ten sposób nasz obóz przypadkowo znalazł się na pozycji obronnej. Znając zwyczaje Kandzutów, byłem przekonany, że we dnie zauważą ślady, pozostawione przez nas, i popędzą za nami. Postanowiłem więc czekać na nich w miejscu, gdzieśmy byli rozłożeni obozem.

Rzeczywiście na drugi dzień przed wieczorem, patrząc z wysokiej skały na dolinę rzeki, zobaczyłem z daleka szajkę, która ciągnęła korytem rzeki Raskem-Darji²⁾.

¹⁾ Izw. Russk. Geogr. Obszczestwa t. XXVII z 1891 r., str. 108.

²⁾ Ibid., t. XXV z 1881 r., str. 426.

Wkrótce Kandzuci dostrzegli nasz obóz. Przez lunetę doskonale widziałem, jak cała szajka natychmiast się zatrzymała, poczęły się gorące narady, potem wszyscy znikli za kamieniami, z wyjątkiem 5 ludzi, którzy, wspiawszy się na skałę, gdzie stał obóz, rzucili się ku mnie, najserdeczniej mię witając i w imieniu chana wyrażając żal, że nie mógł on zobaczyć się ze mną w tym roku. Na me zapytanie, wielu ich jest i dokąd dążą, odpowiedzieli, że jest ich tylko pięciu, udają się zaś do gminy górali w Pachpu, w górnym biegu rzeki Tiznał, w celu zebrania dorocznej daniny.

Przekonawszy posłów, iż wszystkich ich jest 80, i przez lunetę pokazawszy im, co obecnie robi reszta szajki, gdyż z powodu odległości nie spodziewali się, że można ich widzieć, i niebardzo się ukrywali, oświadczyłem, że mi nawet na myśl nie przyszło, żeby mieli zamiar napaść na nas, ale jeżeli chcą, to prosimy: wiedza, jak strzelamy, damy im przeto stosowną nauczkę. Nadto zapowiedziałem, że, pomimo osobistej przyjaźni swej z Safder-Ali-Chanem, nie zniósłbym tego, by szajka miała napaść na bezbronnych Kirgizów Sary-Kji¹⁾ lub na karawanę handlową. Pomogę temu, kto będzie pokrzywdzony. Radzę więc Kandzutom po przyjacielsku zaniechać w obecnej chwili napadów w miejscowościach, gdzie my będziemy, i wrócić do kraju.

Zawstydzeni posłowie przyznali, że istotnie jest ich 80 zbrojnych, ale że bynajmniej nie mieli oni względem nas złych zamiarów; byli wysłani przez chana, żeby urządzić zasadzkę na Kirgizów, którzy wieźli pakunki wyprawy Younghusbanda, i odebrać otrzymane przez nich od niego pieniądze; głównie zaś chodziło o schwytanie Turdy-Kuł-Beka, znowu mianowanego bekiem przez Younghusbanda, ponieważ Turdy-Kuł jest wrogiem Safder-Ali-



Typ kobiety z Roszanu (str. 76).

¹⁾ Tak się nazywa część Kara-Kasz-Darji około Szachidulla-Chodży.

Chana, odprowadzał Younghusbanda do Pamirów, i chan kazał go schwycić w drodze powrotnej do Sary-Kji. Powtórzywszy z naciskiem, że postanowienie moje okazania pomocy pokrzywdzonym jest niezłomne, odesłałem posłów zpowrotem do szajki, obserwując przez lunetę gorące rozprawy ich z pozostałymi towarzyszami.

W nocy u Kandzutów paliły się ogniska. Po przygotowaniu kolacji kazałem ogniska w naszym obozie pogasić, aby ułatwić obronę na wypadek napadu Kandzutów. Nazajutrz szajka zniknęła z okolic naszego obozowiska. Do nas zaś zjawił się naczelnik szajki i dwóch wybitniejszych wojowników, którzy mieli iść do górali Pachpu po daninę, zapewniając, że szajka wróciła do Kandzutu. Zatrzymałem ich w ciągu kilku dni przy ekspedycji, jako zakładników, póki nie odsunęliśmy się na setkę kilometrów od miejsca spotkania z Kandzutami, poczem, obdarowawszy ich, uwolniłem.

Wtedy można już było dokładnie wykreślić drogę, jaką szajki Kandzutów dążyły na wielki szlak karawanowy z Indyj do Chin na rabunek handlowych karawan: z Kandzutu szajka wychodziła przez przełęcz Szymszał, spuszczała się ku brzegom rzeki Saltor, potem szła w górę Saltoru do przełęczy Agył-Dawan; przebywszy tę przełęcz, spuszczała się wzdłuż brzegów rzeki Agył-Dawan i Surkawat ku Raskem-Darji, skąd udawała się w górę rzeki aż do źródeł, spływających z Himalajów właśnie w okolicach Kara-Korumskiej przełęczy. Droga ta jest tak dogodna, że szajki kandzuckie mogły przeprowadzać po niej nawet wielbłądy, objuczone zagrabionemi towarami, i przez przełęcz Szymszał znikać w czełściach doliny Kandzutu.

8 listopada¹⁾ ekspedycja przesunęła się do miejscowości Bazar-Dara (cieśnina rynkowa) na wysokości 3704 metrów n. p. m. W ciągu tego dnia na przestrzeni 20 kilometrów musieliśmy 16 razy przeprować się w bród przez rzekę; ponieważ zaś mrozy nocami dochodziły już do -24°C — 27°C , i nawet we dnie temperatura nie podnosiła się wyżej -10°C , przeto choć środek (prąd) rzeki jeszcze nie był zamarźnięty, jednak część jej od strony brzegów była pokryta grubym lodem. Konie z jukami musiały skakać z lodu do głębokiej wody, przyczem z największym trudem, często przy pomocy sznurów, udawało się je wyciągać na drugi brzeg. Wy-

1) Ibid., t. XXVI z 1889 r. str. 92.

twarzało to ogromne trudności, bo mieliśmy 40 koni. To też cały dzień upłynął na przejściu 20 kilometrów, i dobrnęliśmy na nocleg zupełnie wyczerpani.

Przez cieśninę Bazar-Dara i dwie przełęcze, Kulan-Aryk i Tochta-Kurum, można się dostać do źródeł rzeki Tiznaf, do Pachpu, gminy górali, stanowiącej nieznany szczepek ludności Kaszgarji. Jeszcze poprzedniego roku, będąc nad brzegami rzeki Pil, gdzie odkryłem złoża nefrytu, chciałem być udać się w górę rzeki Kulan-Aryk, niedaleko stamtąd wpadającej do Raskemu, i dotrzeć do Pachpu. Lecz moje środki materialne były zupełnie wyczerpane, i musiałem odłożyć tę wyprawę do innej sposobności. Obecnie skłoniło mnie do tej dalekiej bocznej wycieczki jeszcze następujące zdarzenie: przechodząc przez strumień Bazar-Dara, na wyschłym błocie zauważyłem ślad podkowy końskiej. Zdumiony tem odkryciem, gdyż przypuszczałem, że w miejscowości tej mogli być tylko Anglicy, ci zaś, przyjeżdżając od strony Indyj, używają małych koni tybetańskich, które podków nie znają, wziąłem paru ludzi, zarządziłem szczegółowe badanie cieśniny, przetrząsając każdy krzaczek, każdą łączkę. Po usilnych poszukiwaniach, znaleźliśmy naprzód miedzianą gilzę od naboju z karabinu Berdana, potem zaś kawałek, urwany z banderoli rosyjskiej. To naprowadziło mnie na myśl, że do Bazar-Dary dotarł ktoś z tybetańskiej wyprawy pułkownika Piewcowa, który, po niespodziewanej śmierci generała Przewalskiego w Siedmiorzeczcu nad jeziorem Issyk-Kul, był mianowany szefem osieroconej ekspedycji i prowadził ją przez południową Kaszgarję. Wobec tego postanowiłem udać się tą drogą, którędy przyszedł ktoś z członków ekspedycji tybetańskiej¹⁾, dotrzeć do ludzi, dowiedzieć się, gdzie się zatrzymywali, i określiwszy tę miejscowość astronomicznie, połączyć prace swoje z pracami członków wyprawy tybetańskiej, co znów stanowiłoby podstawę do wyjaśnienia kartografji tej części Azji.

Wskutek tego znowu zostawiłem całą ekspedycję pod opieką wachmistrza Koziakajewa i Fazył Beka i w towarzystwie 2 kozaków, z 2 jucznymi końmi 9 listopada wyruszyłem w górę rzeczki Bazar-Dara.

O kilka kilometrów od Raskemu przeszliśmy obok zwałisk niewielkiej forteczki i wioski i znaleźliśmy ślady wytapianej tam

¹⁾ Ibid., str. 92. Potem wyjaśniło się, że był to inżynier Karol Bohdanowicz, obecnie prof. Akademji Górniczej w Krakowie i prezes Pol. Tow. Geograf.

kiedys rudy metalowej; lecz jakie to były prace, nie mogłem określić, na zbadanie zaś okolic nie mieliśmy czasu. Przełęcz Kukalang (zielona) (4 971 metrów n. p. m.) okazała się miękka i do przejścia nietrudna. Z przełęczu zeszliśmy nad brzegi rzeczki Kulan-Aryk, (prawy dopływ Raskemu), u źródeł której leżały duże pastwiska, gdzie zimowały stada, należące do górali z Pachpu.

Pod przełęczą Kukalang spotkaliśmy parę niewielkich stadek papajów (nahurów), dzięki czemu zaopatrzyliśmy się w zapas mięsa, oraz stadko dzikich jaków. Potem górale nam mówili, że przed laty 10—15 dzikich jaków w tamtejszych okolicach było dużo, lecz wskutek jakiejś epidemii poczęły zanikać i obecnie zdarzają się rzadko i niewielkimi stadkami.

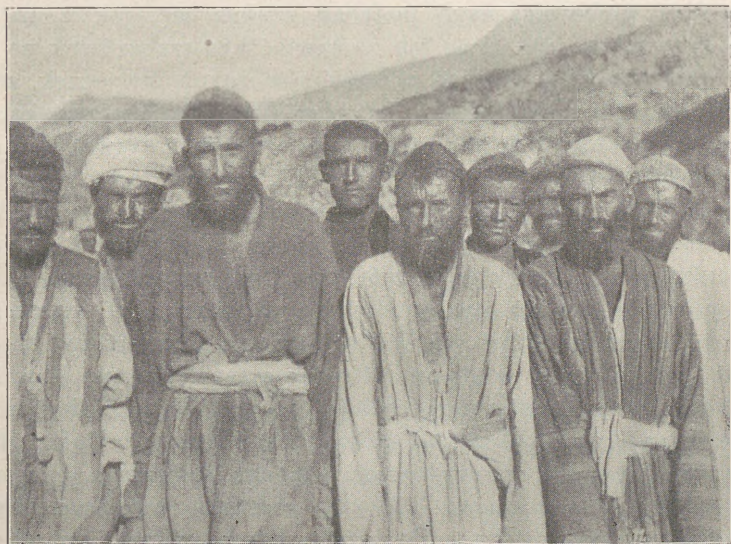
Rzeczka Kulan-Aryk (dzikich osłów) spływa z głównego pasma gór Kaszgarskich (jedno z głównych rozgałęzień Kuenlunu), dzielących dorzecze Raskemu od dorzecza Tarymu. Przed nami piętrzyła się stroma, wysoka ściana gór, na którą, zdawało się, niepodobna było się wspiąć. Ponieważ zaś przewodnika nie mieliśmy i szliśmy, kierując się własną inicjatywą, więc zobaczywszy stada, poczęliśmy szukać pastuchów; ci jednak, widząc zdaleka zbrojnych ludzi, ukryli się, jak umieli najlepiej, w szczelinie jakiejś skały, wśród kamieni.

Odnalazszy wreszcie zbiegów, najęliśmy jaki i 13 listopada przy pomocy pastuchów przebyliśmy bardzo trudną przełęcz Tachta-Korum (deskowy kamień, wysokości 5 399 metrów n. p. m.) i zeszliśmy w dolinę rzeki Pachpu (jednego ze źródeł rzeki Tiznaf, należącej do dorzecza Tarymu). Ścieżka na przełęcz przedstawiała wyjątkowe trudności jeszcze i dlatego, że nadzwyczaj strome zbocza przełęczu były pokryte zlodowaciałym śliskim śniegiem, po którym wspinaliśmy się, wyrabując wgłębienia i posypując je piaskiem, jaki mieliśmy z sobą w torbach; konie nasze szczęśliwie weszły na przełęcz luzem, podtrzymywane w trudniejszych miejscach sznurami. Zato z prawdziwą przyjemnością patrzyłem na jaki, które z niezrównanym spokojem i pewnością szły z ciężkim jukiem, wspinając się krok za krokiem na szczyt przełęczu.

14 listopada doszliśmy do miejscowości, stanowiących główną siedzibę górali, gdzie według wskazań mieszkańców przed trzema miesiącami zatrzymywał się ktoś z członków wyprawy tybetańskiej. Miejscowość tę, jak również źródła Kulan-Aryka, określiłem ¹⁾

¹⁾ Ibid., str. 94.

astronomicznie i w ciągu krótkiego tym razem pobytu wśród górali, zebrałem możliwie pełne wiadomości o tym nieznanym szczepie mieszkańców Kaszgarji. Opowiedziałem o nich w innym miejscu¹⁾; dodam tylko, że, aby zbadać jak największy obszar tego nieznanego kraju, wracałem do swej wyprawy, nie dawną drogą, lecz wzdłuż Kiujdji i przez przełęcz Czyrak-Soldy (zapalił światło), wysokości 3 969 metrów n. p. m. Między rzekami Pachpu a Kiujdji ścieżka prowadzi przez przełęcz Tiupes (górnka), na której spotkałem takie stado dzikich kuropatw olbrzymich (ułarów),



Typy Tadżyków z Roszanu (str. 76).

jakiego nigdy ani przedtem, ani potem nie zdarzyło mi się widzieć. Ułary siedziały zwartą masą na polanie, grzejąc się na słońcu, brunatną barwą opierzenia tak przystosowane do barwy otaczających skał, że wziąłem je za kamienie; zrozumiałem, że to są kuropatwy dopiero wtedy, kiedy, nie mogąc rozpostrzeć skrzydeł i zerwać się do lotu, bo siedziały jedna obok drugiej, poczęły „na piechotę“ uciekać, będąc ode mnie jeszcze o jakieś trzysta kroków. Masa ułarów była taka zwarta, że, strzelivszy jeden raz z kolana z karabina Berdana, zabiłem 4 sztuki i ciężko zraniłem

¹⁾ „Kaszgarja“ str. 202—206.

trzy. Parę lepiej opierzonych skórek odesłałem z Szachidulla-Chodży do konsula w Kaszgarze, z prośbą przesłania ich do Akademii Nauk w Petersburgu, gdzie starszy zoolog Gabinetu Zoologicznego, prof. W. Bianchi, określił je, jako nową odmianę i nazwał ją mojem imieniem *Tetraogallus himalayensis Gromb-czewscii* ¹⁾.

Z ekspedycją połączyłem się 20 listopada, zastawszy wszystko w zupełnym porządku; tylko towarzysze moi byli bardzo zaniepokojeni moją zbyt długą nieobecnością. Przy tej sposobności nadmienię, że w trosce o swych towarzyszy, z którymi w czasie trudnych i niebezpiecznych podróży żyłem się, jak z najbliższymi krewnymi, nie chcąc ich zostawiać bez wskazówek na wypadek, gdybym gdzieś zginął w czasie bocznych wycieczek, zostawiłem na ręce Fazył Beka i wachmistrza Koziakajewa kategoryczny rozkaz piśmienny, że, gdybym w ciągu 2 tygodni od dnia opuszczenia obozu nie wrócił, Fazył-Bek ma wyprawę niezwłocznie prowadzić najbliższą drogą w stronę Kaszgaru, Koziakajew zaś z kozakami bronić jej do ostateczności, aby wszystkie zdobycze naukowe z podróży doręczyć konsulowi rosyjskiemu. Fazył-Bek był współpracownikiem inteligentnym, pomagał mi często przy pracy i doskonale orjentował się w mapach. Zresztą był to krajowiec i umiałby dać sobie radę i w razie mojej śmierci doprowadzić towarzyszy do pierwszej władzy rosyjskiej; Koziakajew zaś był punktualnym wykonawcą każdego rozkazu i oddałby życie w obronie porządku w wyprawie i dla zabezpieczenia jej naukowych zdobyczy i własności. W tej ostatniej wycieczce byłem nieobecny w ciągu 12 dni. Pozostało zatem tylko 2 dni do terminu, kiedy towarzysze powinni byli zostawić mię własnemu losowi i ruszyć do Kaszgaru. Do zdenerwowania i niepokoju pozostali przy wyprawie członkowie mieli dostateczną ilość powodów.

¹⁾ Sinopticzeskija tablicy ochotnicznych ptic S. Buturlina. Petersburg, 1901, str. 69 p. b.

XII.

DALSZA DROGA WGÓRĘ RASKEM-DARJI.
ZAKOŃCZENIE BADAŃ DORZECZA RASKEMU. DO SZACHIDULLA-CHODŻY.
STAN RZECZY W FORCIE. TRUDNE POŁOŻENIE WYPRAWY.
OCZEKIWANIE NA ŻYWNOSĆ Z OAZY SANDŻU.
WYPRAWA NA KARA-KORUM POWRÓT.

22 listopada znowu z całą ekspedycją ruszyłem wgórę rzeki Raskem Darji, i w ciągu trzech dni marszu doszliśmy do miejscowości Kirgiz Dżangal (zarośla kirgiskie) na wysokości 4217 metrów n. p. m., ani razu nie spotkawszy nigdzie ani ździebełka trawy, którąby się mogły odżywić konie¹⁾. Nasze zapasy jęczmienia się skończyły; konie z głodu gryzły gałązki krzaków, które w zimie, przy silnych mrozach, nie mogły być soczyste i choć trochę pożywne. Położenie nas, członków ekspedycji, nie było lepsze: mąki, kaszy, soli dawno już nie mieliśmy; żyliśmy wyłącznie mięsem, od czego wszyscy chorowaliśmy dosyć ciężko na stałe bóle w okolicy żołądka. Przytem, jedliśmy wszystko, co udawało się upolować, gdyż i barany trzeba było oszczędzać. Przez długą i uciążliwą drogę były one wychudzone; przy braku mąki i kaszy trzeba było zabijać dwa codziennie, że zaś pozostało ich zaledwie kilka sztuk, chętnie przeto zastępowaliśmy je tem, co się upolowało, pozostawiając barany na dni pecha myśliwskiego. Na urządzanie specjalnych polowań nie było czasu; robiliśmy przeciętnie około 25 — 30 kilometrów dziennie, a że dni listopadowe były krótkie, więc wyruszaliśmy o świcie, i ledwie o zmroku mogliśmy rozłożyć się na nocleg. Jechałem zwykle z przewodnikiem daleko

¹⁾ Ibid., str. 100.

na przedzie karawany, robiąc zdjęcia topograficzne, że zaś mój siwek na strzały przez swój łeb był zupełnie obojętny (nie lubił tylko, jeżeli przypadkowo lufa strzelby leżała mu między uszami i wtedy długo i zawzięcie trząsł łbem, jakby chcąc mię zawstydzic za zdradę), strzelałem tedy z konia do wszystkiego, co nieoczekiwanie udawało się zdybać w zaroślach. Najczęściej padały zajęce i dzikie osły, szczególnie młode żrebaki, które, uciekając, przez ciekawość niebawem się zatrzymywały, aby zobaczyć, przed czym uciekają, gdy ich nikt nie goni.

Bądź co bądź trzeba było koniecznie zetknąć się z ludźmi i kupić chociażby soli, mąki i kaszy, bez czego dalsze istnienie było niemożliwe.

W pustynnem dorzeczu Raskemu spędziliśmy już 50 dni i przez cały ten czas tylko dwukrotnie spotkaliśmy ludzi, a mianowicie: wyprawę kapitana Younghusbanda i szajkę Kandzutów, wysłanych na rabunek.

Zdjęć topograficznych dokonałem na przestrzeni 1 250 kilometrów; były one oparte na 10 punktach astronomicznych¹⁾. Przytem, jeżeli odjeżdżałem na boczną wycieczkę, powróciwszy z niej, obowiązkowo robiłem nowe spostrzeżenie w tem samem miejscu, żeby się upewnić, iż chronometry, których miałem tylko dwa, nie uległy uszkodzeniu.

Prócz tego zbadałem wszystkie przełęcze nietylko w Himalajach, lecz i te, które były dostępne w pasmie gór Raskemu i w górach Kaszgarskich.

Powyżej miejscowości Kirgiz-Dżangal rzeka Raskem traciła charakter górski, i źródła jej spływały z rozmaitych wawozów gór Himalajskich szerokimi łożyskami, łagodnie spuszczaćemi się nadół i pozbawionemi wszelkiej roślinności. Główne źródło spływało z okolic przełęczy Kara-Korum, która pomimo swej wysokości 18 500 stóp (około 5 650 metrów n. p. m.) nieznacznie tylko wznosiła się nad otaczającą ją okolicą.

Postanowiłem więc na tem zakończyć badania Raskem-Darji i wyruszyć do Szachiduła-Chodży, wiedziałem bowiem, że w najbliższych okolicach tej miejscowości koczuje 20 — 30 jurt Kirgizów, zajmujących się specjalnie przeprowadzaniem karawan przez

¹⁾ Ibid., str. 106 Punkty są następujące: Czung-Tukaj (2 razy), Szym-szalny-Auzy, Kara-Jar-Karauł (2 razy), Szaskumbo, Bazar Dara (2 razy), Buka-Baszy, Kzyżł Kuuluk, Kyrczyn-Dżyłgany Auzy, Szachiduła-Chodża (2 razy) i Kaidyny Auzy (2 razy).

przełęcz Kara - Korum, oraz dostarczaniem żywności, którą sami przywozili z miasteczka Kiljam, lub z oazy Sandżu, w Kaszgarji.

25 listopada odsunęliśmy się od łożyska rzeki Raskem-Darji, którego trzymaliśmy się stale w ciągu dwóch miesięcy, i przez przełęcz Kuk-Art (zielona przełęcz), wysokości 4 927 m. n. p. m. przebyliśmy rozgałęzienie Himalajów, rozdzielające dorzecze rzeki Raskem-Darji od sąsiedniej rzeki Kara - Kosz (Chotan) Darji. Spuściwszy się nad rzekę Chalczuskun, zatrzymaliśmy się na noc-



Widok Aliczur-Pamiru w zimie (str. 92).

leg w miejscowości Buz-bil-tiupe (4 119 m. n. p. m.) o 15 kilometrów od fortu Szachiduła-Chodża.

Opierając się na zapewnieniu Younghusbanda, że fort ten jest zajęty przez Kaszmirów, 26 listopada posłałem naszego przewodnika, Kirgiza z Sarykiji, z listem do naczelnika fortu, prosząc o pozwolenie zakupienia niezbędnej mi żywności, oraz zapytując go, czy nie ma odpowiedzi od pułkownika Nisbet'a na list mój, przesłany przez Younghusbanda w sprawie pozwolenia na przezimowanie w Ladaku (w Małym Tybecie ¹⁾).

¹⁾ Ibid., str. 100.

Wieczorem wrócił posłaniec, prowadząc z sobą jednego z wójtów miejscowych Kirgizów, który opowiedział mi, że Chińczycy nie protestowali przeciwko budowie fortu w Szachidułła-Chodży przez Younghusbanda i zajęciu go przez garnizon kaszmirski. Ale kiedy nadeszła zima, i połączenie z Kaszmirem przez przełęcz Kara-Korum stało się bardzo trudne, Chińczycy zamknęli granicę i zabronili wywozu wszelkiej żywności z Kiljamu w stronę Szachidułła-Chodży. Kaszmirowie i koczujący przy forcie Kirgizi, nie spodziewając się niczego podobnego, nie zaopatrzyli się w zapasy chleba i kaszy i znaleźli się w położeniu tragicznem.

Kirgizi przekoczywali z okolicy fortu wdół rzeki Kara-Kosz, do miejscowości Sary-Kiji, skąd trudną, okrężną drogą mogli jednak ustalić połączenie z Kaszgarją i jako tako zdobywać stamtąd żywność; zresztą na pastwiskach Sary-Kiji trzymali swą nieliczną trzodę, która też dawała im cośnieco pożywienia. Lecz Kaszmirczycy, zostawszy sami w forcie, w obawie śmierci głodowej, zabrali resztki zapasów i, porzuciwszy fort, uciekli do Kaszmiru. Wtedy Chińczycy przystali do Szachidułła-Chodży swego urzędnika, który objął fort w posiadanie, obsadził go przyprowadzoną z sobą częścią konnej lanzy kirgiskiej z Kiljamu; sprowadził on Kirgizów z Sary-Kiji i kazał im koczować na dawnych miejscach przy forcie, wyznaczył nowego beka i, aresztowawszy Turdy-Kuł-Beka, mianowanego przez Younghusbanda, wywiózł go z sobą do Kaszgaru ¹⁾.

W ten sposób fort, wybudowany kosztem władz angielskich w Indjach, zajęli Chińczycy i obsadzili bez kosztów ²⁾. Co się zaś tyczy sprzedania nam żywności, wójt oświadczył, że Kirgizi tylko co wrócili do Szachidułła-Chodży, sami nie mają żadnych zapasów i mogą podzielić się z nami żywnością w ilości minimalnej. O ilebyśmy zaś potrzebowali większych zapasów, trzeba by posłać umyślnego do Kiljamu, który tam może zakupić potrzebną ilość żywności, oraz innych rzeczy (podkowy, gwoździe, sznury i t. p.), utworzy tam karawanę i sprowadzi ją do Szachidułła-Chodży. Posłaniec może pojechać i wrócić, w okolicznościach pomyślnych w ciągu 15—18 dni; w razie zamieci, lawin śnieżnych, lub innych przeszkód, często zdarzających się w zimie, cała wyprawa po żywność może się przeciągnąć do 20—25 dni.

¹⁾ O zdarzeniach tych, dotyczących fortu Szachidułła-Chodża, wspominałem już na innem miejscu (patrz „Kaszgarja“ str. 193).

²⁾ Ibid., str. 101.

Były to dla mnie wiadomości hiobowe. Nie miałbym nic przeciwko 3—4-tygodniowemu wypoczynkowi koni i ludzi, gdyby gdziekolwiek na owych wysokościach była trawa, gdzieby konie mogły się odkarmić i odpocząć. Lecz wiedziałem, że obszary te pozbawione są prawie zupełnie roślinności, jeżeli zaś trafiła się gdziekolwiek w bliskości drogi karawanowej, wyjadły ją aż do korzonków wygłodzone konie karawan handlowych. Bez podkarmiania koni chociażby kilogramem jęczmienia dziennie niepodobna było się obejść, a jęczmień należało przywozić aż z Kaszgarji, przez trudno dostępne pasmo gór Altyn-Tagu (Złote góry, miejscowa nazwa Kuen-lunia), co spowodowałoby olbrzymie wydatki, którym nie mogły sprostać więcej niż skromne środki mojej wyprawy.

Począłem gorzko żałować, że usłuchałem przyjacielskich namów Younghusbanda i zwróciłem się do pułkownika Nisbet'a z prośbą o pozwolenie prezimowania w Ladaku: od wysłania mego listu minęły już 2 miesiące, a odpowiedzi nie było! Natomiast mówił mi wójt kirgiski z Szachidukła-Chodży, że przechodzący tamtędy kupcy z karawanami opowiadali, iż władze angielskie wiedzą już o zamiarze Rosjan przejścia na zimę do Małego



Typ ubożego Kirgiza na Pamirach (str. 94).

Tybetu, poczyniły odpowiednie zarządzenia, nakazawszy miejscowym władzom kaszmirskim, aby nie puściły Rosjan. Zdawało mi się, że spotkanie moje z Younghusbandem było dla mnie „pechem“; bądź co bądź nie odczuwałem w stosunku do siebie tej życzliwości, jaką ja okazałem Younghusbandowi, dzieląc się z nim i każdym kęsem chleba, i zdobyczami naukowemi. Sądziłem, że gdybym był nie spotkał Younghusbanda, nie zwierzył mu się ze swych zamiarów, on zaś gdyby był nie uprzedził o nich rządowi indyjskiego, mógłbym niespodzianie zjawić się gdzieś w Tan-ksi, albo w Panamiku, i rząd angielski musiałby się liczyć z tym „faktem dokonany“. Toć przecie zato nie powieszonoby nas wszystkich! A zanimby administracja wioszczyny tybetańskiej za-

wiadomiła o nas władze okręgowe, te zaś centralne, a centralne—angielskie, upłynęłoby dużo wody, i minęłaby spora część zimy. Prawda i to, że petersburskie ministerjum spraw zagranicznych byłoby oburzone, iż nie dotrzymałem obietnicy unikania wszelkiego starcia z Anglikami; lecz wówczas nie byłem już tym nieznanym porucznikiem, który przystawał na wszelkie warunki, byle wyprosić pozwolenie na podróż. Podróżowałem obecnie na mocy imiennego rozkazu cesarskiego i mogłem się wytłumaczyć w ten sposób, że, będąc odpowiedzialnym za życie 13 ludzi ekspedycji, zmuszony byłem przez okoliczności do takiego kroku.

Pod wpływem podobnych myśli (27 listopada) przesunąłem się do Szachiduła-Chodży i stanąłem obozem niedaleko nowego fortu i koczowisk tamtejszych Kirgizów. Było ich razem około 25—30 jurt; pochodzili oni z najrozmaitszych szczepów kirgiskich Fergany i Pamirów, i Bóg wie z jakich powodów nie mogąc się zżyć ze swoimi, wyemigrowali do tego dzikiego kraju. Zespoleni przez los, który ich postawił w warunkach ciężkich, nie żyli oni i tutaj w zgodzie, lecz łączyła ich żądza zysku i dobrze zrozumiany interes własny. Większość karawan handlowych, przybywających do Szachiduła-Chodży czy to z południa, przez Himalaje, czy też z północy, przez Kuen-luń, zjawia się tam z pewnemi brakami, z powodu nieuniknionych przygód w podróży (to konie padły w drodze, to jęczmienia zabrakło, to znów poganiacze uciekli lub zachorowali). Karawany stają tam bezradne, i bez pomocy miejscowych Kirgizów nie mogłyby się z miejsca ruszyć, bez narażenia się na poważne straty. Otóż ci Kirgizi zaopatrują je w żywność i w juczne zwierzęta i przeprowadzają przez Himalaje lub Kuen-luń. Z tego żyją, biorąc za wszelką pomoc zapłatę bardzo wygórowaną i tylko złotem. Np. 16 kg. (pud) jęczmienia kosztowały tam 3 ruble, mąki—4 rb., kaszy—5 rb., baran od 7—10 rb., wynajęcie wielbłąda 3 rb. dziennie, konia 1,50 rb. dziennie, poganiacza 3 rb. dziennie i t. d. Co do tych cen nastąpiło między Kirgizami porozumienie, i nikt z nich taniej nic nie sprzeda i nie pomoże. W porównaniu z cenami w Kaszgarji były to ceny niesłychane, wprost bajeczne; lecz gdy się zważy, że ten jęczmień trzeba było przywieźć o kilkaset wiorst, stracić na to 15—20 dni czasu, i że koń juczny więcej nie uniesie, niż 125 kg. (8 pudów,) to pomimo woli trzeba się pogodzić z temi cenami, tem bardziej, że dla uniknięcia wzajemnej konkurencji, są one stałe i nie ulegają zmianom.

Fort, wybudowany przez Younghusbanda, zajmuje tylko 20—25 sążni kwadratowych i leży na kamienistym brzegu Karakosz (Chotan) Darji, naprzeciw ujścia rzeczki Chal-Czuskun, t. j. na skrzyżowaniu dróg: wielkiej karawanowej przez Karakorum i drogi, prowadzącej w dolinę rzeki Raskem. Budowa fortu była zupełnie pierwotna. Fort składa się z wału z ubitej gliny i z baszt obronnych po rogach, oraz ze ściany obronnej nad wałem. Wrota wejściowe położone są od strony południowej. Fort nie ma znaczenia strategicznego i może służyć do obrony



Typy bogatych Kirgizów Pamiru (str. 94).

tylko przed koczownikami lub Kandzutami, którzy używają jeszcze broni, zapalanej lontem. Krajowcy mówili mi, że Younghusband budował ten fort jako tymczasowy, z tą myślą, że z wiosną, gdy nadejdą materiały z Kaszmiru, zostanie wybudowany fort stały.

Porozumiawszy się z miejscowymi Kirgizami, wynająłem jednego z nich i posłałem do Oazy Sandżu ¹⁾ w Kaszgarji, dając mu pieniądze i spis wszystkiego, co miał kupić, oraz wyznaczając nagrodę za każdy dzień przyspieszenia powrotu, poza 15 dniami, w ciągu których odbywało się rzeczoną podróż. Żadnego z kra-

¹⁾ Kaszgarja... str. 223.

jowców, należących do mej wyprawy, wysyłać nie chciałem, obawiałem się bowiem narażać go na szykany ze strony władz chińskich, które byłyby natychmiast zawiadomione o zjawieniu się poddanego rosyjskiego, gdy tymczasem przybycie do Sandżu Kirgiza z Sarykiji po sprawunki było rzeczą zwykłą i nie mogło zwrócić niczyjej uwagi.

Fort w Szachidułła-Chodży wybudowany jest w miejscowości, pozbawionej zupełnie wszelkiej roślinności tak, że konie, aby nie poginęły z głodu, musiałem pod ochroną kozaków posłać na paszę o dwa dni drogi wdół rzeki Kara-Kosz- (Chotan) Darji. Ponieważ taki sam charakter mają wyżyny północno-zachodniego Tybetu, skąd fotografie (klisze szklane) musiałem wraz z innym bagażem porzucić, więc, aby dać pojęcie, jak wyglądają takie miejscowości, załączam fotografię okolic Szachidułła - Chodży, gdzie woddali widać fort.

Pozostawszy w Szachidułła-Chodży, w oczekiwaniu transportu z żywnością, postanowiłem zwiedzić przełęcz Kara-Korum i całą trójkąt między fortem, przełęczą a rzeką Raskem, skąd tylko co przybyliśmy. Ponieważ panowały wielkie mrozy, i nawet Kirgizi tutejsi bardzo niechętnie udawali się na owe wysokości, z wielkim przeto trudem wynająłem dwa wielbłądy i konia wierzchowego¹⁾ dla siebie (jazda na dwugarbnych wielbłądach, które za każdym krokiem kołyszą jadącego naprzód i wtył, jest bardzo męcząca i nieprzyzwyczajonych doprowadza do morskiej choroby) i 29 listopada w towarzystwie tylko swego kucharza, Sadyrdyna, wyruszyłem na nową wycieczkę.

Pierwszy nocleg mieliśmy o 26 kilometrów powyżej Szachidułła-Chodży, nad rzeką Kara-Kosz (Chotan) Darja, w miejscowości Kasz-Taszy-Kany (3 910 metrów n. p. m.), gdzie znajdują się kopalnie nefrytu, opisane jeszcze przez Schlagintweita, w 1857 roku. Góra ze złożami nefrytu położona jest między dwoma, głęboko wrzynającymi się w góry, wązozami; w pośrodku góry leży wypłokany przez wodę parów, a z obydwu jego stron szachty, skąd wydobywano nefryt. Szachty te są wąskie, ledwo można się w nie wcisnąć, pełzając na brzuchu, co dowodzi, że nefryt w tej miejscowości występuje wąskimi żyłami. Naliczyłem tylko 7 szacht większych, skąd wydobywano większe złomy nefrytu. Przy szachtach leżało sporo drobnych odłamów nefrytu, rozrzuconych

¹⁾ Ibid., str. 102.

na ziemi. Na brzegu rzeki Kara-Kosz (Chotan) Darji, o 3 kilometry od kopalń, widać miejsce, gdzie nefryt obrabiano, gdyż powszędę leżały jego drobne odłamki. Oczywiście, Chińczycy większe odłamy nefrytu przywozili na brzeg rzeki i tam, zapomocą rozpalania i polewania wodą, obrabiali je i ładowali. Jeżeli z brzegu rzeki patrzeć na górę, gdzie są złoża nefrytu, góra ta niczem się nie wyróżnia od innych w tem pasmie. Jest tak samo żółta, pozbawiona roślinności, z miękkimi zboczami, stopniowo spuszczaćemi się do rzeki. Bez przewodnika byłoby niepodobieństwem odnaleźć miejsca, gdzie są szachty. Wogóle, słysząc wiele o kopalniach nefrytu, zwiedzonych przez Schlagintweita, byłem zupełnie rozczarowany, zobaczywszy je osobiście. Wydały mi się nikłe, w porównaniu z odkrytymi przeze mnie rok przedtem nad rzeką Pil (lewy dopływ Raskemu), gdzie wprost z wody wznoszą się olbrzymie skały czarnego zwierzchu nefrytu, niektóre zaś szachty są tak duże, że wchodzi się do nich, jak do korytarza. Zabrawszy zgromadzone okazy i sfotografowawszy¹⁾ szachty Schlagintweita, 30 listopada ruszyliśmy dalej wgórę rzeki Kara-Kosz (Chotan) Darji, w stronę przełęczy Kara-Korum.

Już o 5 kilometrów powyżej Szachidulla-Chodży dolina, którą płynie rzeka Kara-Kosz, zwraca się na wschód i zachowuje ten kierunek w ciągu trzech dni marszu (około 100 kilometrów), przyczem rozszerza się i dochodzi do 5 kilometrów szerokości. Nad rzeką trafiają się rozległe zarośla tamaryszku, wierzb i cierni, a między niemi trawiaste polany, na których jednak trawa aż do korzonków wyjedzona była przez konie przechodzących tą drogą karawan handlowych.

W miejscowości Bałykczy (rybne) znaleźliśmy obfite źródła, a w nich dużo pstrągów, igrających w słońcu i rzucających się nad wodą²⁾. Widziałem okazy wielkości 12 — 14 cali. Kirgizy tych pstrągów nie łowią, a przechodzące karawany, które uważają ryby w tem jednym tylko miejscu, wśród dzikich gór, za święte, pozostawiają je również w spokoju przez zabobonny strach, aby nie ulec zato karze. Co do mnie miałem wielką ochotę spróbować pstrągów himalajskich, lecz przewodnik (jednocześnie właściciel wynajętych wielbłądów i konia) tak był przekonany, że nas spotkałoby zato w drodze nieszczęście, że zaniechałem swego

¹⁾ Ibid., str. 103.

²⁾ Ibid., str. 103.

zamiaru, aby nie podsycać zabobonu w razie wypadku zawsze możliwego w podróży o tej porze roku. Patrząc na igrające pstragi tutaj, na zboczach Himalajów, na wysokości 16 000 stóp n. p. m., tak samo jak i 4 lata temu na zboczach gór Tian-Szan¹⁾, nie mogłem sobie wyjaśnić, skąd wzięły się te ryby tylko w tych dwóch miejscach, kiedy gdzie indziej w całej Kaszgarji ich niema.

W zboczach gór, otaczających rzekę, jest dużo drobnych zajęcy i kuropatw górskich.

Przewodnik mi mówił, że wyżej, w górach trafiają się dżerany (małe antylopy), czerwone kozy (kzyzył teke), dzikie barany (nahury-papaje), oraz dzikie jaki, lecz te z roku na rok cofają się coraz głębiej w pustynię i zdarzają się rzadziej.

30 listopada niebo się wyjaśniło przy silnym wietrze zachodnim, lecz termometr spadł do -27°C , a nad ranem do -32°C .

1 grudnia wspięliśmy się na przełęcz Kawak (w narzeczu jarkendzkim—wierzba, 5 048 metrów n. p. m.), miękką, z bardzo słabym spadkiem na południe, noszącą charakter wysokiej płaszczyny. Wzgórza dalej są miękkie, lecz zupełnie pozbawione roślinności. Za przełęczą też zostały zarośla wierzby i tamaryszku. Przed nami — nic, oprócz grubego żwiru! Gdyśmy się wspinali na przełęcz, koń, na którym jechałem, dostał dychawicy. Właściciel natychmiast sztydłem przekłuł mu nozdrza, co ma służyć, jako radykalny środek przeciwko chorobie górskiej „tutek“. Krew pociekła obficie, lecz koń się śłaniał, iść nie mógł, i musieliśmy spędzić go nadół. Trzeba było przesiąść się na wielbłąda, namiot zaś i inne rzeczy zostawić na przełęczy, skąd dopiero przywiózł je specjalny posłaniec, wyprawiony po powrocie do Szachidułta-Chodży.

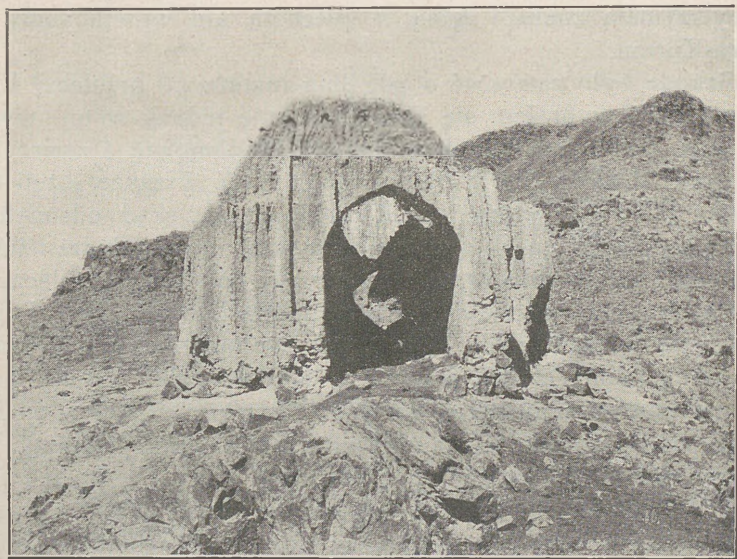
Późno wieczorem dobrnęliśmy do miejscowości Czukur-Dżylga²⁾ (głęboki wąwóz) 4 931 metrów n. p. m., gdzie znaleźliśmy trochę lodu z wymarłego źródła. Ponieważ jednak innego paliwa prócz terskienu³⁾ nie było, a małych jego korzonków, rosnących gdzieś niegdzie po zboczach góry, nie mogliśmy pociemku odszukać, więc pomimo dotkliwego zimna musieliśmy się obejść bez herbaty i możliwości rozgrzania się. Jeszcze na przełęczy zachorował mój służący, człowiek młody i nadzwyczaj zdrowy, który dotąd doskonale znosił góry i nie ulegał chorobie górskiej. Sądzę, że

¹⁾ Kaszgarja, str. 99.

²⁾ Ibid., str. 104.

³⁾ Terskien—(łacińskiej nazwy nie pamiętam) jest to nikła roślina ze smolistym korzonkiem i bardzo małą zielenią. W narzeczu—bursa.

zachorował dla tego, ponieważ na przełęczy intensywnie pracował, zdejmując juki i przygotowując dla mnie pod wierzch wielbłąda, gdy koń odmówił nam służby. Choroba polegała na wymiotach, zawrocie głowy i na dużej gorączce. Dopiero, kiedy wzeszedł księżyc, mogliśmy zebrać trochę terskienu i ugotować herbaty, po której służący przyszedł do siebie. Nad ranem wiatr ustał zupełnie, lecz termometr wskazywał — 35°C ¹⁾, i bez namiotu było nam tak zimno, że nie spaliliśmy, bojąc się zamarznąć.



Ruiny rabatu Abdułła Chana, domu zajezdnego
na Pamirach (str. 95).

O świcie ruszyliśmy dalej. Droga na Kara-Korum biegnie szerokim, miękkim łożyskiem, pozbawionem wszelkiej roślinności. Powietrze było nadzwyczaj przejrzyste. Woddali, na południowachód widać było łożysko Raskem-Darji, za którem majestatycznie wznosiło się główne pasmo Himalajów ze szczytami, pokrytymi wiecznymi śniegami i lodowcami. Około 2 po południu przyszliliśmy nad rzekę Raskem, w miejscowości Darwaza-Saryk-Ut (wrota z żółtą trawą) między miejscowością Ak-Tag (Biała góra) a Brangszą. Chciałem dobrnąć do Brangsy, zanoćować tam

¹⁾ Ibid., str. 104.

i nazajutrz wspiać się na przełęcz Kara-Korum, określić ją i wrócić na nocleg do Brangsa. Tymczasem o kilka kilometrów wyżej trafiliśmy na polanę, gdzie leżało przeszło 20 trupów końskich i mnóstwo porozrzucanych juków z towarami. Ludzi nie było, lecz trupy końskie zupełnie świeże. Widok tego cmentarzyska wywarł na nas wszystkich przygnębiające wrażenie. To też nasz zabobonny przewodnik, Kirgiz Alif-Bek, począł usilnie prosić, żebyśmy wrócili, gdyż, jeżeli pogoda się ustali, to mrozy się zwiększą, i wielbłądy jego, które już dwa dni nic nie jadły i nie piły, nie wytrzymają zimna i zginą, a piechotę nie wrócilibyśmy już z Kara-Korum.

Szkoda było zawracać o pół dnia marszu od przełęczy Kara-Korum, którą wybrałem się zbadać; że mię jednak w tej wyprawie jakiś pech przesładował, dałem się namówić i zawróciłem wdół rzeki Raskem Darji; obiecywałem sobie wszakże, jeżeli okoliczności pozwolą, wrócić do Kirgiz-Dżangal, skąd odsunęliśmy się od łożyska tej rzeki, i wzięwszy z sobą więcej ludzi i juków z paliwem, przejść ponownie wgórę rzeki do samej przełęczy.

Później, już wróciwszy do Szachiduła-Chodży, dowiedziałem się, że tej właśnie nocy, kiedy my tak marzliśmy w głębokim wąwozie Czukur-Dżyłga, karawanę Kaszmirczyka Abdu-Chałyk Baja noc zastała w otwartej na wiatry górskie miejscowości Darwaza-Saryk-ut, gdzie, naturalnie, mróz był znacznie większy. Konie szły już drugi dzień bez pokarmu i wody i z wycieńczenia poczęły zamarzać. Przerażeni poganiacze rzucili juki z towarami i, schwyciwszy silniejsze konie, uciekli do Szachiduła-Chodży. Tej nocy krytycznej karawana Abdu-Chałyka z 45 koni straciła 27. Juki leżały porzucone około dwóch tygodni, póki Kirgizi ich nie zabrali i nie odwieźli do Kiljamu. Wogóle o ile podróż przez Kara-Korum na wiosnę lub w jesieni może stanowić mniej lub więcej przyjemną wycieczkę, o tyle podczas surowej zimy można ją przedsięwziąć jedynie w ostateczności. Zanocowaliśmy w miejscowości Czybra (4 986 metrów n. p. m.). Pogoda się zepsuła: począł padać śnieg, temperatura podniosła się do — 23°C. Następnego dnia, 3-go grudnia, podczas silnej zawiei, przeszliśmy przez przełęcz Sugiet¹⁾ (wierzba), na wysokości 5 285 m. n. p. m., a 5 grudnia wróciłem do wyprawy swej w Szachiduła-Chodży.

¹⁾ Ibid, str. 31.

XIII.

WYCIECZKA WDÓŁ RZEKI KARA - KOSZ.

NADEJŚCIE ŻYWNOŚCI. PRZYGOTOWANIA DO DROGI.

ABDU-GAFAR. WYPRAWA DO PÓLNO-CNO-ZACHODNIEGO TYBETU.

OGÓLNY CHARAKTER PŁASKOWZGÓRZA TYBETAŃSKIEGO.

DZIKIE JAKI. TRUDNOŚCI PODRÓŻY. W POSZUKIWANIU GORĄCYCH ŹRÓDEŁ.

Posłańca z żywnością nie było jeszcze. Odpocząwszy parę dni, znowu wynająłem konie i wyruszyłem tym razem wdół rzeki Kara-Kosz. Zatrzymawszy się w miejscowości Ir-Nazar-Kurgan (3443 metrów n. p. m), odbyłem wycieczki na przełęcze Sandżu i Kiljam i, określiwszy je, znowu wróciłem do Szachidułta-Chodży; ukończyłem w ten sposób prace nad zbadaniem wszystkich przełęczy w Himalajach i w pasmie gór Raskemu, oraz w zachodniej części gór Kuen-luń.

13 grudnia nadeszła żywność dla nas oraz zapasy jęczmienia dla koni. Natychmiast zajęliśmy się równomiernym pakowaniem dostarczonych zapasów do juków i przytroczeniem ich do siodła, by, ile możności, trzymały się na nich własną równowagą. Poza tem trzeba było przekuć wszystkie konie, zmienić sznury przy namiotach, gdyż na wyżynach Tybetu w zimie szalały huragany najstraszniejsze, oraz załatwić przed niebezpieczną podróżą mnóstwo innych drobiazków. Odpowiedzi od pułkownika Nisbeta nie było; zważywszy wszystkie okoliczności, doszedłem do wniosku, że mam teraz do wyboru: albo zaniechać dalszej wyprawy do Tybetu i wracać najbliższą drogą do Fergany, na co mi nie pozwalała miłość własna, albo naprzęd iść naprzód i wypełnić przyjęte na siebie zobowiązania, które i tak już ucierpiały wskutek tego, że nie mogłem dostać się do Kafiristanu.

Że dokładnie zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństw, oczekujących nas w Tybecie, podczas surowej zimy, najlepiej dowodzi list mój, wysłany dnia 20 grudnia 1889 roku¹⁾, do wiceprezesa Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, senatora Siemionowa, pisany z miejscowości Sungul (4 232 m. n. p. m.), u źródeł rzeki Kara-Kosz (Chotan) Darji, o pięć dni drogi od Szachidułła-Chodży w stronę Tybetu, gdzie kończyły się zarośla i skąd wracali do Szachidułły, odprowadzający nas, Kirgizi. W liście tym pisałem dosłownie, co następuje: „Jesteśmy obecnie o pięć dni drogi powyżej fortu Szachidułła-Chodży. Od 4—5 dni dręczą nas wichury o niebywałej sile, nie ustające ani dniem, ani nocą. Podmuchy ich są tak gwałtowne, że namiotów nie mogą utrzymać żelazne słupki i mocne nowe sznury. Wyprawa ma do przebycia ciężką i podczas tej surowej pory roku niebezpieczną drogę. W przeciągu 15—20 dni będziemy musieli iść po przestrzeniach, leżących wyżej 17 000 stóp n. p. m., bez opału i trawy dla koni, i pomysłny wynik tej podróży będzie zależał jedynie od szczęścia, od przypadku, stanu pogody i ilości koni, które zginą w ciągu drogi. Jeżeli jednak przeszkody, które spotkamy, nie będą ponad siły ludzkie, w pierwszych dniach marca będziemy już w Połu“.

Ukończywszy przygotowania, 16 grudnia ruszyliśmy na wschód, w górę rzeki Kara-Kosz-Darji, dążąc do północno-zachodniego Tybetu. Postanowiłem trzymać się możliwie bliżej głównego pasma Himalajów, wspinać się na wyżyny Tybetu, przeciąć źródła rzeki Jurung-Kosz, która, jak i Kara-Kosz, przecina Kuen-luń i, łącząc się z nią, przynosi życie oazie Chotańskiej w Kaszgarji, dojść w Tybecie do źródeł rzeki Kerji i wzdłuż jej brzegów spuścić się do oazy Połu na dłuższy odpoczynek: w Połu nastąpiłoby połączenie moich prac z pracami Przewalskiego, który był przybył do tej miejscowości z części Tybetu, położonej na wschód, gdy ja miałem tam dojść od strony zachodniej.

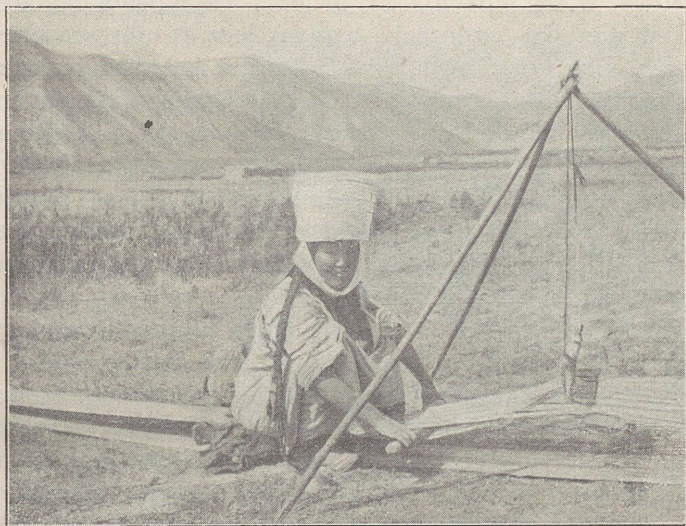
W Szachidułła-Chodży udało mi się wynająć na przewodnika miejscowego Kirgiza, Abdu-Gafara²⁾, z zawodu urodzonego włóczęgę, który, z zamilowaniem polując, z Fergany dotarł aż tam, ożenił się, osiedlił, i żył z tego, co mu strzelba przyniosła, lub z wypłókanego podczas lata złota. Okolic Połu nie znał, lecz

¹⁾ Ibid., str. 107.

²⁾ O myśliwcu tym piszę w tomie II swych podróży („Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus“). Nazwisko jego wydrukowano mylnie: zamiast Idrys-Kuł winno być Abdu-Gafar (str. 185).

u źródeł Jurung-Koszu bywał kilka razy, gdyż zajmował się przepiókiwaniem złota i orjentował się dobrze, gdzie leży Połu i jak się tam dostać.

Dla mnie był to człowiek opatrnościowy. Wyborny myśliwy, polujący samopas na dzikie jaki, umiał się on orjentować w pustyni i, zapadając w nią na całe miesiące, wracał do domu, obciążony skórami i suszonym mięsem. Przedmioty te wymieniał w sąsiedniej Kaszgarji na mąkę i kaszę, zaopatrywał w tę żywność swoją rodzinę w Szachidułta-Chodży i znowu zniknął na



Przenośny warsztat tkacki u Kirgizów (str. 96).

długo. Wysoki, chudy, jeździł na takim samym wysokim i jeszcze chudszy od siebie oswojonym jaku, nigdy nie dając mu się najeść dosyta, gdyż twierdził, że syty jak do pracy jest niezdolny. Jedyńm towarzyszem Abdu-Gafara był również chudy pies czarny z rodzaju chartów, jakie widziałem nad rzeką Wańcz (w Darwazie). Pies był doskonale wytresowany do polowania na jaki i nadzwyczaj przywiązany do swego pana. W drodze biegł na smyczy przy prawej tylnej nodze jaka, na noclegu spał w nogach swego pana na kołderce, która we dnie okrywała siodło jaka ze strzemiionami z drzewa. Przez siodło przerzucone były jeszcze kurzumy (połączone z sobą walizy, tkane z grubej wełny), w któ-

rych Abdu-Gafar umiał ułożyć wszystko, co miał i co mogłoby mu być potrzebne w czasie długiej włości w pustyni. Wogóle był to człowiek niesłychanie wytrzymały na głód i zimno. Podczas najsilniejszego mrozu i wichru spał na powietrzu, na kołderce, z kurzumem pod głową, przytuliwszy się gdzieś do skały i mając na sobie tylko ten sam kozuch, który nosił we dnie, tylko mocniej obwijając się szerokim pasem z grubej wełnianej materji. Zawsze pogodny i zrównoważony, okazywał wyprawie ogromne usługi w czasie, kiedyśmy przechodzili najcięższe próby.

Uporawszy się ostatecznie z zaopatrzeniem ekspedycji, o ile to możliwe w tej pustyni, 15 grudnia ruszyliśmy w górę rzeki Kara-Kosz nie tylko serdecznie żegnani, lecz i odprowadzani przez niektórych Kirgizów Szachiduła-Chodży, z którymi nawiązaliśmy bliższe, przyjacielskie stosunki. Rzeka biegnie kamienistym łożyskiem, którego szerokość miejscami dochodzi do 2-ch kilometrów. W miejscowości Kafyr-Dara (wąwóz niewiernych) znaleźliśmy bogate złoża ołowiu¹⁾, skąd wzięliśmy próby. Złoża znajdują się w jednym z wąwozów lewego brzegu rzeki, naprzeciw przełęczy Hindu-Tasz (Kamień Hindusa), prowadzącej do źródeł rzeki Pisz-pja, prawego dopływu Kara-Koszu.

W ciągu pierwszych 5—6 dni marszu kierunek rzeki był prawie wprost ze wschodu na zachód. Zbocza gór — miękkie, lecz zupełnie pozbawione roślinności. Góry północnego zbocza są wysokie. Szczyty ich pokrywają śniegi i lodowce. Szczególnie w pasmie gór tych wyróżnia się wysoka, skalista, pokryta wiecznym śniegiem i ogromnymi lodowcami grupa Sungul, gdzie właśnie znajduje się przełęcz Hindu-Tasz. Góry południowego zbocza są miękkie i widocznie się zniżają w miarę przesuwania się naszego na wschód. Po drodze spotykamy zarośla tamaryszku i niewielkie polany trawy²⁾, gdzie trafiają się stadka kulanów (dzikich osłów), papajów (nahurów) i kóz. Mięsa wszelkiego mamy obfitość, i tymczasem jest na czem je gotować. Spotykamy również ślady i świeży nawóz dzikich jaków (dżawai kutas), lecz samych zwierząt nie udaje nam się zobaczyć. Zapewne przychodzą na żer tylko w nocy.

23 grudnia podeszliśmy do miejscowości Abdu-Gafar-Tom (4299 metrów n. p. m.), zwanej domem Abdu-Gafara, z tego po-

1) Ibid., str. 107.

2) Ibid., str. 325.

wodu, że myśliwy nasz tu urządził swój obóz i stąd przedsięwzięła wyprawy myśliwskie w różne strony. Były to ostatnie zarosła pełzającego tamaryszku. W tem miejscu łożysko rzeki zmieniało kierunek, skręcając na południo-zachód. Wyprawa zaś musiała iść dalej na wschód.

24 i 25 grudnia (dzień Wigilji i pierwszy dzień święta Bożego Narodzenia) spędziliśmy w miejscowości Abdu-Gafar-Tom, gdzie było jeszcze drzewo, a więc i możliwość ogrzania się przy ognisku. 26 grudnia wspięliśmy się na płaskowzgórzu Tybetu¹⁾. Było mroźno, lecz jasno. Termometr we dnie podnosił się do -20°C — 25°C , a w nocy spadał do -32°C — 35°C . Do

tęgo stopnia przyzwyczailiśmy się do zimna, że czulibyśmy się zupełnie dobrze, gdyby nie straszne wichury, które powstawały o świcie, a o godzinie 2 po południu osiągały siłę huraganu; huragan miotał żwir i kamyki i do krwi smagał niemi twarz i ręce; zrywał namioty z żelaznych drążków, przewracał lu-



Domowy jak na Pamirach (str. 96).

dzi i juki. Uchronić się od wichury nie było możliwości: nie było gdzie się schować, ani czem przykryć. Wiatr przewiewał nawskroś, a paliwa nie mieliśmy, oprócz rzadkich korzonków terskienu i nawozu dzikich zwierząt. Wichura przycichała dopiero po zachodzie słońca; wtedy można było rozpaścić ogień i rozgrzać się herbatą.

Zwiedzona przeze mnie część płaskowzgórza tybetańskiego przedstawia szereg szerokich, lecz niegłębokich dolin i kotlin, przeciętych w najrozmaitszych kierunkach niewysokimi pasmami gór. Orjentować się w tym chaosie z początku jest bardzo trudno. Dopiero po pewnym czasie uwidocznia się stały, ogólny kierunek, biorący początek od Himalajów, które odchylają się daleko na po-

¹⁾ Ibid., str. 326.

łudnie. W większych kotlinach znajdują się jeziora; z tych niektóre znacznej wielkości.

Góry, dzielące doliny i kotliny, są miękkie, pokryte grubym żwirem. Trawę spotyka się rzadko: na polankach nad brzegami jezior, częściej w wyżłobieniach, któremi ścieka z gór woda deszczowa. Trawa jest żółta, gruba, rośnie oddzielnymi kępkami, jeden krzaczek od drugiego na przestrzeni 10 — 15 centymetrów, lecz musi być bardzo posilna, gdyż zwierzęta, które udawało nam się upolować, były dobrze spasione.

Szliśmy na wysokości około 5 000 metrów n. p. m., obszarami, przedstawiającymi widok bezbrzeżnej pustyni. Jak okiem sięgnąć, jedynie ławy piasku i żwiru.

Nocowaliśmy w głębokiej kotlinie, na brzegu jeziora, pokrytego taką grubą warstwą lodu, że niepodobna było dostać się do wody, i konie pozostały nienapojone. Dla siebie na herbatę roztopiliśmy trochę wyrąbanego lodu. Konie lizaly lód i wieczny śnieg, leżący w parowie, opodal miejsca noclegu, lecz nie mogły tem nasycić pragnienia i nie tylko nie szukały trawy, lecz nawet nie chciały jeść jęczmienia.

Jezioro, jak się pokazało, leżało na wysokości 4 944 metrów i otrzymało nazwę Lodowego.

Na drugi dzień o świcie ruszyliśmy dalej, trzymając się stale kierunku wschodniego. Jak zwykle, jechałem daleko na przedzie karawany w towarzystwie przewodnika i podręcznego kozaka, robiąc zdjęcia topograficzne. Karawana rozciągnęła się daleko w tyle za mną. Wspinaliśmy się na niewielką przełęcz, którą nazywałem Międzyjeziorną (5 028 metrów n. p. m.). Posuwaliśmy się z największym wysiłkiem, gdyż, wskutek ogromnej wysokości, konie traciły oddech.

Tego samego dnia po raz pierwszy zobaczyłem stado dzikich jaków, które żyją jedynie w pustyni Tybetu¹⁾.

O świcie 28 grudnia ruszyliśmy dalej na wschód. Charakter miejscowości był tak samo pustynny, tylko teren bardziej piaszczysty i przytem piasek słony. Wicher zrywał tumany słonego pyłu, który zapychał nos, usta, oczy, przenikał przez ubranie do ciała, zaogniając rany, w miejscach, gdzie skóra popękała od mrozów, i wywołując tam bolesne ropienie. Szczególnie ucierpiały nasze oczy. Sól wywoływała ciągłe łzawienie, że zaś mróz był szalony,

¹⁾ Opis polowania na dzikie jaki podałem w II tomie swych „Podróży“ (Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus, str. 185—189).

więc łyzy zamarzały na rzęsach, nim zdążyły spłynąć na twarz. Rzęsy lodowaciały i, żeby cośkolwiek widzieć, trzeba było co kilka minut twarz przykrywać szalikiem i rzęsy odwilżać własnym oddechem. Łatwo zrozumieć, że robienie zdjęć topograficznych w takich warunkach było nadzwyczaj trudne.

W ciągu dnia przebyliśmy trzy niewielkie pasma górskie i przeszliśmy obok paru jezior, których zamarznęta powierzchnia błyszczała, jak szkło; lecz wody nie znaleźliśmy ani kropli¹⁾. Źródła wszędzie wymarzły doszczętu.

Wstępując na płaskowzgórze Tybetu, wiedziałem, że będziemy musieli przetrwać wiele cierpień, związanych z przebywaniem na olbrzymich wysokościach, oraz z mrozem i wichrami; wiedziałem, że prawie wcale nie spotkamy trawy, że nie będzie opału i możliwości gotowania żywności. Dlatego wziąłem zapas jęczmienia dla koni, a dla nas pieczonego mięsa i prażonej mąki, którą łatwo jest zbełtać z przegotowaną wodą i mieć pożywną polewkę. Lecz na chwilę nie przyszło mi na myśl, żeby mogło nie być wody. Był to cios tem dotkliwszy, że zupełnie niespodziewany. Przeciwnie, słyszałem



Zawój na głowie Kirgizki
z Pamirów (str. 97).

o mnóstwie jezior, o gorących źródłach, a więc o wodę wcale nie pytałem. Nie przewidział tego i nasz przewodnik, który znał dokładnie tę część pustyni Tybetu, a nie przewidział dlatego, że jeździł na jakach, które zadowolają się w zupełności wiecznym śniegiem (firnem), umiejąc go odbijać kopytami i rozgniatać. Dla osobistych potrzeb przewodnika, jak i dla nas, wystarczyło trochę lodu lub firnu, roztopionego w czajniku. To też myśl, że konie nie mogą zadowolić się lizaniem lodu, nie przyszła nam do głowy. A wyniki podróży do Tybetu byłyby inne, gdybyśmy byli wzięli z sobą 10 — 15 wiadrowy kocioł do topienia lodu.

Późno wieczorem posunęliśmy się do stóp wysokiego łańcucha górskiego (5 065 metrów n. p. m.), który powinien był dzielić

¹⁾ Ibid., str. 326.

dorzecza rzeki Jurung-Kosz od dorzecza Kara-Koszu. Za temi górami była rzeka, której bystre wody nigdy nie zamarzały, jak nie zamarzały i wody rzeki Kara-Kosz. Sądziłem, że należało wyteńczyć jeszcze trochę woli i energii, a położenie nasze mogło się poprawić, tem bardziej, że po drugiej stronie łańcucha gór, przed którym staliśmy, tuż za przełęczą, miało być obfite źródło wody, jakie, według słów przewodnika, nie powinno było wymarznąć. Dalej mieliśmy znaleźć źródła gorące, prawda, że wstrętną wodą siarczaną, lecz bądź co bądź z wodą, którą w ostateczności można było zużytkować.

Tymczasem konie, które ostatni raz były pojone 25 grudnia, chciwie lizały lód, gdzie się zdarzyło, lecz nie chciały jeść. I siły ich zmniejszały się szybko i widocznie.

Wiedząc z doświadczenia, że największa wichura w górach ucicha na pewien czas przed świtem, wyruszyliśmy z noclegu 29 grudnia o 4 rano, ciągnąc powoli, niby wąską wstęgą, na szczyt wysokiego łańcucha gór. Przełęcz tę przypadkowo odkrył nasz przewodnik latem tego roku, wracając z pracy w kopalniach złota, gdzie stracił wszystko, co miał. Droga była miękka i nietrudna, lecz przełęcz, jak się pokazało, leżała na wysokości 5 493 metrów n. p. m.

Pasma gór nazwałem górami Jurung-Kosz, a przełęcz „rosyjską“¹⁾. Pogoda tym razem nam sprzyjała. Doszliśmy szczęśliwie na szczyt przełęczy. Zdawało się, że ostatnia przeszkoda, dzieląca nas od wody, została przebyta, przeto, o ile siły pozwalały, szliśmy prędko naprzód, popędzani przez wiatr. Niestety, doszedłszy do miejsca, gdzie mieliśmy zamiar zanoćować, stwierdziliśmy, że źródło, na które pokładaliśmy tyle nadziei, również zupełnie wymarzło. Zatrzymać się tutaj znaczyło to samo, co stracić wszystkie konie. Ponieważ zaś przewodnik zapewniał nas, że niżej jest gorące źródło, więc, pomimo zmęczenia, spowodowanego wspinaniem się na tę najwyższą w ciągu całej podróży przełęcz, poszliśmy, nie zatrzymując się, dalej.

Każdy zakręt wąwozu, za którym mogły ukrywać się źródła ciepłe, dodawał nam energii i nadziei, lecz zarazem przynosił rozczarowanie, gdyż źródeł wciąż nie było.

Tymczasem się ściemniło. Każdy kamień, każdy wąwóz wydawał się nie do przebycia. Zmęczone konie potykały się, padały, a ciepłych źródeł jak nie było, tak nie było. Dla charakterystyki

¹⁾ Ibid., str. 321.

naszego zmęczenia przytoczę następujący fakt. Jechałem na siwku, który szedł zaraz za jakim, na którym jechał przewodnik, wskazując ogólny kierunek drogi, gdyż w tej bezludnej pustyni nie tylko „drogi“, lecz i ścieżki żadnej nie było. Szliśmy, trzymając się łożysk, pozostawionych przez stoki wód deszczowych na wiosnę, polegając na prawie nieuchwytnej dla mnie intuicji przewodnika, który od czasu do czasu zawracał na prawo, albo na lewo, wspinał się na przesmyki górskie, dzielące jedną dolinę od dru-



Bron. Grąbczewski u wejścia do swojej „jurty“ i naczelnik chińskiej linii pogranicznej na Pamirach, generał Dzan Da-żeń w otoczeniu żołnierzy chińskich swojej eskorty (str. 100).

giej, i wreszcie wyprowadzał nas na zamrażnięte jezioro, albo suche łożysko, o którym poprzednio mówił.

Byłem ostatecznie znużony jazdą, która ciągnęła się już bez przerwy około 20 godzin, i zapewne mocno zasnąłem na siodle. Nagle siwek potknął się tak silnie, iż omal nie wyleciałem z siodła. Poprawiwszy się w siodle, przemogłem sen i począłem wpatrywać się w niebo, aby zbadać, w jakim kierunku prowadzi nas przewodnik: widzę tedy, że konstelację Krzyża Południowego, którą, idąc na wschód, miałem ciągle z prawej strony, mam obecnie z lewej. Przecieram oczy, sądząc, że jakiś obłąd mię napadł.

Lecz nie! Krzyż Południowy widać jasno na lewej stronie nieba. Wołam przewodnika, i omawiamy z nim tę sprawę.

Pokazało się, że przewodnik musiał się także zdrzemnąć, a jego jak, zostawiony samemu sobie, wybierając łatwiejszą drogę, powoli zbaczał z obranego kierunku, aż zupełnie zawrócił. A może z właściwą jakom czujnością poczuł gdzie niedaleko trawiastą polanę lub wodę? Przewodnik, widząc, jak fatalnie stracił kierunek, był najmocniej przekonany, że jest to sprawka złego ducha, który między północą a świtem ma władzę płatania figlów i często je czyni w tym chaosie dolin i głębokich kotlin pustyni.

Ciekawe było to, że nikt z towarzyszy, między którymi Fazył-Bek i preparator Conrad doskonale zdawali sobie sprawę z kierunku, w jakim szliśmy, i umieli orjentować się w nocy po gwiazdach, nie zwrócił uwagi, że posuwamy się w kierunku odwrotnym. Było to tem dziwniejsze, że, w obawie, byśmy nie zabłądzili w nocy, wydałem surowy rozkaz pochodu „gęsiego“, jeden za drugim. Sam otwierałem pochód, a ostatni zamykał karawanę wachmistrz Koziakajew z jednym kozakiem, zatrzymując nas wszystkich, jeżeli koń juczny padł lub juk się zsunął.

Wreszcie na jednym ze wzniesień zobaczyliśmy kłęby pary i poczuli ostry zapach niby siarki, niby gnijących roślin. Były to właśnie źródła gorące, które były w kilku miejscach: dokoła nich widać było rozległą łąkę, pokrytą zieloną trawą wszędzie, dokąd dochodziła gorąca woda. Konie, poczuwszy wilgoć, dowlokły się resztkami sił, i wnet niepodobna było odebrać ich od wody, chociaż miała ona smak i zapach wstrętny. Była godzina 2 w nocy, szliśmy zatem bez przestanku 22 godziny, zatrzymując się tylko tyle, ile czasu potrzeba było na przeładowanie juków z 6 koni, które padły nam w ciągu tej okropnej nocy. Stanowiło to $\frac{1}{6}$ część wszystkich koni mojej ekspedycji. Nie mając już gdzie umieścić juków z koni, które padły, kazałem rzucać mniej potrzebne, poczynawszy od zapasów jęczmienia, jakich mieliśmy sporo. Lecz kozacy, żalując koni, które im tyle czasu wiernie służyły, sami szli pieszo, jęczmień zaś wieźli na swoich wierzchowcach. Naturalnie, dobrnąwszy wreszcie do upragnionych gorących źródeł, zwaliliśmy wszystkie juki razem i, zamiast rozstawiać namioty, nakryliśmy się wołokami i zasnęliśmy kamieniem snem.

XIV.

NAD GORĄCEMI ŹRÓDŁAMI.

NARADA. KOPALNIE ZŁOTA. ORGANIZACJA POSZUKIWACZY.

POWRÓT. ZAMIEĆ. ZMIANY W SZACHIDUŁŁA - CHODŹY.

ODPOWIEDŹ REZYDENTA ANGIELSKIEGO. W KILJAMIE.

Nazajutrz (30 grudnia) dopiero rozejrzałem się w położeniu. Łąka była rozległa, lecz trawę bardzo wyjadły i wydeptały rozmaite zwierzęta, które przechodziły tamtędy, pędzone głodem lub pragnieniem. Śladów zupełnie świeżych było bardzo dużo. Prawdopodobnie tej nocy, zjawiwszy się niespodzianie, spłoszyliśmy duże stadko nahurów (papajów). Troski więc o pożywienie nie było. Trawy narazie mieliśmy niedużo, lecz była, w miejscach zaś, dokąd dochodziła woda gorąca, zwierzchu marzła, a zdołu rosła intensywnie.

Chodziło mi głównie o przekonanie się, czy woda nie będzie szkodziła koniom. Widząc, że do wodopoju przychodzi wiele dzikiego zwierza, sądziłem, że i koniom nic się nie stanie. Ale badanie koni wykazało, że wierzchowce, dla których każdy z nas, kolejno nie śpiąc całymi nocami, topił lód w dwóch niewielkich kociołkach, jakie mieliśmy z sobą dla gotowania strawy, aby je choć trochę napoić, trzymały się rzeżko i szczypały trawę. Juczne zaś konie, które w ciągu 4 dni zupełnie wody nie dostawały, leżały ponure na ziemi i nie chciały się podnieść. Stan ich wskazywał, że do dalszej drogi większość nie będzie zdolna.

Poza tem nie wiedziałem zupełnie, gdzie jesteśmy, gdyż nocą, naturalnie, żadnych zdjęć robić nie mogłem, notowałem tylko jeziora i główne punkty orjentacyjne. Na szczęście, koło południa niebo się wyjaśniło, wyjrzało słońce i pozwoliło na okre-

ślenie astronomiczne¹⁾. Pokazało się, że jesteśmy na połowie drogi do Połu (mniej więcej o 6 — 7 dni marszu), lecz będziemy musieli przeciąć dwa wysokie pasma górskie i płaskowzgórze między Jurung-Koszem a źródłem rzeki Kerji.

Wziąwszy pod uwagę wycieńczenie koni, bez których zginęlibyśmy byli w pustyni, oraz ten fakt, że już nie mogliśmy wziąć swych juków, wezwałem wszystkich uczestników wyprawy na naradę. Wyjaśniwszy im położenie, zaproponowałem, byśmy postanowili większością głosów: czy, zostawiwszy tu większość juków, wziąć najsilniejsze konie i iść naprzód, do Połu, co przedstawiało ogromne ryzyko, ponieważ drogi nie znaleźmy i nie wiedzieliśmy, gdzie i w jaki sposób podczas surowej zimy uda nam się spuścić z Tybetu do Połu; czy też — wrócić znaną już drogą do Szachiduła-Chodży i zastosować się do instrukcyj, jakie otrzymalibyśmy od Zarządu Towarzystwa Geograficznego.

Na pochwałę mych towarzyszy muszę zaznaczyć, że wszyscy co do jednego prosili, byśmy szli naprzód²⁾, nie licząc się z niczem. Jeden tylko przewodnik nadmienił, że podejmuje się prowadzić nas tylko podczas pogody; w razie zamieci śnieżnych, jakie bywają czasami w tych krajach i trwają po kilka dni, nie potrafi się orjentować. Zdarzało mu się, że go chwytała w drodze zamieć, lecz wtedy wsuwał się ze swym jakimś między skały i siedział tam tydzień, wyczekując ciszy i pogody. Z wyprawą naszą i z końmi tego zrobić niepodobna, i dlatego, jeżeli, jak mu się zdaje, pocznie się zadymka śnieżna, na co się zanosz, lepiej wracać i przejść na zachodnią stronę pasma gór Jurung-Kosz, gdzie zamieci długotrwałej nigdy nie bywa. Poza tem, podczas zadymki niepodobna jest wydobyć terskienu z pod śniegu, zginęlibyśmy więc bez możności rozgrzania się herbatą.

Podziękowawszy serdecznie towarzyszom za gotowość z ich strony uczynienia z siebie ofiary dla spełnienia obowiązku, wydałem rozkaz przejrzenia na nowo wszystkich pakunków, zaleciwszy zostawić przy Źródłach Gorących wszystko, bez czego mogliśmy się obejść w ciągu 2 — 3 tygodni, aby w ten sposób wycieńczonym koniom zmniejszyć do połowy ciężar juków. Sam zaś z przewodnikiem poszedłem obejrzeć kopalnie złota³⁾, które latem były czynne w okolicach Gorących Źródeł.

1) Ibid., str. 28.

2) Ibid., str. 327.

3) Ibid., str. 329, odnośnik I.

Złota poszukiwały tu luźne partje rozmaitych ludzi, na przestrzeni około 100 kilometrów, na wschód od Gorących Źródeł aż do przełęczu Kalla-Kum (głowa, początek piasku), w pasmie gór, dzielących dorzecza rzeki Jurung-Kosz i Kerji. Kopalnie znajdowały się w rozmaitych łóżyskach, któremi przed laty spływały dopływy rzeki Jurung-Kosz, i chyba nie były znane władzom chińskim, gdyż te nigdy nie przysyłały tam swoich urzędników do zarządu niemi i pobierania podatków od poszukiwaczy złota.

Brak jakiegokolwiek bądź władzy w tak odległym kraju oraz nagromadzenie w ciągu letnich miesięcy znacznej liczby ludzi o najrozmaitszym poziomie moralnym, zniewoliły poszukiwaczy złota do wybierania z pośród siebie zarządu, któremu przyznano ogromną władzę, nawet prawo karania śmiercią. Ogólne podstawy życia owego bractwa poszukiwaczy złota, według opowiadania Abdu-Gafara, były następujące.

Pierwsze partje ich przybywały nad źródła rzeki Jurung-Kosz już w połowie maja i umieszczały się w kopalniach, gdzie kto chciał. Gdy zebrało się w pewnej miejscowości do 50 poszukiwaczy, gromada ta wybierała z pośród siebie wójta. Wybrany nie miał prawa wymówić się od urzędowania, nie mógł mieć krewnych pośród poszukiwaczy tego terenu, nie wolno mu też było samemu robić poszukiwań i mieć swoje szurfy. Wzamian zato otrzymywał $\frac{1}{20}$ część wydobytego przez wyborców złota.

Wszelkie spory co do granic poszczególnych szurfów załatwiał wójt. Sprawy o kradzież lub inne przestępstwa, za które groziła ciężka chłosta lub surowsze kary, załatwiali bezapelacyjnie wójtowie najbliższych kopalń. Sprawy o zabójstwo, pociągające za sobą karę śmierci, sędzili wójtowie całego okręgu, w liczbie nie mniejszej, niż siedmiu. Nadzwyczaj charakterystyczne było to, że wyroki tych sędziów ad hoc były prawomocne, wykonywano je natychmiast, i nie było wypadku, żeby ktokolwiek z osądzonych poskarżył się potem władzom chińskim, któreby, naturalnie, wmieślały się chętnie do takich spraw.

Podobne samosądy w kopalniach złota, gdzie nie było rządowej administracji, istniały nietylko w Jurung-Kosz. W czasach późniejszych, gdy byłem komisarzem pogranicznym nad Amurem, na Dalekim Wschodzie, spotykałem takie sądy wśród szajek bandytów rosyjskich, którzy, odkrywszy pokłady złota w Mandzurji, nie chcieli poddać się reglamentacji chińskiej i często w ciągu całych lat sami się rządzą. Naprzykład bractwo

w miejscowości Zaltuga w prowincji cिकarskiej w Mandżurji; bractwo to rządziło się autonomicznie w ciągu kilku lat, utrzymywało swoje wojsko i staczało prawdziwe bitwy z chińskimi wojskami rządowymi. Zlikwidowałem je na specjalny rozkaz Petersburga.

Gdyśmy wracali z przeglądu kopalń, już się pogoda skończyła. Wiatr napędził ciężkie chmury, które pokryły całe niebo. Zaczęła się śnieżycą¹⁾, a w nocy wiatr przeszedł w huragan. O świcie wszystko dokoła było okryte białym całunem, a przez zadymkę trudno było cokolwiek dojrzeć. W ciągu nocy straci-



Miejscowość Au-Tasz (skała polowań) na Ak-su Pamirze, gdzie przeżyliśmy silne trzęsienie ziemi (str. 111).

liśmy jeszcze 2 konie, które prawdopodobnie z wycieńczenia nie mogły się podnieść i zamarzły pod śniegiem. Po gorącej naradzie z przewodnikiem musiałem zmienić swe postanowienie. Z bólem serca wydałem rozkaz do odwrotu. I pociągnęliśmy dawną drogą. Zawieja szalała z nieopisaną wściekłością; do podnóża przełęczy doszliśmy, z nadzwyczajnym wysiłkiem, dopiero pod wieczór. Iść dalej było niepodobna wskutek huraganu. Wiatr z przełęczy pędził w oczy piasek i gruby żwir²⁾, który ciął bo-

¹⁾ Ibid., str. 328.

²⁾ Ibid., str. 328.

leśnie. Taki huragan, zdawało się, nigdy jeszcze nas nie spotkał. A był to wieczór 31 grudnia. Temperatura, pomimo śnieżycy, spadła do -27°C , przy szalonym wietrze, który wszędzie przenikał i wszystko mroził. Stłoczyliśmy się w jednym namiocie, starając się rozgrzać własnym oddechem. Namiot drżał od uderzeń huraganu, ledwie utrzymywany sznurami. Czuliśmy, że zamrzamy, a ratunku nie było nigdzie i znikąd. Com przecierpiał w ciągu tej jednej nocy, odczuwając moralną odpowiedzialność za cierpienia i śmierć tylu ludzi, jednemu Bogu wiadomo. Chwi-



Dolina rzeczki Ily-Su (ciepłe wody), gdzie w miejscowości Kaindynty-Auzy biją gorące źródła siarczane (str. 123).

lami od zimna, z powodu rozrzedzonej atmosfery, od nadmiaru wysień i cierpień fizycznych i moralnych traciłem przytomność; przenosiłem się myślą kędyś daleko, w zupełnie inne otoczenie. Czulem jednak, że śnie, i nadzwyczajnym wysiłkiem woli zmuszałem się do ocknięcia i budziłem towarzyszy.

Zbawienie nasze zależało od tego, czy burza ucichnie przed świtem i czy w czasie ciszy uda nam się przejść przez przełęcz wysokości około 19 000 stóp nad powierzchnią morza.

Według pobieżnego obrachunku, do szczytu przełęczy mieliśmy około 12 kilometrów i licząc, że mogliśmy wspinać się naj-

szybciej po 2 kilometry na godzinę, potrzebowaliśmy 6 godzin do przebycia przełęczy.

Punktualnie o 12 w nocy, w chwili, gdy się zaczynał Nowy Rok, dałem rozkaz wymarszu. Padły nam jeszcze dwa konie, tak że znowu nie mogliśmy zabrać swych juków. Wtedy kazałem rzeczy złożyć na pagórku, przykryć je wołokami, któremi wysięłaliśmy namioty, i zaważyć kamieniami, żeby uchronić je od ciekawości zwierząt. Z sobą wzięliśmy tylko dzienniki, dokumenty, wszystkie przyrządy, resztki srebra, ładunki i zapas żywności na 6 dni¹⁾. Do ostatniej możliwości ulżywszy koniom, których $\frac{1}{3}$ część już straciliśmy, ruszyliśmy na przełęcz. W chwili odjazdu termometr wskazywał—33° C, przy bardzo silnym wicherze, który jednak dał już tylko podmuchami i cichł w miarę wspinania się na przełęcz. Wspinaliśmy się nader wolno, bo każdy krok wywoływał straszną duszność i brak tchu u ludzi i koni. O 6 godz. nad ranem byłem już na szczycie przełęczy, zeskoczyłem z konia i czekałem, aż wszyscy towarzysze mię miną, bałem się bowiem, aby który nie zachorował i nie został na tamtej stronie. Niezmordowany Abdu-Gafar kilkakrotnie spuszczał się nadół, pomagając pozostałym w tyle ludziom i jukom. O 7 rano weszli na szczyt przełęczy ostatni: kozak Matwiejew, dźygit Tiura-Kuł i zamykający karawanę wachmistrz Koziakajew²⁾. Wiatr dał już z nową siłą, i mróz musiał być bardzo silny, gdyż rzeczywiście zimno było nie do wytrzymania.

Pośpieszyłem nadół za karawaną i dopędziłem czoło wyprawy prawie u podnóża przełęczy. Wszyscy byliśmy nietylko żywi, lecz i zdrowi, i nawet niezmarznięci. Powinszowawszy ludziom Nowego Roku, po małym odpoczynku i po herbacie z rodzynkami zamiast cukru, ruszyliśmy zaraz dalej, popędzani ztyłu podmuchami wicheru, który w ten sposób pomagał nam do szybszego pochodu. Pokazało się, że Abdu-Gafar jeszcze raz miał słusność: śnieżycy wczoraj szalała i z tej strony przełęczy, lecz dzisiaj była tu jasna pogoda, a wiatr zwiął suchy śnieg, zapełniwszy nim łożyska i wądoły. Drogę więc mieliśmy otwartą, i żadnego kłopotu o wodę nie było, gdyż konie mogły się orzeźwić świeżym śniegiem, który białął powsędy.

¹⁾ Ibid., str. 328

²⁾ Ibid., str. 328.

Z miejsca, gdzieśmy odpoczywali, posłałem jednego z dzygi-tów z listem do Kirgizów Szach'duła-Chodży, prosząc o wysta-wienie jurt w miejscowości Abdu-Gafar, tam, gdzie rosły już krzaki, oraz o dostarczenie nam żywności. Przybywszy 4 stycznia, spotkaliśmy tam już Kirgizów z jurtami i z żywnością. Powitali nas oni z największą serdecznością i przygotowali mnóstwo su-chego drzewa, tak, że mogliśmy odpoczywać, palić ognie wewnątrz jurty i grzać się, grzać bez końca.

Uprzejmość i przyjazny nastrój względem nas Kirgizi po-sunęli do tego stopnia, że, dowiedziawszy się, iż część rzeczy zo-stawiliśmy pod przełęczą, sami zaproponowali, że wyślą po nie trzy silne wielbłądy, jak również i po zabranie tych, które porzu-ciliśmy w pustyni, w miejscach, gdzie nam padały konie. Po paru dniach wypoczynku siły i energia nasza wróciły do stanu nor-malnego. Wszyscy bardzośmy schudli, poczerwiali, lecz czuliśmy się rzeżko. Tylko nie mogliśmy się odespać: całemi dniami mo-rzył nas sen. A jednak organizm musiał doznać wstrząśnień ogromnych! Wszak na tych olbrzymich wysokościach przebyliśmy nie godzinę, nie dzień, lecz długich dni i nocy jedenaste, i przy-tem w najsurowszej porze roku, podczas strasznych mrozów i nies-łychanych wichrów, bez możności ogrzania się i zjedzenia czego-kolwiek ciepłego.

10 stycznia Kirgizi wrócili z naszymi rzeczami na wielbłą-dach, które ani nie schudły, ani nie wyglądały zdrożone. Widząc to, przyszedłem do wniosku, że w bezwodnych pustyniach, o mięk-kim gruncie, lepiej jest konie zastępować wielbłądami.

Powtarzam „o miękkim gruncie“, gdyż na gruncie kamieni-stym wielbłąd przeciera sobie skórę na poleszwach nóg, na których powstają wskutek tego rany, i zwierzę do użytku staje się zupełnie niezdatne. W miarę powrotu sił i energii coraz trudniej było mi się pogodzić z faktem, że tylko 6 — 7 dni marszu dzieliło nas od Połu. Gnębiła mię myśl, że, gdybym był zaryzykował, możeby się było udało przedostać do Połu. Zdawało mi się, że dostrze-gam jakiś wyrzut w oczach współtowarzyszy, iż tyle wysiłków wspólnych nie wyzyskałem do końca.

To też, dowiedziawszy się, że na Sarykiji mieszka poszuki-wacz złota, znający tamtejsze okolice, począłem namawiać Kirgi-zów, by mi wynajęli 10 wielbłądów ¹⁾ do Połu, ofiarowując im z

1) Ibid., str. 329.

to wszystkie swe konie, oprócz siwka. Propozycja dla Kirgizów była korzystna. Rozchodziło się tylko o to, że według opowiadania poszukiwacza złota, z Tybetu w stronę Połu należało się spuszczać brzegami rzeki Kur-Ob (ślepa woda), która przecina pasmo gór Ałtyn-Tag (złote góry), albo Kuen-lun, i płynie takimi wąwozami, że tamtędy nie przejdzie żaden wielbłąd, szczególnie w zimie. Kirgizi bali się zaryzykować swoje, ja zaś na kupno 10 wielbłądów dla ekspedycji nie miałem środków.

Wypocząwszy i jako tako ułożywszy resztki juków wyprawy, ruszyliśmy wdół rzeki Kara-Kosz, w stronę Szachiduła-Chodży. Miłość własna nie pozwoliła mi pogodzić się z niepowodzeniami i wrócić do domu, nie spełniwszy przyjętych przez siebie zobowiązań. To też zastanowiwszy się wszechstronnie nad położeniem naszym, powziąłem postanowienie: Ponieważ nie udało mi się przejść do Połu od strony Tybetu, t. j. wzdłuż południowych zboczy Kuen-lunia, należy przeto przedostać się na północną ich stronę i dojść do Połu, idąc zboczami północnymi tego pasma gór; z Połu trzeba wspiąć się znowu do Tybetu, dojść do Gorących Źródeł, połączyć zdjęcia topograficzne, zabrać zostawione tam pakiunki i wtedy dopiero zakończyć podróż. Naturalnie, na tę nową wyprawę potrzebne były środki materialne, któremi chwilowo nie rozporządzałem; lecz nadszedł nowy rok, a wraz z nim możliwość skorzystania z własnych zasiłków, więc, przy zastosowaniu jak największych oszczędności, przedsięwzięcie mogło się udać. O projektach tych napisałem do Petersburga i zakomunikowałem je sekretarzowi konsulatu, J. Lutschowi.

Nadto chciałem przejść Kuen-luń nie zwykłą drogą karawanową, na przełęcz Kiljam, lecz w jakimś nowym miejscu, żeby wyjaśnić charakter tych niedostępnych gór.

To też, gdyśmy doszli do miejscowości Sungul, zawróciłem na północ, na przełęcz Hindu-Tasz¹⁾ (5 515 m. n. p. m.), mając zamiar przejść nad rzeką Piszpja do gminy górali (Toglików), a stamtąd zaś dalej na zbocza Ałtyn-Tagu. Przełęcz okazała się bardzo wysoka i trudna, lecz spuścić się nadół nie mogliśmy, gdyż należało przejść przez lodowiec z ogromnemi szczelinami, przez które niepodobna było się przedostać. Wróciliśmy przeto nad rzekę Kara-Kosz.

24 stycznia stanęliśmy w okolicach fortu Szachiduła-Chodża. Widząc, iż rzeka Kara-Kosz pokryta jest lodem, chciałem spróbo-

1) Ibid., str. 329.

wać, czy nie uda się odbyć drogi po lodzie aż do Chotanu, co dałoby możliwość zbadania całego biegu tej rzeki. Było to przedsięwzięcie bardzo interesujące z tego względu, iż rzeki, których źródła spływają z Himalajów (Kara-Kosz, Jurung-Kosz, Raskem-Darja i t. d.), przecinając potem pasmo gór, znanych w geografii pod nazwą Kuen-luń (na miejscu nazwa ta nie jest znana, i góry te noszą miejscowe nazwy Ałtyn-tagu, gór Raskemskich lub Kaszgarskich) biegną w ciągu kilku dni wąskim łożyskiem wśród skał prostopadłych; wzdłuż brzegów tych rzek dróg niema, i kierunek ich biegu znany jest tylko w przybliżeniu.

Bałem się jednak, mając zmęczone konie, znaleźć się w położeniu bez wyjścia, gdyby się pokazało, iż rzeka nie zamarzła tam, gdzie nurt jej płynie z szaloną szybkością wąskim korytarzem, i że musimy znowu wracać wgórę po lodzie. Posłałem więc Abdu-Gafara na rekonesans. Pokazało się, że w miejscowości Galamulak ¹⁾ rzeka Kara-Kosz skręca na północ i, przecinając tam główne pasmo Kuen-lunia w ciągu dwóch dni płynie korytarzem szerokości 4—5 sążni, między prostopadłymi skałami. W jednym z takich wąwozów, przy ujściu rzeki Luszy, rzeka nie zamarzła, i niepodobna było obejść tego miejsca, gdyż dróg w tej części gór niema żadnych.

Pozostało mi więc tylko wyjść na drogę karawanową z Indyj do Chin i przedostać się do Kaszgarji przez przełęcz Kiljam.

W czasie, kiedyśmy przebywali w okolicy fortu Szachidułła-Chodża, przybył do mnie Musa-Bek ²⁾ (brat Turdy-Kuł-Beka, mianowanego bekiem przez kapitana Younghusbanda i wywiezionego przez Chińczyków), i zakomunikował, że w forcie zaszyły ogromne zmiany. Niespodziewanie zjawił się oficer kaszmirski z 5 żołnierzami Kaszmirczykami i 90 Tybetańczykami i zajął fort. Bek, mianowany przez Chińczyków, uciekł do Kargałyku, zabrawszy z sobą żołnierzy z kirgiskiej konnej lanzy z Kiljamu.

Nowy dowódca fortu oddał Musa-Bekowi 1000 rupij dla doręczenia Turdy-Kuł-Bekowi i list od rezydenta angielskiego w Kaszmirze, w którym ten poleca mu utrzymywać z sobą stały kontakt i donosić o wszelkich nowinach z Chin i z Rosji.

Jakie stanowisko zajmą władze chińskie w Kaszgarji wobec nowego konfliktu w Szachidułła-Chodży, jeszcze nie było wiado-

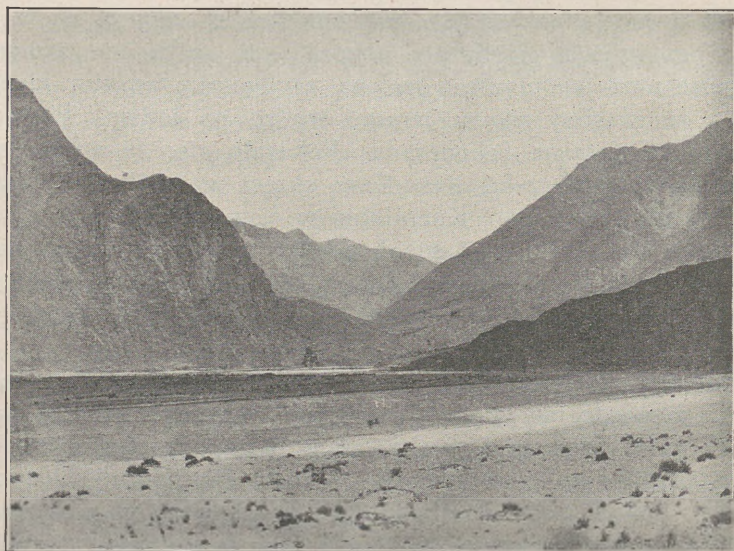
¹⁾ Ibid., str. 329.

²⁾ Br. Grąbczewski, Sowremiennoje położenie pamińskich chanstw i pogranicznej linji s Kaszmirom. Margelan, 1891 r., str. 42.

me, lecz podobno Chińczycy mieli wybudować nowy fort w miejscowości Ir-Nazar-Kurgan, gdzie się rozchodzą drogi na przełęcz Kiljam i Sandżu, i w ten sposób zamknąć na nie przejście.

Nie chcąc wywoływać żadnego starcia z oficerem kaszmirskim, przeszedłem obok Szachidułła-Chodży, nie zatrzymując się, i w oczekiwaniu powrotu Abdu-Gafara stanąłem obozem na brzegu rzeki Kara-Kosz o 24 kilometry poniżej fortu.

Właśnie w czasie naszego tam postoju otrzymałem nareszcie aż trzy listy od angielskiego rezydenta w Kaszmirze, pułkownika



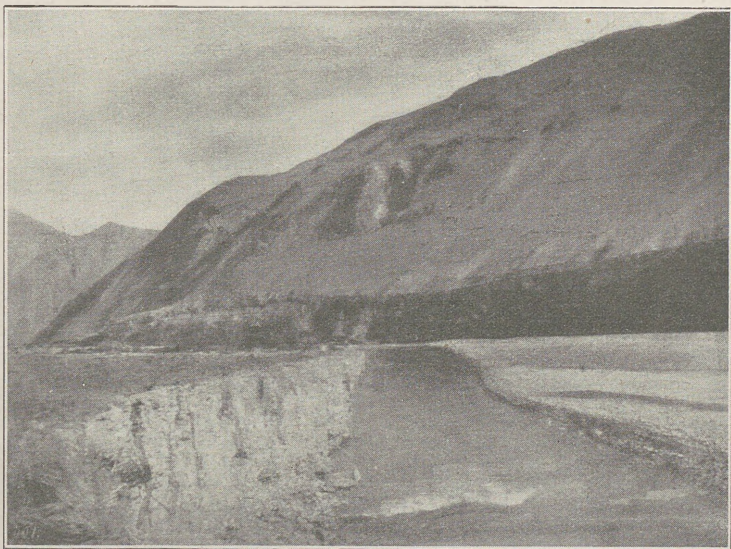
Szeroka dolina Raskem-Darji. Zbocza pozbawione wszelkiej roślinności (str. 125).

Nisbeta¹⁾, posłane rozmaitemi drogami, żeby się nie minęły ze mną, z lakoniczną odpowiedzią, iż rząd Indyj brytańskich nie uznał za możliwe pozwolić rosyjskiej ekspedycji na przezimowanie w Tanksi lub Ladaku. Muszę dołąć, że obie te miejscowości są zupełnie na uboczu od granicy politycznej Indyj, gdyż leżą na granicy Tybetu, podwładnego Chinom, i że równocześnie dowiedziałem się z listu zarządzającego konsulem rosyjskim w Kaszgarze, iż rząd rosyjski dał pozwolenie porucznikowi Bauerowi

¹⁾ Ibid., str. 42.

i majorowi Cumberland na powrót do Anglii przez Pamiry i Turkiestan, t. j. pozwolił im zwiedzić całą polityczną granicę Rosji. Obaj ci oficerowie, jak mówiłem wyżej, spędzili całe lato na Dangnyn-Basz-Pamirze (gdzie się z nimi poznałem) w oczekiwaniu przybycia wyprawy Younghusbanda.

Teraz już nic nie zatrzymywało mię w tej części Azji. Odprawdani przez Kirgizów, którzy, pomimo zmiany władzy w Szachiduła-Chodży, okazywali nam najżywszą sympatję i pomogli przeprowić się przez trudną przełęcz Kiljam, nie zgodziwszy



Dolina rzeki Raskem-Darji. Na zboczach widać ślady poziomu wody w czasie lata (str. 125).

się przyjąć za tę kilkudniową pomoc żadnej zapłaty, ostatecznie ruszyliśmy na północ. 1 lutego¹⁾ przeszliśmy przez przełęcz Kiljam (5219 metrów n. p. m.), a 4 lutego weszliśmy do miasteczka Kiljam (2249 metrów n. p. m.), gdzie pierwszy raz po 8½ miesiącach zanocowaliśmy pod dachem, a nie w namiotach.

Wjeżdżając do Kiljamu, gdzie był dość znaczny garnizon chiński, główny urząd celny i władze administracyjne, nie byłem pewien, jak się ułożą moje stosunki z Chińczykami. Paszportu

¹⁾ Wiadomości Rosyjsk. Tow. Geograficznego t. XXVI z r. 1890, str. 329.

chińskiego nie miałem, a jeszcze na Pamirach otrzymałem był list od konsula Petrowskiego, że władzę chińskie są podrażnione moim przebywaniem na Pamirach i grożą represjami w razie mego przyjazdu do Kaszgarji. Takby się zapewne stało, gdybym przybył z gór do Kaszgarji w czasie bytności w Kaszgarze Petrowskiego, który stale wojował z miejscową administracją i oskarżał ją w Pekinie. Zato mu przy sposobności Chińczycy odpłacali stokrotnie.

Zupełnie inny był stosunek administracji chińskiej do J. Lutscha, który zarządzał konsulem w czasie częstych urlopów Petrowskiego. Człowiek dobry z natury, Lutsch unikał wszelkich skarg i zatargów, starając się wszelkie sprawy załatwiać polubownie. Chińska administracja odpoczywała przy nim i wzajemnie starała się coś zrobić dla niego ¹⁾).

Zdaje się, że co do mojej sprawy, udało mu się przekonać dao-taja, że przybędę do Kiljamu jedynie w celu zmienienia koni i znowu wrócę w góry, że przeto najlepiej będzie nie zwracać na mnie uwagi.

To też byłem przyjemnie zdziwiony, gdy, przechodząc przez komorę celną, nie byłem przez nikogo nagabywany, a wjechawszy do miasteczka, spokojnie się umieściłem w najlepszym karawanseraju.

Położenie wyprawy istotnie było bardzo trudne. Środki materialne wyczerpały się zupełnie. Z 40 koni, z którymi zszedłem był z Pamirów do pustyni Raskemu, doprowadziłem do Kiljamu tylko 8, a i te były podbite, wycieńczone i do dalszego użytku mogły się przydać tylko po dłuższym wypoczynku i stosownem odkarmieniu. Zaopatrzenie ekspedycji, tak starannie zebrane w Margelanie, poczęści było zniszczone w ciągu 9 miesięcznej podróży, w bardzo trudnych warunkach, gdyż niezawsze miałem możność dopatrzenia, żeby wszystko układano na miejscu i w porządku, poczęści zaś pozostało w Tybecie, lub porzucone w innych miejscach w czasie, gdy padały nam konie, i nie mogliśmy już wieść swych pakunków. Namioty naprzykład były tak poszarpane przez ciągłe wichry w Tybecie, że ochrony żadnej nie dawały, a przytem było nawet trudno je rozstawić. Słowem, zdawało się, że, choć silni duchem, jesteśmy jednak w takim stanie gospodar-

¹⁾ W początkach 1920 roku widziałem go w Seulu w Korei, gdzie pełnił obowiązki konsula generalnego.

czego rozstroju, iż innego wyjścia nie było, tylko zlikwidowanie pozostałych resztek naszego mienia, przyłączenie się do jakiej karawany handlowej i powrót do kraju, nie jako samodzielna ekspedycja, lecz w roli zwykłych przy karawanach podróźnych. Takie rozwiązanie wydawało się tem słuszniejsze, że 1 lipca kończył się roczny termin, na jaki byłem wysłany, i czas był wielki myśleć o powrocie do domu.

O przebiegu prac swoich i o osiągniętych wynikach stale i przy każdej sposobności zawiadaniałem wychowawcę cesarzewicza, generała Daniłowicza, oraz Zarząd Towarzystwa Geograficznego¹⁾. Lecz jak raporty te były oceniane przez sfery rządowe, oczywiście, nie wiedziałem, gdyż przez cały czas podróży nie otrzymywałem listów z powodu zabawnego nieporozumienia. Całą korespondencję moją przesyłano z Petersburga do konsula w Kaszgarze, który, za pokwitowaniem, oddawał ją do kancelarji dao-taja dla doręczenia mi przez pograniczne władze chińskie. Te jednak, nie dowierając bekom kirgiskim, z którymi byłem w ciągłej styczności i którzy jak najakuratniej moje listy i nawet ciężkie przesyłki dostarczali konsulowi, odsyłałi paczki z moją korespondencją do władz afgańskich lub kaszmirskich. Te z kolei przesyłały wszystko do głównego zarządu poczt w Indjach, skąd je znowu odsyłało do władz chińskich w Kaszgarji. Te zaś doręczyły mi worek listów i gazet, lecz dopiero w maju, kiedy byłem w Połu. Fakt jednak pozostaje faktem, że listy w Azji Środkowej, pomimo wojny, nie zginęły, lecz objechawszy pół świata, najskrupulatniej były mi doręczone, co bynajmniej niezawsze się zdarza u nas.

1) Wszystkie listy i sprawozdania moje były skwapliwie drukowane w Wiadomościach Towarzystwa i służyły za materiał do obecnej mojej pracy.

XV.

NIESPODZIEWANA POMOC.

ZAOPATRZENIE WYPRAWY. PRZEZ CHOTAN DO NIJI.

SPOTKANIE Z WYPRAWĄ TYBETAŃSKĄ. Z NIJI DO POŁU.

POBYT W POŁU. POMYŚLNY TELEGRAM. ŚWIĘTA WIELKANOCNE.

Nie wiedząc jeszcze, w jaki sposób uda mi się przedsięwziąć dalszą wyprawę, nie wątpiłem jednak, że będzie ona uruchomiona, chociażby w najskromniejszych warunkach, i energicznie zająłem się zorganizowaniem remontu tego, co mogło być jeszcze naprawione.

Pracowaliśmy nad tem wszyscy, zajmując miejscowych rzemieślników tylko w wyjątkowych wypadkach. Tak przeszło parę dni. Wiadomość o naszym przybyciu do Kiljamu doszła do Jarkendu, skąd najniespodziewaniej zjawił się „starszyna“ kupców-poddanych rosyjskich w Jarkendzie, p. Mirza-Dżan-Chodża, oddał mi list od zarządzającego konsulatem J. Lutscha ¹⁾ i, wydobywszy z kurzumów, wręczył mi 40 jamb srebra (4 000 rb.).

W liście Lutsch pisze, że, dowiedziawszy się o krytycznym położeniu wyprawy, posyła wszystko, co ma, co odłożył sobie na wyjazd na swój urlop do Europy po powrocie Petrowskiego. Prosi, żebym przyjął tę pożyczkę, nie krępując się, gdyż naprzód niewiadomo, kiedy wróci Petrowskij, który nigdy nie śpieszy się z powrotem, a powtóre, gdyby nawet z powodu niezwrócenia pożyczki musiał odłożyć swój wyjazd do kraju, różnicy mu to nie sprawi, gdyż nie ma żadnych pilnych spraw, poprostu chce tylko skorzystać z urlopu, do którego ma już prawo.

¹⁾ Ibid., str. 330.

Poza tem dodaje, że wydał rozporządzenie „starszynie“, by pozostał w Kiljamie na cały czas naszej tam bytności i, jako ustosunkowany kupiec, znający miejscowe ceny, pomógł nam w zaopatrzeniu wyprawy i w postawieniu jej znów na nogi.

Propozycję Lutscha przyjąłem z największą wdzięcznością, tem bardziej, iż miałem zapewnioną możność zwrócenia mu tych pieniędzy w ciągu najbliższych paru miesięcy; natychmiast też napisałem do swoich, prosząc o jak najszybsze wysłanie należnej mi sumy Lutschowi.

Zaopatrzenie wyprawy odbyło się nadzwyczaj szybko przy wydatnej pomocy p. Mirza-Dżana-Chodży, który wszelkie zakupy załatwiał bez targu, dając odrazu ceny właściwe, o których, jako „starszyna“ kupców, był doskonale poinformowany. Najwięcej wydaliśmy na kupno 34 koni. Nie były to konie okazowe, jakie w swoim czasie kupiłem był na Ałaju z tabunów Ir-Dauleta, lecz wybraliśmy najlepsze z kilku tysięcy, jakie były w Kiljamie i na pastwiskach w najbliższych górach. Były to zwierzęta mocne, głównie zaś obyte z górami i nie bojące się „tuteka“, bośmy je nabywali od właścicieli karawan handlowych, zajmujących się przewozem towarów z Chin do Kaszmiru, i wybierali wśród takich, które już przechodziły przełęcz Kara-Korum i Himalaje.

Poza tem trzeba było nabyć nowe namioty, gdyż ocalał tylko mój, ze wspaniałego brezentu angielskiego (podarunek, jak również trzechrurka, z którą ani na chwilę się nie rozstawałem, wielkiego księcia Dymitra, syna w. ks. Konstantego, byłego namiestnika Królestwa Polskiego).

Wreszcie większą sumę pochłonęły wołoki do wyściełania namiotów, do spania i nakrywania się, mocne wory do wożenia jęczmienia, mąki i kaszy, sznury do namiotów i przywiązywania juków, podkowy, gwoździe i t. d. Najmniej kosztowała żywność (mąka, kasza, ryż) i barany, bo w Kaszgarji i jedno, i drugie były tanie.

Dzięki pomocy Mirza-Dżan-Chodży, który z nadzwyczajnym spokojem, ale bezapelacyjnie wyznaczał ceny zupełnie zadowolające kupców i korzystne dla nas; który wiedział, gdzie, co i od kogo można kupić, czego zaś nie było w Kiljamie sprowadzał szybko z Jarkendu, zorganizowanie wyprawy ukończyliśmy szybciej niż w ciągu dwóch tygodni i 20 lutego wyruszyliśmy w nową podróż, wzdłuż północnych zboczy Ałtyn-Tagu (Kuen-lunia), dążąc w stronę Połu, dokąd tak długo nie mogliśmy się dostać. Z przysła-

nych przez J. Lutscha 40 jamb¹⁾ wydaliśmy na uruchomienie ekspedycji 25, tak że 15 jamb zostało nam na bieżące wydatki wyprawy.

Kierunek drogi obrałem na oazy: Kara-Su (2107 m. n. p. m.), wioskę Chanaka (oaza Sandżu) 1995 m. n. p. m.), wioskę Puski (1918 m. n. p. m.) i wioskę Dua (1898 m. n. p. m.).



Gurkowie, żołnierze konwoju ekspedycji kapitana Younghusbanda, którą spotkałem w pustyni Raskemu (str. 127).

Wszystko to są oddzielne oazy nad rzeczka-
kami, spływającymi z Altyn-
Tagu, i przedzielone mniej lub
więcej wysokimi przełęczami.

W oazie Pudżja (1834 metrów n. p. m.) przypadko-
wo dowiedziałem się od admini-
stracji chińskiej, że wielka
ekspedycja tybetańska, którą
dowodził uczony geodeta, puł-
kownik Mikołaj Piewcow, zimu-
je w oazie Nija, jeden zaś
z członków wyprawy bawi
w Chotanie.

Wyżej nadmieniałem, że
w ciągu prawie 9 miesięcznej
podróży nie otrzymałem żadnej
wiadomości z kraju. Nie wie-
działem więc, że ekspedycja
tybetańska zimuje w Niji. Są-
dziłem jednak, że, osiadłszy
w miejscu, musiała zapewnić
sobie dostawę korespondencji

i ma gazety, listy od krewnych i znajomych, rozporządzenia od Zarządu Towarzystwa Geograficznego, które wystarczyło się o olbrzymie środki ze skarbu państwa na ekspedycję M. Prze-
walskiego, obecnie Piewcowa. Byłem spragniony wiadomości i chciałem zobaczyć kolegów, których znałem dawniej. Poza tem, miałem tylko dwa chronometry, które po przygodach w pu-
styni Tybetu i po strasznych mrozach tamtejszych mogły być nieco zepsute, tak [samo, jak zepsuł mi się aneroid, wypoży-

¹⁾ Jamba—moneta chińska: sztabka srebra w formie łódki, wagi około 2 kg.; wartość—100 rs.

czony przez zarząd Towarzystwa Geograficznego, choć był to wspianiały przyrząd, roboty Newton'a w Londynie, specjalnie przystosowany do ogromnych wysokości do 20 000 stóp n. p. m. Aneroid ten jednak właśnie w Tybecie, gdzie był najpotrzebniejszy, przestał działać, a wskazówka zatrzymała się na 0, t. j. wskazywała przeszło 20 000 stóp, choć hipsotermometr wskazywał tylko 19 000 lub nawet trochę mniej.

Mogłem tedy, spotkawszy się z wyprawą tybetańską, sprawdzić chronometry i związać swe prace astronomiczne z pracami pułkownika Piewcowa, który, jako specjalista geodeta, prowadził je ze szczególną ścisłością.

Wszystkie te względy skłoniły mię do zmiany kierunku podróży: postanowiłem bytność w Połu jeszcze raz odłożyć na później, natomiast dążyć zaraz do Chotanu, żeby odszukać bawiącego tam członka wyprawy tybetańskiej i, o ile potwierdziłyby się wiadomości, że ekspedycja zimuje w Niji, udać się do Niji.

Od Pudźji (1834 m. n. p. m.) zwróciłem się wdół rzeki Kara-Kosz i w ostatnich dniach lutego dotarłem do Chotanu (1441 m. n. p. m.), gdzie spotkałem inżyniera Karola Bohdanowicza. Ponieważ p. Bohdanowicz wracał już do Niji, więc pojechaliśmy razem przez oazę Czyra i miasto okręgowe Kerja do Niji, zboczywszy na wschód około 300 kilometrów.

Droga od Chotanu do oazy Czyra, na przestrzeni około 60 kilometrów, biegnie przez okolice zupełnie pustynne. Oaza Czyra (1531 m. n. p. m.), to wielka wioska, nad rzeczką Czyra, spływającą z Kuen-lunia. Od Czyra do miasta Kerji droga na przestrzeni 80 kilometrów biegnie wśród piaszczysto-lessowych pagórków; od czasu do czasu spotykają się wgłębienia, zarośnięte wysoką trzcina. Na północ od drogi (o 15 — 20 kilometrów) na przestrzeni między rzekami Kara-Kosz i Kerja-Darja, rosną lasy topolowe, szerokiem pasmem, na długości dwu dni marszu (mniej więcej do 60 kilometrów). Topola¹⁾ ta rośnie na piaszczystych barchanach, wśród których w miejscach, dokąd w czasie letniej powodzi dochodzą wylewy, rośnie taka gęsta i wysoka trzcina, że człowiek na koniu ginie w niej, jak w morzu. Gąszcze te dają przytułek ogromnym stadom dzików, na które chętnie poluje olbrzymi tygrys królewski, stale trzymający się w tamtejszych

¹⁾ Osobliwy rodzaj, noszący nazwę „tugrak“. Patrz „Kaszgarja“ str. 53 i 131.

okolicach. Poza tem można tam spotkać rzadkie okazy dzikiego konia, odkrytego przez podróżnika Przewalskiego i nazwanego jego imieniem (*Equus Przewalski*), oraz dzikiego wielbłąda.

Biada jednak myśliwemu lub podróżnikowi, który w lecie zabłąka się w tych ciekawych stronach. Zjedzą go komary, od których nigdzie schronić się niepodobna. Nieprzejrzane chmury ich wiszą nad gąszczami trzciny, a od ostrego żądła nie uchroni sukieny surduty lub spodnie. Ukąszenia tamtejszych komarów są szczególnie zjadliwe i wywołują na ciele ogromne świerzbiące bąble, które pozostają w ciągu kilku dni. Niemniej od ludzi cierpią od ukąszenia konie. Napastowane przez ich mirjady denerwują się, tarzają po ziemi, nie jedzą i w ciągu kilku dni w oczach nikną. Późną jesienią, kiedy nocami mrozy już panują stale, komary nikną, lecz znowu występuje dotkliwy brak wody. Wylewy wysychają, i wodę trzeba wozić z sobą na wielbłądach w worach skórzanych.

Na południe od drogi, aż do podnoży gór Kuen-luń, rozciąga się kamienista, pozbawiona wszelkiego życia równina, nosząca miejscową nazwę „saj“.

Oaza Kerji leży nad rzeką Kerja-Darja, mającą źródła swe na płaskowzgórzu tybetańskim.

Woda tej rzeki, po wyjściu z gór, rozprowadzona na mnóstwo sztucznych kanałów nawodniających, przynosi życie oazie na przestrzeni około 450—500 kwadr. kilometrów (licząc długość oazy do 30 kilometrów i jej szerokość do 15 kil.). Oaza ta stanowi odrębny okrąg administracyjny i jest dosyć gęsto zaludniona. Miasto Kerja (1436 m. n. p. m.) leży we wschodniej części oazy i służy za siedzibę chińskich władz administracyjnych, oraz niewielkiego garnizonu.

Miasto nie jest otoczone murem obronnym i składa się z jednej długiej ulicy, stanowiącej równocześnie miejscowy rynek, oraz ośrodek administracyjny. Tu są jamynie (urzędy) władz miejscowych i wszystkie sklepy, zaopatrujące potrzeby mieszkańców całej oazy. Poza tem kilka poprzecznych uliczek, zajętych przez owocowe i warzywne ogrody mieszkańców, stanowią całe miasto.

Kultura rolna jest znacznie rozwinięta w całej oazie. Sieją tam wszystko, począwszy od ryżu i bawełny, kończąc zaś na pszenicy, sorgo (dżugara) i kukurydzy, bo wody jest dosyć i wy-



Spotkanie ekspedycji B. Grabczewskiego z angielską ekspedycją kapitana Younghusbanda w pustyni Raskemu, w listopadzie 1889 r., gdzie znaleźli się razem przedstawiciele 21 narodów (str. 127).

1. Kap. B. Grabczewski, Polak, 2. kap. Younghusband, Anglik, 3. preparator Conrad, Niemiec, 4. 6 kozaków — Rosjanie, 5. Kozak Matwiejew, Mordwin, znający język mongolski, 6. Tadźycy, 7. Sartowie, 8. Kirgizi, 9. Kandźuci, 10. Wachauńczycy, 11. Żołnierze armji angielskiej z indyjskiego plemienia Gurków, 12. Kaszmirczycy, 13. Baltistańczycy, 14. Tybetańczycy, 15. Hindusi, 16. Mongotowie, 17. Kirgizi z Sarykji, 18. Kirgizi tybetańscy, 19. Kaszgarczycy, 20. Toglicy Pachpu, 21. Sarykoltowie

starcza jej na wszelkie zasiewy. Oaza keryjska wyrabia dużo jedwabiu, który idzie na rynki Chotanu, gdzie służy do wyrobu wspaniałych dywanów.

Z Kerji ruszyliśmy dalej na wschód do oazy Nija, leżącej mniej więcej o 100 kilometrów. Przez pierwszy dzień aż do wioski Oj-Tugrak (1509 metrów n. p. m.), droga biegnie między piaszczystymi barchanami, czasami z rzadkimi zarosłami trzciny, dzikiego owsa lub tamaryszku (jułgun).

Dalej aż do samej Niji jechaliśmy kamienistą równiną, pozbawioną życia, z częstymi grządkami twardego piasku.

Na północ od naszej drogi (o 15 — 20 kilometrów) roślina znów rzadki las topoli rodzaju „tugrak“; nie wiem, czy ta topola spotyka się gdziekolwiek indziej, lecz w Azji Środkowej znana jest tylko w Kaszgarji i rośnie w miejscowościach najbliższych pustyni Gobi.

7 marca przyjechałem do Niji¹⁾ (1450 metrów n. p. m.) i byłem najserdeczniej przyjęty przez pułkownika Piewcowa i jego towarzysza, porucznika Kozłowa. Drugiego członka wyprawy, kapitana Roborowskiego, w Niji chwilowo nie było. Znajdował się na wycieczce do dorzecza rzeki Czerceń.

Oaza Nija leży wzdłuż rzeczki tej samej nazwy, posiada około 500 gospodarstw, lecz pod względem rolniczym nie różni się niczem od sąsiednich oaz Kaszgarji. Wody, tego głównego czynnika życia każdej oazy, ma ona pod dostatkiem i uprawia to samo, co i Kerja.

Wyprawa tybetańska przybyła tam w październiku, wynajęła największy dom z obszernymi podwórzami, przygotowała się na zimę według wymagań europejskich i czekała, aż przeminą mrozy, by rozpocząć prace w możliwych warunkach. Młodszy członkowie ekspedycji robili wycieczki, każdy stosownie do swojej specjalności, podejmując czasem dosyć odległe podróże. Resztę czasu poświęcano pracom, dostępnym w porze zimowej.

Pozostałem tam jako ich gość cały tydzień, będąc ciągle przedmiotem serdecznej pieczołowitości. Pułkownik Piewcow sprawdził moje chronometry i wszelkie przyrządy, przestawił wskazówkę aneroidu i porobił niezbędne poprawki, ja zaś połączyłem się z punktem astronomicznym w Niji i wynotowałem sobie inne miejscowości, gdzie pułkownik Piewcow dokonywał stale obser-

¹⁾ Ibid., str. 330.

wacyj, żeby w miarę możliwości od czasu do czasu wiązać swe prace z temi punktami i w ten sposób umocnić swoją sieć astro-nomiczną, która miała ogromne znaczenie, jako łącząca prace angielskie w Indjach z takimiż pracami na terytorjum posiadłości rosyjskich.

15 marca¹⁾ wyruszyłem z Niji na południe w góry, mając zamiar, trzymając się możliwie bliżej głównego pasma gór Kuen-luń, zwiedzić rozmaite miejscowości, gdzie odbywają się poszukiwania złota na większą skalę, i spuścić się do Połu. Pierwszym etapem był Sourgak (2342 metrów n. p. m.), gdzie w czasie mojej bytności pracowało do 3000 poszukiwaczy złota. O sposobie, w jaki tam wydobywają złoto, opowiedziałem w innym miejscu²⁾.

Z Sourgaku, ciągle trzymając się możliwie bliżej głównego pasma Kuen-lunia, posuwałem się w kierunku Połu, zwiedziwszy cały szereg siedlisk „Toglików“, oddzielonych jedno od drugiego wysokimi przełęczami do 10 — 11 tysięcy stóp n. p. m. Mieszkańcy tych osiedli zajmowali się przeważnie hodowlą owiec (merynosów), chociaż i rolnictwo uprawiali, ile na to pozwalały warunki klimatyczne. Główniejsze ze zwiedzonych przeze mnie siedzib Toglików były następujące: Małgun (2663 metrów n. p. m.), Kyzyl-Kija (2568 metrów n. p. m.) i Aczan (2513 metrów n. p. m.). Z wielkiem uznaniem wspominam tych górali za ich szczególną gościnność i życzliwość, z jaką nas spotykali wszędzie, starając się okazać wyprawie jakąkolwiek bądź usługę.

W dolinie rzeczki Luszy (prawego dopływu rzeki Kerji) zbadałem tamtejsze pokłady nefrytu i wziąłem stamtąd próby. Wioska Luszy (2947 metrów n. p. m.) była ostatnim noclegiem w tej części Kuen-lunia.

W drodze tej wyprawę nawiedziła ospa. Gdzie i w jaki sposób zaraziliśmy się, nie wiem, lecz zdaje mi się, że w osiedlach Toglików, gdzie nas tak gościnnie przyjmowano. Krajowcy Kaszgarji o szczepieniu ospy pojęcia nie mają i chorobę tę, jak i każdą inną, uważają za dopust boży, nie zdając sobie sprawy z jej zarażliwości. Pierwszy zachorował mój sekretarz i kierownik gospodarczy, Mirza-Fazył-Bek, który służył u mnie już przeszło od 10 lat i towarzyszył mi w poprzednim roku w wyprawie do Kandżutu. Pomimo serdecznego żalu, gdyż byłem szczerze przywiązany do tego wyjątkowo dobrego człowieka, nie mogłem

¹⁾ Ibid., str. 330.

²⁾ Kaszgarja, str. 157—161.

chorego na ospę wieść z sobą i zostawiłem go na opiece górali, zaopatrzywszy w środki przeciwgorączkowe i w pieniądze. Po-tem w wiosce Luszy trzeba było zostawić jeszcze jednego z dzygi-tów. Zatrzymałem się tam na dobę, kazawszy wszystkie rzeczy prze-trząsnąć, przewietrzyć i wytrzepać, a wołłoki, na których spali chorzy spalić. Na tem zaraza poprzestała, a obaj chorzy wyzdrowieli i przyłączyli się do ekspedycji w Połu.

Do Połu dobrnęliśmy w ostatnich dniach marca. Mieszkańcy oazy, uprzedzeni przez wójta wioski Luszy o naszym przyjeździe,



Eskorta ekspedycji angielskiej i mojej. Żołnierze z plemienia Gurków w Indjach i kozacy orenburscy (str. 129).

przyjęli nas przy przeprawie przez rzekę Kur-Ob (ślepa woda, lewy dopływ rzeki Kerji), niosąc z sobą portrety cesarza Aleksandra III i cesarzewicza, podarowane im przez Przewalskiego.

Przygotowali oni dla nas najlepszy i największy dom w oazie, mający jeszcze tę zaletę, że stał zupełnie oddzielnie po drugiej stronie rzeczki i w razie potrzeby doskonale nadawał się do zajętej obrony. Stosunek nasz do ludności miejscowej odrazu stał się bardzo serdeczny, o co dbałem bardzo i nadal. Oaza Połu składała się z 16 wiosek, wśród pól których rozprowadzona była sztucznymi kanałami woda z rzeczki Kur-Ob. Pomimo dość

znacznej wysokości nad poziomem morza, (2 553 metrów) rolnictwo w Połu było bardzo rozwinięte. Oczywiście bawełny i ryżu rolnicy tam nie siał; nawet kukurydza niezawsze dojrzewała. Lecz pszenica, jęczmień, rzepak, len, wszelkie warzywa rodziły doskonale, i mieszkańcy oazy byli zamożni, mając przytem dochody dodatkowe z hodowli owiec i innego bydła, którą prowadzili na wielką skalę.

Nie chcąc obciążać wioski, gdzie mieszkaliśmy, dostawą żywności dla naszej karawany, dałem notatkę, ile i jakich zapasów potrzebujemy codziennie, i zarządziłem, aby dostawę wójtowie sami rozłożyli między mieszkańców 16 wiossek. Do obrachunków z nami wójtowie wybrali między sobą dwóch przedstawicieli, którzy według umówionych cen dostarczali z wieczora wszystko, czego potrzebowaliśmy nazajutrz dla siebie i dla koni. Wypłaty Mirza-Fazył-Bek prowadził codziennie. Dla mieszkańców taki zbyt produktów na miejscu za płynną gotówkę, zamiast wywożenia na sprzedaż o 120 kilometrów ciężkiej kamienistej drogi, do Kerji, był nadzwyczaj dogodny; rzetelny zaś obrachunek codzienny zwiększył jeszcze ich sympatję do mnie do tego stopnia, że, z biegiem czasu, zwracali się oni do mnie, jako do sędziego polubownego, we wszystkich najzawilszych swoich sprawach, poddając się w zupełności moim wyrokom. Aby podtrzymać autorytet miejscowego kadi'ego, sądy sprawowałem zawsze w porozumieniu z nim; postanowienia nasze na sądzie publicznym potwierdzał on urzędowymi dokumentami, zarejestrowanemi w miejscowych księgach.

W parę dni po przyjeździe do Połu otrzymałem cały worek listów i gazet, które, objechawszy Indje i Kaszmir, znalazły mię wreszcie. Był tam i telegram od wice-prezesa Towarzystwa Geograficznego, senatora Siemionowa, który z polecenia cesarzewicza i zarządu Towarzystwa winszował mi dokonanych odkryć geograficznych, dziękował za poniesione trudy i wysiłki woli i energii, oraz zawiadamiał, że dla dokończenia przedsięwziętych już prac w celu zbadania północno-zachodniego Tybetu, delegacja moja została przedłużona jeszcze o pół roku, t. j. do 1 stycznia 1890 r., materjalne zaś środki na nowe półrocze przesłano na ręce konsula rosyjskiego w Kaszgarze¹⁾.

Telegram ten przeczytałem towarzyszom podróży. Nadzwyczaj pochlebna ocena naszych prac i odkryć przez cesarzewicza.

¹⁾ Ibid., str. 331.

i miarodajne, naukowe sfery Towarzystwa Geograficznego dodały nam nowych sił i energii. To też natychmiast po świętach Wielkiej Nocy postanowiłem jechać do Kerji, żeby na punkcie pułkownika Piewcowa zamknąć astronomiczne koło od Niji, oraz zając się zaopatrzeniem wyprawy na nową podróż do Tybetu. Przy tej sposobności chciałem rozszerzyć badania i nie tylko doprowadzić je do miejsca, przerwane w zimie, t. j. do „Gorących Źródeł“, lecz przejść wprost na południe od Połu i dobrnąć chociażby do Rudaku w Małym Tybecie, skąd w roku 1865 przybył do Chotanu topograf angielski, Johnson. Posłałem więc przez chińską pocztę list pośpieszny do J. Lutscha, prosząc, by z wysłanych mi pieniędzy naprzód odebrał sobie pożyczone mi 4 000 rb., resztę zaś polecił jakiej firmie handlowej w Chotanie lub Kerji wypłacić mi tutaj.

Korzystając z postoju w Połu, chciałem jak najuroczyściej urządzić święta wielkanocne, aby członkowie ekspedycji odczuli nastrój „święteczny“. To też, prócz zwykłego obiadu, wszyscy otrzymali po kubku spirytusu chińskiego, po kilka pisanek, po pieczonej kurze i jednej dużej babie z rodzynkami, na deser zaś pakę bakalijską, składającą się z orzechów włoskich, fig, rodzynków, winogron, jabłek i suszonych moreli. Owoce częściowo dostaliśmy w Połu, gdzie dojrzewają jabłka i morele; poczęści zaś sprowadziłem je z Kerji, gdzie wszystkie owoce rosną w wielkiej ilości.

Równocześnie urządziłem przyjęcie dla mieszkańców tej wioski (dzielnicy oazy), gdzieśmy przebywali. Przyjęcie było w guście muzułmańskim, potem zaś damy i panowie tańczyli ochoczo przy śpiewach i dźwiękach ludowej muzyki, składającej się z wielkiej ilości bębnow, piszczałek, gitary i cytry grubej roboty. Lud tutejszy jest bardzo muzykalny i chętnie śpiewa, lub gra na cytrze i gitarze. Tańczą oddzielnie mężczyźni, oddzielnie kobiety, lecz tańczą zbiorowo po 10 — 15 par rytmicznie, czego w innych miejscowościach Azji Środkowej nie zdarzało mi się widzieć.

XVI.

ZAJŚCIE Z KERYJSKIM AMBANIEM.
PRZYGOTOWANIA DO OBRONY, POCHÓD DO TYBETU
NAD JEZIOREM SAKIZ-KUL. WYPRAWA DO „GORĄCYCH ŹRÓDEŁ”.
REKONESANS NA PUSTYNIĘ „AK-DASZT”. ZAKOŃCZENIE PRAC W TYBECIE.
POWRÓT DO POŁU. POSTÓJ.

W nocy otrzymałem list od keryjskiego ambania, w którym prosi mię on, bym przyjechał do Kerji w celu omówienia sprawy dalszego pobytu w Połu; na drugi dzień świąt, w towarzystwie 3 kozaków i 2 krajowców wyjechałem do Kerji, zostawiwszy wszystko w Połu, jak zwykle, pod opieką Fazył-Beka i wachmistrza Koziakajewa.

Tymczasem zaraz po przybyciu do Kerji z wielkiem zdziwieniem przekonałem się, że keryjski ambań jest źle względem mnie usposobiony. Zawezwawszy mię specjalnem pismem, nie chciał się jednak ze mną widzieć osobiście, lecz przez tłumaczy i urzędników zapowiedział, że, ponieważ nie posiadam chińskiego pasportu, więc mowy o tem niema, abym z Połu mógł jechać do Tybetu. Wogóle zabrania mi dłużej przebywania w swoim okręgu i kategorycznie wymaga, abym natychmiast opuścił Połu. Nie pomogły tłumaczenia, że keryjski ambań jest tylko naczelnikiem powiatu, podwładnym naczelnikowi okręgu chotańskiego, ten zaś z kolei zależy od władzy centralnej w Kaszgarze; że władze te zarządziły, aby mię pomimo braku pasportu, wpuszczono do Kaszgarji przez główny urząd celny w Kiljamie, do keryjskiego zaś powiatu przybyłem przez Chotan, gdzie mieszkałem kilka dni, widziałem się osobiście z naczelnikiem okręgu, i ten nie ro-

bił mi żadnych trudności przy przejeździe do Kerji. Nie pomogły i podarunki, które posłałem nietylko ambaniowi¹⁾, lecz i jego bliskim, aż do ostatniego beka włącznie. Stosunek ambania do nas nietylko się nie zmienił, lecz nawet pogorszył. Na ulicach zjawily się urzędowe ogłoszenia z podpisem i z pieczęcią ambania, w których nazywał on ekspedycję w Połu bandą ludożerców²⁾, rozkazywał mieszkańcom Połu, aby żony i dzieci swe pochowali przed nami w górach, mieszkańcom zaś Kerji pod karą chłosty zabraniał cokolwiek nam sprzedawać.

Ogłoszenia te każe zrywać i posyłam je do Kaszgaru, do Lutscha, oraz do Petersburga, żeby tam wiedziano, z jakimi trudnościami trzeba tu walczyć.

Lutsch protestuje wobec dao-taja, który go zapewnia, że posłał kategoryczny rozkaz pozostawienia mię w spokoju, lecz miejscowy kacyk uwziął się i robi swoje. Do domu, zajętego przeze mnie, zaczęli się wdzierać żołnierze chińscy, widocznie podmówieni i szukający burdy. Wyniosłem się tedy za miasto, do oddzielnego domku, gdzie w razie napadu łatwiej można było się bronić, niż w ciasnych ulicach miasta. Winienem jednak stwierdzić, że w tych ciężkich chwilach kupcy, poddani rosyjscy bywali u mnie stale i pomagali mi w zakupach, pomimo tego, że narażali się na chłostę i inne kary rozwściezonego urzędnika.

Nagle Fazył-Bek mię zawiadamia, że w Połu zjawił się urzędnik z jamynia keryjskiego ambania, który zmusza mieszkańców do niszczenia mostów i balkonów nad rzeką Kur-Ob, wzdłuż łożyska której prowadzi jedyna droga na płaskowzgórzu tybetańskie. Wtedy opuszczam Kerję i pędzę do Połu. Urzędnik ambania, dowiedziawszy się o moim powrocie, ucieka przez góry do Kerji, a ja odwołuję jego rozporządzenia.

Poczyna się męcząca korespondencja z ambaniem, który grozi, że, jeżeli natychmiast nie opuszczę Połu, wyśle wojsko i wydali mię siłą. Ponieważ jednak równocześnie otrzymałem od Lutscha kopję rozkazu dao-taja, by mię zostawiono w spokoju, gdyż przyjechałem do Kaszgarji w celach handlowych, co jest zgodne z traktatami, więc posyłam ten dokument do ambania i uprzedzam go, że będę się bronił, a za krew przelaną odpowie on, ponieważ rozporządzenia jego są bezprawne.

¹⁾ Ibid., str. 332.

²⁾ Ibid., str. 332.

Mieszkańcy Połu są bezwzględnie po mojej stronie i twierdzą, że ambañ nie będzie śmiał posłać przeciwko mnie wojska ponieważ lanza w Kerji jest bardzo słaba i liczy niewielej nad 40 ludzi. Jednak, znając samowolę urzędników chińskich, przygotowujemy się do walki, że zaś ładunków mamy ogromny zapas jestem więc pewny, że się obronimy. Naturalnie, że wymianę strzałów uważałem za ostateczność. Lecz nie miałem wyjścia. Temperatura w Połu wahała się jeszcze między $+ 2^{\circ}\text{C}$ $+ 5^{\circ}\text{C}$,



Widok na węzeł, gdzie się łączą Himalaje z Hindukuszem, oraz na szczyt cesarzowicza Mikołaja (x). Wysokość jego określiłem na 28 000 stóp (8 400 metrów) n. p. m. Szczyt ten na angielskich mapach nazwany K₂ i określony zapomocą triangulacji na 28 278 stóp (str. 130).

ludzie zaś, posłani na płaskowzgórze Tybetu, wróciwszy, oznajmili, że tam odwilż jeszcze się nie zaczynała, i wody dla koni nigdzie niema¹⁾. W takich warunkach w Połu spędziliśmy miesiąc.

Najciekawszą w tej walce okolicznością był fakt, że posługiwałem się stale pocztą chińską, przysyłałem skargi na ambania, otrzymywałem odpowiedzi od Lutscha i t. p. dzięki chińskiej poczcie, z której korzystać nie miałem prawa, jako osoba prywatna.

¹⁾ Ibid., str. 332.

I miejscowy ambań, który sądził, że ma prawo posłać przeciwko mnie oddział wojska, do tego stopnia był przesiąknięty poczuciem nietykalności korespondencji, że nie śmiał mi zabronić korzystania z poczty, ani konfiskować moich listów.

Sympatje całej ludności 16 wiosek Połu mieliśmy za sobą ciągle. Samorzutnie utrzymywała ona wartość na drodze do Kerji, mającą na celu uprzedzenie nas w razie zbrojnego wystąpienia Chińczyków, główny zaś wójt całej oazy Połu, nasz szczerzy przyjaciel, Mahomed-Achun-Manas, wyzyskiwał swe osobiste stosunki w jamyniu (urzędzie) keryjskiego ambania i siedział w Kerji, w celu wysondowania istotnych zamiarów ambania i zawiadomienia nas o nich zawczasu. Niemniej żywy udział w naszych przeżyciach brał drugi wysoki dostojnik oazy, dobronudzny miejscowy kadi, Imam-Chodża-Issetdin-Achun, który tak był zadowolony z autorytetu, jaki zdobyłem wśród ludności oazy, że wywlekał stare, od dziesiątków lat nierozstrzygnięte sprawy, starając się je zakończyć przy moim współudziale. Kadi z głębokim przekonaniem zapewniał pocziwych górali, że jestem „Rumi“ (ukryty muzulmanin z Konstantynopola, będący w służbie rosyjskiej) i znawcą szarjatu. W rzeczywistości moja znajomość sądownictwa muzulmańskiego pochodziła stąd, że, będąc jeszcze czynnym urzędnikiem administracji Fergany, pozostawałem 5 lat na stanowisku pomocnika naczelnika powiatu margelańskiego i z ramienia rządu rosyjskiego sprawowałem obowiązki prezesa zjazdu margelańskich kadi'ch; zjazd ów, jako instancja apélacyjna od wyroków jednego z miejskich kadi'ch, rozpatrywał najzawilsze sprawy ogromnego miasta handlowego.

Byliśmy zupełnie gotowi do wyjazdu do Tybetu, lecz czekałiśmy w Połu lata lub choćby wiosny, żeby lody stajały na tamtejszych wysokościach, i abyśmy znowu nie zostali bez wody. Tym razem przygotowałem ogromne zapasy żywności, które mieszkańcy Połu zobowiązali mi się wywieźć na płaskowzgórzu Tybetu, gdzie na brzegu jednego z jezior ze słodką wodą miałem urządzić skład i przedsiębrać stamtąd dłuższe wycieczki w celu wszechstronnego zbadania tej części Tybetu.

Nie byłem nigdy zabobonny, lecz natenczas mimowoli zdawało mi się, że jakiś „pech“ mię przesładuje w sprawie zbadania Tybetu. W zimie cudem uszliśmy śmierci, nie znalazłszy wody, i zginęlibyśmy, gdybyśmy byli posunęli się dalej w stronę Połu; rzeka bowiem Kur-Ob (ślepa woda), wzdłuż której idzie jedyna

droga w stronę Tybetu (korzystają z niej tylko liczni poszukiwacze złota, dążący tędy z południowej Kaszgarji), biegnie między prostopadłymi skałami wąską szczeliną i w zimie jest ona tak zasypana śniegiem, że ani człowiek, ani zwierzę przedostać się tamtędy nie może. Doszedłszy więc nawet do źródeł rzeki Kur-Ob, nie moglibyśmy byli spuścić się do Połu i zginęlibyśmy w drodze powrotnej do Szachiduła-Chodży.

Teraz, kiedy środki materialne i zdobyte podczas zimy doświadczenie, pozwoliły mi zaopatrzyć się w sposób, dający możliwość zbadania ciekawych pod względem geograficznym obszarów Tybetu na południe od Połu, upór prowincjonalnego urzędnika chińskiego mógł mię zmusić do wejścia na płaskowzgórze zbyt wcześnie i pozbawić możliwości owocnej pracy.

Samowolę urzędników chińskich znałem nadto dobrze, i dlatego byliśmy przygotowani na wszelkie możliwości. Lecz krwawego starcia z regularnym oddziałem chińskim pragnąłem uniknąć za wszelką cenę, bo przecież nie poto przybyłem do Połu.

Wiedziałem, że, mając broń dalekoносną i duży zapas ładunków, mogę znieść słaby oddział Chińczyków, lecz to postawiłoby mię w trudnem położeniu nietylko tu, lecz i w Petersburgu.

To też kiedy 4 maja przyjechał śpiesznie z Kerji wójt Mahomed-Achun-Manas z wiadomością, że wyprawa przeciwko nam jest postanowiona, i że naczelnik lanzy otrzymał rozporządzenie ściągnięcia od mieszkańców Połu 5 jamb grzywny za pomoc, jaką nam okazywali, natychmiast owe 5 jamb¹⁾ złożyłem na ręce kadi'ego oazy i wezwałem mieszkańców do okazania mi obiecanej pomocy.

Wójtowie wieczorem 4 maja dostarczyli 75 tragarzy i poganiaczy, oraz 69 koni i jaków do dźwigania pakunków wyprawy. Ludziom tym oddaliśmy nasze bagaże i puściliśmy ich naprzód w dolinę rzeki Kur-Ob, która, jak mówiłem, biegnie wąską szczeliną, przyczem ścieżka przechodzi po balkonach, położonych czasami na ogromnej wysokości. Na swoich koniach wieźliśmy tylko przyrządy, dzienniki, ładunki i wogóle rzeczy najcenniejsze. Ja sam z kozakami zamykałem pochód, żeby w razie pościgu oddziału chińskiego bronić się i niedopuszczyć go do tragarzy i poganiaczy.

Droga wzdłuż rzeczki Kur-Ob, pomimo że posyłałem z Połu robotników do poprawienia mostów i balkonów, była bardzo

1) Wiad. Tow. Geograf., t. XXVII, zes. II z roku 1891, str. 116.

trudna i nie obeszła się bez strat. Trzy konie spadły z balkonów i zginęły w przepaści razem z jukami; między nimi jeden juczny z zapasem spirytusu i zebranymi kolekcjami¹⁾. Szliśmy całymi dniami od świtu do późnej nocy, gdyż karawana bardzo się rozciągnęła, wobec zaś częstego zamieszania, jakie powstawało na przedzie pochodu, robiły się zatory, zatrzymujące nas na parę godzin z niewiadomych powodów, a na nader wąskiej ścieżce wyminąć juki i przejechać na czoło karawany, dla zrobienia porządku, było niepodobna.



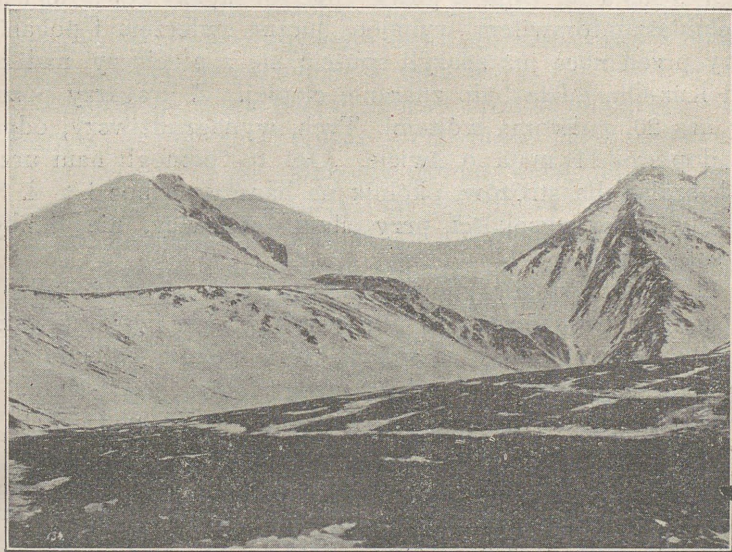
Kandzucki fort Darband, zbudowany na wysokim, prostopadłym brzegu rzeki Szymszał (str. 132).

Luźniej uczyniło się dopiero w miejscowości Chan-Langar (4 233 metry n. p. m.) u podnóża przełęczy Su-Baszy (wierzchołek wody), kiedy większość idących naprzód jucznych koni i tragarzy przebyła przełęcz i wyszła na płaskowzgórze Tybetu.

Przełęcz Su-Baszy (5 198 metrów n. p. m.) przeszliśmy 9-go maja. Strona jej północna, zwrócona ku czeluściom rzeki Kur-Ob, jest bardzo trudna, stroma i kamienista, zbocze zaś południowe ledwo dostrzegalnie pochylone w stronę płaskowzgórza, które na

¹⁾ Wiadom. Tow. Geograf. t. XXVI, zes. V z r. 1890, str. 410.

południe od przełęczy przedstawia ogromną równinę, przeciętą w najrozmaitszych kierunkach niewysokimi pagórkami; między nimi leży cały system rozmaitej wielkości jezior. Trzy z nich mają, według informacji mieszkańców Połu, wodę gorzko-słoną, czwarte zaś jezioro, Sakiz-Kul¹⁾ (jezioro osiem) słodką. Wyprawa stanęła obozem na południowym końcu jeziora Sakiz-Kul, u podnóża wysokiego pasma gór, ze śnieżnymi szczytami, oddzielającego płaskowzgórze od źródeł rzeki Jurung-Kosz. Tu urządziłem skład, umieściwszy wszystko, cośmy z sobą przywieźli, w ogromnym czworoboku.



Przełęcz Kukalang (4917 m. n. p. m.) w pasmie gór Raskemskich (str. 142).

Naprzód ułożyliśmy fundamenty z ogromnych kamieni, żeby do żywności nie dostała się wilgoć. Na kamieniach umieściliśmy z jednej strony jęczmień i kukurydzę, przywiezioną jako pasza dla 40 koni wyprawy, z drugiej mąkę, kaszę i ryż, jako żywność dla nas. Wszystko to przykryliśmy wołokami, które trzeba było pozszywać i przyszyć do worków z żywnością, żeby ich wiatr nie pozrywał.

Od strony południowej składu urządziśmy zagrodę z kamieni, którą przykryliśmy wołokiem. Ustawiwszy w ten sposób

¹⁾ Ibid., str. 411.

szałas, w którym się zakwaterowali dwaj myśliwi, wynajęci w Połu, jako stróże przy składzie, sami zatrzymaliśmy się opodal składu, jak zwykle, w namiotach, umieściwszy konie między namiotami a składem.

Jezioro Sakiz-Kul było pokryte grubą warstwą lodu. Żeby dostać się do wody, trzeba było cały dzień pracować nad wycięciem dużego przerębla, z któregooby można było czerpać wodę dla koni, nie dając mu zamarznąć. W pracach tych pomogli nam poczciwi mieszkańcy Połu. Wyszędłszy na płaskowzgórze i przyjąwszy 9 maja od wójtów powierzone im zapasy żywności i paszy, natychmiast odprawiłem wynajęte juczne zwierzęta i poganiaczy, którzy przed nocą już zdążyli spuścić się z przełęczy nad źródła rzeki Kuz-Ob, gdzie było znacznie cieplej. Z tragarzy pozostało przy nas 20, z dwoma wójtami. Tych, wynagrodziwszy, odprawiłem dopiero 11 maja o świcie. Oni to pomogli nam urządzić skład, szałas dla stróżów, okólnik na barany na noc i t. d. Sami, na tak wielkiej wysokości, przy silnej dychawicy, nie dalibyśmy byli sobie rady.

11 maja byliśmy znowu sami; zostało z nami tylko paru ludzi z Połu, wynajętych do pilnowania składu i jako poganiacze baranów. Skorzystawszy ze słońca, które pięknie świeciło od rana, określiłem w południe szerokość geograficzną Sakiz-Kulu. Wysokość tej miejscowości wyniosła 4807 metrów (15771 stóp) n. p. m., t. j. przewyższała trochę szczyt Mont-Blanc.

Tybet powitał nas niegościnnie. Mrozy we dnie wynosiły -1°C - 5°C , lecz nocami temperatura spadała do -20°C . O odwilży ogólnej nie było jeszcze mowy. Przeciwnie, niemal codzień po południu nadciągały skądś chmury, poczyniała się zawieja śnieżna i szalona wichura¹⁾.

Ustaliwszy regulamin życia w obozie, ruszyłem na zachód, żeby zdjęciem topograficznym związać się z miejscowością Issyk-Bułak (gorące źródła), skąd w ubiegłym roku zawróciliśmy do Szachidulla-Chodży. Wziąłem z sobą parę koni juczych, żeby zabrać pozostawione tam rzeczy; konie obładowałem lodem w workach, który zostawiłem na miejscu noclegu, żeby nie być zupełnie pozbawionym wody. Jako przewodnik, wyruszył ze mną jeden z myśliwych z Połu, który był poszukiwaczem złota i doskonale znał kopalnie koło Issyk-Bułaka (gorących źródeł).

¹⁾ Ibid., str. 410.

Przecięliśmy przez dogodny przesmyk pasmo gór, dzielących nas od źródeł rzeki Jurung-Kosz i nocowaliśmy przy łożysku rzeki, która była prawie zupełnie sucha, gdyż lodowce, tworzące rzekę, jeszcze nie poczęły tajać.

Wedle słów przewodnika, w lecie łożyskiem płynie głęboka rzeka, z szybkością burzliwego potoku i bardzo jest trudna do przebycia. 13 maja nocowaliśmy w miejscowości Souk-Bułak (zimne źródła), gdzie w lecie pracuje rok rocznie po paruset poszukiwaczy złota. Wtedy była to pustynia, z mnóstwem porzuconych szurfów. Źródło wymarzło zupełnie, lecz lodu znaleźliśmy dosyć; że zaś mieliśmy z sobą duży kocioł, więc roztopialiśmy lód w takiej ilości, że mogliśmy potrochu napić swe konie.

Zostawiwszy przywiezione z sobą worki do lodu, wyruszyliśmy o świcie do Issyk-Bułaku (gorące źródła), odległego o 18—20 kilometrów, dokąd przybyliśmy o 8 rano. Było mroźno, lecz jasno i słonecznie. Łąki, zlewane gorącą wodą, zdaleka świeciły jaskrawą zielenią. Przyglądając im się przez lornetkę, zobaczyłem stadko pasących się jaków i towarzyszących im dzikich baranów. O jaki mi nie chodziło, bo, gdyby się nawet udało upolować którego, to nie mógłbym ani go oprawić, ani zabrać z sobą mięsa, zabijając zaś dla sportu nie lubiłem. Zato papaj bardzoby nam się przydał, gdyż potrzebowaliśmy mięsa. Począłem się skradać. Jaki, żerując, odsuwały się coraz dalej. Oczywiście, przyszły one tu w nocy, najadły się i odchodziły w niedostępne góry. Barany zajęte były żerem i dały się podejść tak blisko, że do strzału mogłem wybierać między samcami, których mięso jest twarde, i młodem. Padła samiczka dwuletnia, zapewniając nam wspianą pieczeń.

Rzeczy znaleźliśmy w takim stanie, jakgdybyśmy je byli przed godziną złożyli, choć było to przed pół rokiem. Wszystko jednak było pokryte grubą warstwą piasku, naniesionego przez wichry. Przez ten czas, gdy ludzie wybierali, co warto zabrać z sobą na Sakiz-Kul, a co, mając tam nowe zaopatrzenie, porzucić na zawsze, zdążyłem dokonać zamierzonego określenia astronomicznego i jeszcze raz stwierdziłem szczególną dokładność swych prac. W zimie roku poprzedniego obliczyłem, że od Issyk-Bułaku do Połu mamy 6 — 7 dni drogi. I rzeczywiście, przestrzeń tę obecnie przebyliśmy w 6½ dnia.

Pakunków zabraliśmy stąd mniej, niż przypuszczaliśmy, że zabierzemy, a to z powodu, iż część pozostawionych rzeczy była

do użytku niezdatna, i nie warto było ich wozić. Zakończywszy wszelkie prace, pożegnałem „Gorące Źródła“ na zawsze i spiesznie ruszyłem, by się złączyć z ekspedycją ¹⁾). Do Sakiz-Kul przybyłem 16 maja i dowiedziałem się, że w czasie mojej nieobecności preparator Conrad ze starszym kozakiem Deminem, oraz z jednym z krajowców przedsięwzięli wywiadowniczą wycieczkę o 100 kilometrów wprost na południe. Na całej tej przestrzeni charakter pustyni był jednakowy: wiele jezior, pokrytych grubą warstwą lodu, drogi wszędzie zupełnie dostępne do jazdy, nawet w zaprzęgu, lecz nigdzie niema źródeł, nigdzie trawy ²⁾). Pustynia słusznie nosi miano Ak-dasz (Biała pustynia). O tem, czy jeziora są słodkowodne, nie można się było przekonać z powodu grubości lodu.

Pozostało mi jeszcze wyjaśnić charakter kraju w stronę południowo-wschodnią od Sakiz-Kula, t. j. u źródeł rzek Kerja-Darja i Ak-su, spływających z Himalajów. Wziąwszy świeże konie, duże zapasy lodu i trzech kozaków, ruszyłem zaraz w drogę 17 maja, robiąc dziennie 60—70 kilometrów, żeby w najkrótszym terminie zwiedzić możliwie większą część kraju.

Nocowałem u podnóża wysokiego pasma górskiego, z którego spływa rzeka Kerja-Darja. Przewodnika, znającego te obszary, nie miałem, i kierując się tylko własną intuicją, podążyliśmy jednym z wąwozów, który powoli wyprowadził nas na wysoki szczyt, skąd daleko na wschód zobaczyłem góry, pokryte wiecznymi śniegami; drugie pasmo widać było na południowej stronie płaskowzgórza; jak się potem pokazało, spływały z niej źródła rzeki Ak-su. Niestety, źródła rzeki Kerji, jak i następnego dnia—Ak-su, były skute lodem. Zrobiwszy określenie astronomiczne, przyszedłem do wniosku, że jestem w obrębie pustyni, która, według umowy z pułkownikiem Piewcowem, miała być zbadana przez jego wyprawę. Rzeczywiście nie omyliłem się, gdyż ze sprawozdania o podróży ekspedycji tybetańskiej ³⁾ okazało się, że członek tej wyprawy, kapitan Roborowski, 12 maja dochodził do rzeki Kerji (o jakieś 100 kilometrów na północ ode mnie) lecz, nie znalazłszy nigdzie trawy, a w rzece ani kropli wody, zmuszony był spiesznie wrócić; stracił przytem konie i omal sam nie zginął latem w tej pustyni.

¹⁾ Ibid., str. 411.

²⁾ Ibid., str. 411.

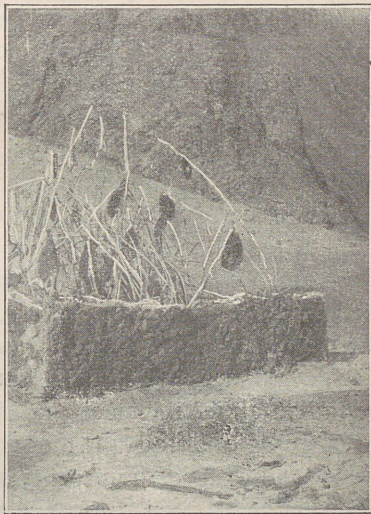
³⁾ Ibid., str. 462—469.

W ten sposób drogi nasze, po zbadaniu północno-zachodniego Tybetu, zbiegły się, i ogólny charakter kraju został wyjaśniony.

Zawróciłem i ja w stronę Sakiz-Kulu i złączyłem się ze swą ekspedycją 20 maja. Badania te wyjaśniły nie tylko charakter terenu Tybetu na południe od Połu, lecz i stwierdziły możliwość owocnej pracy na owych obszarach za ledwo w ciągu trzech letnich miesięcy: lipca, sierpnia i września, t. j. w czasie, kiedy ustają mrozy, niszczące wszystko. Cel, zakreslony przez Zarząd Towarzystwa Geograficznego—zbadanie części Tybetu między Himalajami a Kuen-luniem do południka, przechodzącego przez Połu, nie tylko był osiągnięty, lecz nawet rozszerzony: zrobiłem znacznie więcej, gdyż badania doprowadziłem do miejscowości, zwiedzanych przez obie wyprawy tybetańskie: Przewalskiego i Piewcowa. Ze względu na moją miłość własną byłoby, naturalnie, lepiej, gdybym był mógł przeciąć pustynię i, jak to miałem zamiar, wyjść gdzieś w Rudoku, lub w innej miejscowości Małego Tybetu. Lecz wywiady wykazały, że w owej porze roku wszelkie długie podróże w tej części Tybetu z powodu braku wody są niemożliwe. Czekać zaś miesiąc lub więcej na Sakiz-Kulu oczywiście nie mogłem, gdyż bez trawy konie mi nędzniały, i mogłem znowu zostać bez środków lokomocji.

Zważywszy to wszystko, postanowiłem prace w Tybecie zakończyć, spuścić się znowu do Połu i, żeby nie drażnić ambania keryjskiego, ominąć Kerję i zająć się zbadaniem środkowego biegu rzeki Tiznaf. Skład, gdzie było jeszcze sporo zapasów, chciałem darować mieszkańcom Połu, jako kompensatę za nieprzyjemności i za chłostę, jaką zapewne musieli otrzymać z mojego powodu od władz chińskich.

Zabrawszy ze składu wszystko, co mogliśmy wieźć na swych jucznych i wierzchowych koniach, 21 maja ruszyliśmy na północ, na przełęcz Su-baszy i nocowaliśmy na północnej stronie jej pod-



Grobowiec Kiuudy u źródeł rzeki Tiznaf (Pachpu) (str. 143).

nóza, w miejscowości Chan-Langar; w dwa dni zaś później zbliżyliśmy się do Połu, owacyjnie spotykani przez ludność wszystkich 16 wiosek oazy¹⁾).

Pierwszą miłą wiadomością, jaką zaraz na wstępie zakomunikował mi nasz przyjaciel, wójt Mahomed-Achun-Manas, był fakt, że specjalnym telegramem z Pekinu mój prześladowca, ambasador keryjski, najniespodzianie usunięty został z urzędu i, zamiast wyprawy wojskowej, która miała użyć względem mnie siły, przysłał do Połu delegację, aby się dowiedziała, czy go przyjmę, chciałby bowiem mię przeprosić. Okoliczność ta podniosła mój autorytet do niebywałych rozmiarów. Nie miałem pojęcia, jak się to stało, przypuszczałem jednak, że do rozwiązania tej sprawy pomogły ogłoszenia ambana, w których zwał nas ludożercami, kazał chować przed nami żony i dzieci oraz groził chłostą każdemu, ktoby nam cokolwiek sprzedał. Ogłoszenie to posłałem wychowawcy cesarzowicza i Zarządowi Towarzystwa Geograficznego. Na to zapewne zareagowało ministerjum spraw zagranicznych, że zaś posłem w Pekinie był przyjaciel mój, hr. Kassini, który umiał pozyskać szczególnie wpływ na prezydenta Zung-li-Jamynia i na wice-króla peczilijskiego, znanego i w Europie Li-chung-czana, więc los trzeciorzędnego keryjskiego kacyka został rozstrzygnięty momentalnie, i więcej już nie słyszałem o człowieku, który narobił mi tyle szkody i nieprzyjemności. W Połu zajęliśmy naszą dawną kwaterę, ponieważ zaś po tybetańskiej głodowce musiałem odkarmić konie i doprowadzić do porządku ogromne zdjęcia topograficzne zbadanych części tego płaskowzgórza, zatrzymałem się przeto w tem mieście na całe trzy tygodnie, przyglądając się bliżej ciekawemu życiu tej odosobnionej oazy.

Do poznania tego życia pomogły mi — dzieci, które bardzo lubię. Wychodząc na przechadzkę, zawsze miałem w kieszeni drobne monety chińskie (4 miedziane czochy = 1 kop.), albo landrynki: rozdawałem jedne i drugie wszystkim spotykanym dzieciakom. Z początku zmykały przede mną, potem spokojnie czekały, aż się zbliżę, poczem, ściskając w piąstkach otrzymanych parę monet, pędem uciekały do domów, aby pokazać datki matkom. Potem chodziły już ze mną na przechadzki, wesoło gwarząc i pomagając mi zbierać chrząszcze. Które z dzieci miało buzię umytą i nos w porządku, otrzymywało podwójną

¹⁾ Ibid., str. 411.

dozę monet i w dodatku parę landrynek. Dla starszych dziewczynek (lat 7—8) Fazył-Bek kładł mi do kieszeni kurtki kawałki kumaczu, pociętego tak, że każdy mógł służyć za chusteczkę na głowę, albo też zawinięte w papierek tanie, 20-kopiejkowe kolczyki, lub inne drobiazgi.

Po kilku dniach, gdy się zjawiałem na ulicy, matki wypychały swe pociechy przed drzwi domostwa, bacząc, by buzie były umyte i nosy w porządku. Oczywiście reagowałem na to, obdarzając takie dzieci podwójnym lub potrójnym datkiem, gdyż wiedziałem, że datek będzie natychmiast odebrany i zrealizowany na miejscowym guzarze (malutki bazar) na cebulę lub inną włoszczyznę.

Raz, gdy przechodziłem, pewna matka wyniosła przed dom dziecko widocznie chore, gorączkujące na tle malarycznym. Przyniosłem małą dawkę chininy. Dziecię wyzdrowiało, a ja zdobyłem sławę lekarza, którego stale zapraszano do domów. Kobiety, które wogóle w Połu zasłon nie noszą, lecz dyskretnie uchylały się od spotkania oko w oko z przybyszami, szybko oswoiły się z nami, podejmowały się wszelkich prac dla nas, dobrze zarabiając na praniu i na szyciu. Powoli zżyliśmy się tak z mieszkańcami oazy, że gdy nadszedł czas odjazdu, przedstawiciele całej oazy upraszali mię, bym został z nimi na zawsze, w naiwności swej wierząc w możliwość odłączenia się swego od Chin i życia samodzielnego. W sporządzonym z tego powodu akcie, opatrzonym pieczęciami wyborców, a potwierdzonym pieczęcią kadi'ego, Imam-Chodży-Achuna, mieszkańcy Połu obiecywali mi wybudować swym kosztem ark (zamek obronny) i punktualnie wpłacać podatki, jakie obecnie płacą Chińczykom. Kopja tego oryginalnego dokumentu była w swoim czasie przesłana do Petersburga i dała powód cesarzowi Aleksandrowi III do żartobliwych zapytań o moich poddanych „połuskich“. Oryginał, razem z innemi



Typ Toglika, górala Pachpu
(str. 143).

listami od rozmaitych władców, przechowuje się wraz z dziennikami podróży, które ofiarowałem Polskiemu Towarzystwu Geograficznemu w Warszawie.

Nie zapieram się, że taka propozycja odpowiadała mojemu szukającemu przygód usposobieniu, i tylko oczywista niemożliwość zrealizowania jej zmusiła mnie do odmowy. Zato gdyśmy wyjeżdżali, do pierwszego noclegu w wiosce Czakar (2032 metrów n. p. m.) odprowadzali nas mężczyźni, kobiety i starsze dzieci. Widząc, że ten tłum nie zawraca do domów, lecz ze śpiewami i z zaimprovizowaną orkiestrą zamierza nas odprowadzić do noclegu (27 kilometrów), wysłałem naprzód Fazył-Beka z krajowcami, w celu zorganizowania odpowiedniego przyjęcia, które udało się wybornie, dając powód do ochoczych tańców w ciągu całej nocy¹⁾. Załączam typy kobiet połuskich.

1) Zatrzymałem się na tym drobnym fakcie nieco dłużej, aby stwierdzić, jak łatwo było w Azji Środkowej zyskać sympatje ludu, będąc tylko sprawiedliwym i okazując mu pewną życzliwość. Moje dobre stosunki z ludnością Połu na tem się nie skończyły: w ciągu długich lat otrzymywałem stamtąd od czasu do czasu listy, w których dokładnie mię zawiadamiano o zgonach, jakie zaszły, lub o zmianach w administracji miejscowej. Pamiętam, ostatni list otrzymałem w latach 1903—1906, już będąc wtedy gubernatorem w Astrachaniu i hetmanem kozackim. List ten zapamiętałem dlatego, że doszedł mię, choć był adresowany nie nazwiskiem lecz przezwiskiem, pod którym znany byłem wśród krajowców Azji Środkowej, a mianowicie jako Uzun-Ajak-Tiurja (Długonogi pan) (Kaszgarja, str. 185). List musiał wpaść w ręce urzędnika pocztowego, który służył długo w Turkiestanie i znał mię osobiście albo słyszał o mnie, gdyż obok przezwiska napisał „obecnie gubernator i hetman w Astrachaniu“. I list doszedł. Ja zaś zawsze najskrupulatniej na listy odpowiadałem zbiorowo, na imię wójta w Połu, dziękując za pamięć i zawiadamiając o sobie, a listy przysyłałem na ręce konsula w Kaszgarze.

XVII.

INFLUENCA W CHOTANIE. UCIECZKA DO TACHTACHONU.
BADANIA W DORZECZU TIZNAFU. ŻYCIE SZCZEPU GÓRALSKIEGO.
PRZYGODA W WIOSCE USLUSZ. „SIL“ I JEGO SKUTKI.
PRZEJAZD DO JARKENDU.

Rozstaliśmy się z Połu, do którego tak długo nie mogłem się dostać, a z którym byłem związany tylu wspomnieniami, dopiero w drugiej połowie czerwca. Ruszyliśmy przez Czakar do Chotanu, żeby związać moje zdjęcia z punktem pułkownika Piewcowa i rozpocząć nowe. W Chotanie trafiliśmy na rozkwit influency¹⁾, która, przewędrowawszy po raz pierwszy przez całą Europę, dostała się do Azji środkowej i rozpowszechniła się w Kaszgarji, gdzie wskutek braku lekarstw i nieumiejętności walki z nią, zbierała obfite żniwo. Przeszliśmy ją wszyscy, a ponieważ wycieńczone podróżą organizmy łatwiej się poddawały chorobie, uciekliśmy przeto z wielkim wysiłkiem z Chotanu na Sandżu (1 995 metrów n. p. m.) i Kok-Jaru (2 032 metrów n. p. m.) w góry do Tachtachonu (2 843 metrów n. p. m.), gdzie pułkownik Piewcow spędzał lato poprzedniego roku, żeby znowu związać me zdjęcia z jego punktem, potrzebnym mi do prac po zbadaniu biegu środkowego rzeki Tiznaf.

W Tachtachonie dopiero, na wysokości około 10 000 stóp n. p. m., pozbyliśmy się tej nieprzyjemnej choroby i mogliśmy znowu przystąpić do poważnej pracy w dorzeczu rzeki Tiznaf, które było zupełnie nieznanne, ponieważ zaś zamieszkiwał je cie-

¹⁾ Ibid., str. 412.

kawy typ górali, było więc podwójnie interesujące: pod względem geograficznym i etnograficznym.

Na badaniach tego trudnego dorzecza górskiego ubiegł mi lipiec i sierpień. Właściwie źródła Tiznafu zwiedziłem w listopadzie roku poprzedniego, o czym opowiedziałem wyżej. Lecz bliższą znajomość ze szczepem górali udało mi się zawrzeć dopiero teraz, w czasie szczegółowego objazdu dorzecza rzeki Tiznafu, który oni zamieszkują.



Typy Teglików, górali Pachpu
(str. 143).

wać Zarządowi Towarzystwa Geograficznego, który list mój, dotyczący górali ¹⁾, wydrukował w XXVI tomie (str. 94—100) Wiadomości Geograficznych z 1890 roku.

Rzeka Tiznaf spływa z pasma gór raskemskich kilku dopływami, które odrazu w miękkich zboczach wyłobily sobie takie głębokie wąwozy, że już u źródeł ich są doliny, na dno których słońce nawet w lecie zagląda tylko na dwie—trzy godziny dziennie. Z tego powodu miałem kłopot w znalezieniu miejsca, odpowiedniego do obserwacji astronomicznych, gdyż słońce potrzebne mi

Pierwsze wiadomości o tem, że w górach Kaszgarji istnieją górale niewiadomego pochodzenia, zjawily się w sprawozdaniu z ekspedycji Forsyth'a, która w latach 1873—1874 zwiedziła Kaszgarję, kiedy prowincją tą władał jeszcze Jakób-Bek-Badaulet.

Wieści te jednak były powierzchowne i nieściśle, gdyż nikt z członków wyprawy Forsyth'a nie dotarł do dorzecza Tiznafu i nie widział górali, lecz Forsyth tylko wspominał o nich na podstawie wiadomości, jakie mu się udało zebrać od kupców w Jarkendzie. Dopiero ja miałem możność dokładnie poznać tych górali i główniejsze dane o ich życiu zakomunikować

¹⁾ Dane o góralach pomieszczone są w „Kaszgarii“, str. 202—206.

było od 8½ z rana do 3½ po południu, co trafia się bynajmniej niewszędzie. Zbocza gór pozbawione są roślinności z powodu bardzo małej ilości opadów, tak, że siał można jedynie w miejscowościach, gdzie jest przeprowadzona sztuczna irygacja; barany zaś, które górale hodują w wielkiej ilości, pasą się na szczytach górskich, które są miękkie i obfitują w trawę.

Tylko wielbłądy mają na zboczach gór pożywienie zapewnione, gdyż rośnie tam wszędzie i przytem w znacznej ilości Caragana jubata, nosząca po kirgisku nazwę tiuja kujruk (wielbłądzi ogon), a po góralsku — czusz-kun, istny smakołyk wielbłądów. Charakter taki rzeka ma i przy swem ujściu, gdzie, wypływając z gór, rozlewa się w setkach kanałów irygacyjnych, które dają życie najbogatszej, najbardziej kulturalnej części okręgu jarkendzkiego, noszącej nazwę Iki-su-orasy (między dwiema wodami).¹⁾

Część środkowa rzeki Tiznaf i wpadające do niej dopływy przecinają skaliste, gęsto zadrzewione góry. Jest to jedyne miejsce, gdzie rosną wielkie, rozłożyste drzewa. Stamtąd to biedni górale musieli swoim kosztem wyrąbać belki, obrobić je i na swych juczyńskich zwierzętach dostawić do miasta Kargajyku, gdzie w roku poprzednim Chińczycy budowali wszystkie urzędy. Widząc na miejscu, jakie mnóstwo drzewa górale musieli wyrąbać i obrobić, nie mogłem nie podziwiać sprężystości ich samorządu, dzięki któremu całą tą olbrzymią pracę zdołali oni sprawiedliwie i sumiennie między siebie rozłożyć, nie dopuszczając do udziału w niej chińskich urzędników. I tylko dlatego nie zostali zrujnowani.

Przejeżdżając z nad jednego dopływu Tiznafu nad drugi, przez przełęcz, często o wysokości do 4 000 metrów (przełęcz Czup —



Typy Toglików, górali Pachpu
(str. 143).

¹⁾ „Kaszgarja“ str. 197, 200 i 201.

4066 metrów nad poziomem morza), przewędrowaliśmy przez wszystkie większe siedziby górali, zapoznając się z życiem tego sympatycznego szczepu, wszędzie spotykani nadzwyczaj przyjaźnie i gościnnie.

W wiosce Uslusz (1736 metrów n. p. m.) miałem następujące zabawne zdarzenie. Z powodu bardzo upalnego dnia zatrzymaliśmy się na nocleg w ogrodzeniu, należącym do miejscowego meczetu, gdzie rosły wspaniałe, rozłożyste topole górskie, dające dużo cienia i chłodu. Obfitość wody w parku jeszcze bardziej ożywiła nasz obóz. Zatrzymałem się tutaj dzień jeden, żeby się określić astronomicznie, oraz dać ludziom możliwość wykąpania się, uprania bielizny, koniom zaś zapewnić zupełny wypoczynek. Nie chcąc jednak, obyczajem zatrzymujących się tam pielgrzymów, darmo korzystać z lasku przy meczecie, kazałem zabić dużego barana, skórę i połowę mięsa posłałem mulle (proboszczowi) meczetu, część zaś mięsa z drugiej połowy barana poleciłem doreczyć dla mułły „azanczy“ (który 5 razy dziennie z wieżyczki nawołuje wiernych do modlitwy, dba o czystość meczetu i t. d.). Z reszty mięsa i z sadła, dodawszy ryżu, kazałem przygotować duży kocioł ulubionego w całej Azji płowu (polau-osz) i zaprosić wszystkich mężczyzn dzielnicy, należącej do tego meczetu. Wszystko się odbyło zgodnie z przyjętymi w podobnych wypadkach zwyczajami. Przyjęciem zarządzał Fazył-Bek; w jedzeniu płowu wziąłem udział osobiście, a potem długo rozmawiałem z mieszkańcami owej dzielnicy o ich bolączkach, przyczem miejscowy mułła (proboszcz) był ciągle przy mnie i skwapliwie podtrzymywał rozmowę. Pamiętam, w czasie rozmowy wiatr przywiął kawałek papieru, wyrzuconego gdzieś zapewne przez kozaków. Schyliliśmy się po niego obaj z mułłą, że zaś papier był bliżej mnie, więc go podniosłem, wygładziłem i, złożywszy równo, schowałem na piersiach; wiedziałem bowiem, że bogobojni muzułmanie uważają za grzech rzucanie papieru na ziemię, gdyż koran był napisany na papierze, który w ten sposób służy do rozpowszechnienia słowa bożego.

Potem, w czasie rozmowy, nadeszła chwila modlitwy przedwieczornej (namaz-i-szam). Azanczy wszedł na wieżyczkę meczetu i przeciągle zaśpiewał wezwanie: „Ałło hakber i t. d.“, co w tłumaczeniu znaczy: Bóg jest wszechmogący, Bóg jest sprawiedliwy. Niema Boga, oprócz Boga, i Mahometa, Jego Proroka (3 razy). Idźcie na modlitwę. Śpieszcie na modlitwę. Modlitwa lepsza jest

od snu“. Wiedząc, że nieprzyzwoicie jest, stojąc, słuchać azanczego należy zaś przykucnąć na piętach, oprzeć się plecami o ścianę, przestać rozmawiać i w skupieniu czekać końca wezwania, uczyniłem to wszystko szybciej, niż moi rozmówcy. Gdy azanczy skończył, pożegnałem się z nimi: oni poszli do meczetu na modlitwę, a ja zająłem się swoją pracą.

W parę godzin potem wpada do mnie Fazył-Bek, pokładając się od śmiechu, i mówi:

— Przepraszam pana bardzo, że pozbawiłem go dzisiaj możliwości ożenienia się.

— Jakto? — pytam.

— A tak! Po modlitwie proboszcz prosi mię do siebie na filiżankę herbaty. Poszedłem. Po herbacie mułła mówi: Widzę, że jesteś najbliższym tiury ¹⁾. Chcę się ciebie poradzić. Mam młodzietką córkę, którą jednak mógłbym już wydać zażam. Otóż chcę ofiarować ją twemu panu. Niech błogosławieństwo Boże spadnie na mój dom, gdy moja córka da odpoczynek potomkowi proroka. Przytem widzisz, że jestem biedny. Spełniając obowiązki proboszcza wśród górali tej wioski, którzy sami niewiele mają, rzadko idę spać syty, jak dziś. Jesteś uczonym da-mułła (nauczycielem). Co na to powiesz? Wszak tiura pobędzie tutaj dzień—dwa. Potem da rozwód mej córce i pójdzie sobie dalej, a ja zarobię na tem i będę mógł jej i sobie sprawić niezbędne rzeczy.

— Z początku — mówił Fazył-Bek — chciałem zakpić z mułły i ukarać go za chciwość. Ale gdym słuchał jego słów, wypowiedzianych z wiarą, żal mi się go zrobiło. Powiedziałem prawdę, co podziałało na niego piorunująco. Chwytał się za kołnierz własnej koszuli, darł go i ciągle wołał: „Chudoim a tauba“ (Boże mój, korzę się przed Tobą). Potem, uspokoiwszy się, wyznał, że, słysząc, jak my wszyscy nazywamy pana „taksyr“ (władco) i „tiura“, był przekonany, że pan jest potomkiem proroka. Nasuwał mu wątpliwości pański mundur, i dlatego przyglądał się panu bacznie w ciągu całego dnia. Lecz słysząc, jak pan dobrze mówi ich językiem, widząc, jak pan prowadzi „ziorat“ (przyjęcie), jak pan podniósł papierek, przyniesiony przez wiatr, i schował go

¹⁾ Tiura — tytuł, który krajowcy Turkiestanu stosowali do każdego oficera rosyjskiego, jak w Indjach każdego Anglika nazywają sahib (pan). Między muzułmanami zaś tytuł „Tiura“ może nosić tylko potomek proroka Mahometa, mający pochodzenie swe stwierdzone na mocy dokumentów.

na sercu; jak pan pierwszy przykucał, usłyszawszy głos azanczego, pomyślał sobie: Nie, ten człowiek jest prawdziwym muzułmaninem. Co do munduru, przypomniał sobie, iż w czasie pielgrzymki do Mekki był w Konstantynopolu na salamliku piątkowym i widział samego Kalifa w mundurze i w orderach. Więc i z tem się pogodził. I stąd myśl o ożenieniu pana.

Pośmieliśmy się, i sprawa poszłaby była w zapomnienie, gdyby nie mój niedoszły teść, który patrzył na nią zbyt tragicznie.

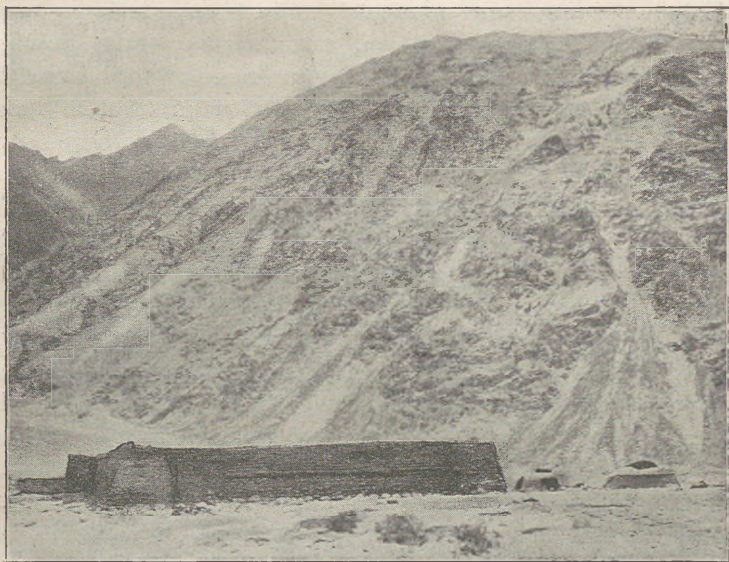


Fort kaszmirski Sza hidulla-Chodża (3753 m. n. p. m.) na wielkiej drodze handlowej z Indyj do Chin (str. 151).

Przebyliśmy w Usluszu cały dzień następny i wyjechaliśmy dalej dopiero o świcie na trzeci dzień. Lecz proboszcz zniknął i przez cały czas potem go nie było, co zwróciło powszechną uwagę; przez kobiety sprawa się rozgłosiła i okryła go śmiesznością.

Wspominając o pracach w dorzeczu rzeki Tiznań, nie mogę nie opowiedzieć o kataklizmie, który zbliża rzadko zdarza się widzieć, a mianowicie o „silu“, jaki nas o mało co nie zmiotł w miejscowości Tacht (Mazar) 3252 metrów n. p. m. Zdarzyło się to 14 sierpnia. Dzień był nadzwyczaj upalny. Przeszedłszy

trzy przełęcze: Arpa-Tala (3 824 metrów n. p. m.), Kuk-Bujnak (3 319 metrów n. p. m.) i Tacht (3 426 metrów n. p. m.), zupełnie wyczerpani zatrzymaliśmy się na polanie z dobrą trawą, na lewym wysokim brzegu źródła, które płynęło o jakie 8—10 metrów poniżej naszego postoju. Po południu upał się jeszcze zwiększył. Słońce paliło wprost piekielnie przy zupełnej ciszy w powietrzu. Organizm mój począł odczuwać jakiś niepokój, jakby przed burzą. Spojrzałem na barometr: spadał gwałtownie. Około 5 po połu-



Góry okalające fort Szachiduła-Chodża, pozbawione wszelkiej roślinności (str. 152).

dnju byliśmy zewsząd otoczeni czarnymi chmurami. Uczynił się zmrok, a od strony wąwozu, skąd wypływał strumień, zbliżała się burza ze strasznym hukiem, z nieustannymi grzmotami i błyskawicami. Widziałem, że burza idzie z gór, kierując się akurat na wąwóz, nad którym staliśmy, i wiedziałem z doświadczenia, nabytego w Turkiestanie, że w podobnych wypadkach, przy silnej ulewie, wody deszczowe, spadające wraz z burzą (jeżeli burza idzie wdół wąwozu) nie mogą się zmieścić w łożysku, wzbierają i płyną olbrzymim wałem, czasami wysokości kilku metrów, z szalonym impetem, wlokąc za sobą ogromne kamienie i znosząc

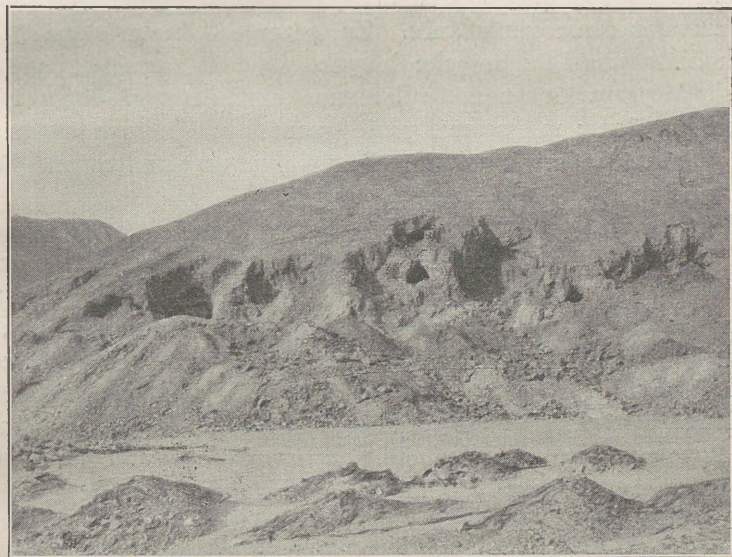
wszystko po drodze. Wobec tego zwołałem wszystkich ludzi i kazałem śpiesznie związać namioty i przeciągać nasze pakunki opodal na wzgórze. Widziałem jednak, że ludzie nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim jesteśmy, więc dla zachęty sam dzwigałem wszystko, co mi wpadało pod rękę, układając w jednym miejscu, wysoko nad obozowiskiem. Tymczasem burza zbliżała się szybko i z takim hukiem, że niepodobna było rozmawiać. Zapadł mrok zupełnie, tylko oslepiające błyskawice oświecały okolicę.

Zaledwo zdążyliśmy odwiązać konie i popędzić je w góry, gdy zaczęła się tropikalna ulewa, poprzedzona trąbą powietrzną od strony wąwozu. Ponieważ krzyku mego wśród huku burzy nie było słyhać, chustką przeto i gestami nakazywałem ludziom, aby rzucili pozostałe drobiazgi i uciekali wgórę. Sam również pędem wbiegłem na zbocze, gdzie złożone były rzeczy, i odechnąłem swobodnie, gdy przy blasku błyskawicy ujrzałem kozaków, zebranych przy rozrzuconych pakunkach na drugim zboczu góry, większość zaś koni na górze nad nami. Tylko trzy konie spętane nie chciały iść pod górę i zostały na polanie, gdyż rozpętać ich nie zdążono. Pomimo iż była to zaledwie 6 wieczorem, zapadły ciemności, jak w nocy. Nagle przy świetle błyskawicy zobaczyłem połyskujący wysoki wał wody, który wysunął się z wąwozu, jakoś się załamał i w mgnieniu oka zalał całą polanę, na której kwadrans temu stał nasz obóz. Woda przybierała błyskawicznie, rwąc i znosząc wszystko po drodze. Z początku siedzieliśmy na rzeczach z uczuciem spokojnego zadowolenia, żeśmy uniknęli okropnego niebezpieczeństwa. Lecz woda tak szybko przybierała wzdłuż zbocza góry, na którą schroniliśmy się, takie mnóstwo jej zewsząd spływało wartkimi potokami wskutek niesłychanej ulewy, że i miejsce, gdzieśmy się schronili, przestało się nam wydawać bezpieczne. Ślizgając się i padając na rozmołym gruncie, zaczęliśmy ciągnąć ciężkie walizy dalej wgórę.

Na szczęście, gwałtowna ulewa poczęła przechodzić w rześisty deszcz, który padał prawie do rana. Przemokliśmy nie tylko sami do nitki, lecz przemokł cały bagaż, zapasy mąki, kaszy, przemokły nawskroś skórzane tłumoki, gdzie umieściłem przyrządy i kolekcje. Należało wszystko wyjmować, wietrzyć i suszyć, a nie było gdzie: trawiasta łąka, na której rozłożyliśmy się byli obozem z wieczora, zamieniła się w błotnisto-piaszczystą łąkę, po której płynęły jeszcze drobne strumyczki. Ogromny kawał jej został zu-

pełnie zniesiony, i wygląd całej miejscowości zmienił się do niepoznania.

Burza zniosła całą naszą kuchnię, którą urządziliśmy nad brzegiem strumienia, znikło mnóstwo drobiazgów, których zabrać nie zdążyliśmy (worki z jęczmieniem i kukurydzą dla koni, żelazne kołki od namiotów i do przywiązywania koni i t. d.); co najważniejsze, zniknęły i trzy najlepsze konie juczne, które nigdy nie oddalały się od tabunu, i dlatego nie przywiązywano ich na noc, lecz spętane chodziły swobodnie około obozu.



Miejscowość Kasz - Taszny - Kany (złóża nefrytu)
3 910 metrów n. p. m. (str. 153).

Dopiero o świcie, widząc spustoszenie, jakie poczyniła ulewa w mieniu ekspedycji, począłem zdawać sobie sprawę z poniesionych strat. Ocalał jeden tylko czajnik, który od obiadu zostawał w moim namiocie i razem z innymi rzeczami wyniesiony został na górę.

Zdobywszy trochę mokrego drzewa, z trudnością rozpaliliśmy ogień, żeby rozgrzać się herbatą. Ubrania do koszuli przemokły i przylepiły się do ciała. O wschodzie słońca zaczęliśmy ściągać rzeczy nadół, otwierać tłumoki i wydobywać rzeczy do przesu-

szenia. Zadanie to jednak nie było łatwe: ziemia była jeszcze mokra, a wszelkie koły, kołki i sznury uniosła woda. Po bezsennej nocy jeść nam się chciało, a nie ocalało nic, w czymby można było gotować. Zresztą wory z mąką, kaszą, ryżem przekształciły się w błotnistą masę, i zapasy do użytku były niezdatne.

Spuszczając się z przełęczy Tacht, dostrzegłem świeże ślady trzody i miałem wrażenie, że gdzieś niedaleko musi być auł kirgiski. Kazawszy więc ludziom korzystać z pięknego dnia po wczorajszej strasznej burzy i suszyć wszystko, co się tylko da, wziąłem z sobą jednego kozaka i krajowca i pojechałem wdół wąwozu na poszukiwania aułu. Zniszczenie, jakie poczynił „sil“, przechodziło wszelkie pojęcie: łożysko wąwozu zawałone było Bóg wie skąd przywleczonemi odłamami skał, brzegi wyszarpane, ścieżka zniesiona; miejscami, gdzie grunt był skalisty, woda niosła kamieni i piasku tak, że z największym trudem mogliśmy się przedostać wdół wąwozu.

Mniej więcej o 8 kilometrów poniżej naszego obozu rzeczywiście spotkaliśmy grupę ludzi na wzgórzu; kobiety, płacząc, głośno zawodziły. Pokazało się, że są to szczątki bogatego jeszcze wczoraj aułu. „Sil“ zniósł jurty, cały dobytek wewnątrz jurt, zarówno jak i całą trzodę, krowy, konie, słowem—wszystko, co ci ludzie posiadali. Sami uciekli oni tak, jak stali, bo jeszcze nie ułożyli się byli do snu, gdy nadciągnęła burza. Gdyby był sil nadszedł w nocy, gdy spali, zginęliby byli wszyscy. Ludzie ci sami gwałtownie potrzebowali pomocy i nie mogli nam nic sprzedać. Od nich dowiedziałem się, że o 20 kilometrów leży duża wioska Posgam¹⁾; co do koni, zapewnili mię, że mogę ich nie szukać, gdyż spętany koń nie mógł wypłynąć z prądu, który uniosł im nietylko wszystkie konie, lecz i jedenaście starych, silnych wielbłądów.

Dowiedziawszy się o bliskości Posgam, gdzie, jak wiedziałem, jest duży rynek ze sklepami, posłałem tam natychmiast dżygita, kazawszy mu kupić choć dwa niewielkie kociołki, kołków żelaznych, bez których nie moglibyśmy rozłożyć namiotów, oraz mocnych sznurów, niezbędnych do umocowania juków na koniach. Sam zaś pojechałem zpowrotem do obozu, dziękując Bogu, że, powodowany intuicją, przeniósłem pakunki na górę i przez to

¹⁾ Kaszgarja, str. 196.

ocaliłem 1½-roczną naszą pracę od zupełnej zagłady. Dżygitowi kazałem wrócić jak najspieszniej. W drodze powrotnej upolowaliśmy z kozakiem parę zajęcy i kuropatw, tak, że można było choć szaszłyk zrobić. Obóz nasz zdaleka wyglądał jak rynek, na którym na sprzedaż wystawione były najróżnorodniejsze towary. Wszystko się suszyło i wietrzyło ¹⁾.

W nocy wrócił dżygit z zamówionymi przedmiotami i przyniósł pewną wiadomość o przybyciu do Jarkendu ogromnej ekspedycji



Miejscowość Darwaza-Taryk-Ut. B. Grąbczewski u stóp przełęczy Kara-Korum w Himalajach 2 grudnia 1889 r. na wysokości 16 358 stóp (4986 metrów) n. p. m. (str. 156).

dycji angielskiej z dużym konwojem i mnóstwem jucznych zwierząt; wyprawa zatrzymała się w domu kaszmirskiego aksakała

¹⁾ Aby już nie wracać do tak zwanych „silów”, muszę nadmienić, że i w Turkiestanie zdarzają się one rzadko, gdyż zależą od szczególnego zbiegu okoliczności, a mianowicie „sil” bywa wtedy, gdy tropikalna ulewa nietylko przyjmuje kierunek wąwozu, lecz i posuwa się wdół rzeki. Podczas 21 lat pobytu w Turkiestanie widziałem „sil” osobiście tylko dwa razy, a mianowicie: raz nawiedził on stolicę Fergany, miasto Nowy (europejski) Margelan, pomimo że leży ono w dolinie, o 24 kilometry od najbliższych gór. Woda płynęła bardzo szerokim wałem, wysokości metra, i w jednej chwili najnie spodzianie pokryła całe miasto, wpadając przez drzwi i okna parterowych domków urzędniczych do mieszkań, zalewając i niszcząc wszystko po drodze.

(ak—biały, sakał—broda. Tak krajowcy nazywają swoich wójtów), lecz bliższych wiadomości o tem, kto jest szefem ekspedycji i do kąd ona dąży, nie miał. Zaciekawiony tem, postanowiłem udać się do Jarkendu, tem bardziej, że po katastrofie, po stracie trzech jucznych koni i zniszczeniu zapasów, musiałem zajechać gdzieś do większego środowiska, żeby dopełnić zapasy i przełożyć pakunki.

Siła prądu była jeszcze tak gwałtowna, że woda łamała gliniane płyty, dzielące jedną posesję od drugiej: przewracała na ulicy nie tylko ludzi, lecz i dorożki.

Trudno opisać przerażenie mieszkańców! Z dziećmi szukali oni schronienia na dachach, rozpaczliwie wzywając pomocy, która, naturalnie, znikąd przybyć nie mogła, bo w Margelanie rzeki spławnej niema, i łódkę miałem tylko ja jeden, lecz ta była o 40 kilometrów od Margelanu na jeziorze Szarychańskim, gdyż służyła mi do polowania.

Katastrofa zdarzyła się w porze południowej i dlatego ofiar ludzkich, o ile pamiętam, wśród Rosjan nie było. Lecz świnie, prosiaki, barany i drób cały zniszczony był zupełnie, jak również wszelki dobytek wewnątrz mieszkań, gdzie się wdarła woda.

Gorzej było w mużułmańskim (starym) Margelanie, znajdującym się o 14 kilometrów poniżej miasta europejskiego. Tam „sil” zmył doszczętnie domki gliniane wzdłuż głównego kanału, przyczem zginęło wiele dzieci częściowo pod zwaliskami padających domków, poczęści zniesionych przez prąd wody. Zakończył się „sil” dopiero w piaskach Duwana-Kum (warjackie piaski), przebiegłszy około 50 kilometrów. Powódź w mieście trwała około 2 godzin, poczem woda spadła, zostawiając wszędzie pokład mułu, wyrwane drzewa i zwalone płyty. Mnie powódź zastała w biurze. Przeczekałem ją, siedząc na biurku, gdyż woda zalala posadzkę i w pokojach dochodziła do kolan.

Drugi raz widziałem zbliska potok silu, polując w lecie na kaczkę, na Syr-Darji. Z bocznego wąwozu, z drugiej strony rzeki, prawie naprzeciw miejsca, gdzie właśnie stałem, wypadł wysoki do 10 metrów wał mętnej wody, pędzący z tak gwałtownym impetem, że przeciął rzekę i na mój brzeg wyrzucał połamane jurty, cielska wielbłądów, krów i innej trzody. Potem dowiedziałem się, że „sil” zmył cały aul kirgiski o 50 — 60 kilometrów wyżej w górach i zniósł go do Syr-Darji.

Jako cechę ogólną, zaznaczam, że „sile” zdarzają się tylko w górach, poza wionych zarośli leśnych, lecz nigdy tam, gdzie zbocza zarośnięte są lasem. Wskutek tego rząd rosyjski w niektórych miejscowościach prowadził ogromne prace, obsadzając góry drzewami (z Australji), które łatwo przenosiły kilkumiesięczną suszę, nie potrzebując sztucznego nawodnienia.

XVIII.

Z JARKENDU W GÓRY KASZGARSKIE.

LAWINA KAMIENNA.

PRZEZ IGLZ-JAR I JANGI-HISAR DO KASZGARU.

PODRÓŻ PRZEZ NIEZBADANE OBSZARY PO PRAWEJ STRONIE KYZYŁ-SU:

POWRÓT. ROZWIĄZANIE WYPRAWY. W PETERSBURGU.

ZAKOŃCZENIE.

W ostatnich dniach sierpnia przybyliśmy do Jarkendu i zatrzymaliśmy się w gościnnym domu p. Mirza-Dżan-Chodzy, który był źródłem wszelkich wiadomości bieżących. Otóż od niego dowiedziałem się, że szefem wyprawy angielskiej jest mój zesłoroczny gość w pustyni Raskemu, kapitan Younghusband. Obecnie przybył on do Jarkendu, w otoczeniu oficerów angielskich, z tłumaczem Anglikiem i sekretarzem, który choć z pochodzenia Chińczyk, lecz urodził się w Indjach i uniwersytet skończył w Kalkucie.

O spotkaniu tem opowiedziałem w innem miejscu ¹⁾, więc powtarzać się nie będę. Dodam tylko, że ponieważ Younghusband przybył do Jarkendu pierwszy i uposażony był przez rząd swój wspaniale, więc przez te kilka dni, które spędziłem w tem mieście, ugaszczał mię u siebie parokrotnie ²⁾.

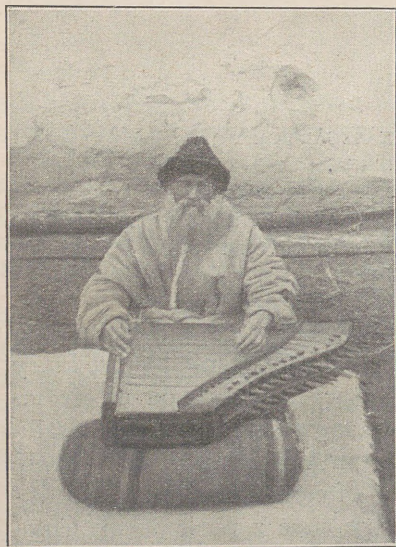
Uporawszy się z doprowadzeniem do porządku naszych juków, a szczególnie z osuszeniem kolekcyj, wyruszyłem znowu z Jarkendu w góry. Dla ostatecznego wyjaśnienia kartografji tej części Azji musiałem jeszcze przejść dolną część dorzecza rzeki

¹⁾ Kaszgarja... str. 195.

²⁾ Wiadomości Ros. Tow. Geograficznego, tom XXVII z r. 1891 zeszyt 2, s'r. 116.

Jarkend Darji i jej dopływów, oraz wschodnie zbocza pasma gór Kaszgarskich, między Jarkendem, Jangi-Hisarem a Kaszgarem. Wtedy dopiero projektowana przeze mnie mapa—byłaby zupełnie dokładna.

Wyruszyliśmy z Jarkendu 5 września podczas upału, dochodzącego do $+ 31^{\circ}\text{C}$ w cieniu, a 9 września nocowaliśmy już w miejscowości Arpalik (2954 metrów n. p. m.), smagani zimnym, drobnym deszczem jesiennym, który wszędzie przenikał i wszystko mroził.



Wędrowny bard z cytrą w południowej Kaszgarji (str. 190).

Grunt na przełęczach był z drobnego wywietrzonego piaskowca; że zaś drobny deszcz padał już drugi dzień bez przerwy, więc było bardzo ślisko, szczególnie na zboczach, gdzie ścieżkę ledwie się dostrzegało, gdyż korzystały z niej przeważnie tylko dzikie zwierzęta.

Określiwszy wysokość przełęczy, począłem się spuszczać na stronę północną. Szedłem pieszo, gdyż koń, oddawna niekuty, ledwie mógł się utrzymać na pochyłej, oślizgłej ścieżce; w rękę miałem busolę i notes, w którym notowałem kierunek drogi. Byliśmy już na połowie bardzo stromego zbocza przełęczy, gdy cieśnina, którąśmy szli, nagle zmieniła kierunek. Zatrzymałem się na chwilę, żeby określić busolą nowy kierunek cieśniny, gdy

10 września o świcie ruszyliśmy na przełęcz Chan-Kul (3361 metrów n. p. m.), dążąc na północ, w stronę fortu chińskiego Igiz-Jar, zamykającego drogę z Pamirów do miasta Jangi-Hisar. Obierając taki kierunek drogi, zadawaliśmy sobie dużo ciężkiej pracy, gdyż musieliśmy przeciąć cały szereg rozgałęzień głównego pasma gór Kaszgarskich i zbadać tyleż mniej lub więcej trudnych przełęczy; lecz zato na mapie została uwydatniona z drobiazgową dokładnością rzeźba tych obszarów i wszelkie wąwozy.

Grunt na przełęczach był z drobnego wywietrzonego piaskowca; że zaś drobny deszcz

siwek mój, który jak zwykle szedł samopas tuż za mną, brutalnie trącił mię łbem w plecy, chcąc przedostać się śpiesznie naprzód. Ścieżka jednak była tak wąska, że nie mógłby mię minąć. Schwyciłem za lejce, chcąc go zatrzymać, lecz koń, zazwyczaj łagodny i posłuszny, parł naprzód tak, że, mocując się z nim, musiałem posunąć się o jakie 20—30 kroków.

Nagle usłyszałem huk spadającego z góry odłamu skały, który akurat w tem miejscu, gdzie stałem przed chwilą, uderzył w bok konia jednego z kozaków, Ewdokimowa, strącił go w przepaść i potoczył się dalej, podskakując na odłamach skalnych i krusząc się na drobniejsze kawałki. Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Ewdokimow, który stale jeździł za mną, jako kozak podręczny, wożąc aparat fotograficzny, zapasowy karabin i t. d., został był gdzieś wtyle, pomagając do przeprowadzenia juków przez trudne miejsce; koń zaś Ewdokimowa, zżyty z moim siwkim, szedł za jego ogonem: zginął, doszedłszy do miejsca, gdzie stałbym był, gdyby nie siwek, który brutalnie pociągnął mię za sobą naprzód.

Zdarzenie to było tak niespodziewane i tak nie do przewidzenia, że nie odrazu zorientowałem się w niebezpieczeństwie, jakiego uniknąłem szczęśliwie. Stałem oszołomiony i obsypany piaskiem; odłam skały przeleciał tak blisko ode mnie, że prąd powietrza zerwał mi czapkę, która zawisła na opuszczonym przez brodę rzemyku.

Wydostawszy się na szersze miejsce, zatrzymałem karawanę, a Ewdokimow z wachmistrzem Koziakajewem i krajowcami, zaopatrzeni w sznury, spuścili się nadół, żeby zobaczyć, czy nie można ulżyć koniowi Ewdokimowa, oraz zdjąć siodło i kurzumy, w których był cały dobytek kozaka. Wrócili dopiero za parę godzin, gdyż konia znaleźli aż na dnie wązowu. Miał połamane nogi i już nie żył; siodło nawet niewiele ucierpiało, gdyż ochroniły je wyładowane kurzumy.

Wiedziałem, że w okolicach z podobnym gruntem długo-trwały deszcz, podmywając piasek, wytwarza lawiny kamienne, które często miesiącami wiszą, że tak powiem, w powietrzu, i spadają nawet od wystrzału. To też w dżdżyste dni unikałem polowań na górskie kurki (kakliki) i ułary (dzikie indyki), które chętnie trzymają się miejscowości z takim gruntem. Lecz w danym wypadku uniknąłem katastrofy tylko dzięki siwkowi, który przeczuł, czy może usłyszał poczynający się ruch skał i, jako uro-

dzony w górach i znajdujący się na takich kataklizmach, chciał się usunąć z miejsca niebezpiecznego. Bądź co bądź „tagdyr“ (przeznaczenie), jak mówią muzułmanie, raz jeszcze ocaliło mię w śmiertelnem niebezpieczeństwie.

Przesuwając się dalej wzdłuż zboczy pasma gór kaszgarskich, nocowaliśmy w miejscowościach: Kumat-Auzy (2553 metrów n. p. m.), w zimowiskach Czymgan (1802 m. n. p. m.), oraz w wiosce Kosz-Gumber (1306 metrów n. p. m.) i 14 września doszliśmy do fortu Igiz-Jar (1655 metrów n. p. m.), gdzie był po-



Tańce kobiet z oazy Połu (str. 190)

sterunek celny, zależny od ambania w mieście Jangi-Hisarze, i gdzie spodziewałem się wszelakich utrudnień paszportowych. Zawczasu więc kombinowałem, jak się będę wykręcał, żeby się przedostać do Jangi-Hisaru w celu zakończenia prac topograficznych.

Tymczasem władze chińskie spotkały mię nader uprzejmie. O paszportach i pozwoleniach nie było mowy. Przeciwnie, w Igiz-Jarze czekał na mnie urzędnik z listem od ambania z Jangi-Hisaru, w którym ten prosi o przebaczenie, że zajęcia służbowe nie pozwalają mu osobiście spotkać tak wysokiego dostojnika, i za-

wiadamia, że posyła do mojego rozporządzenia swego urzędnika, który ma polecenie zrobienia wszystkiego, aby mi ułatwić podróż do Jangi-Hisar. Na tak zasadniczą zmianę stosunków wśród urzędników chińskich w Kaszgarji piorunująco wpłynęło telegraficzne rozporządzenie Zung-li-jamynia o dymisji keryjskiego ambasiana. Naturalnie, byłem zadowolony z takiego stanu rzeczy, choć w duszy czułem pewne wyrzuty sumienia, boć przecie ambasiana keryjskiego miał słuszną przyczynę: nie miałem paszportu, a zatem i prawa do przebywania na chińskim terytorjum.

Zatrzymawszy się w Igiz-Jarze przez dobę, dla dokonania spostrzeżeń astronomicznych, 19 września byłem już w Jangi-Hisarze, przypominając sobie, jak to w 1885 roku ówczesny ambasiana wszystkim kupcom, poddanym rosyjskim, którzy mię odwiedzili, po moim odjeździe, kazał wsypać po 100 kijów. Obecnie czasy się zmieniły. Ambasiana zawezwał kupców do siebie, kazał im wyjechać na moje spotkanie; przytem prosił, żeby, jeżeli który z nich czuje się przez niego skrzywdzony, zechciał mu wybaczyć i nie skarżył się przede mną. Bo ja — tłumaczył im — przyjadę i wyjadę, a on z nimi zostanie.

Z Jangi-Hisar (1470 metrów n. p. m.) do Kaszgaru pozostało tylko 64 kilometry, gdyby jechać wielkim traktem. Ponieważ jednak chciałem tę przestrzeń przejść wzdłuż zboczy pasma gór Kaszgarskich, więc zwróciłem się na wschód i, nocując w wioskach Artysz-Bak (1589 metrów n. p. m.), Eski (1517 metrów n. p. morza) i Urumbasty (1370 metrów n. p. m.) i dopiero 24 września przyjechałem do Kaszgaru, zatrzymawszy się w konsulacie¹⁾.

Już na noclegu w wiosce Urumbasty zastałem sekretarza konsulatu, p. J. Lutscha, który z ogromnym konwojem wyjechał na moje spotkanie. Podziękowawszy mu serdecznie jeszcze raz za pomoc, jaką mi okazał na wiosnę, przegawędziłem z nim całą noc, dzieląc się wzajemnie nowinami i wrażeniami. Dotąd pamiętam, jaką mi przyjemność sprawiła szklaneczka Ponte-Canet, gdyż żadnego wina w ciągu 1½ roku nie widziałem.

W konsulacie korzystałem z uprzejmej gościnności konsula Petrowskiego, który wrócił już z urlopu, mieszkał tym razem z rodziną, i z nową energją rozpoczął wojnę o każdy drobiazg z miejscową administracją chińską, wskutek czego stosunek kon-

¹⁾ Ibid., str. 117.

sulatu do wyższych władz miejscowych był dosyć napreżony. Znanych moich z czasów pobytu w Kaszgarze w roku 1885, dao-taja Chuanga i Zung-tuna Dunga, już nie było. Zastąpili ich inni ludzie, których nie znałem. Skorzystałem z tego i pod pozorem choroby i zmęczenia półtoraroczną podróżą, ograniczyłem się do przesłania im kart wizytowych i podziękowań za okazaną pomoc w podróży, przesyłkę paczek i posyłek i t. d. Lecz osobistych wizyt nowym władzom nie składałem. Nie nastawał na



Główny wójt oazy Połu, Mahomed-Achun-Manas (str. 194).

to i konsul, gdyż, jak mówiłem, zdążył się już pokłócić z wyższymi dostojnikami kraju. Tydzień, spędzony w konsulacie w absolutnym spokoju, minął jak mgnienie oka. Trzeba było zrobić ostatni wysiłek przed powrotem do Rosji, a mianowicie zbadać kraj, leżący po prawej stronie Kyzyl-su (wielka droga karawanowa z Fergany do Kaszgaru biegnie po lewej stronie Kyzyl-su), i główny dopływ tej rzeki Markan-su, spływający z wklęsłości jeziora Wielkiego Kara-Kulu (Smocze), t. j. znowu wspiąć się na wysokość 14 — 15 tys. stóp n. p. m., co późną jesienią mogło być nieprzyjemne. Przejsz łóżyskiem Markan-su w lecie nie było możliwości, gdyż źródła tej rzeki spływają z lodowców najwyższych szczytów pasma gór załajskich: Kaufmana i Gurumdy, dochodzących do 27 000 stóp n. p. m., i wody ich wąską szczeliną przeciskają się przez pasmo gór Kaszgarskich i wpadają do Kyzyl-su. Zbadanie Markan-Su nie wchodziło w zakres przyjętych przeze mnie zobowiązań, lecz uzupełniało kartografię tej części Azji, i dlatego postanowiłem wyzyskać powrotną drogę w tym kierunku.

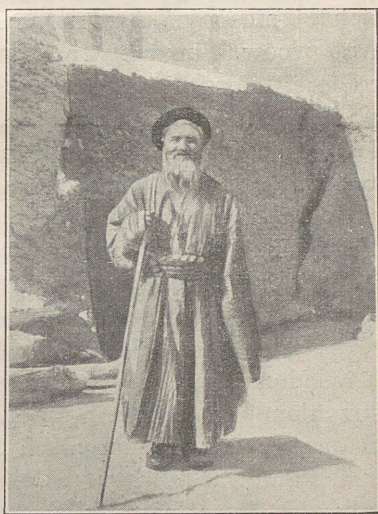
To też 1 października 1890 roku, żegnany i odprowadzany przez członków konsulatu, kupców, poddanych rosyjskich, oraz przedstawicieli administracji chińskiej, rozstałem

zdażył się już pokłócić z wyższymi dostojnikami kraju. Tydzień, spędzony w konsulacie w absolutnym spokoju, minął jak mgnienie oka. Trzeba było zrobić ostatni wysiłek przed powrotem do Rosji, a mianowicie zbadać kraj, leżący po prawej stronie Kyzyl-su (wielka droga karawanowa z Fergany do Kaszgaru biegnie po lewej stronie Kyzyl-su), i główny dopływ tej rzeki Markan-su, spływający z wklęsłości jeziora Wielkiego Kara-Kulu (Smocze), t. j. znowu wspiąć się na wysokość 14 — 15 tys. stóp n. p. m., co późną jesienią mogło być nieprzyjemne. Przejsz łóżyskiem

się na zawsze z Kaszgarzem i Kaszgarją i ruszyłem w drogę do Rosji¹⁾.

Pierwsze dwa noclegi przypadły nam w wioskach Tokuzak (1 326 m. n. p. m.) i Upał (1436 m. n. p. m.). Były to ostatnie miejscowości kulturalne. Położone przy źródłach głównych kanałów irygacyjnych, niosących całą masę wód z górskich rzeczek do Kaszgarji, wioski te mogły korzystać z wody w ilości dowolnej, dlatego miały dużo pól zasianych i tonęły w ogrodach. W Tokuzaku odwiedziło nas paru wędrownych żebraków, obchodzących wioski Kaszgarji. Żebracy tam nie proszą, jak u nas, lecz, zatrzymawszy się opodal, od czasu do czasu potrząsają kijami, które noszą w rękach. Wtedy żelazna obręcz, z nawieszonemi na niej kółkami, uderza o dwie połączone pałeczki, co wydaje przeciągły, drżący dźwięk, którym wędrowny żebrak zwraca na siebie uwagę.

Upał, to nie wioska, lecz miasteczko, liczące około 2 000 domów (10 000 mieszkańców); ma rynek, na którym zaopatrują się sąsiedni Kirgizi, urząd celny i jest siedliskiem chińskich władz administracyjno-pogranicznych. Władze te przywitały mię przy wjeździe, a potem zaprosiły na herbatę do urzędu celnego, gdzie gospodynię reprezentowała żona naczelnika komory, Uzbecka, czy też mieszanej krwi (z ojca Chińczyka i matki Kaszgarki), mówiąca biegle po chińsku i po turecku, przy tem młoda i kokieteryjnie wesoła. Żeby odwdziżyć się za przyjęcie, zaprosiłem wieczorem władze miejscowe do siebie, i najniespodziewaniej zorganizował się wieczorek



Kadi z oazy Połu, Iman - Chodża-
Issetdin - Achun (str. 194).

¹⁾ W 1903 roku min. spr zagranicznych wyjednał zgodę cesarza Mikołaja II na mianowanie mię, już w randze generała brygady, generalnym konsulem w Kaszgarze, lecz, ponieważ wkrótce byłem mianowany gubernatorem do Astrachania i hetmanem kozackim, więc do Kaszgaru nie pojechałem.

w ogrodzie. Do oświetlenia urzędnicy przysłali ze swoich jamy-niów paręset latarń różnej wielkości, wędrowny zaś sztukmistrz-pirotechnik przygotował wcale ładne ognie sztuczne i, ku wielkiej uciesze pani naczelnikowej, pokazał cały szereg zręcznie wykonanych sztuk magicznych.

Przez następny dzień zostałem w Upale w celu określenia tej miejscowości astronomicznie. Ponieważ ogród, gdzie obozowałem, był bardzo zacieniony, obserwacje przeto robiłem na sąsiednim cmentarzu, który okazał się siedliskiem rodziny „dżynne“ (głupich t. j. niespełna rozumu), zamieszkujących jeden ze starych jego grobowców. Pierwszy raz zdarzyło mi się wśród sekciarzy spotkać kobietę, mieszkającą na cmentarzu i w grobowcu. Powodziło im się jednak, widocznie, dobrze, gdyż miejscowy wójt zapewniał mię, że rodzina ta zjawiała się na cmentarzu trzy lata temu i dotąd ani razu ani na chwilkę go nie opuściła. O zaspokojenie potrzeb ich dbają mieszkańcy Upała, dostarczając wszystko niezbędne do życia rodziny—„dżynne“.

Świadczy to wymownie o miłosierdziu mieszkańców Upału.

W rozmowie z krajowcami przypadkowo dowiedziałem się, że właśnie w owej chwili zebrał się w Upale zjazd „przeoratu“ (uświadomionych) sekty derwizów-Kalendar, bardzo rozprze-strzenionej w Kaszgarji i innych miejscowościach Azji Środkowej. O praktykach i wierzeniach tej sekty mówiłem w „Kaszgarji“¹⁾.

Ponieważ zjazdy takie odbywają się perjodycznie raz na kilka lat, więc, naturalnie, odwiedziłem zebranych. Na załączonej fotografii, która zapewne jest jedyną, jaką udało się zdobyć Europejczykowi, widać z prawej strony staruszka z siwą brodą; jest to główny „Pirem“ (przeor) całej sekty i mieszka w Jarkendzie. Pomocnik jego trzyma za nim buńczuk, upiększony wstęgami. Poza tem jest tam jeszcze dwóch „uświadomionych“ w białych czapkach. Są to naczelnicy sekty, zamieszkali jeden w Kokanie (Fergana), drugi w Ak-Su, w Kaszgarji północnej. Reszta—to przyszła starszyzna sekty, jeszcze nie zaliczona do „uświadomionych“.

W dalszą podróż ruszyliśmy 4 października jeszcze przed świtem i, przeciąwszy na przestrzeni około 45 kilometrów step kamienisty (miejscowa nazwa — „saj“), pozbawiony wszelkiej roślinności, dodarliśmy do koryta rzeki Markan-su. Zanocowaliśmy w miejscowości Bury-Tukaj (Wilcze zarośla), na wysokości 2047

¹⁾ Str. 212—215.

m. n. p. m., znalazłszy tam spore łąki z obfitą trawą i duże zarośla, które dały nam możność całą noc grzać się przy dużym ognisku.

Nazwa „Wilcze zarośla“ odpowiadała rzeczywistości, gdyż, przybywszy na nocleg znacznie wcześniej od ciągnącej powoli karawany, w zaroślach wytropiłem stado wilków, złożone z 5 sztuk; widocznie dawno obrały one tam sobie siedlisko, gdyż w gęstych krzakach, stanowiących ich legowisko, znalazłem wiele kości, przeważnie dzikich baranów (*Ovis argali*), które, zwabione trawą, same wpadały wilkom w zęby. Upolowałem tylko jednego, gdyż, nieostrożnie wszedłszy do zarośli, spłoszyłem czujne stadko. Lecz zato był to egzemplarz starego samca z przepiękną skórą, który nie miał ochoty opuścić legowiska i, zdaje się, rozważał, czyby nie lepiej było zaatakować mię, niż uciekać. Jesienne włosię było tak puszyste, że noga w niem tonęła, a dobrze zachowane zęby i pazury, oraz olbrzymiej wielkości skóra, stanowiły przepiękny okaz tian-szańskiego wilka.

Następnego dnia znowu wyruszyliśmy przed świtem, zdążając śpiesznie w górę rzeki. Łóżysko Markan-su jest szerokie, lecz naogół pozbawione roślinności, z wyjątkiem gdzie niegdzie obszernych piaszczystych łąk, zarośniętych krzakami, między którymi trafiają się niewielkie polany, pokryte trawą. Charakterystyczne dla Markan-su są zwały dużych kamieni, zawleczonych z górnej części rzeki w czasie wylewów letnich.

Około południa w miejscowości King-Szywer (obszerna łąka) na wysokości 2643 m. n. p. m. znaleźliśmy polanę ze świeżą, soczystą trawą. Zatrzymałem się tam na 3 godziny, żeby dobrze nakarmić konie, gdyż wiedziałem, że dalej trawy zupełnie nie będzie, aż do chwili wejścia na dolinę Wielkiego Ałaju.

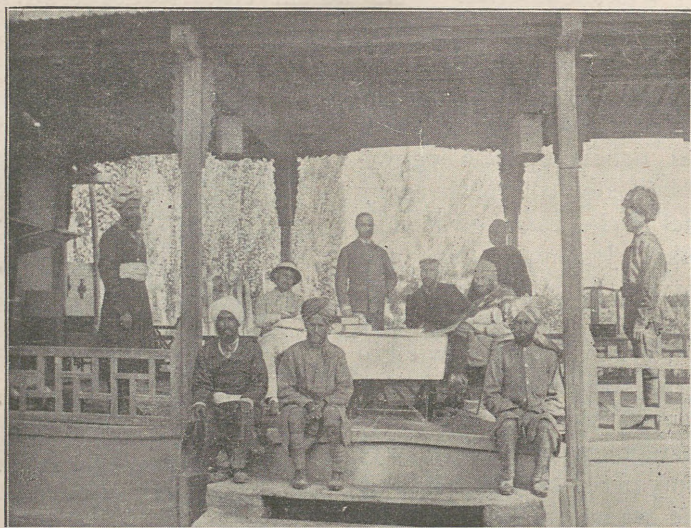
Z miejsca wypoczynku pociągnęliśmy na przełęcz Aik-Art (niedźwiedzia przełęcz) przez jedno z bocznych rozgałęzień górskich, ujmujących łożysko rzeki Markan-su. Wysokość przełęczy



Typy kobiet z oazy Połu
(str. 204).

sięga 3 723 metrów n. p. m. Jest ona kamienista, lecz niebardzo trudna. Spuściliśmy się z niej znowu do łożyska Markan-su, która na przestrzeni 2 dni marszu przecina główne pasmo gór Kaszgarskich i płynie wąskim, bardzo kamienistym wąwozem. Nocleg przypadł w miejscowości Kugrym (2 876 m. n. p. m.) na nagich kamieniach, bez trawy i opału.

6 października szliśmy wąwozem o stromych zboczach skalnych, na których wylewy letnie zostawiły ślady tak wysoko, że chyba ptak przeleciałby tędy w locie. Droga wspinała się ciągle

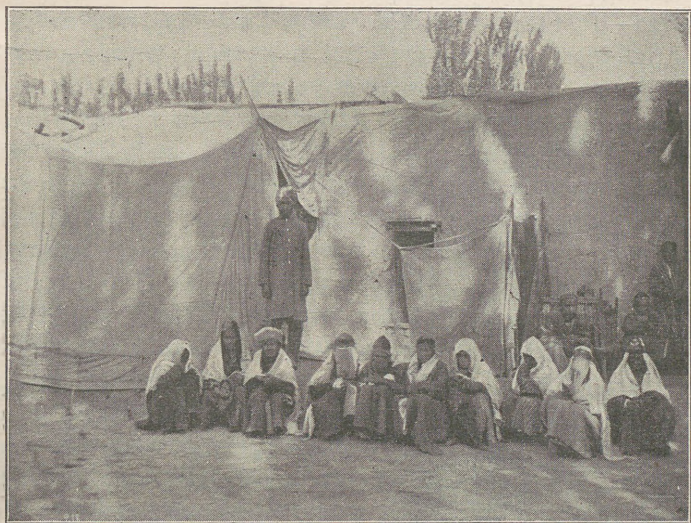


Ekspedycja kapitana Younghusbanda w Jarkenzie. Stoi kapitan Younghusband, na prawo w helmie Macartney, z lewej strony kap. Beech i por. Lenard. Za nimi stoi sekretarz Chińczyk (str. 217).

wgórę i biegła między nagromadzonemi głazami, które woda pracowicie odrywała jeden po drugim, wyłabiając sobie przejście przez pasmo gór. Nocowaliśmy w miejscowości Basz-Kiczu (początek brodów) na wysokości 3 455 m. n. p. m.

Mówiąc o drodze, mam na myśli ślady ścieżki, wydeptanej przez zwierzęta lub rzadkich podróżnych, która to staje się widoczna w miejscach, gdzie odchodzi w bok od łożyska rzeki, to ginie zupełnie. Każdy też koń naszej karawany sam wybierał sobie drogę między spiętrzonemi głazami. Brody są częste i głębokie, chociaż woda zupełnie przejrzysta, co dowodzi, że lodowce

już przestały tajać, a rzekę zasilają jedynie źródła, spływające z rozmaitych miejsc. Nocujemy w miejscowości, bardzo przypominającej okolice jeziora Kara-Kul (Smocze)¹⁾. Miękkie góry pokryte są żwirem; mizerna trawa rośnie tylko po brzegach rzeki i w fałdach gór. Mrozu w nocy mieliśmy — 18° C, przy silnym wietrze. Po upałach kaszgarskich było nam bardzo zimno. Za opał służyły nikłe korzonki terskienu, na których cośnecio mogliśmy sobie ugotować, lecz ogrzać się przy takim ogniu niepodobna!



Ambulatorjum dla przychodzących chorych przy pomieszczeniu zajętem przez kap. Younghusbanda w Jarkendzie. Stoi doktor, Kaszmirczyk, siedzą chore Kaszgarski, dalej dzieci (str. 217).

Zato widać na każdym kroku świeże ślady zwierza; znać, że myśliwi tu dawno nie zaglądali, a innych ludzi niema. Słowem—pustynia! Wziąłem z sobą kozaka i jednego krajowca, i pojechaaliśmy, kierując się wbok od obozu naszej gwarnej karawany. Zaraz za pierwszym pasmem miękkich pagórków, które, jak w Tybecie, biegły w rozmaitych kierunkach, zobaczyłem stadko *Ovis argali*, które nietylko pozwoliło się podejść, lecz uciekało tak leniwie, że „dubletem“ położyłem dwa małe dwulatki. Dostar-

¹⁾ Zob. Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus, str. 57 — 60.

czyły nam one wspaniałego mięsiwa na dłuższy czas. W półto-rej godziny wróciliśmy do obozu, obładowani zdobyczą, gdyż nadto jeszcze zabiłem ułara i parę kaklików.

7 października nocowaliśmy w północnej części wklęsłości jeziora Kara-Kul, w miejscowości Safar-Kulny-Auzu (3 775 metrów n. p. m.) niedaleko przełęczy Kyzył-Art, prowadzącej w dolinę Wielkiego Ałaju, którą już opisałem w drugim tomie mych podróży ¹⁾.

Byliśmy już w granicach Rosji. Dalszą drogę, wpoprzek doliny Wielkiego Ałaju, przez przełęcz Tałdyk, wdół rzeki Gulcza, fort Gulcza—do Oszu, opisałem już w tomie pierwszym ²⁾.

Na przełęczy Kyzył-Art (4 224 metrów n. p. m.), oraz w dolinie Wielkiego Ałaju (miejscowość Artylma — 3 479 m. n. p. m.) spotkała nas zawieja śnieżna. Kirgizów już tam nie było. Przekoczowali w dolinę Fergany. Na Ałaju pozostały tylko wieloty-sięczne tabuny koni, których w dolinie Fergany niepodobnaby było wykarmić w zimie. Lecz i te posunęły się bardziej na zachód, tak, że wschodnia, tak ożywiona latem, część doliny Wielkiego Ałaju stała się zupełną pustynią.

9 października przeszliśmy przełęcz Tałdyk (3 589 metrów n. p. m.), a 15 października, po 17½ miesiącach podróży byłem już w Oszu ³⁾ (972 m. n. p. m.), skąd o szczęśliwym powrocie zawiadomiłem telegraficznie wychowawcę cesarzewicza, generała-adjutanta Daniłowicza i Zarząd Towarzystwa Geograficznego.

W Margelanie (550 m. n. p. m.) byliśmy 17 października i po kilku dniach odpoczynku w moim domku wyprawa się roz-wiązała: kozacy, obdarzeni każdy 350 rublami z sum, które mi się należały za ich wyżywienie i karmienie koni, wrócili do swe-go pułku; juczne konie sprzedałem, kolekcje zaś, upakowane w skrzynki, każda o wadze do 30 kg., codziennie wysyłałem pocztą do Zarządu Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu.

Ja zaś sam, z powodów, o których opowiem może szczegó-łowo w innym miejscu, zostałem zatrzymany w Margelanie pra-wie miesiąc i mogłem przybyć do Petersburga dopiero w poło-wie listopada. Tam przyjął mię owacyjnie na dworcu kolei że-laznej generał Daniłowicz, który powitał mię w imieniu cesarze-

¹⁾ Ibid., str. 57.

²⁾ Zob. Kaszgarja str. 13—19

³⁾ Wiadomości Tow. Geograf. tom XXVII, zeszyt II z 1891 r., str. 118.

wicza, oraz wiceprezes Towarzystwa Geograficznego, senator Siemionow Tian-Szański i sekretarz, prof. A. Grigorjew.

Cesarzewicza zastałem w przeddzień wyjazdu w podróż zagraniczną (podczas której został raniony w Japonji). Nie mogąc przyjąć mego sprawozdania w Petersburgu, zaproponował mi, abym go odprowadził do Paryża i sprawozdanie złożył w drodze, w wagonie. Z podróży tej wróciłem zaledwie w pierwszych dniach grudnia i począłem się przygotowywać do złożenia naukowego sprawozdania z podróży Towarzystwu Geograficznemu.

W czasie mej nieobecności mój szlachetny przyjaciel, profesor A. Grigorjew, rozsegregował kolekcje i rozesłał je uczonym specjalistom do pobieżnego przejrzania, a potem i opracowania. Zdjęcia zaś, których w podróży zjadłem przeszło 20 tuzinów, oddał fotografowi Akademji Sztuk Pięknych, Klasenowi, do wywołania i przygotowania przezroczy. W czasie moich podróży ręcznych kodaków nie było, jak również nie znano kamer podróżnych, gdzie każdy może swoje zdjęcia natychmiast wywołać. Mój aparat, na trzechnożnym statywie, woził kozak, a do zdjęć używałem szklanych klisz Ilforda, które wytrzymały 40-stopniowe mrozy i upały, wywołane zaś zostały dopiero w końcu drugiego roku i posłużyły obecnie do ilustracji moich podróży. Naturalnie, dużo bardzo ciekawych zdjęć fotograficznych przypadło wskutek nieostrożnego obchodzenia się z kliszami, pęknięcia ich, lub nieprawidłowych zdjęć, o czym nie wiedziałem, bo klisze wywołane zobaczyłem dopiero w Petersburgu.

Wreszcie sprawozdanie moje było wyznaczone na nadzwyczajne zebranie członków Towarzystwa Geograficznego, na d. 10 stycznia 1891 roku. Ponieważ zgłoszeń o bilety wejścia było



Zebracy w Kaszgarji. W rękach pałeczki, które uderzając zwracają na siebie uwagę (str. 223).

znacznie więcej, niż mogła pomieścić sala Towarzystwa Geograficznego, przeto Zarząd wynajął jedną z największych sal w Petersburgu, a mianowicie salę w domu Towarzystwa Kredytowego Miejskiego.

Urzędowe sprawozdanie o tem nadzwyczajnem zebraniu Tow. Geograficznego pomieszczono w Wiadomościach Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego¹⁾. Wypisuję tu z niego niektóre dane.

Na posiedzenie przybyli wielcy książęta i w ich liczbie prezes Akademji Nauk, wielki książę Konstanty, ministrowie, członkowie honorowi Towarzystwa Geograficznego, oraz przeszło 800 członków rzeczywistych, korespondentów i wprowadzonych przez nich gości.

Na wzniesieniu zajęli miejsce członkowie Zarządu Towarzystwa Geograficznego. Zebranie otworzył wice-prezes Towarzystwa, senator Siemionow Tian-Szański krótkim przemówieniem, w którem, nawiązując do śmierci podróżnika Przewalskiego, zaznaczył, że przedsięwzięte przez niego badania Azji Środkowej nie zostały przerwane, i że właśnie w ciągu ostatnich 2-ch lat pracowały tam trzy ekspedycje: w środku wyprawa tybetańska pułkownika Piewcowa, na północ od niej ekspedycja braci Grum-Grzymajło i na południe od wyprawy Piewcowa—moja. Potem, podkreśliwszy ogromne naukowe znaczenie zbadanych przeze mnie krajów, zawezwał mię na trybunę w celu przedstawienia fachowego sprawozdania.

Gdym wszedł na trybunę, zostałem przyjęty burzliwemi oklaskami. Złożyłem szczegółowe sprawozdanie z podróży, ilustrując ciekawsze momenty pokazami odpowiednich przezroczy. Sprawozdanie to ze stenogramu było wydrukowane w Wiadomościach Rosyjsk. Tow. Geograficznego²⁾. Na końcu tego sprawozdania są wymienione następujące wyniki mojej półtorarocznej pracy poza granicami Rosji.

1. Zrobiono 7 200 kilometrów zdjęć topograficznych, z nich na przestrzeni 5 000 kilometrów w miejscowościach, gdzie przedtem nigdy nie powstała noga Europejczyka. Wszystkie zdjęcia zrobione były w skali 5 wiorst w calu³⁾.

¹⁾ T. XXVII z r. 1891, zeszyt 2, str. 136—137.

²⁾ Tamże str. 97—118.

³⁾ Na zasadzie zdjęć moich w ciągu trzech podróży turkiestański wojenno-topograficzny oddział, przy moim udziale, wydał mapę tej części Azji, która była odznaczona na wystawie w Moskwie. Wydano 5 arkuszy w skali 10 wiorst w calu, t. j. 1 : 420 000.

2. Zdjęcia te oparte były na 73 punktach astronomicznych, t. j. każdy 100 kilometrowy odcinek zdjęć był oparty na punkcie, określonym astronomicznie; punkty te z kolei były połączone z pracami astronomicznymi pułkownika Piewcowa, oraz z pracami angielskimi w Indjach, co dało możliwość zaznaczenia ich na ogólnej mapie.

3. Przy pomocy barometru, aneroidu i hipsotermometru określono wysokość 350 punktów nad poziomem morza, co daje zupełnie jasne pojęcie o rzeźbie zbadanych okolic.

4. W ciągu całej podróży regularnie trzy razy dziennie prowadzono spostrzeżenia meteorologiczne, co dostarczyło cennego materiału do określenia klimatu okolic zbadanych¹⁾.

5. Zebrałem bogaty materiał etnograficzny i geograficzny, zilustrowany 20 tuzinami fotografii miejscowości i typów.

6. Pomimo tego, że część kolekcji została porzucona w zimie w Tybecie, a także zginęła przy przeprawie przez rzekę Kur-Ob, ekspedycja przywiozła:

- a) trzy wielkie skrzynie ze zbiorami zoologicznymi,
- b) kolekcję jajek,
- c) kolekcję gadów i płazów,
- d) niewielki zielnik,
- e) ogromną kolekcję entomologiczną, składającą się z 36 000 chrząszczy²⁾,
- f) niewielką kolekcję geologiczną,



Żona Chińczyka, naczelnika komendy celnej w Upale (str. 223).

¹⁾ Dzienniki spostrzeżeń meteorologicznych były opracowane przez prof. uniwersytetu petersburskiego A. Wojejkowa, i rezultaty opublikowane w Nr. 3 Meteorologicznych Wiadomości z r. 1891.

²⁾ Kolekcję opracował senator Siemionow i syn jego Andrzej. Dała ona dużo nieznanych okazów, z których niektóre nazwane mojem imieniem. Nap. Carabus Grombaczewski, Bronisławja Robusta i t. d.

g) wzory wszystkich znanych w Kaszgarji pokładów nefrytu, a także kolekcję narzędzi do obrabiania tego minerału.

7. Przez cały czas podróży prowadziła dziennik, który urósł do objętości 4 ogromnych tomów.

Cały zdobyty przeze mnie materiał naukowy oddany został do rozporządzenia Zarządu Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, które z kolei rozdało kolekcje do opracowania członkom Akademji Nauk i innym specjalistom.



Rodzina sekciarzy, mieszkająca trzy lata w grobowcu cmentarza w Upale. Krajowcy nazywają ich „dżynne“, t. j. niespełna rozumu (str. 224).

Za tę wyprawę otrzymałem osobiście następujące nagrody:

1) Rangę podpułkownika ¹⁾, co stanowiło nagrodę zupełnie wyjątkową, gdyż tylko rok byłem kapitanem, prawo zaś ówczesne wymagało co najmniej 4 lat pozostawania w randze kapitana. Okoliczność ta dała mi możliwość „przeskoczenia“ 2 874 kapitanów, którzy byli starsi ode mnie w tej randze.

¹⁾ W 1886 roku byłem jeszcze porucznikiem, a 23 lutego 1890 r. już podpułkownikiem.

2) Dożywotnią pensję po 400 rb. rocznie.

3) Sześciomiesięczny zagraniczny wypoczynkowy urlop z zachowaniem pobieranej pensji i dodatkiem 3 000 rubli, jako zapomogi na podróż wypoczynkową.

Nie zapomniano również i o moich towarzyszach podróży: A więc, imiennym rozkazem cesarskim wachmistrz Koziakajew był awansowany na podchorążego i otrzymał order św. Anny 4 klasy, co mu zapewniało pewną, dożywotnią rentę; wszystkich zaś innych kozaków awansowano na wachmi-



Przeorat derwiszów sekty Kalendar. Z prawej strony główny Pir (przeor), starszek z siwą brodą, mieszkający w Jarkendzie. Dalej stoją w białych czapkach jeszcze dwóch „uświadomionych“ i reszta starszyny (str. 224).

strzów; co dawało im znaczne prerogatywy w życiu u siebie w stanicach.

Oprócz tego wszyscy otrzymali po 250 rubli nagrody i byli uwolnieni ze służby czynnej na bezterminowy urlop do domów. Mirzę Fazył-Beka rząd nagrodił wielkim złotym medalem do noszenia na szyi, co mu dawało prawo honorowego obywatelstwa; oprócz tego otrzymał on honorowy chałat I rzędu. Sadyrdyn-Chodża otrzymał od rządu wielki medal srebrny do noszenia na szyi i honorowy chałat II rzędu.

Zarząd Towarzystwa Geograficznego, ze swojej strony, nagrodił podchorążego Koziakajewa i Mirzę Fazył-Beka srebrnymi

medalami, a wszystkich innych kozaków oraz krajowców medalami brązowymi¹⁾, przytem wyjednał cesarski rozkaz, pozwalający kozakom i krajowcom nosić medale te na piersiach, jako widoczną nagrodę za odbyte podróże.

Kończąc opowiadanie o rozmaitych przeżyciach w czasie moich podróży, chciałbym podkreślić, że okoliczności stawiały mię niejednokrotnie w takim położeniu, że zdawało się, iż nie było wyjścia innego nad użycie broni.

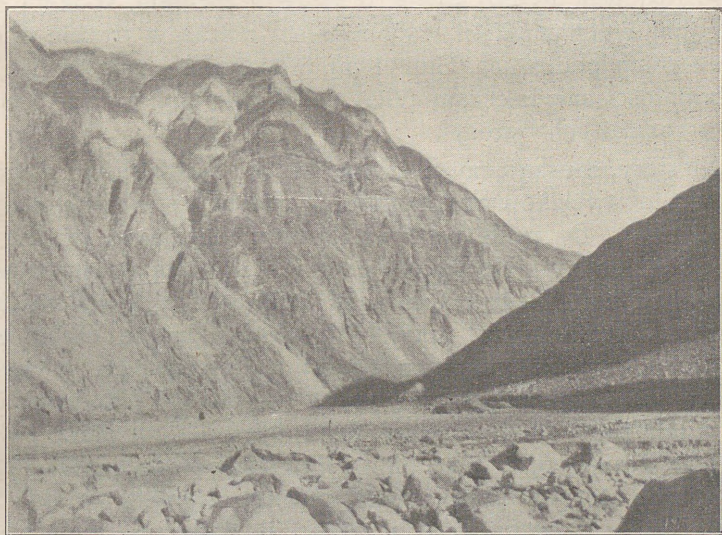
Otóż uważam to sobie za szczególną zasługę, że udało mi się drogą kompromisów, połączonych często z wielkimi stratami dla całej wyprawy, zawsze szczęśliwie unikać tego środka ostatecznego, co bynajmniej niezawsze udawało się innym podróżnikom. Przewalskij np. w każdej swej podróży miał krwawe zajścia z krajowcami.

Mając broń dalekonośną, kilkunastu doborowych strzelców i ogromny zapas ładunków, nie miałem wątpliwości, że potrafimy rozbić nawet większe oddziały tubylców, uzbrojonych w lontówki albo i w karabiny, lecz nie odtylcowe i bijące ledwie na 80—100 kroków. Lecz właśnie dlatego, że wszystkie szanse zwycięstwa były po mojej stronie, sumienie nie pozwalało mi uciekać się do tego ultima ratio. Byliśmy zawsze gotowi do odparcia wszelkiej napaści, lecz równocześnie robiłem wszystko, co tylko mogłem, by takowych uniknąć bez użycia broni.

Drugą zasługą, do której chętnie się przyznaję, było to, że pomimo okropnych często warunków podróży, udało mi się wszystkim towarzyszy doprowadzić do domu nietylko żywych, lecz i w dobrym zdrowiu. Mogliśmy nieraz zginąć wszyscy, ale każdy z nich widział, że ponoszę jednakowe z nimi trudy i że zawsze gotów byłem za każdego z nich oddać własne życie i zdrowie. Opowiem drobny fakt, charakteryzujący stosunek mój do kozaków: Pewnego razu kozak Woronin zachorował na zapalenie oskrzeli. Było to w Tybecie, w czasie strasznych mrozów, kiedy w warunkach, w jakich się znajdowaliśmy, każda taka choroba mogła skończyć się śmiercią. Zawołałem go do swego namiotu i, przyłożywszy 6 plasterów „rigolo“, kazałem mu położyć się na wołoku. Po paru minutach Woronin kurczył się cały z bólu

¹⁾ Wiad. Geogr. t. XXVII, z 1891 r., zeszyt II str. 137

i krzyczał, jak dziecko. Widząc, że tłumaczenia nie pomagają, obnażyłem piersi i kazałem położyć sobie jeden plaster „rigolo“ i, zacisnąwszy zęby, cierpliwie znosiłem palenie synopizmu. Woronin natychmiast się uspokoił i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma. Gdy po pół godzinie chciałem zdjąć „rigolo“, pod plastrem ukazał się pęcherz, który trzeba było przeciąć, co w ciężkich warunkach podróży dolegało mi bardzo w ciągu paru tygodni. Takie same pęcherze wystąpiły i u Woronina, ale — wyzdrowiał.



Koryto rzeki Markan-Su. Zbocza gór pozbawione roślinności. W łóżysku masa ogromnych kamieni, przyniesionych podczas letnich powodzi (str. 225).

W jedzeniu także nie robiłem żadnej różnicy między sobą a towarzyszami, gdyż jadłem z ogólnego kotła. Kiedy w pustyni Raskemu zabrakło nam mąki, i kiedy żyliśmy tylko gotowanym mięsem, nawet bez soli, co wywoływało bolesne skurcze żołądka, kozacy doskonale wiedzieli, że cierpię razem z nimi i że rzeczywiście ani grama mąki w jukach nie było. Cierpieliśmy wspólnie i dlatego cierpienia zносиło się różniej.

Stosunek taki wytwarzał szczególną atmosferę w naszym obozie. Widziałem, że każdy z członków ekspedycji był mi zupełnie oddany i dbał o mnie więcej, niż o siebie. To też tylko

dzięki temu wewnętrznemu łącznikowi udawało się zwalczyć piętrzące się na naszej drodze przeciwności i niepowodzenia. W ciężkich chwilach podtrzymywała mię ambicja. Chęć spełnienia przyjętych na siebie zobowiązań dodawała mi sił i energii. Lecz cóż mógłbym był zrobić sam jeden, niepodtrzymywany przez zbiorowy wysiłek wszystkich? A przecież reszta członków ekspedycji w sławie, którą ja zdobywałem, udziału nie brała i oddawała zdrowie i życie swoje, żeby tylko dogodzić mnie osobiście. To też dotychczas z rozrzewnieniem wspominam tych ludzi¹⁾.

Pozostawał jeszcze siwek, o którego rozumie, spokoju i nadzwyczajnej wytrzymałości wspinałem nieraz w trakcie opowiadań o swoich podróżach. Służył mi w ciągu 2 ekspedycji, i jego wytrzymałości zawdzięczam tyleż, co i ludziom, że żyw wyszedłem z rozmaitych opresyj.

Niestety, muszę przyznać się, że w stosunku do niego nie spełniłem obowiązków wdzięczności. Siwek był u mnie na łaskawym chlebie. Do jazdy po mieście się nie nadawał, bo był nie-duży i niepokazny. Używałem go tylko podczas polowań na bazynty, które strzelałem z konia. W 1893 roku, gdy byłem naczelnikiem powiatu w Oszu, przyjechał do mnie książę Dołgorukow, z bardzo poważnymi rekomendacjami z Petersburga, w których proszono mię o okazanie mu pomocy w podróży jego przez Kaszgarję i Himalaje (Kara-Korum) do Indyj. Dołgorukow był pozbawiony prawej ręki, a że nie był sportsmenem, szukał spokojnego konia, któryby powoli, lecz pewnie dowiózł go do Indyj. Książę Dołgorukow mieszkał u mnie i wydawał się zupełnie porządnym człowiekiem. Dałem mu więc siwka darmo, wzięwszy piśmienne, pod słowem honoru, zobowiązanie, że będzie się z nim obchodził po bratersku i odstawi mi go do Oszu, choćby go to miało nie wiem ile kosztować.

1) Wychowanica moja, pani Dunin-Slepć, w 12 — 15 lat po ostatniej podróży mojej mieszkała czas jakiś w gubernji orenburskiej. Przejeżdżając przez jedną ze stanic, zajechała do atamana, by kazał zmienić konie, i z największym zdziwieniem zobaczyła na honorowem miejscu pod obrazami moją fotografię w ramce z zaschłych kwiatków i wstążek. Ataman, dowiedziawszy się o łączącym nas stosunku, rozplakał się, dziękując Bogu, że mu pozwolił córkę moją ujrzeć. Nie wiedział, jak ją przyjąć, jak ugościć, i ciągle opowiadał rozmaite wysławiające mię epizody z podróży, która dała mu honorową posadę wśród swoich i dobrobyt.

Po kilku miesiącach z gazet dowiedziałem się, że wrócił do Petersburga dookoła przez Suez i Odesę. Natychmiast do niego napisałem, pytając o losy siwka. Z wielką bezczelnością mi odpisał, że musiał go sprzedać w Srinagarze (stolica Kaszmiru), gdyż stamtąd pojechał dalej pocztą, kolejami i morzem, więc nie mógł przecie ciągnąć za sobą konia. Komu sprzedał, nie wiedział, i wszelkie poszukiwania, zarządzone przez rezydenta angielskiego w Srinagarze, wyniku nie dały. Tak zginął mój siwek przez zbytnią moją uprzejmość. Listy ks. Dołgorukowa wraz z wyjaśnieniem meritum sprawy i z zaznaczeniem, że konia dostał darmo pod warunkiem odesłania go do Osza, co mógł skutecznić przy pomocy karawan handlowych Srinagar—Kaszgar, wydrukowałem w trzech poczytnych gazetach rosyjskich, lecz Dołgorukow na to nie reagował, i więcej o nim nie słyszałem.

E R R A T A:

Na karcie tytułowej podano błędnie ilość ilustracyj: powinno być 82.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

ROZDZIAŁ		<i>Str.</i>
I.	Pierwsze wiadomości o Kafiristanie. Postanowienie dotarcia do tego kraju. Starania i zabiegi w Petersburgu. Przygotowania do wyprawy. Niespodziewana przeszkoda w Baku. Z Margelanu do Ucz-Kurganu. Wizyta u władcy Badachszanu, Dżahangir-sza.	7
„	II. Z Ucz-Kurganu do doliny Wielkiego Alaju. Stan przełęczy w górach Zaałajskich. Karategin; ludność i przyroda. Przez góry Perijoch-Tau do Wachji. Podróż przez Wachję. Sądownictwo. Wioski i ich kultura. Podatki.	19
„	III. Przez przełęcz Akba-I-Guszan do Darwazu. W Darwazie. Flota. Fauna. Ludność. Klimat. Rzeki. Przybycie do Kała-I-Chumb. Wieża strażnicza. Obserwacje przez lunetę życia miejscowego. „Sen proroczy“. Pieniądze w Darwazie. Emigracja. Komunikacje.	36
„	IV. Wyniki wywiadów w Badachszenie. Pożegnanie Darwazu. Wojna Szugnanu z Afganistanem. Seid-Akbar-Sza i jego stosunek do wyprawy. Przez dolinę rzeki Wańcz w góry Darwazu. Przełęcz Akba-I-Sytargi. List Sza-Seid Dżernejlja. Powrót na dolinę Wielkiego Alaju.	52
„	V. Ir-Daulet-Bij. Przez przełęcz Altyn-Mazar w dolinę rzeki Muk-Su. Spotkanie z Gaib-Nazarem. W dolinę rzeki Ku-Dara. Sachib-Nazar. Daleka droga. Uchodźcy. Z Roszanu na Aliczur-Pamir. Przeprawa przez Murg-Ob.	65
„	VI. Na Aliczur-Pamirze. Misja Mastona. W Dolinie rzeki Gunt. Jezioro Jaszyl-Kul. Pstrągi. Flora. Zwierzostan Pamirów.	79
„	VII. Klimat Pamirów. Życie Kirgizów pamiirskich. Nie wolnictwo. Przemysł i handel. Hodowla baranów i jaków. Zagadka przeszłości Pamirów. Zemsta Abdurachmana. List do generała Dżana. Powrót Mastona. Jeziora: Zur-Kul i Czakmaktyn-Kul.	92
„	VIII. Stan rzeczy w Wachanie, w Czitralu i Kandżucie. Polityka azjatycka Anglii i Rosji. Ostatnia próba przedostania się do Kafiristanu. Poselstwo od Safer-Ali-Chana. Trzęsienie ziemi w Au-Tasz. Odpowiedź Emira Abdurachmana.	104
„	IX. Zmiana celów podróży. Przygotowania na Dagnyn-Basz-Pamirze. Wizyta oficerów angielskich. List od konsula z Kaszgaru i od Safer-Ali-Chana. Przez przełęcz Iły-Su na pustynię Raskemu. Przygoda z niedźwiedziem.	114

ROZDZIAŁ		<i>Str</i>
	X. Wypoczynek w Kaindyny-Auzy. Polowanie na panterę. W dolinie rzeki Raskem. Spotkanie z wyprawą angielską. Tung-Czukaj. Wycieczka wgórę rzeki Uprang. Odkrycie szczytu górskiego. Wyniki badań w dolinie rzeki Uprang. Flora i fauna. Ślady dawnej kultury.	122
„	XI. Powrót do Czung-Tukaju. Wgórę Raskem-Darji. Wycieczka wgórę rzeki Surkowat, Szajka Kandzutów. Bazar-Dara. Ślady wyprawy tybetańskiej Piewcowa. Wycieczka w dolinę Pachpu. Powrót w dorzecze Raskemu.	135
„	XII. Dalsza droga wgórę Raskem-Darji. Zakończenie badań dorzecza Raskemu. Do Szachidulla-Chodży. Stan rzeczy w Forcie. Trudne położenie wyprawy. Oczekiwanie na żywność z oazy Sandżu. Wyprawa na Kara-Korum. Powrót.	145
„	XIII. Wycieczka wdół rzeki Kara-Kosz. Nadejście żywności. Przygotowania do drogi. Abdu-Gafar. Wyprawa do północno-zachodniego Tybetu. Ogólny charakter płaskowzgórza Tybetańskiego. Dzikie jaki. Trudności podróży. W poszukiwaniu gorących źródeł.	157
„	XIV. Nad gorącymi źródłami. Narada. Kopalnie złota. Organizacja poszukiwaczy. Powrót. Zmiany w Szachidulla-Chodży. Odpowiedź rezydenta angielskiego. W Kiljamie.	167
„	XV. Niespodziewana pomoc. Zaopatrzenie wyprawy. Przez Chotan do Niji. Spotkanie z wyprawą Tybetańską. Z Niji do Połu. Pobyt w Połu. Pomyślny telegram. Święta Wielkanocne.	180
„	XVI. Zajście z keryjskim ambaniem. Przygotowania do obrony. Pochód do Tybetu. Nad jeziorem Sakizkul. Wyprawa do „Gorących źródeł“. Rekonesans na pustynię „Ak-Daszt“. Zakończenie prac w Tybecie. Powrót do Połu. Postój.	191
„	XVII. Influenca w Chotanie. Ucieczka do Tachtachonu. Badania w dorzeczu Tiznafu. Życie szczepu góralskiego. Przygoda w wiosce Uslusz. „Sil“ i jego skutki. Przejazd do Jarkendu.	205
	XVII. Z Jarkendu w góry Kaszgarskie. Lawina kamienna. Przez Igiz-Jar i Jangi-Hisar do Kaszgaru. Podróż przez niezbadane obszary po prawej stronie Kyzyl-Su. Powrót. Rozwiązanie wyprawy. W Petersburgu. Zakończenie.	217





Mapa Azji Środkowej do podróży gen. Br. Grąbczewskiego w latach 1885, 1888 i 1889—91.

Przebyte drogi oznaczone są czerwoną linią.

Podziałka 1 : 4,200.000

50 25 0 50 100 150 200 250 300 km.



13

300 691

12.